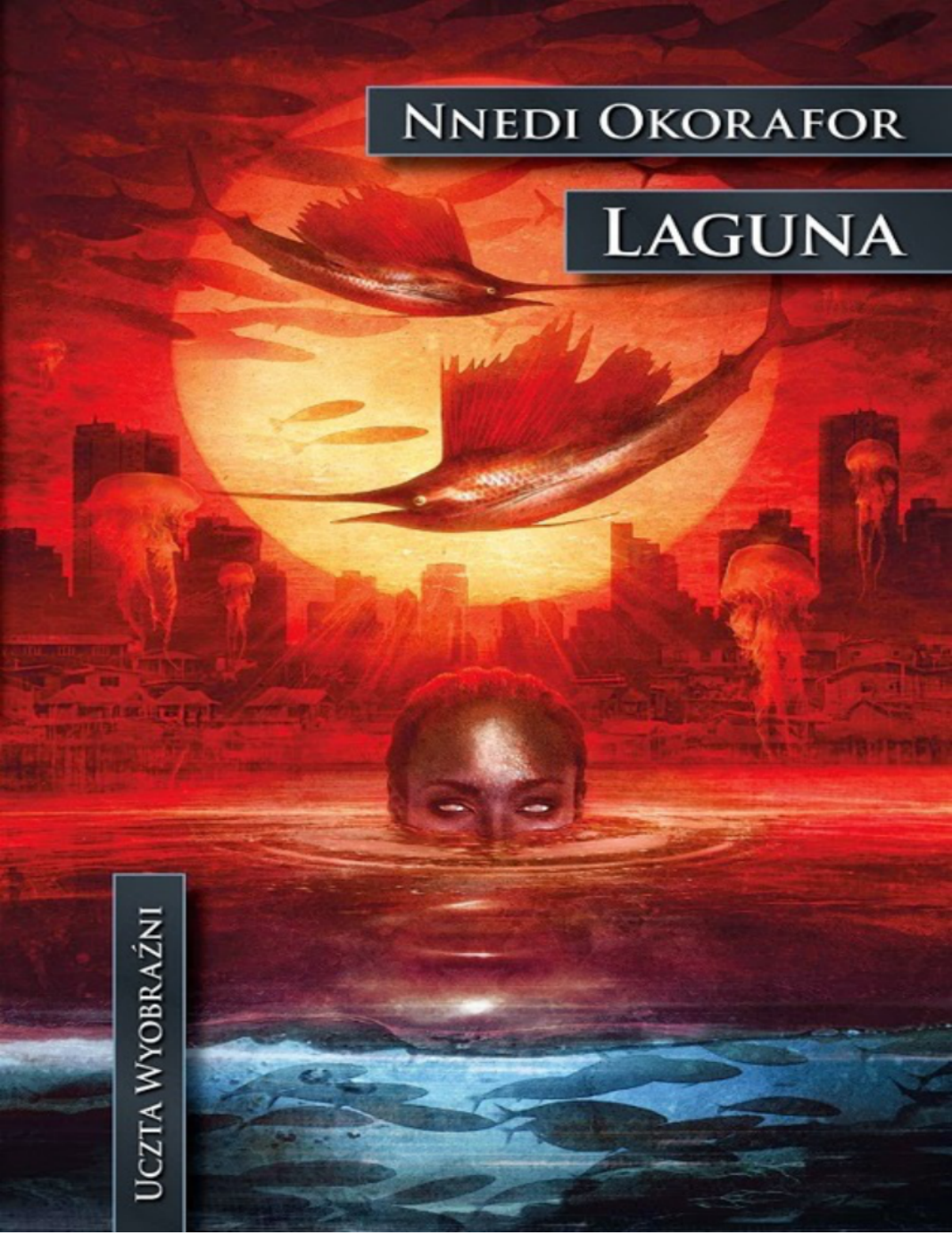

NNEDI OKORAFOR

LAGUNA

UCZTA WYOBRAŹNI

Nnendi Okorafor

Laguna

Przełożyła Anna Studniarek

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2015

Spis treści

Akt I
- Prolog
- Rozdział pierwszy
- Rozdział drugi
- Rozdział trzeci
- Rozdział czwarty
- Rozdział piąty
- Rozdział szósty
- Rozdział siódmy
- Rozdział ósmy
- Rozdział dziewiąty
- Rozdział dziesiąty
- Rozdział jedenasty
- Rozdział dwunasty
- Rozdział trzynasty
- Rozdział czternasty
- Rozdział piętnasty
- Rozdział szesnasty
- Rozdział siedemnasty
- Rozdział osiemnasty
- Rozdział dziewiętnasty
- Rozdział dwudziesty
- Rozdział dwudziesty pierwszy
- Rozdział dwudziesty drugi
- Rozdział dwudziesty trzeci
- Rozdział dwudziesty czwarty
- Rozdział dwudziesty piąty

Akt II
- Prolog
- Rozdział dwudziesty szósty
- Rozdział dwudziesty siódmy
- Rozdział dwudziesty ósmy
- Rozdział dwudziesty dziewiąty
- Rozdział trzydziesty
- Rozdział trzydziesty pierwszy
- Rozdział trzydziesty drugi
- Rozdział trzydziesty trzeci
- Rozdział trzydziesty czwarty
- Rozdział trzydziesty piąty
- Rozdział trzydziesty szósty
- Rozdział trzydziesty siódmy

Rozdział trzydziesty ósmy
Rozdział trzydziesty dziewiąty
Rozdział czterdziesty
Rozdział czterdziesty pierwszy
Rozdział czterdziesty drugi
Akt III
Prolog
Rozdział czterdziesty trzeci
Rozdział czterdziesty czwarty
Rozdział czterdziesty piąty
Rozdział czterdziesty szósty
Rozdział czterdziesty siódmy
Rozdział czterdziesty ósmy
Rozdział czterdziesty dziewiąty
Rozdział pięćdziesiąty
Rozdział pięćdziesiąty pierwszy
Rozdział pięćdziesiąty drugi
Rozdział pięćdziesiąty trzeci
Rozdział pięćdziesiąty czwarty
Rozdział pięćdziesiąty piąty
Rozdział pięćdziesiąty szósty
Rozdział pięćdziesiąty siódmy
Dodatki
Niektóre nigeryjskie słowa, frazy i określenia z pidżynu
Usunięta scena
Podziękowania
O autorce
Przypisy

Tytuł oryginału: *Lagoon*

Copyright © 2014 by Nnendi Okorafor
Copyright for the Polish translation © 2014 by Wydawnictwo MAG

Ilustracja na okładce:
Dark Crayon

ISBN 978-83-7480-569-8

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228 134 743
e-mail: kurz@mag.com.pl
www.mag.com.pl

POLiSH.eBook-BiRD

Dedykowane różnorodnym i dynamicznym
mieszkańcom nigeryjskiego Lagos
– zwierzęcym, roślinnym i duchowym.

„Lekarstwem na wszystko jest słona woda
– pot, łzy lub morze”.
– Isak Dinesen
(pseudonim duńskiej pisarki Karen Blixen)

„Lagos *na* ziemia niczyja.
Nikt nie ma Lagos dla siebie,
wszyscy *na* mamy. *Eko o ni baje!*
[Lagos nigdy nie zostanie zniszczone]”.
– protestujący z dzielnicy Ajegunle
w rozmowie z miejscowymi dziennikarzami,
tamtej nocy, gdy wszystko się wydarzyło

„Lagos, miasto, gdzie nic nie działa, a jednak wszystko się dzieje”.
– biała Amerykanka
w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie

Witajcie w Lagos w Nigerii.

Miasto zawdzięcza swoją nazwę portugalskiemu określeniu „laguny”.

Portugalczycy wylądowali na wyspie Lagos w roku 1472.

Najwyraźniej nie umieli wymyślić bardziej fantazyjnej nazwy.

Nie pomyśleli też, by poprosić kogoś z miejscowych o sugestię.

I tak oto kręci się świat, ukryty pośród milionów nazw, przebrań i zmieniających się opowieści.

Aż miło popatrzeć.

Moje plany się komplikują.

Akt I

Przywitanie

Prolog

Mum!

Przecina wodę, wyobrażając sobie, że jest zabójczym promieniem czarnego światła. Jej gładka, śliska skóra rozdziela prądy. Jeśli jakaś ryba wejdzie jej w drogę, przebija ją i płynie dalej. Ma misję. Jest wściekła. Uda jej się, a wtedy oni odejdą na dobre. Przynieśli ze sobą smród suchości, później sprowadzili hałas i sprawili, że świat zaczął krwawić czarną mazią, która tworzyła trujące tęcze na powierzchni. Często widzi te tęcze, kiedy wyskakuje z wody, by dotknąć słońca. Oddychanie nimi sprawia, że skrzela ją pieką i palą.

Ci, którzy sprowadzili tęcze, to stwory z powierzchni, kopiące i budujące, i nikt nie umiał sobie z nimi poradzić. Poza nią. Zrobiła to już wcześniej i wtedy przerwali na wiele księżyców. Odeszli. A ona znów to robi.

Przyśpiesza.

Jest największym drapieżnikiem tych wód. Jej wód. Nawet kiedy migruje, to szczególne miejsce pozostaje jej. Wszyscy to wiedzą. Nie urodziła się tutaj, ale po wszystkich migracjach tu czuje się najszczęśliwsza. Podejrzewa, że to miejsce narodzin jednego z tych, którzy ją stworzyli.

Płynie jeszcze szybciej.

Jest szaroniebieska, a trwa noc. Choć nie widzi, wcale tego nie potrzebuje. Wie, dokąd płynie. Kieruje się w stronę czegoś, co wygląda jak olbrzymi martwy wąż. Pamięta węże – widziała ich mnóstwo w swoim przeszłym życiu. W słońcu ten martwy wąż ma odcień gnijących wodorostów i skórę jak szorstki koral.

Już wkrótce.

Już jest prawie na miejscu.

Szybko się zbliża.

Wbija się w niego.

Od końca wyrostka, przez kręgosłup, aż po krańce płetw przeszywa ją rozpalony ból. Uderzenie tak nią wstrząsnęło, że nie może się poruszyć. Ale zwyciężyła – czuje, że olbrzymi wąż flaczeje. Wypływa z niego czarna krew. Jej doskonałe ciało drętwieje i zastanawia się, czy umarła. Później zastanawia się, w jakim nowym ciele zamieszka. Przypomina sobie swoją ostatnią postać, żółtą małpkę. Nawet w tym ciele kochała pływać. Woda zawsze ją przyzywała.

Zapada ciemność.

* * *

Budzi się. Ostrożnie, choć szybko wyciąga wyrostek. Z otworu, który wybiła, wypływa czarna krew, uderza ją w głowę. Odwraca się od trucizny, słodko-gorzkiej w smaku. Teraz z pewnością wkrótce odejdą. Kiedy odpływa, czując triumf i szczęście, wodę przeszywa najgłośniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszała.

MUM!

Hałas przenika wodę z takim nasileniem, że daje mu się ponieść, pewna, że rozerwie ją na strzępy.

I wtedy ocean się uspokaja. Głęboko wstrząśnięta, wypływa na powierzchnię. Unosząc głowę nad wodą, porusza się wśród ciał, które błyszczą w blasku księżyca. Dookoła unoszą się liczne drobniejsze rybki, meduzy, nawet kraby, brzuchem do góry lub rozerwane na kawałki. Wiele z mniejszych stworów pewnie zostało unicestwionych. Ale ona przeżyła.

Płynie z powrotem na głębinę. Po przepłynięciu zaledwie kilku metrów czuje ten zapach. Czysty, słodki, słodki, słodki! Jej zmysły zalewa słodycz, najsłodsza woda, jaką oddychała. Płynie naprzód, smakując wodę omywającą jej skrzela. W ciemnościach czuje innych wokół siebie. Inne ryby. Duże, jak ona, i małe... czyli niektóre małe też przeżyły.

Teraz widzi ich wiele. Jest nawet kilka tych o ostrych zębach, i masowych zabójców. Widzi to wyraźnie, gdyż na dole znajduje się coś dużego i świecącego. Wielka poruszająca się łacha migoczącego piasku. Właśnie to coś wydziela słodką, czystą wodę. Ma nadzieję, że słodycz zatopi ohydną czerń martwego węża, którego przebiła. Ma przeczucie, że tak się stanie. Ma dobre przeczucie.

* * *

Słońce już wzeszło i posyła swoje ciepłe promienie w głąb wody. Ona widzi, jak wszyscy płyną, unoszą się, skręcają w stronę tego czegoś świetlistego poniżej. Są wśród nich rekiny, krowy morskie, krewetki, ośmiornice, tilapie, dorsze, makrele, latające ryby, nawet wodorosty. Istoty z płycizn, istoty z brzegu, istoty z głębin, wszystkie tu są. Niezwykłe zgromadzenie. Co się tu dzieje?

Ale ona pozostaje na swoim miejscu. Czeka. Waha się. Obserwuje. To coś nie znajduje się głęboko, ale jest szerokie. Około sześćdziesięciu metrów pod powierzchnią. Na jej oczach się przemienia. Przechodzi od niebieskiego przez zielony, biały, fioletowy, do świetlistego złota. Raz podczas swych wędrówek natrafiła na ogromny świat pełen jedzenia, piękna i aktywności. Rafa koralowa była błękitna, różowa, żółta i zielona, zamieszkana przez morskie stwory wszelkich kształtów i rozmiarów. Woda była smakowita, a w

okolicy nie pojawiały się żadne suche istoty. Mieszkała w tym miejscu przez wiele księżyców, zanim w końcu powróciła na swoje ulubione wody. Kiedy znów wyruszyła na wędrówkę, nie udało jej się powrócić do raju.

Teraz w jej domu jest coś jeszcze dzikszego i bardziej ożywionego niż jej raj utracony. I podobnie jak tam, woda jest czysta i przejrzysta. Nie widzi końca. Jednego jest jednak pewna – to, co widzi, nie pochodzi z głębin morza ani z suchych miejsc, lecz z bardzo daleka.

Coraz więcej istot płynie w tę stronę. Kiedy się przybliżają, widzi, jak kolory pulsują i je obejmują. Widzi, jak w stronę tego czegoś opada ośmiornica bez jednej macki. Nagle ośmiornica zaczyna emanować jaskraworóżowym blaskiem i prostuje wszystkie macki. Na jej oczach brakująca macka odrasta, dodatkowo z miękkiego łba ośmiornicy wyrasta coś, co wygląda jak kościste wyrostki. Głowonóg wiruje i okręca się, po czym rusza w dół, w stronę jednej z jaskiń falującego niby-koralowca poniżej.

Kiedy złocista bańka wznosi się w jej stronę, ona nie rusza jej na spotkanie. Ale również nie ucieka. Słodki zapach, który czuje, i łagodne poruszenia są uspokajające i niegroźne. Kiedy zaczyna się z nią komunikować, zadając pytanie za pytaniem, ona się waha. Wkrótce jej zaniepokojenie zmienia się w rozradowanie. Jakie mądre pytania zadaje to coś! Ona mówi mu dokładnie to, co chce powiedzieć.

* * *

Wszystko się zmienia.

Zawsze uwielbiała swoją gładką, szaroniebieską skórę, która teraz stała się nieprzenikniona, w złocistym kolorze przypominającym blask, jakim emanuje Nowy Lud. Barwa ta przypomina jej inne życie, kiedy mogła jednocześnie cieszyć się wodą i znosić słońce i powietrze.

Jej przypominający miecz wyrostek jest długi i tak ostry na końcu, że aż dźwięczy. Sprawili, że jej oczy stały się jak najczarniejszy kamień, może nimi widzieć daleko w głąb oceanu i wysoko w niebo. A jeśli zechce, może sprawić, by wzdłuż jej kręgosłupa wyrosły chrzęstne kolce, przez co wygląda jak starożytna istota z najgłębszych jaskiń oceanu. Ostatnim, o co prosi, to by uczynili ją trzy razy większą i dwa razy cięższą.

Spełniają jej życzenie.

Nie jest już wielkim włócznikiem. Jest potworem.

* * *

Mimo że z rurociągu FPSO Mystras *wciąż wypływa ropa naftowa,*

woda w oceanie wokół nigeryjskiego Lagos jest obecnie tak czysta, że jedna szklanka słodko-słonego płynu może uleczyć najgorsze choroby i wywołać setkę chorób nieznanych jeszcze ludzkości. W oceanie jest więcej życia niż przez ostatnie setki lat i roi się w nim od obcych i potworów.

Rozdział pierwszy

Pięść

To była przedziwna chwila, gdy Adaora i dwaj nieznajomi mężczyźni pojawili się w tym miejscu, tuż przed całym tym wydarzeniem. Dokładnie 275 centymetrów od brzegu, punktualnie o 23.55 dnia 8 stycznia 2010 roku. Adaora przybyła od północnej krawędzi plaży. Wysoki mężczyzna w zawoju na twarzy przyszedł od wschodu. Zakrwawiony mężczyzna w mundurze polowym od zachodu. Szli przed siebie spacerowym krokiem, posyłając sobie spojrzenia, gdy było już jasne, że ich ścieżki się przetną.

Jedynie Adaora się zawahała. Później, jak pozostali, ruszyła dalej. Urodziła się i wychowała w Lagos, miała na sobie ładnie dopasowane dżinsy i porządną bluzkę. Prawdopodobnie spędziła więcej czasu na spacerach po tej plaży niż obaj ci mężczyźni razem wzięci.

Otarła łzy z policzków i zapatrzyła się przed siebie. Niecałe pół kilometra przed nią znajdowało się otwarte morze, wzburzony Atlantyk. Kiedy działo się coś złego, stopy zawsze ją tu niosły, na lagoską Bar Beach.

Pod wieloma względami Bar Beach była doskonałym odwzorowaniem nigeryjskiego społeczeństwa. Miejscem, gdzie wszystko się mieszało. Ocean mieszał się z lądem, a zamożni z ubogimi. Bar Beach przyciągała handlarzy narkotyków, squatterów, różnorakie akcenty i języki, mewy, śmieci, gryzące meszki, turystów, wszelkiego rodzaju fanatyków religijnych, handlarzy, prostytutki, ich klientów, kochające wodę dzieci i ich beztroskich rodziców. Bary i niewielkie restauracje przy plaży były ulubionymi miejscami spotkań. Woda przy Bar Beach była zbyt niespokojna, by pływać. Nawet najlepsi pływacy ryzykowali zatopieniem przez jeden z licznych prądów odpływowych.

Adaora wcześniej zdjęła sandały. Co w środku nocy najprawdopodobniej nie było najlepszym pomysłem. Jak dotąd jednak nie nadepnęła na żadne drzazgi, zardzewiałe gwoździe, potłuczone szkło czy ostre kamienie. Potrzeba, by poczuć między palcami chłodny piasek, okazała się ważniejsza od ryzyka. Mimo wszelkich śmieci, Bar Beach wciąż jeszcze wydawała się święta.

12 czerwca 1993 roku, w dniu najbardziej demokratycznych wyborów w historii Nigerii, przyszła tu z ojcem i patrzyła na jego łzy radości. 23 czerwca matka zabrała ją tutaj, ponieważ w domu ojciec i wujowie wyklinali wojsko, które anulowało wyniki tychże wyborów.

Przybyła tu, by uciec przed rzeczywistością, kiedy dowiedziała się,

że jej najlepsza przyjaciółka sypia z nauczycielem biologii, by zdać. W dniu, w którym uzyskała doktorat z biologii na Uniwersytecie Lagos, przyszła podziękować siłom nadprzyrodzonym, że pozwoliły jej zachować zdrowe zmysły na tyle, by skończyć studia (i że nie musiała się z nikim przespać, by to osiągnąć).

Przed rokiem przyszła tu, by płakać, kiedy jej ojciec zginął wraz z trzydziestoma innymi osobami podczas nieudanej próby obrabowania luksusowego autokaru na autostradzie Lagos-Benin, jednej z jakże licznych niebezpiecznych dróg w Nigerii. Złodzieje zażądali, by wszyscy pasażerowie wysiedli z autobusu i położyli się na drodze, w owej chwili pustej. W swej głupocie nie przewidzieli ciężarówki (jadącej z nadmierną prędkością, by uniknąć uzbrojonych napastników), która przejechała wszystkich, łącznie ze złodziejami.

A teraz Adaora przyszła na Bar Beach, gdyż jej kochający, idealny mąż, z którym przeżyła dziesięć lat, uderzył ją. Spoliczkował ją naprawdę mocno. A wszystko z powodu hip-hopowego koncertu i kapłana. Z początku stała oszołomiona i zraniona, przyciskając dłoń do twarzy i modląc się, by dzieci tego nie słyszały. Później podniosła rękę i oddała mu policzek. Zaskoczony mąż rzucił się na nią. Ale Adaora była na to gotowa. Wtedy już nie myślała o dzieciach.

Nie wiedziała, jak długo przewalali się jak dzikie psy po podłodze. Sposób zaś, w jaki skończyła się bijatyka, nie był... normalny. W jednej chwili się szarpali, a w następnej mąż został w tajemniczy sposób przykuty do podłogi, jakby jego kostki i nadgarstki mocowały potężne magnesy. Podczas gdy on wił się i wrzeszczał, Adaora wstała, chwyciła kluczyki i wybiegła na dwór. Na szczęście ich dom w dzielnicy Victoria Island znajdował się zaledwie kilka minut drogi od Bar Beach.

Pomasowała opuchnięty policzek. Zaczerwienienie musiało być widoczne nawet na jej ciemnej skórze. Zacisnęła zęby i, idąc w stronę oceanu, próbowała ignorować mężczyzn zbliżających się z prawej i lewej. Po tym, co właśnie przeżyła, nie zamierzała pozwolić, by jakikolwiek mężczyzna stanął jej na drodze. Jednakże, gdy się przybliżyli, obu posłała spojrzenie.

Zmarszczyła czoło.

Mężczyzna w mundurze wyglądał, jakby nieźle oberwał. Przypominał Adaorze wybatożonego lwa. Z jego nosa sączyła się krew, której nawet nie ocierał. I miał opuchniętą połowę twarzy. Jego spojrzenie wydawało się jednak twarde i nieporuszone. Drugi był wysoki i chudy jak strach na wróble, i nosił czarno-biały zawój. Może był muzułmaninem. Większą uwagę zwracał na zbliżającego się poturbowanego żołnierza niż na nią.

Każde z nich szło prosto przed siebie. W ten sposób zbliżali się do siebie nawzajem. Adaora zmrużyła oczy, wpatrując się w mężczyznę w

zawoju. Co jest w nim takiego? – pomyślała, idąc w stronę morza. Coś. Ale nie zwolniła kroku. I tak oto cała trójka się spotkała. Wysoki odezwał się pierwszy.

– Przepraszam…

– Niech pan mi powie, że to żart – przerwała Adaora, gdy uświadomiła sobie, o co chodziło z tym mężczyzną. – Czy… czy jest pan… czy mogę prosić…

Wysoki mężczyzna z wyraźną irytacją zdjął zawój i westchnął.

– To ja – powiedział, przerywając jej. – Ale nie nazywaj mnie Anthony Dey Craze. Wyszedłem na spacer po koncercie. Dziś wieczorem mów mi Edgar.

– *Na wao!* – wykrzyknęła, roześmiała się i uniosła dłoń do ćmiącego policzka. – Miałeś ten zawój na okładce płyty, prawda? – Po tym, co się wydarzyło w domu, z zaskoczeniem stwierdziła, że śmiech sprawia jej przyjemność. – Miałam być dziś na twoim koncercie!

W którymś momencie jej mąż Chris najwyraźniej uznał, że jednak nie „pozwoli" jej pójść z najlepszą przyjaciółką Yemi na koncert Anthony'ego Dey Craze'a, i stanął jej na drodze, kiedy próbowała wyjść.

„A od kiedy to w ogóle potrzebuję twojego pozwolenia na cokolwiek?" – zapytała męża, wyraźnie zbita z tropu. I wtedy została spoliczkowana.

– Proszę – powiedział zakrwawiony wojskowy, ściągnął zielony beret z gładko ogolonej głowy i ścisnął go w drżących dłoniach. – Czy któreś z was ma komórkę? Muszę zadzwonić do ojca. Dobrze zapłacę.

Adaora ledwie zarejestrowała jego słowa – dopiero teraz uważniej mu się przyjrzała. Z bliska wydawał się nie tylko ranny, ale też bardzo cierpiący. Krew płynąca mu z nosa błyszczała w bladym świetle ulicznych latarni i księżyca. Odsunęła dłoń od swojego piekącego policzka i wyciągnęła ją w jego stronę.

– Hej, stary – powiedział Anthony, spoglądając z troską na wojskowego. Wyciągnął komórkę. – Krwawisz, *o!* Potrzebujesz pomocy? Czy wszystko…

– Nie! – warknął tamten.

Adaora odskoczyła, nieświadomie unosząc pięści.

– Nic nie jest w porządku! Czy wyglądam, jakby wszystko było w porządku? – Wyciągnął rękę po telefon. – Muszę w tej chwili zadzwonić! Rodz…

BUM!

Anthony upuścił komórkę i cała trójka padła na ziemię, osłaniając głowy rękami. Adaora z przerażeniem patrzyła to na wojskowego, to na Anthony'ego. Tego rodzaju dźwięków nie słyszało się na Bar Beach ani w całym Lagos. Na Bar Beach słyszało się co najwyżej kobietę wrzeszczącą na mężczyznę albo strzelający gaźnik samochodu na

pobliskiej drodze. Dudniący odgłos był tak głęboki, że Adaora poczuła go w piersi i w zębach. W uszach miała watę. Rozciągał się szeroko, że wydawało się, że ma własny ciężar. Adaora rozejrzała się dookoła i zorientowała się, że dźwięk przycisnął wszystko do ziemi. W odległości około metra dwie ogłuszone mewy spadły z nieba na piasek. Coś czarnego odbiło się od głowy Anthony'ego i upadło obok niego.

– Nietoperz? – spytała Adaora. Wszystkie dźwięki wydawały się przytłumione, jakby mówiła pod wodą.

Anthony przyjrzał mu się uważnie. Nietoperz miał ciało pokryte futrem, oczy jak paciorki i czarne skrzydła. Wciąż żył i próbował się poruszać. Mężczyzna podniósł biednego stworka i chwycił Adaorę za rękę. Trącił ramię wojskowego, jednocześnie trzymając w dłoni ogłuszone zwierzę.

– Chodźcie! – krzyknął. – To przyszło od strony wody! Powinniśmy stąd uciekać!

Ale z oceanem coś się działo. Fale kłębiły się nieregularnie. Za każdym razem, kiedy rozbijały się o plażę, sięgały coraz dalej. Po chwili podniosła się fala wysoka na ponad metr. Adaora była tak zafascynowana, że po prostu stała i się gapiła. Anthony przestał ją szarpać i popychać wojskowego. Oczy żołnierza zaczerwieniły się, kiedy próbował skupić wzrok na ciemnej wodzie. Fala kierowała się prosto w ich stronę. Szybka i cicha jak szept. Miała teraz już prawie trzy metry. W końcu cała trójka odwróciła się i zaczęła uciekać. Pięść wody była szybsza. Adaora chwyciła za rękę wojskowego. Anthony rzucił nietoperza – jak liczył, w bezpieczne miejsce – skoczył i chwycił Adaorę za nogi w chwili, kiedy uderzyła w nich woda.

CHLUST!

Słona woda sprawiła, że Adaorę zapiekły oczy, a jej ubranie przylepiło się do ciała. Fala pociągnęła ją w stronę morza. Kobieta wbijała dłonie w piasek, który zapadał się pod nią, kamyki szarpały jej skórę, a morze ciągnęło za nogi. Wciąż czuła rozpaczliwy uścisk dłoni wojskowego i ramiona Anthony'ego wokół nóg. Nie była sama. W ciemności widziała światełka barów i pobliskich budynków. Migotały i stawały się coraz mniejsze.

Bąbelki łaskotały ją w uszy, kiedy próbowała unieść się w stronę powierzchni. Było jednak tak, jakby ocean otworzył wielką paszczę i połknął ją wraz z oboma mężczyznami. Nie mogła oddychać. Słyszała bąbelki, ryk i szum wody w uszach. Czuła ściskanie w płucach i ciśnienie wody. *Aman iman*, pomyślała słabo Adaora. To zdanie oznaczało „Woda to życie" w tamaszek, języku Tuaregów. Raz podczas podwodnej ekspedycji współpracowała z pewnym Tuaregiem. *Aman iman*, tak jej odpowiedział, gdy spytała, jakim cudem człowiek z Sahary został tak dobrym płetwonurkiem. Mimo bólu w piersiach i

pochłaniającej ciemności, uśmiechnęła się. *Aman iman*.

Cała trójka trzymała się razem. Opadali coraz głębiej.

Rozdział drugi

Chłopiec i pani

Tylko dwie osoby widziały, jak woda uprowadziła Adaorę i obu mężczyzn. Jedną był mały chłopiec. Tuż zanim rozległ się huk, jego opiekun stał w odległości kilku metrów i prowadził ożywioną dyskusję z właścicielem jednej z bud sprzedających napoje, głównie fantę i coca-colę. Chłopiec patrzył na coś innego. W brzuchu mu burczało, ale na chwilę zapomniał o głodzie.

W blasku księżyca nie widział istoty dokładnie, ale kiedy wyszła z wody, wiedział, że nie jest człowiekiem. W umyśle miał tylko jedno słowo, „dym". W każdym razie do chwili, gdy przeszła po cichej plaży i stanęła w migoczącym świetle jednej z restauracji. Wtedy stała się nagą Afrykanką o długich czarnych włosach zaplecionych w warkoczyki. Przypominała chłopcu kobietę, której kiedyś ukradł portmonetkę.

Stała tam przez chwilę, wpatrując się w troje ludzi, którzy przyszli z trzech różnych stron, a znaleźli się obok siebie. Później bezgłośnie pobiegła z powrotem w stronę oceanu i zanurkowała jak wodny duch Mami Wata.

Drapiąc się po swędzącej głowie, chłopiec uznał, że coś sobie wyobraża, co działo się często, gdy był speszony. Wydął nozdrza i zaczął oddychać przez usta, próbując znów skupić się na rzeczywistości. Wielki huk jeszcze bardziej nim wstrząsnął. I wtedy pojawiła się fala, która wyglądała jak ręka potężnego wodnego ducha. Chłopiec widział, jak zabrała troje ludzi, jedną kobietę i dwóch mężczyzn. A chwilę wcześniej widział, jak jeden z tych ludzi wyrzuca w powietrze czarnego ptaszka, który zamachał skrzydłami i odleciał w noc.

Nie mógł jednak o tym opowiedzieć ani nawet przetworzyć tych informacji, gdyż był niemy i upośledzony umysłowo. Gapił się na miejsce, gdzie przed chwilą było troje ludzi, a teraz zniknęli. Wtedy się uśmiechnął, z lewego kącika jego ust popłynęła ślina, ponieważ gdzieś w głębi jego ograniczonego umysłu pojawiło się głębokie zrozumienie, że otoczenie miało na zawsze ulec zmianie, co mu się bardzo podobało.

Drugim świadkiem uprowadzenia była młoda kobieta imieniem Fisayo. W dzień była pracowitą, oczytaną sekretarką, a nocami prostytutką. Ona również zauważyła istotę wyłaniającą się z wody. I ona również pomyślała słowo „dym", ale oprócz tego „zmiennokształtna".

– Widzę diabła – wyszeptała sama do siebie.

Odwróciła się i padła na kolana. Miała na sobie krótką obcisłą spódniczkę, a piasek dotykający jej kolan był ciepły i miękki.

Modliła się do Pana Jezusa Chrystusa, by wybaczył jej wszystkie grzechy i wziął ją do nieba, bo z pewnością zaraz zostanie zabrana. Kiedy rozległ się huk, zacisnęła powieki i próbowała modlić się jeszcze gorliwiej. Ból śmierci miał być jej pokutą. Ale w głębi duszy wiedziała, że jest grzesznicą i nic nie mogło tego zmyć. Podniosła się i odwróciła, dzięki czemu zobaczyła, jak wielka pięść wody chwyta kobietę i dwóch mężczyzn. Chwilę wcześniej jeden z nich wypuścił w powietrze coś czarnego i złego, jak trucizna.

Stała tam, gapiąc się na miejsce, gdzie byli i skąd zniknęli. Czekała, aż woda porwie i ją. Pięść musiała być ręką Szatana, a ona była jednym z największych grzeszników na świecie. Ach, te rzeczy, które robiła, tak wiele, wiele razy! Czasami jedynie po to, by napełnić pusty żołądek. Zadrżała i zaczęła się pocić. Czuła pieczenie pod pachami. Nie znosiła swojej skąpej spódniczki, obcisłej bluzki na ramiączkach, czerwonych czółenek, peruki o prostych brązowych włosach, od której swędziała ją głowa. Kiedy nic się nie wydarzyło, poszła do najbliższego baru i zamówiła wódkę z sokiem żurawinowym. Niepewnie opowiedziała o tym, co widziała, swojemu następnemu klientowi, biznesmenowi ze Stanów. Jego jednak nie interesowało, co miała do powiedzenia. Bardziej interesowało go napełnianie jej ust niż patrzenie, jak się poruszają, wypowiadając bezużyteczne, głupie słowa.

Ale ona nie zapomniała. A gdy wszystko się zaczęło, stała się jednym z najgłośniejszych proroków zagłady w całym Lagos.

Rozdział trzeci

Miri

Bryza chłodziła wilgotne plecy Adaory przez powoli schnącą bluzkę. Słyszała nerwowe rozmowy: kilka w języku joruba, jedną w igbo, dwie w hausa, większość w pidżynie.

– Szibko, *biko-nu*! Musim stond iść! – powiedział ktoś.

– Nie wiem. Możie *na* zamach samobójczi, *o!*

Zbierali się i pośpiesznie zamykali sklepy i bary, a towarzyszyły temu stukoty i trzaski. Adaora słyszała też dźwięk przyboju. Osłabła. Po raz pierwszy w życiu ten odgłos ją przerażał. Ktoś dotknął jej ramienia, a ona się wzdrygnęła.

– Obudziła się – zabrzmiał kobiecy głos.

Adaora otworzyła oczy i szybko usiadła. Próbowała wstać, ale zakręciło jej się w głowie i znów opadła na piasek.

– Nie – wymamrotała. – Nie dotykaj mnie.

I wtedy zobaczyła pozostałą dwójkę leżącą na piasku, wciąż śpiącą, nieprzytomną albo zamroczoną, cokolwiek tamci z nimi zrobili. Pobliska latarnia uliczna zamigotała. Większość z pozostałych świateł całkiem zgasła i na Bar Beach panowała ciemność.

– Nie zrobię tego – powiedziało to coś.

Adaora zmrużyła oczy i przyjrzała mu się w migoczącym świetle… nie, nie „to”, lecz „ona”. Kobieta wyglądała jak ktoś z rodziny Adaory – ciemna skóra, szeroki nos, ciemnobrązowe, mięsiste wargi. Jej gęste włosy były równie długie, co Adaory, lecz zamiast licznych zadbanych dredów, sięgających do ramion, ta kobieta miała liczne zadbane warkoczyki, które opadały jej na plecy.

Adaora odwróciła się w stronę wody, bryza uderzyła ją w twarz. Odetchnęła. Powietrze pachniało tak jak zawsze, rybami i solą, z lekką nutą dymu z miasta. Ale woda sięgała stanowczo zbyt daleko. Prawie trzy metry w głąb plaży! Zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od jej stóp. Właściciele i pracownicy barów i restauracji trzymali latarki w rękach i z niepokojem spoglądali na wodę, pośpiesznie zamykając lokale. Wszyscy klienci musieli uciec. I powinni być przestraszeni, pomyślała Adaora, zaciskając powieki i próbując zebrać myśli. Ile czasu minęło? Godziny? Kilka minut?

– Co się stało, to się nie odstanie – stwierdziła kobieta. – Jesteśmy tutaj. Teraz…

– Teraz wy… powinniście odejść – odpowiedziała niewyraźnie Adaora.

– Nie. Zostajemy.

Adaora popatrzyła na kobietę i nie umiała wzbudzić w sobie złości. Znów zamknęła oczy, zmuszając się do myślenia analitycznie, spokojnie, racjonalnie, jak przystoi naukowcowi, którym przecież była. Ale kiedy spojrzała na kobietę, przyszła jej do głowy zupełnie nienaukowa myśl.

W kobiecie było coś jednocześnie atrakcyjnego i odpychającego, co mieszało Adaorze w głowie. Miała długie włosy – liczne idealne, błyszczące warkoczyki, ale z pewnością były to jej naturalne włosy. Przenikliwe spojrzenie brązowych oczu przyprawiało Adaorę o gęsią skórkę, zupełnie jakby patrzyła na dużego czarnego pająka. Jej zachowanie było zbyt spokojne, swobodne i… obce. Mąż Adaory, Chris, natychmiast by ją znienawidził, ze wszystkich powyższych powodów. Dla niego kobieta byłaby „morską wiedźmą". Wierzył, że istniały białe wiedźmy, cielesne wiedźmy i morskie wiedźmy. Wszystkie były złe, lecz morskie miały największą moc, gdyż mogły ujarzmić wodę, tę samą substancję, z której ciało dorosłego składało się w siedemdziesięciu procentach, a ciało dziecka w siedemdziesięciu pięciu. Woda to życie, pomyślała znowu.

Adaora uśmiechnęła się szeroko. Kobieta mogła swobodnie udawać jej kuzynkę. Wystraszenie męża na śmierć byłoby doskonałym sposobem na wyrównanie rachunków. A w piwnicy miała laboratorium. Mogła przeprowadzić kilka podstawowych testów na tej… „kobiecie". To byłby prosty, nieskomplikowany, nieoficjalny sposób, by ocenić, czy to wszystko rzeczywiście się wydarzyło, czy też było jedynie urojeniem wywołanym przez napięcie.

– Jak mam cię nazywać? – spytała Adaora, westchnęła i rozmasowała czoło.

Dotknęła policzka. Wciąż opuchnięty i obolały.

Kobieta zawahała się i uśmiechnęła znacząco.

– Podoba mi się imię Miri?

Adaora zamrugała z zaskoczeniem. Myślała o tym właśnie imieniu. To coś rzeczywiście czytało jej w myślach. Imię „Miri" z pewnością jeszcze bardziej wstrząsnęłoby jej mężem – to byłby lukier na cieście. Jednakże Adaora czuła pewien opór. Imię powinno być bardziej subtelne niż określenie „wody" w języku igbo.

– Nie – powiedziała. – Co powiesz na imię…

Zawahała się, gdy w jej umyśle pojawiło się imię „Ayodele". To było imię z języka joruba, co wywołałoby podejrzenia Chrisa, gdyż Adaora wywodziła się z ludu Igbo. Ponadto w dzieciństwie miała przyjaciółkę imieniem Ayodele, która zginęła, kiedy próbowała przejść przez ruchliwą ulicę. Zmarszczyła czoło.

– Czy wiesz, o jakim imieniu myślę teraz?

To… kobieta się uśmiechnęła.

– Nie.

Mąż też musiał pamiętać Ayodele z czasów dzieciństwa. Płakał tak samo jak Adaora, kiedy doszło do wypadku. To imię zaniepokoiłoby go bardziej niż „Miri”. Tak.

– Musisz gdzieś się zatrzymać – zauważyła Adaora.

– Tak – odpowiedziała kobieta. – To by mi odpowiadało.

– Świetnie – stwierdziła Adaora zdecydowanym głosem. – W takim razie masz na imię Ayodele.

Rozdział czwarty

A co wy byście zrobili?

Wszyscy ruszyli. Adaora, Anthony, Ayodele i Agu... Adaora znała teraz imię żołnierza. Dużo wiedziała o Anthonym i Agu, a oni wiedzieli dużo o niej. Adaora prowadziła.

A co wy byście zrobili, gdyby to wam przytrafiło się coś takiego?

Żołnierz Agu obudził się wkrótce po tym, jak Adaora nadała istocie imię. Jego wciąż opuchniętą twarz pokrywała warstwa soli i krwi, która musiała wypłynąć z ran i zaschnąć już po tym, gdy powrócili. Myślał jedynie o rodzinie, która, jak powiedział, pozostała w wiosce.

– Proszę, czy masz komórkę? – spytał znów Adaorę.

– Jest w samochodzie – odpowiedziała. – Najpierw obudźmy Anthony'ego.

Agu przyłożył wielkie dłonie do głowy i zacisnął powieki. Jego umysł wciąż wypełniały obrazy pobytu w tym obcym miejscu pod morzem, gdzie z jakiegoś powodu mógł oddychać i musiał odpowiadać na tysiące pytań... pytań, które doprowadzały go do śmiechu, płaczu i zastanowienia. Gdybyście byli Agu, czy powrócilibyście do koszar, gdzie spotkalibyście innych żołnierzy, którzy pobili was po tym, jak próbowaliście powstrzymać ich napaść na kobietę? Kiedy wasz przełożony zagroził, że wyśle wynajętych zbirów, żeby zabili waszą rodzinę? Nie pragnął powrócić do koszar, nie w tej chwili.

Anthony obudził się, kiedy Adaora lekko poklepała go po policzku. W słabym migoczącym świetle spojrzał jej w twarz i pomyślał, że jest kobietą-rybą z powodu jej dredów jak sznurki i wyrazistych oczu otoczonych rozmazanym tuszem do rzęs. Wtedy przypomniał sobie podmorską muzykę w miejscu przypominającym rafę, i jak on również ją słyszał, a oni nazywali go „bratem". Miał kilku braci i to określenie przypominało mu dom. Ta zaś kobieta, która teraz na niego patrzyła, była tam z nim i z pobitym żołnierzem. Cieszył się, że wszyscy żyją. Cieszył się również, że odnalazł komórkę, leżącą na piasku w odległości około metra.

Wszyscy troje zostali razem. Wszyscy troje w tym tkwili. Był 9 stycznia, około pierwszej w nocy.

Rozdział piąty

Laboratorium

– Szybko – powiedziała Adaora, włączyła światło i zeszła pośpiesznie po schodach. – Mąż śpi mocno, ale dzieci budzi najcichszy odgłos.

Przeszła na drugi koniec laboratorium i tam też włączyła światło. To była jej osobista przestrzeń i czuła się dziwnie, wprowadzając w nią nieznajomych, szczególnie jedną, która była tak... dziwna. Zazwyczaj nie wchodził tu nikt poza jej siedmioletnią córką i pięcioletnim synem. Mąż ostatnio za wszelką cenę unikał tego, co obecnie nazywał „norą wiedźmy".

„Zamknij oczy" – powiedział jej Chris tamtego wieczoru przed wielu laty, gdy Adaora wróciła do domu po pierwszym dniu prowadzenia zajęć w Nigeryjskim Instytucie Oceanografii i Badań Morza. Oboje chichotali, gdy prowadził ją na dół po schodach. Kiedy otworzyła oczy, musiała usiąść na stopniu. Przeobraził to miejsce.

Chris był zamożnym i bardzo zajętym księgowym w międzynarodowej firmie odzieżowej. Praca zmuszała go do podróżowania po całym świecie. W jego przypadku znalezienie tyle czasu, by zgromadzić równie zajętych kolegów z pracy i razem wybudować dla niej laboratorium, było aktem prawdziwej miłości. W środku znajdowały się regały zapełnione podręcznikami, monografiami i czasopismami, miejsce na zawieszenie sprzętu do nurkowania, nowy komputer z wielkim, panoramicznym ekranem o wysokiej rozdzielczości i szybkie, zazwyczaj stabilne łącze internetowe; duży, masywny stół laboratoryjny i potężny mikroskop, mnóstwo probówek, stojaków i szkiełek, a na tyłach olbrzymi płaski telewizor, jeśli potrzebowała się zrelaksować. Pośrodku umieścił nawet akwarium o pojemności siedmiuset litrów, w którym zamieszkiwały liczne kołyszące się ukwiały, szybkie ryby motyle, zapracowane krewetki, przebiegłe kraby i trzy wielkie, speszone z wyglądu kostery.

„Instytut nie może ci dać wszystkiego, czego potrzebujesz" – powiedział tamtego dnia. „Ale ja mogę".

Adaorze odebrało mowę. W tamtych czasach tak bardzo ją kochał. Ale to było dawno temu. Przed dziećmi. Przed stresem. Zanim jego podróże stały się zbyt częste, przez co ponad jedną trzecią roku spędzał w obcych krajach. Zanim jego żałosna matka zaczęła się wtrącać w ich małżeństwo. Przed tamtym pełnym turbulencji lotem, który przeraził Chrisa tak głęboko, że dwa dni później, gdy mijał

namiot modlitewny, postanowił się „odrodzić” (coś, czym nie była zachwycona nawet jego wtrącająca się matka). Przed postami. Przed zazdrością i oskarżeniami.

Kobieta, której Adaora nadała imię Ayodele, zeszła powoli po schodach, Anthony i Agu szli kilka kroków za nią.

– Usiądźcie, proszę – powiedziała Adaora.

Ayodele podeszła prosto do komputera i usadowiła się na czarnym skórzanym krześle. Anthony i Agu popatrzyli po sobie i ostrożnie podążyli za nią do środka, bojąc się podejść zbyt blisko.

– Niezła chata – stwierdził Anthony.

– Owszem – zgodził się Agu. – Co właściwie robi twój mąż?

– Jest księgowym – powiedziała, przerzucając zawartość szuflady ze sprzętem. – Ja wykładam na uniwersytecie. Nieźle się nam powodzi.

Agu pokiwał głową, przyglądając się książkom na półkach.

Kiedy czubek palca Ayodele dotknął płaskiego ekranu komputera, wygaszacz ekranu (przedstawiający groźnie wyglądającą, podobną do smoka skrzydlicę na tle błękitnego oceanu) lekko zamigotał.

– Wy, ludzie, macie swoje własne… – zachichotała, a był to niesamowity, przypominający gruchanie dźwięk, który sprawił, że Adaora dostała gęsiej skórki – …małe wynalazki.

– Tak – zgodziła się Adaora. – To komputer. Twoi, e, ludzie ich nie mają?

Ayodele roześmiała się na te słowa.

– Nie potrzebują ich – wymamrotał Anthony i przeciągnął dłonią po twarzy. Znów założył zawój.

Adaora umieściła czyste szkiełko obok mikroskopu. Spojrzała na Ayodele i zawahała się. Za każdym razem, kiedy na nią patrzyła, następowała chwila dezorientacji, gdy nie była pewna, co właściwie widzi. Trwało to pół sekundy, lecz bez wątpienia się pojawiało. A później znów widziała Ayodele, „kobietę”.

Adaora odchrząknęła i wypchnęła to spostrzeżenie z umysłu, razem z myślami o tym, co widziała w wodzie.

– Podejdź tutaj, Ayodele – powiedziała. – Ja… chciałabym wziąć próbkę skóry.

Podając Ayodele patyczek higieniczny, wyobraziła sobie rozmiar, kształt i kolor powiększonych komórek nabłonka z wnętrza policzka. Zawsze tak było. Kiedy czuła się przestraszona, zdenerwowana lub skrępowana, musiała jedynie skupić się na nauce, by znów poczuć równowagę. Teraz było podobnie.

– Nie wierzysz w to, co powiedziałam ci o sobie? – spytała Ayodele, wpatrując się w patyczek. Uniosła go i dotknęła miękkiego, białego wacika.

– Ja… wierzę. Ale… muszę zobaczyć to na własne oczy –

powiedziała. I upewnić się, że rzeczywiście widzę to, co widzę, i wiem to, co wiem, pomyślała gorączkowo. – Później przyniosę ci coś do jedzenia. Czy… czy ty jesz? – Poczuła zażenowanie, gdyż jej słowa zabrzmiały głupio.

– Jeść? – Ayodele się zawahała, jakby musiała to rozważyć. – W porządku.

Adaora wzięła patyczek, otworzyła usta i przeciągnęła wacikiem po wnętrzu policzka.

– Zrób wymaz z wnętrza ust w taki właśnie sposób – powiedziała.

Ayodele zrobiła to i podała patyczek Adaorze, po czym podeszła do akwarium i stanęła obok Anthony'ego.

– Powinienem wrócić do klubu, *chale* – stwierdził Anthony, wpatrując się w przepływające ryby motyle. – Wyszedłem tylko zaczerpnąć świeżego powietrza. Rozbolała mnie głowa.

– Za dużo rytmu? – spytała Ayodele.

Zmarszczył czoło i odwrócił się, by spojrzeć jej w oczy. Odpowiedziała mu miłym uśmiechem. Zawsze taka miła.

– Wiem, dlaczego Starsi cię lubią – powiedziała.

Anthony jeszcze przez chwilę patrzył jej w oczy, po czym znów odwrócił się do akwarium.

– Czy możesz zmienić się w jedną z nich? – spytał Ayodele, pokazując na czerwoną krewetkę w białe paski.

– Mogę – odparła, przyciskając twarz do akwarium. – Wiesz o tym.

Anthony pokiwał głową.

– Możecie przeobrazić siebie, ale możecie też przeobrazić ryby, prawda?

– Zgadza się – stwierdziła Ayodele. – Dajemy im, czego tylko zapragną.

– A niech to. – Uśmiechnął się słabo i skinął głową. – Szacun.

Adaora wsunęła szkiełko pod mikroskop i spojrzała. Po chwili zobaczyła, co musiała zobaczyć. Na wszelki wypadek ustawiła największe powiększenie. Zaśmiała się, czując ściskanie w głębi brzucha, rodzące się podekscytowanie.

– Cholera! – wyszeptała.

Znów odepchnęła tłoczące się wspomnienia tego, co widziała pod powierzchnią morza. Jak unosiła się i oddychała pod wodą w tym ustrojstwie, które wybudowali na niby-rafie. Jak jeden z nich dotknął jej ramienia, a ona patrzyła, jak pokrywają je prześliczne, opalizujące łuski, palce zaś łączy błona. Jak wrażenie przeobrażenia przypominało bardziej uporządkowaną wibrację niż ból. Jak wiedzieli, że tego właśnie pragnęła, by przerazić męża. Z jaką łatwością przeobrazili ją z powrotem. Zacisnęła powieki. Skup się, skup się, skup się, pomyślała.

Agu usiadł na taborecie obok.

– To co widzisz? – spytał.

Adaora odsunęła się na bok.

– Ty mi powiedz – stwierdziła, wskazując na mikroskop.

Przyłożył oko do okularu.

– Wiesz, jak wyglądają normalne komórki? – spytała Adaora.

– Tak, pamiętam ze szkoły średniej.

Kiedy on się przyglądał, Adaora wpatrywała się w Ayodele obserwującą ryby. Napotkała spojrzenie Anthony'ego i lekko skinęła głową. On przechylił głowę i powiedział samym ruchem warg:

– To szaleństwo.

Adaora przytaknęła. Oboje przenieśli wzrok na Ayodele, która wciąż oglądała ryby.

– I jak, Agu? – spytała Adaora po minucie. – Co widzisz?

– Nie jestem pewien – odparł, nie odrywając wzroku od okularu.

– Ty... je widzisz, prawda?

– Malutkie kuleczki? Poruszające się i tak jakby... wibrujące?

Adaora gwałtownie pokiwała głową.

– Tak! To jej skóra... powiększona.

Na poobijanej twarzy Agu malowała się głęboka niepewność.

– Ale...

– Nie sądzę, by to była materia komórkowa. – Oparła się o stół laboratoryjny.

Agu dotknął posiniaczonego nosa.

– Czy to znaczy...

– Tysiąc razy! – szepnęła głośno Adaora, ignorując Agu. – Tak mocne jest powiększenie. Ona jest stworzona z malutkich, naprawdę maleńkich kuleczek przypominających metal. To musi być metal. Pewne rodzaje sproszkowanego metalu tak właśnie wyglądają, powiększone dwieście razy. Myślę, że dlatego właśnie może w taki sposób... zmieniać kształt. Widziałeś jak... jak... kiedy byliśmy...

Agu nie patrzył jej w oczy.

– Tak. Widziałem.

– Kuleczki nie są tak połączone jak nasze komórki – dodała Adaora.

Agu wpatrywał się w nią tępo.

– Zawsze się zastanawiałam – mówiła dalej. – Większość z najbardziej znanej na świecie pozaziemskiej materii, głównie meteorytów, spadła właśnie tutaj. W Nigerii. – Mówiła teraz bardziej do siebie. – W ubiegłym roku jeden wielki spadł do Zatoki Tarkwa. Sprawdzałam stan zanieczyszczenia wód, kiedy się to wydarzyło... – Zaczęła się rozglądać. – Powinnam to wszystko zapisać!

Chwyciła pióro i papier i zaczęła robić notatki, skupiając się na każdym słowie, które zapisywała. Nie chciała się skupiać na Agu. Gdyby skupiła się na nim, jej świat by się rozpadł. Czuła, że na nią patrzy. Odetchnęła głęboko, tłumiąc łzy, które pojawiły się na myśl o

bijatyce z mężem.

– A tak w ogóle… co ci się stało w twarz? – spytała.

– Dostałem pięścią.

– Widzę, ale kto ci to zrobił?

– Moi *ahoa* – odparł. Kiedy Adaora popatrzyła na niego pytająco, wyjaśnił: – Moi *ahoa*… moi towarzysze, inni żołnierze. – Cmoknął językiem o zęby. – Nie zachowuj się, jakbyś nie słyszała, jak w samochodzie rozmawiam przez telefon.

Słyszała, wszyscy słyszeli. Agu wziął jej komórkę i zadzwonił do rodziców w miasteczku Arondizuogu. Powiedział im, żeby opuścili dom i ukryli się u krewniaków, zanim dopadną ich wynajęte zbiry. „Powiedzcie też Kelechiemu i jego żonie. Zostawcie pochrzyny! One odrosną, ale wasze życie nie odrośnie, *o!* „.

– Ale co właściwie zrobiłeś? – spytała teraz Adaora. – Dlaczego chcą dopaść twoją rodzinę?

Agu wpatrzył się w nią w pełni otwartym okiem i zmrużył to zapuchnięte.

– Próbowałem powstrzymać jednego z *ahoa* przed zgwałceniem pewnej kobiety. – Przerwał, na to wspomnienie na jego twarzy pojawiło się obrzydzenie. – Zatrzymaliśmy ją na autostradzie Lagos-Benin. Taka piękna kobieta… była pijana. Starszy szeregowy Benson, mój przełożony, przestał nad sobą panować. Ja… walnąłem go pięścią w brzuch. – Przerwał, zmarszczył czoło, po czym spojrzał Adaorze w oczy. – Poleciał do tyłu jak worek piór!

Adaora znieruchomiała.

– Co takiego? Co masz na myśli?

Agu pokiwał głową.

– Właśnie tak! Nie jestem słabeuszem. Ćwiczę, dbam o formę. I brałem udział w wielu bójkach. Ale… on poleciał do tyłu. Bo ja go uderzyłem. Później przez chwilę się nie ruszał. Reszta *ahoa* rzuciła się na mnie. Sprali mnie jak psa i zostawili nieprzytomnego na poboczu. Musiałem wtedy zgubić komórkę, więc…

Ich rozmowę przerwał dźwięk telewizora. Anthony włączył go dla Ayodele, która podeszła do sofy. Westchnęła cicho, kiedy pojawił się obraz.

Na dole ekranu przesuwał się pasek z wiadomościami z ostatniej chwili. Prezenterka ubrana w eleganckie spodnie od kostiumu i białą bluzkę stała na Bar Beach. Wiał wiatr, a za jej plecami wojskowi ustawiali bariery.

– Świadkowie na Bar Beach mówią, że tuż po godzinie dwudziestej pierwszej usłyszeli głośny huk, który jakby unosił się znad wody jak fala tsunami – mówiła prezenterka. – Są doniesienia o wybitych oknach w samochodach i budynkach. Niektórzy skarżą się na utratę słuchu. Nie ma jeszcze żadnych oznak działalności terrorystycznej, ale

tę kwestię omówię ze starszym szeregowym Bensonem Shehu, który jest na miejscu zdarzenia.

Obok niej stał surowy z wyglądu Hausa w zadbanym mundurze, zielony beret wydawał się na stałe przyklejony do jego głowy.

Agu wskazał na telewizor.

– To on! To mój...

– Sza sza – wysyczał Anthony, marszcząc czoło.

– Jest pan również siostrzeńcem prezydenta – dodała prezenterka.

– Owszem, ale to zupełny przypadek, który nie ma związku z tą kwestią – warknął Benson. Wyraźnie się skrzywił i przycisnął dłoń do miejsca poniżej żeber.

Prezenterka skinęła głową, a Benson spojrzał do kamery i zmrużył oczy, jakby patrzył prosto w słońce.

– Nie ma żadnych zniszczeń ani niczego w tym rodzaju. To nie była bomba. Wydaje się, że to swego rodzaju grom dźwiękowy. Yyy... jak odgłos przebicia bariery dźwięku. Coś w tym rodzaju. To nie był zamachowiec-samobójca. Czegoś takiego nie mieliśmy w Lagos. Ale traktujemy to jako atak – dodał.

– Atak? Przeciwko Nigerii?

– Tak – odparł, odwracając się w stronę prezenterki.

– Czyj?

– Nie wiemy – powiedział. – Niczego nie wiemy. Ale czy Amerykanie wiedzieli, kto zniszczył wieże World Trade Center w chwili, kiedy się to wydarzyło?

Prezenterka przytaknęła.

– Słuszna uwaga. Ale powrócę teraz do pytania o prezydenta. Gdzie on jest? Czy wygłosi...

– Spodziewamy się, że rano będziemy wiedzieć więcej – przerwał jej Benson. – Nie ma dymu bez ognia. – Przestąpił z nogi na nogę. – W tym wypadku, nie ma hałasu bez źródła. Na razie radzimy obywatelom, by dalej zajmowali się swoimi sprawami. Zachowujcie się normalnie, nie ma powodów do *wahala*...

– Niczego nie wiedzą – stwierdziła Adaora i machnęła ręką, po czym wróciła do mikroskopu.

– Zgadzam się – powiedział Agu, wracając za nią do stołu. – A nawet gdyby Benson wiedział, i tak jest zbyt tępy, żeby to zrozumieć. Prezydent musi wrócić. Wierzcie mi, Benson jest ostatnią osobą, która powinna tam dowodzić. Dlaczego to z nim przeprowadzają wywiad?

Adaora wzruszyła ramionami.

– Ale wygląda na to, że trochę go uszkodziłeś.

– Zasłużył sobie na to.

– Przynajmniej wiesz, że go nie zabiłeś.

Agu popatrzył przez mikroskop Adaory, a ona zapisała kilka kolejnych zdań w notatniku.

– Mogą być wszystkim, a są niczym – powiedziała, nie przerywając pisania. – W gruncie rzeczy ona jest zmiennokształtna. – Uśmiechnęła się. – Szkoda, że babcia tego nie dożyła.

– Dlaczego?

– Zawsze była pewna, że na targowiskach jest ich mnóstwo, wiedźm, zmiennokształtnych, czarowników, takich tam. – Nagle pstryknęła palcami, aż Agu podskoczył. – Ah-ah, jaką technikę oni muszą mieć?

– A czy w ogóle jej potrzebują? – spytał Agu. – To znaczy, w pewnym sensie oni są techniką. Mogą zmieniać…

Ktoś zbiegał po schodach.

– Co to… Adaoro, kim są ci ludzie? – spytał ostro jej mąż Chris.

Wciąż miał na sobie dżinsy i pomiętą koszulę, które nosił w czasie ich bójki. Schodząc po schodach, robił imponujące wrażenie, mimo że przez ostatnie dwa tygodnie żył o chlebie i wodzie. Poślizgnął się na ostatnim stopniu i zaklął, chwytając za poręcz, żeby odzyskać równowagę. Adaora jęknęła, upokorzona. Zrobiło jej się niedobrze. Anthony nie próbował ukryć rozbawienia; zaśmiał się na głos i mruknął:

– *Kwasiasem*. Bzdura.

Chris gapił się na Agu, który stał obok Adaory. Agu zrobił krok w bok, a Adaora się wzdrygnęła.

– Kiedy ja śpię? – powiedział Chris, podchodząc do żony. – W moim własnym domu? Z naszymi dziećmi na górze?

Adaora zauważyła pięcioletniego syna Freda i ośmioletnią córkę Kolę na szczycie schodów.

– Jezu – wyszeptała.

Chciała zwrócić uwagę Chrisa na ich obecność, ale był zbyt rozwścieczony. Adaorze udało się ukryć przed dziećmi ich bójkę przed kilkoma godzinami, wolała nie ryzykować bardziej. Nawet gdyby nie uderzył jej w obecności dzieci, mógłby wciągnąć je do ich kłótni. Zrobił to rok wcześniej, zawołał Kolę do pokoju i poprosił ją o zdanie na temat „plugawych gatunków muzyki”, których Adaora nie przestawała słuchać. Biedna Kola, która nie chciała się odezwać ani przeciwko ojcu, ani przeciwko matce, zaczęła płakać. Nie, pomyślała teraz Adaora. Lepiej, żeby nie zauważył dzieci.

Za dziećmi kucała Philomena, służąca, która powinna zatrzymać je na piętrze. Philo była spokojną, pulchną dwudziestolatką, która coraz mniej panowała nad Fredem i Kolą. Adaora postanowiła zastanowić się nad tym przy innej okazji.

– Chris – powiedziała błagalnie. – To nie tak…

Wzdrygnęła się, gdy Chris uniósł dłoń, by spoliczkować ją po raz drugi w ciągu trzech godzin.

– Nie… nie chcesz tego zrobić – powiedział Agu, stając przed nią.

Wydawał się bardzo niepewny siebie.

Chris zamrugał, szacując Agu. Miał poobijaną twarz, ale nosił wojskowy mundur, był wyższy i wydawał się silniejszy. Jednakże całe jego zachowanie wyraźnie świadczyło, że wcale nie ma ochoty na bójkę. Chris rzucił się na niego.

– Chris! Przestań! – krzyknęła Adaora i odskoczyła do tyłu.

Agu bez trudu odepchnął Chrisa na bok. Uniósł dłonie.

– Proszę – błagał. – Tylko posłuchaj. Ja nie…

Ale Chris wstał i znów rzucił się na Agu, próbował uderzyć go pięścią, ale nie trafił. Agu uchylił się i uderzył go w tył głowy. Chris zatoczył się w stronę stołu laboratoryjnego, zrzucił próbówki do zlewu i na podłogę.

– Cholera – wysyczał zrozpaczony Agu. – Nie znowu, proszę, nie znowu!

– Chodźcie – powiedziała Philo, chwyciła dzieci za ręce i odciągnęła je.

– *Na wetin?* – Anthony podszedł bliżej i podniósł Chrisa na nogi. – Daj sobie spokój, *chale*. Oszalałeś?

Kiedy Agu zobaczył, że Chris jest przytomny, głośno westchnął z ulgą i pochylił się, żeby oprzeć dłonie na kolanach.

Chris wyrwał ramię z uścisku Anthony'ego i stanął na drżących nogach. Z nosa płynęła mu krew. Wpatrywał się w Adaorę z taką samą nienawiścią jak przed kilkoma godzinami, tuż przed tym, gdy się na nią rzucił. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale tylko skulił się, słysząc odgłos metalowych kulek na szkle.

– Iiii! – wrzasnął.

Adaora wbiła paznokcie w uda. Agu zmarszczył twarz i przycisnął dłoń do ust, powstrzymując pragnienie, by zazgrzytać zębami.

– Oooooch! – jęknął Anthony, czując mdłości.

Gdyby którekolwiek z nich odwróciło się w stronę wielkiego akwarium Adaory, zobaczyliby, jak kostery rzucają się do przodu i rozbijają o szkło, krewetki padają na dno akwarium, a kilka innych ryb zatacza kręgi w wodzie. Aż do tej nocy na ziemi nie słyszano takiego dźwięku.

Kiedy Chris się odwrócił, patrzył na samego siebie.

Adaora otworzyła w osłupieniu usta, prawie przestała oddychać.

– Chris! – powiedziała Ayodele.

Jej głos idealnie naśladował głos Chrisa, podobnie jak jej ciało. Nie tylko wyglądała jak on, miała nawet na sobie takie same bokserki i podkoszulek.

– Jezu – wyszeptała Adaora.

Zrobiła krok do przodu, chwyciła Agu za ramię i odciągnęła go. Anthony cmoknął językiem o zęby, dziwiąc się absurdowi całej sytuacji.

Chrisowi opadła szczęka. Potrząsnął głową i zamrugał.

– Obwiniaj mnie – powiedziała Ayodele. – Twoja żona jedynie próbuje pomóc. Uspokój się. Myśl.

Zapanowała cisza, gdy Chris gapił się na Ayodele. Później jęknął głęboko i drżącą dłonią dotknął własnej twarzy. Cofnął się o krok, obrócił gwałtownie i zwrócił oszalałe spojrzenie w stronę Adaory. Pokazał palcem w jej stronę.

– Zatrułaś mnie! Ty wiedźmo! Wiedziałem! Mam omamy, bo zatrułaś moje ciało, *o!* – Cofnął się jeszcze bardziej. – Zasypuję żonę wszystkim, czego tylko zapragnie, i nagle uświadamiam sobie, że karmiłem diabła! – Zatoczył się w stronę schodów. – Morska wiedźma, *o!* – zawodził, cały czas pokazując na nią. – *Amusu!* Wiedziałem! Wiedziałem. Jezus Chrystus odeśle cię z powrotem do piekła, *o!* Bóg cię ukarze! W imię Jezusa i Ducha Świętego!

Odwrócił się i uciekł po schodach.

Adaora zacisnęła powieki, gdy usłyszała odgłos powrotnej przemiany Ayodele. Słyszała ten dźwięk już kilka razy, najpierw w wodzie, a teraz we własnym domu. W obu miejscach jakimś sposobem brzmiał tak samo. Całkowicie obco. Tak obco, że czuła, jakby zaraz miała się przewrócić. Opadła na krzesło przy komputerze.

– Twój mąż? – spytał Agu, obmacując rozcięcie na czole. Znów zaczęło krwawić.

– Zbyt ciężko pracuje i ostatnio pości – odpowiedziała. – Przez to jest trochę…

– On cię nie kocha – mruknął Anthony.

Cisza.

– Wy, ludzie, jesteście bardzo interesujący – stwierdziła z uśmiechem Ayodele.

Rozdział szósty

Czerwone, czerwone wino

Chris zamknął oczy i odetchnął głęboko, wciągając do płuc ciepłe nocne powietrze. Brudne powietrze Lagos. Jakże inne od powietrza, którym oddychał podczas trzyletniego pobytu w Niemczech na studiach MBA. Zakaszlał. Musiał przyznać, że od kiedy rozpoczął post, nie czuł się najlepiej. Wiedział, że to czary żony buntowały się przeciwko oczyszczającym wysiłkom. Musiał dalej pościć. W końcu będzie lepiej, uwolni się z jej uścisku i znów zapanuje nad swoim życiem i żoną. Może.

Siedział, gapił się na czarną bramę z kutego żelaza przed domem ojca Oke, i czekał. To była porządna brama wbudowana w porządny, gruby biały mur otaczający wspaniały kompleks. Dom Chrisa otaczał parkan z kutego żelaza, więc przechodnie mogli zajrzeć do środka, jeśli byli wścibscy. On i jego przebiegła żona Adaora nieźle zarabiali, ale nawet ich nie było stać na wybudowanie i utrzymanie tego rodzaju muru, nie, jeśli mieli jednocześnie budować i utrzymywać sam dom.

Po obu stronach muru znajdowały się malutkie domki, w których mieszkało pewnie dziesięć razy więcej ludzi. Biedacy. Te domy również otaczały mury, choć tak naprawdę były to mury o wiele większych domów wybudowanych wokół nich. Lagos jest jak wielkie zoo, pomyślał Chris. Wszystkich otaczają liczne mury i liczne bramy, czy się tego chce, czy nie. Jest bezpiecznie, ale nie ma bezpieczeństwa.

Przetarł zaczerwienione oczy, kiedy ojciec Oke powoli otworzył bramę. Wyglądał na zmęczonego, ale to była sprawa niecierpiąca zwłoki. Takie sprawy usprawiedliwiały nawet obudzenie świętego męża w środku nocy. Mimo to Chris odezwał się przepraszającym tonem.

– Tak bardzo przepraszam, że ojca obudziłem, ale…

Nie mógł się powstrzymać. Sapał i łkał, opierając się ciężko o ramię ojca Oke. Uczucia tak go opanowały, że nie zauważył wyrazu głębokiej irytacji, który pojawił się na twarzy kapłana.

– Moja żona… moja… moja… Nie wiedziałem, gdzie pójść – jęczał Chris w koszulę nocną ojca Oke.

Ojciec Oke poklepał go po plecach i stanowczo odepchnął od siebie.

– Co się stało? – spytał. Spojrzał z odrazą na swoje ramię, mokre od łez Chrisa. – Ty… nic nie zrobiłeś, prawda?

– Nie, nie. Nie ja…

Ojciec Oke westchnął z ulgą.

– Wejdź, wejdź – powiedział. – Porozmawiamy w środku.

– Dziękuję, ojcze – powiedział Chris, kiedy przeszli między należącymi do kapłana mercedesem a BMW.

Ojciec Oke zmarszczył czoło, kiedy Chris przeszedł odrobinę zbyt blisko BMW. Udało mu się utrzymać auto w idealnym stanie na drogach Lagos i nie zamierzał pozwolić, by podrapał je jakiś zdesperowany idiota.

* * *

Chris i ojciec Oke siedzieli naprzeciwko siebie na skórzanych fotelach. Do środka weszła zaspana młoda kobieta w nocnym stroju i przyniosła butelkę czerwonego wina. Chris wpatrzył się w kieliszek, który mu nalała, zastanawiając się, czy to wpłynie na jego post i jednoczesne oczyszczanie się z czarów żony.

– Rozluźnij się, Chrisie – powiedział ojciec Oke, jakby czytał w jego myślach. Odprowadzili wzrokiem kobietę. – To na nic nie wpłynie. Wino to napój Jezusa. Może tylko pomóc.

Chris przytaknął i uniósł kieliszek do warg. Jego dłoń drżała.

– Cóż, Chrisie – stwierdził kapłan. – Czego się spodziewałeś, kiedy ożeniłeś się z badaczką oceanów?

– Ale oboje znaliśmy się od dziecka – powiedział Chris. – Nasi ojcowie się przyjaźnili…

Ojciec Oke pokręcił głową, odstawił wino i pochylił się. Jego twarz miała zbolały wyraz, jakby nosił na ramionach ogromny ciężar.

– Posłuchaj, bracie Chrisie, kobiety są… słabymi naczyniami. Tak mówi Pismo. Twoja Adaora jest doskonale wykształconym biologiem, ale nie różni się od innych. Nie mogłaby się zmienić, nawet gdyby chciała. – Zachichotał i pociągnął łyk wina. Roześmiał się głośno. – *Kai!* Ale twoja żona jest twarda, *o!*

– Naprawdę myśli ojciec, że ona jest wiedźmą? – spytał Chris.

– Tak, bracie Chrisie. Morską wiedźmą, najgorszego rodzaju. Pomyśl tylko o jej znajomości wody. Ale nie martw się, nie drżyj, *o* – dodał ze śmiechem. – Mój kościół jest potężny. Zajmowanie się takimi sprawami to moje zadanie.

Chris popijał wino. Jego dłoń wciąż drżała. W ustach miał kwaśny posmak.

– Dobrze, ponieważ dziś wieczorem coś mi zrobiła. Próbowałem nad nią zapanować i nagle nie mogłem się ruszyć. Byłem przyszpilony do podłogi jak ofiarne koźlę!

Ojciec Oke zmarszczył czoło, ale nic nie powiedział.

– Ehe. – Chris skinął głową, biorąc milczenie kapłana za oznakę, że mu uwierzył. – I powiem ojcu coś jeszcze. Zaledwie godzinę temu zszedłem na dół do jej wiedźmiej nory i znalazłem żonę z dwoma

obcymi mężczyznami! – powiedział. – Dwoma! I była tam... była tam kolejna. Kolejna wiedźma! Przeobraziła się na moich oczach!

– *E*, bracie Chrisie, zwolnij – powiedział ojciec Oke, próbując się nie śmiać z tej żałosnej owieczki ze stada. – Ważne jest, żebyś pościł, żebyś oczyścił ciało z czarów żony. Ale ostatnio tak dużo pościłeś i... może tylko wydaje ci się, że coś widziałeś?

– Wiem, co widziałem, ojcze – upierał się Chris. – Ta kobieta zmieniła się we mnie! Mogę ojca od razu tam zabrać! Mogę...

– Spokojnie, bracie Chrisie. – Ojciec Oke zachichotał. – Jest późno. – Westchnął. – Dobrze. Jeśli twoja żona sprowadziła do twojego domu inną wiedźmę, lepiej zaczekać do świtu. Przyjadę jutro.

– Ale...

Ojciec Oke zrobił znak krzyża. To zawsze uspokajało parafian. Ten nie był wyjątkiem. Chris natychmiast uciszył się i rozluźnił.

– Ufaj Panu, bracie Chrisie – powiedział uspokajająco ojciec Oke. – We właściwym czasie wszystko będzie dobrze, *e?* Na razie postaraj się pogodzić z żoną. Unikaj pozorów sporu, kobiety tym się karmią. Nie daj się nabrać na jej wybryki. Wzoruj się na Jesu Kristi, który kazał nam nadstawiać drugi policzek. Wracaj do domu. Wracaj do łóżka. Zobaczymy się jutro.

Wystarczająco uspokojony słowami ukochanego kapłana, Chris poczuł się lepiej. Nawet uśmiechnął się słabo.

– Tak zrobię, ojcze. Dziękuję. Och, dziękuję.

Rozdział siódmy

Wywiad

Kamera cyfrowa, którą Adaora wykorzystywała, kiedy nurkowała, była stara i miała zużytą baterię. Ale podłączona do prądu wciąż działała. Umieściła kamerę na statywie, a przed akwarium postawiła rozkładane krzesło.

– Usiądź tutaj – powiedziała do Ayodele.

Adaora czuła się otępiała i nieprzytomna. Podczas gdy Agu i Anthony zostali z Ayodele, oglądali telewizję i rozmawiali, ona zwinęła się w kłębek na sofie i przespała parę godzin.

Wpatrzyła się w ekranik kamery i z ulgą stwierdziła, że wyraźnie widzi Ayodele.

– W porządku – powiedziała. – Patrz tutaj. – Wskazała na obiektyw. – A teraz mów, Ayodele, opowiedz mi o sobie.

Tamta uśmiechnęła się i przytaknęła, patrząc w stronę kamery. Adaora zadrżała. Jeśli Ayodele miała w sobie coś, co wyraźnie świadczyło o jej obcości, były tym jej oczy. Kiedy Adaora w nie patrzyła, czuła się niepewna... wszystkiego. Jej kolega z czasów studenckich miał w zwyczaju mawiać, że wszystko, co istoty ludzkie uważały za realne, było jedynie kwestią informacji, jakie zarejestrowały ich ciała. „A te informacje nie zawsze są właściwe i kompletne” mówił. Wtedy Adaora lekceważąco przewracała oczami. Teraz zrozumiała.

– Nazwałaś mnie Ayodele. Twój lud nazwie mnie obcą, ponieważ pochodzę z kosmosu, waszych niebios, z daleka. Jestem tym, kogo wy nazywacie ambasadorem, pierwszym, który przybył i nawiązał kontakt z wami. Zostałam wysłana. Wylądowaliśmy w waszych wodach, komunikowaliśmy się z tamtejszymi istotami, a one były dla nas dobre. Teraz potrzebujemy waszej pomocy.

– Co jesz? – spytała Adaora.

– Przyjmujemy materię – odpowiedziała. – Cokolwiek znajdziemy. Pył, kamień, metal, pierwiastki. Odmieniamy każdą substancję, na jaką natrafimy, by nam pasowała.

Adaora uśmiechnęła się.

– Ale najbardziej smakuje ci mój ryż jollof i smażone banany.

Ayodele zjadła całe jedzenie, które postawiła przed nią Adaora, a później jeszcze kilka talerzy, przez cały czas powtarzając, jak wielka to dla niej przyjemność. Jedyne, co jej tak naprawdę nie smakowało, to chleb.

Ayodele uśmiechnęła się.

– W tej postaci spożywanie ryżu jollof i smażonych bananów sprawiło mi wielką przyjemność. I co to było… bakłażan etiopski i pochrzyn?

– Smakowały ci surowe… nie ugotowane? – dopytywała się Adaora.

– Tak, szczególnie bakłażany. Pochrzyn też był smaczny. Pobudził moje zmysły.

Adaora rozważyła, czy zapytać o szczegóły, ale ostatecznie postanowiła przejść dalej.

– Pijesz wodę?

– W tej postaci tak.

– Lubisz przyjmować ludzką postać?

Ayodele się uśmiechnęła.

– Tak.

– Jest łatwa?

– Po pierwszym razie tak.

– Ale za pierwszym razem jest trudno?

– Nie jest łatwo.

– Jak się przeobrażacie?

– Panujemy nad wszystkimi naszymi częściami, dużymi i małymi, i siłami, które na nie wpływają.

– Czy możecie umrzeć? – spytała ostrożnie Adaora.

Ayodele zmrużyła oczy i przeniosła wzrok z obiektywu na swoją rozmówczynię.

– Dlaczego o to pytasz?

– Bo jestem naukowcem – odparła Adaora. – Chcę wiedzieć, rozumieć.

Ayodele znów odwróciła się do kamery.

– Wolałabym nie odpowiadać na to pytanie.

– Dlaczego?

Ale Ayodele jedynie patrzyła w obiektyw i milczała.

– W porządku – powiedziała po chwili Adaora. – Czy sprowadziłaś mnie, Agu i Anthony'ego razem? Czy to był przypadek? Dlaczego imiona nas wszystkich zaczynają się od litery A?

Siedzący po drugiej stronie pomieszczenia Agu nadstawił uszu.

– To nie był przypadek – powiedziała Ayodele. – Jestem ambasadorem. Wiem…

– Zaczekaj chwilę! – Agu poderwał się i podbiegł bliżej. – Czy sprawiłaś, że to wszystko się wydarzyło, żebyśmy całą trójką byli na tym miejscu? Czy sprawiłaś, że mój przełożony i pozostali zaatakowali tę dziewczynę? Czy sprawiłaś, że ja…

– Jesteśmy zmianą – odpowiedziała spokojnie Ayodele. – Uczucia już tam były. O tych innych sprawach nie wiem nic.

– Ale popchnęłaś ich poza krawędź! – powiedział Agu, stając przed

kamerą. – Krzywdzicie ludzi! Rozumiesz to? Ty… widziałem, co możecie zrobić, czym jesteście! Ty…

– Agu – powiedziała Adaora. – Nagrywam.

Jego spojrzenie niepokojąco przypominało to, co widziała w oczach męża.

– Pozwól mi to zrobić – dodała cicho. – Proszę.

– Mąż cię spoliczkował! – krzyknął. – Czy zrobił to kiedykolwiek wcześniej?

– Nie. Ale mamy pewne… poważne problemy, o które nigdy w życiu nie obwiniałabym Ayodele. Czy naprawdę obarczasz ją winą o to, że twoi towarzysze, twoi *ahoa*, zachowali się w ten sposób? Pomyśl tylko. Działali pod wpływem impulsów już obecnych w ich umysłach. A to drugie, co się wydarzyło… czy to jej wina? Może twoja.

Wciąż dysząc ciężko, Agu zamknął oczy, a jego ramiona opadły.

Adaora westchnęła z ulgą i znów odwróciła się do Ayodele.

– Czyli jest was więcej?

– Tak – odpowiedziała.

– Ilu?

– Nie wiem. Nie liczymy samych siebie.

– Wielu?

– Wy byście tak pomyśleli.

– A czego potrzebuje twój lud?

– Niczego. Postanowiliśmy tu zamieszkać.

– Tu na… Ziemi?

– Tutaj.

– Na lądzie?

– Waszym lądzie.

– W Afryce?

– Tak.

– Czyli jesteście na całym kontynencie?

– Nie.

– W części? Jak Afryka Zachodnia? Nigeria?

– W mieście Lagos? – spytał Anthony, podchodząc bliżej.

Ayodele spojrzała na niego i uśmiechnęła się szeroko.

– I w wodach.

– Dlaczego Lagos? Dlaczego woda? – spytała Adaora.

Ayodele wzruszyła ramionami.

– Wydawało nam się, że to dobre miejsce.

Agu i Adaora zmarszczyli czoła, ale nie odezwali się.

Anthony się roześmiał.

– Zbieracie to, co wytworzyliście. Lagos… – Poklepał Agu i Adaorę po ramionach i przeszedł na pidżyn. – *Lasgidi'* nazywacie *am*, tak? *Eko?* Czy nie tak nazywacie Lagos? Miejscem pełnym słodyczy, *gidi gidi, kata kata, isu* i *wahala*. Lagos to energia. Nigdy się nie zatrzymuje.

Dlatego ja również lubię tu przyjeżdżać.

– Możemy z wami współpracować – powiedziała Ayodele. – I tak zrobimy. Przybywamy.

Adaora obeszła kamerę i stanęła przed nią, wpatrując się w obiektyw.

– 9 stycznia, godzina 6.39 rano. Słyszeliście to prosto ze źródła. Jedna już tu jest, reszta przybywa.

Wyłączyła kamerę.

Rozdział ósmy

Mama?

Odźwierny otworzył bramę na tyłach domu, by błyszczący srebrny mercedes mógł wjechać do środka. Wpatrywał się w niego z podziwem, gdy auto parkowało na bocznym podjeździe. Pojazd błyszczał jak diament. Odźwierny od dzieciństwa marzył o takim samochodzie. Teraz, gdy miał trzydzieści pięć lat, to marzenie powoli blakło, ale wciąż wywoływało uśmiech na jego twarzy.

Kiedy biskup wysiadł, odźwierny zmarszczył czoło i zamrugał. Zawsze odczuwał takie samo łagodne zaskoczenie, gdy przyjeżdżał ten człowiek. Jego umysł po prostu nie mógł ogarnąć faktu, że święty mąż mógł sobie pozwolić na takie auto i że tego pragnął. Ahmed Ubangiji był muzułmaninem i mieszkał w odległości dziesięciu minut drogi z dwiema żonami i pięciorgiem dzieci. Nie miał nic przeciw chrześcijanom ani innym mieszkańcom świata. Ale biskup epatujący taką ekstrawagancją wydawał się niewłaściwy. Z drugiej strony, ostatnio wiele rzeczy wydawało się dziwnych. Zamknął bramę i wrócił do stróżówki, by posłuchać wiadomości o zalaniu Bar Beach i innych dziwnych rzeczach. Gdyby przyszło co do czego, spakowałby rodzinę i ruszył na kilka dni na północ. Szef z pewnością by zrozumiał.

Ojciec Oke przeciągnął się i zamknął drzwi samochodu. Ostatnio zbyt często tu przybywał. Brat Chris miał zbyt wielkie potrzeby. Ale był jednym z najhojniejszych sponsorów ojca Oke, z roku na rok ofiarowywał coraz większe sumy. Brat Chris został pobłogosławiony przez Boga, który uczynił go bogatym księgowym. Choć jego żona sprawiała kłopoty, też nieźle zarabiała jako wykładowca i naukowiec. Tak, takich ludzi dobrze było mieć w kongregacji, więc opłacało mu się zajmowanie się Chrisem bardziej, niż by miał na to ochotę.

Ojciec Oke otrzepał czarny garnitur i poprawił idealnie białą koloratkę. Jego błyszczące buty były nieskazitelnie czyste, tak jak lubił. Podszedł do drzwi, w których czekał już Chris. Musiał tak czekać od co najmniej piętnastu minut.

– Dzień dobry – powiedział Chris, uśmiechając się nieco zbyt szeroko.

Uścisnęli sobie ręce i weszli do środka.

* * *

Adaora pisała gorączkowo w notatniku. Wcześniej zajrzała na górę, żeby zrobić śniadanie dla męża, dzieci i Philomeny. Zapewniwszy ich,

że wszystko jest w porządku, pobiegła z powrotem, by pozbyć się z umysłu kłębowiska myśli. Musiała przypomnieć sobie każdy szczegół wydarzeń poprzedniej nocy. Reakcje Ayodele, gdy się wszyscy spotkali, widoki, dźwięki, zapachy plaży, wszystko. Była naukowcem – świat oczekiwał od niej, że poda fakty. Poza tym, dzięki temu nie skupiała się na wspomnieniu męża wijącego się na ziemi, jakby przytrzymywały go niewidzialne pęta. Ayodele i Agu oglądali wiadomości, a Anthony spacerował po pomieszczeniu.

– Tajemnica pogłębia się po tym, jak gdzieś na wodach w okolicy Bar Beach rozległ się grom dźwiękowy – powiedziała prezenterka. – Wojsko nie umie zlokalizować źródła hałasu. Jednak od czasu incydentu w sposób równie tajemniczy podnosi się poziom morza, jak na razie o około dwa metry. Laguna Lagos się wypełnia, a woda zalewa domy, drogi i plaże. Ani wojskowi, ani naukowcy nie mają na to wyjaśnienia.

Adaora przewróciła oczami. Oczywiście, że nie mają wyjaśnienia, pomyślała. A nawet jeśli je mają, i tak go nie ujawnią.

– Co się dzieje? – Agu zwrócił się do Ayodele, która radośnie chrupała surowego bakłażana etiopskiego.

Przez dłuższą chwilę nie odpowiadała, jedynie gryzła, przeżuwała i przełykała biały miąższ zielonego warzywa podobnego do pomidora.

– To statek – powiedziała. – Jego rozmiar. Wody podniosły się wczoraj wieczorem, nie dziś rano, pamiętacie?

– Tak, to był duży statek – odparła z roztargnieniem Adaora.

– Nie chodzi jedynie o rozmiar – stwierdziła Ayodele. – Komunikuje się z wodą i wodnymi istotami. My lubimy się komunikować.

Anthony wciąż spacerował. Załamał ręce i żałował, że nie ma grubego skręta, najlepszego *jamba*.

– Nie wiem, dlaczego wciąż tu jestem – wymamrotał, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Powinienem odejść dziś z samego rana.

– To dlatego, że nie możesz – stwierdził Agu.

Anthony zatrzymał się, zirytowany, że żołnierz zwrócił uwagę na jego słowa. Mówił sam do siebie.

– Możesz wrócić do domu, ale nic się nie zmieni – mówił dalej Agu. – Kto wie, może Akrę też już opanowali.

Anthony wydął nozdrza na wspomnienie największego miasta swojej ojczyzny.

– Nie mów tak.

Ojciec Oke zszedł statecznym krokiem po schodach, za nim podążał mąż Adaory i służąca Philomena. Kapłan był cały uśmiechnięty i uprzejmy.

– Dzień dobry wszystkim – powiedział.

Chris się nie odezwał, ominął Agu szerokim łukiem i podszedł do

Adaory.

– Znowu ten mężczyzna – mruknął Anthony, piorunując Chrisa wzrokiem.

Agu i Chris wpatrywali się w siebie nawzajem ze złością, a Adaora poczuła się bardziej niż zdenerwowana. Ale to nie żołnierza chciała chronić. Stanęła między Ayodele a ojcem Oke. O kapłanie wiedziała jedno – był wygadanym drapieżnikiem. Nie mogła utrzymać go z dala od męża, ale mogła chronić przed nim dzieci… i Ayodele.

Philo usiadła na schodach, wyjęła komórkę i dyskretnie zaczęła wszystko nagrywać.

– Adaoro – odezwał się ojciec Oke. – Przedstaw mnie, proszę, swoim… nowym przyjaciołom.

– Dzień dobry, Oke. Czego chcesz? – spytała Adaora.

Mężczyzna był biskupem, a jednak upierał się, by ludzie mówili do niego „ojcze Oke". To bardzo drażniło Adaorę, nawet zanim jeszcze zatopił swe szpony w Chrisie.

– Witaj, moje dziecko – powiedział. – Ja…

– Jak mogę być twoim „dzieckiem"? Jesteś zaledwie kilka lat starszy ode mnie – warknęła Adaora.

Ojciec Oke nie dał się zbić z tropu.

– Jesteś dzieckiem Bożym.

– A ty jesteś Bogiem? – spytała.

Zaśmiał się.

– Bóg przemawia przeze mnie.

Adaora parsknęła i założyła ręce na piersi.

– Nie przyszedłem tu, żeby walczyć – powiedział. – Musisz pogodzić się z mężem.

Adaora poczuła, że czerwieni się z wściekłości. Zacisnęła pięści, świadoma, że wszyscy zebrani ją obserwują. Odezwała się powoli i wyraźnie.

– Jak spoliczkowanie mnie może przynosić pokój, ojcze? *E?* Jak mężczyzna może spoliczkować swoją żonę „w imię Jezusa"? Ty mu kazałeś to zrobić! Myślisz, że nie widziałam twojego maila z zeszłego tygodnia? „Złam ją rękami, a później ugłaskaj kwiatami".

Widziała, jak stojący za nią Anthony z obrzydzeniem kręci głową. Agu piorunował Chrisa wzrokiem. Ojciec Oke wydawał się zupełnie osłupiały. Na twarzy Chrisa malował się wstyd.

– Nie ufasz swojemu mężowi, skoro czytasz jego maile – powiedział chłodno ojciec Oke.

– Wynoś się z mojego domu! – wrzasnęła Adaora.

– Mojego domu, Adaoro – poprawił Chris.

– O mój Boże, dziś kogoś zabiję, *o* – ogłosiła Adaora. – Twój dom? A kto tak mówi?

– *Seke, seke, seke* – mruknął Anthony, wciąż kręcąc głową.

Chris pobłażliwie machnął ręką.

– Zresztą, ojciec Oke nie przyszedł tu, żeby porozmawiać z tobą – powiedział.

Jakby na sygnał, ojciec Oke ominął Adaorę.

– Jak się nazywasz, dziecko? – spytał Ayodele, która przyglądała się z milczącym zainteresowaniem.

– Nie potrzebuję imienia – odparła. – Mój lud mnie zna. Ale możesz mi mówić Ayodele.

– Czy jesteś wiedźmą? – spytał.

– Czy spoliczkujesz ją, jeśli odpowie, że tak? – warknęła Adaora.

Odetchnęła głęboko, oparła dłonie na biodrach i przeszła na drugą stronę pomieszczenia. Wiedziała, że jeśli się nie odsunie, zrobi coś, czego będzie żałować.

– Dlaczego ma to dla ciebie tak wielkie znaczenie? – Ayodele zwróciła się do Oke.

– Ponieważ mogę ci pomóc. – Ojciec Oke podszedł bliżej. – Mam odpowiednie wykształcenie, by pomóc ci zapanować nad złem, znaleźć łaskę, zbawienie i dobro.

– Widzicie? – naciskał Chris. – Ona wcale temu nie zaprzecza. Widziałem, jak się przeobraża. Ona…

– Nie przyszedłeś tu, by pytać mnie o czarowanie. – Ayodele zwróciła się do ojca Oke, ignorując Chrisa. – Myślisz o czymś innym.

– Czego chcesz? – spytała Adaora ojca Oke z drugiego końca laboratorium. – Ludzie tacy jak ty zawsze czegoś chcą.

– Chcę pomóc – powiedział do Ayodele. – Czy… czy możesz mi pokazać?

Ayodele przechyliła głowę, jakby rozważała propozycję Oke.

– Nie rób tego! – powiedziała Adaora, biegnąc z powrotem.

Ale wszyscy usłyszeli dźwięk metalowych kulek na szkle. Skóra Ayodele już się poruszała. Siedząca na schodach Philo sapnęła, ale nie wypuściła komórki z rąk.

Ayodele przemieniła się w starą kobietę o suchej ciemnej skórze i załzawionych ślepych oczach. Chris cofnął się z jękiem.

Na twarzy ojca Oke malowała się mieszanina smutku i radości.

– Mama? – wyszeptał. Przeżegnał się.

– Nie jestem wiedźmą, jestem obca na waszej planecie, jestem obcym – powiedziała Ayodele głosem niedawno zmarłej matki ojca Oke. – My przeobrażamy. Swoje ciała i wszystko wokół nas.

– *Ewo!* – wykrzyknął ojciec Oke. Znów się przeżegnał.

Philomena zatrzasnęła telefon i wszyscy odwrócili się w jej stronę.

– Przepraszam – powiedziała i poderwała się na równe nogi. Pobiegła po schodach w górę.

Ojciec Oke uśmiechnął się słabo, próbując robić wrażenie spokojnego i pobożnego, choć w rzeczywistości miał ochotę wybiec z

wrzaskiem z piwnicy. Nigdy nie rozważał tej kwestii. Jeśli istnieli jacyś obcy, z pewnością nie przybyliby do Nigerii. A może by i przybyli. Rozłożył dłonie i zwrócił się do istoty, która była jego matką i jednocześnie nią nie była.

– Widziałem wiadomości – powiedział. – Wierzę, że to wszystko zostało wywołane przez was, kiedy... kiedy tu wylądowaliście, a wasze przybycie tutaj jest Bożym dziełem. Wiem, że kochasz Boga. Nawet jeśli pochodzisz, hm, z innego miejsca.

Kiedy mówił, wracała mu pewność siebie. Publiczne przemówienia zawsze tak na niego działały. Dlatego właśnie został kaznodzieją.

– Potraktuj to jako... osobisty wyścig – powiedział z prawdziwym uśmiechem. – Wszyscy zgrzeszyliśmy! Ludzie i... obcy. Nikt na tej ziemi ani w kosmosie nie jest dobry ani sprawiedliwy. Dlatego też Bóg oddał syna swego jedynego, by umarł za nas!

Adaora chciała mu powiedzieć, żeby wsadził sobie te bzdury w dupę. To był najgorszy rodzaj szarlatana. Ale Agu, który teraz stał obok niej, sprzedał jej kuksańca, żeby się uciszyła.

– Co takiego? – spytał zdezorientowany Chris. Przyszedł na polowanie na wiedźmy, nie chrzest. – Ale to nie ma...

– Chrisie, nie rozumiesz? – przerwał mu ojciec Oke, całkowicie upojony dźwiękiem własnego głosu. Rozkręcał się. – Zostałem wybrany, by poprowadzić tę istotę i cały jej rodzaj do światłości!

Ayodele wpatrywała się w niego z twarzą bez wyrazu. Ojciec Oke uznał jej milczenie za potwierdzenie. Docierał do niej. Był wygadany. Mógł dotrzeć do każdego, nawet istoty pozaziemskiej, tak wielka była moc jego wiary.

– Rozumiesz, co mówię? – spytał, pewien, że tak właśnie jest. Jego misja była jasna, boska. – Bóg Wszechmogący, on ma władzę. Oddaj się Panu, a wszelka pomoc, jakiej potrzebujesz, by przetrwać, zostanie ci dana. Mój kościół. Mój kościół to dobry kościół. Dołącz do mojej trzódki, a staniemy się naprawdę wielcy. – Wyciągnął ręce do Ayodele. Kiedy ich nie przyjęła, po prostu mówił dalej. Bała się. Zrozumiałe. Była białą kartką, nietkniętą obcą ziemią. – Możesz zmieniać kształt. To Boży dar – powiedział. – Może staniesz się jedną z moich sióstr w Bogu. Dołącz do mnie na ambonie i razem ściągniemy trzódkę, z którą należy się liczyć!

– Widzisz tego człowieka – szepnęła Adaora do Anthony'ego – on próbuje ją wykorzystać. Tak bardzo jest skupiony na jednym. Nawet w obecności istoty pozaziemskiej, *sha*.

– To było dla mnie jasne od samego początku – odparł Anthony.

– Jeśli do nas dołączysz, ochronimy cię przed złymi siłami tych krain – mówił dalej ojciec Oke. Uśmiechnął się znacząco. – Każdy może po ciebie przyjść do tego domu. Tu nie jest bezpiecznie.

Ayodele otworzyła usta, by się odezwać, ale ojciec Oke uniósł dłoń.

– Nie – powiedział. – Zastanów się nad tym. Wrócimy później, by poznać twoją odpowiedź.

Ayodele wzruszyła ramionami.

– W porządku – powiedziała.

Ojciec Oke pokiwał głową i powoli wycofał się w stronę schodów. Na twarzy miał szeroki uśmiech. Gestem wezwał do siebie Chrisa.

– Och – odpowiedział ten cicho, jakby obudzony ze snu. – W porządku.

Ominął ojca Oke i wbiegł w górę po schodach.

– Cudownie było cię poznać, Ayodele – powiedział ojciec Oke, pomachał, odwrócił się i ruszył za Chrisem.

Adaora odetchnęła z ulgą.

– Możecie to sobie wyobrazić?

Ayodele się uśmiechała.

– To miejsce jest fascynujące, *o* – powiedziała. – *Na wao.* Ten mężczyzna, widziałam wszystkie jego myśli!

Adaora zauważyła, że Ayodele zaczynała podłapywać slang.

– Nie myślisz poważnie… – zaczęła mówić ze zmarszczonym czołem.

– Musimy się stąd wydostać – przerwał jej Agu. – Szybko.

Anthony gwałtownie pokiwał głową.

– Mój ojciec był kaznodzieją – powiedział. – Znam takich jak on. Powróci z całą kongregacją. *O chale*, ze wszystkich ludzi, których mógł przyprowadzić twój mąż…

– Wiem – odparła ponuro Adaora. – Kiedy rozejdą się wieści, pojawią się też porywacze.

Rozdział dziewiąty

Moziz

„Mama?” – spytał powoli ojciec Oke na nagraniu.

Mimo tego, co właśnie zobaczył, Moziz prychnął. Znał ojca Oke. Ten człowiek co niedziela wysysał mnóstwo *naira* z jego babki, zostawiając jej tylko tyle, by mogła sobie kupić *gari* i woreczki „czystej wody”. Kiedy nagranie się skończyło, Moziz ponownie nacisnął przycisk odtwarzania na komórce Philo, by znów je obejrzeć.

Philo się uśmiechnęła. W domu jej pracodawców dzieci ciągle spały, więc pozwoliła sobie wyjść na pół godziny, by odwiedzić swojego chłopaka Moziza. Warto było – uwielbiała widzieć go szczęśliwym. Kochała Moziza. Rozejrzała się po jego skromnej kawalerce. Nic poza komputerem na biurku, krzesłem i materacem, na którym siedzieli. Niewiele miał, ale utrzymywał w mieszkaniu idealny porządek. Zapach środka dezynfekującego sugerował, że wręcz sterylną czystość. Moziz nienawidził karaluchów, a w tym budynku z izbami stojącymi drzwi w drzwi z tymi naprzeciwko było ich mnóstwo.

Moziz był niezamożnym studentem medycyny, zmuszonym do zrobienia sobie rocznej przerwy z powodu strajków, a jednocześnie najlepiej wykształconym gościem, jakiego znała. Był ciemny i niski (co nie do końca odpowiadało Philo), ale jednocześnie elokwentny, ambitny i sprytny. W tej chwili zarabiał na życie dzięki „nigeryjskim szwindlom” na swoim komputerze, ale Philo wiedziała, że to jedynie chwilowe. Była pewna, że przeznaczeniem Moziza jest stać się kimś, co sugerowało jego imię. Pierwotnie brzmiało „Moses”, Mojżesz, ale zmienił pisownię, bo uważał, że tak brzmi fajniej.

– Ej! – wykrzyknął Moziz, gdy po raz kolejny obserwował przemianę Ayodele. Zaśmiał się na całe gardło. – Popacz no na ojca Oke! On robi *gragra*, a czensie siem jak liść! Prawie siem zesrał w gacie!

Philo się uśmiechnęła. Kochała go za to, że był wykształcony, a mówił jak człowiek z ulicy.

– Mała, to prawdziwe? Nie żadne sztuczki? – spytał.

– Sama żem to widziała na własne oczi, ze dwie godziny nazad – zapewniła go. Też przeszła na pidżyn.

Z namysłem uszczypnął się w policzek. Philo niemal słyszała, jak pracuje jego błyskotliwy umysł. Naprawdę był najbystrzejszym człowiekiem, jakiego znała. Kochała to w nim.

– Prawda, prawda, mówisz, że ta kobieta *na* z kosmosu? Mówisz,

że przyleciała z kosmosu?

– *Na*, tak mówi. Mówi, że nie sama przyleciała, tylko z wieloma innymi, co som nadal w tym statku, co to na Bar Beach wylondował.

– W porzondku, *o* – powiedział Moziz. – No, jeśli majom latajoncy statek, to *wetin* jeszcze mogom mieć? – Zmrużył oczy. – Może powiedzmy im, coby nam wydrukowali prawdziwe banknoty *naira*, *o*. *Na*, jeśli ona umie siem zmieniać, umie też i inne rzeczy! Cud! Heiyaa! *Na na! Na*, to prawo przyciongania, *o*.

– Może – powiedziała Philo.

– W sumie, nawet nie *naira* niech dla nas zrobiom – powiedział. – Amerykańskie dolary! Albo nawet euro. *Na*, euro kosztuje wiencej niż dolar, więc powiemy im, coby zrobili nam euro!

Philo wzruszyła ramionami i się roześmiała.

– Jeśli ona to może, to nie bendzie żaden problem. Ale ja nie *sabi*, czy ona to może, *o*.

– *Kai*, to jest coś, *o* – powiedział, szczerząc wszystkie zęby. – Mała, to jest coś. Mondrze, żeś mi pokazała to nagranie.

Philo zachichotała, gdy pogłaskał ją po policzku. Jego dłoń powoli sięgnęła do jej lewej piersi.

– Możesz mie wziońć tam? – spytał, szepcąc jej namiętnie do ucha.

– Spróbujem, kochany – wyszeptała.

Położyła się na plecach, a gdy on położył się na niej, rozległ się brzęczyk sygnalizujący nadejście nowego maila. Przerwał, spojrzał na monitor.

– Niech *una* czekajom! Niech *una* czekajom! *E?* Wszystkie *una* maile zaczekajom! – powiedział i znów odwrócił się do Philo.

Rozdział dziesiąty

Plan

– Kola, Fred, idźcie stąd! – warknęła Adaora, zauważając dzieci na szczycie schodów.

Zdyszana Philomena zbiegła po schodach.

– Przeprasza panią – powiedziała. Wzięła Kolę i Freda za ręce. – Byłam… byłam w łazience. Kola, chodź. Czas na obiad.

– Mamusiu, chcemy zobaczyć obcą – zażądała Kola.

– Skąd… uch, Kola, uciekaj! – rzuciła Adaora. – Na górę i to już!

Zaskoczone dzieci wyrwały dłonie z uścisku Philo i pobiegły na górę. Służąca podążyła za nimi.

Adaora zacisnęła powieki i westchnęła ze zmęczeniem. Agu opadł na sofę obok niej, wydawał się równie wyczerpany i o wiele bardziej zmaltretowany. Dochodziła czternasta, a żadne z nich nie przespało nawet chwili. Z telewizora dochodziły doniesienia o podnoszącym się poziomie wody, o tym, że rząd wciąż nie wiedział, kto zaatakował Nigerię, a urzędy i budynki rządowe zostały zamknięte.

– Proszę, podejdźcie wszyscy – powiedziała Ayodele, siadając obok Adaory.

Nie mogą teraz wyjechać. Będą punkty kontrolne. A punkty kontrolne oznaczają potencjalne kłopoty, Agu wiedział o tym najlepiej.

Ayodele nie wydawała się zaniepokojona.

– Wasza trójka została wybrana – stwierdziła Ayodele. – To miało sens. Wiem, że dokonaliśmy właściwego wyboru.

– Nieważne – mruknął Anthony.

Siedział na ławie, wyciągając przed siebie długie nogi. Wydawał się bardziej zainteresowany chaosem w wiadomościach niż Ayodele.

– Adaoro, ty rozumiesz wodę – powiedziała kobieta. – Wkrótce zrozumiesz również coś, co dotyczy ciebie samej i tego, co nadejdzie. Umiesz wyjaśnić.

– Mnie samej? To znaczy? I czy twój lud wpłynie na wodę? – spytała.

Przypomniała sobie, co widzieli, gdy byli w głębi morza. Rozświetlone wody wypełniał chaos jaskrawożółtych ryb motyli, błazenków, labraksów, węgorzy, krewetek, jeżowców, rozgwiazd, rekinów, mant, włóczników, barakud, wszelkich miejscowych stworzeń. Niektóre pochodziły z głębin, inne z płycizn. Nigdy wcześniej, podczas żadnej z wypraw nurkowych wokół Lagos, nie widziała tak bujnie rozwiniętego ekosystemu koralowca. Czy wyjdą z

wody?

Ayodele wzięła ją za rękę i Adaora zesztywniała. Dłoń Ayodele wydawała się ciepła i zadziwiająco… ludzka.

– Agu, żołnierzu – mówiła dalej Ayodele, patrząc mu w oczy. – Pochodzisz z rodziny rolników uprawiających pochrzyn, są dla ciebie solą ziemi. Stanowią serce Nigerii. Wstąpiłeś do wojska, by ich chronić. Teraz rozumiesz, że wasza armia jest skorumpowana. Potrzebujesz ludzi, do których możesz się przyłączyć.

Czysta prawda jej słów ogrzewała jego ciało i sprawiła, że nie wiedział, co powiedzieć.

Uśmiechnęła się.

– I masz bezpośredni kontakt z przywódcą waszego kraju, waszym prezydentem. Twój przełożony jest jego krewniakiem i może szybko do niego dotrzeć.

Agu i Adaora popatrzyli po sobie. Czuli się niezręcznie. Agu wytarł oczy i zaczął wyjaśniać.

– Tak… ale nasz prezydent jest…

Adaora pokręciła głową i Agu się zamknął. Ayodele sprawiała wrażenie, że tego nie zauważa.

– Anthony – powiedziała.

– Co? – warknął. – *Haba*, co ze mną? – Odwrócił się.

Adaora prawie zachichotała, zadziwiona faktem, że zupełnie nie przypominał swojego publicznego wcielenia. Właściwie wydawał się pełen rezerwy. Z pewnością od czasu ich spotkania ani razu nie wybałuszył oczu i nie wykrzyknął w przypadkowym momencie „Anthony DEY CRAZE!”.

– Lubisz się komunikować, jak my – powiedziała mu Ayodele. – Spędziłeś najwięcej czasu ze Starszymi. Słyszałeś ich pieśń. Nawet ja nie umiem sobie wyobrazić, czego się nauczyłeś.

Adaora i Agu popatrzyli na Anthony’ego, który się cofnął. Z oczu popłynęły mu łzy. Bezradnie uniósł ręce.

– Ja… nie chcę być częścią tego wszystkiego – powiedział niepewnym głosem. – W porządku? Chcę odejść. – Jego dolna warga zadrżała. – Ale nie mogę przestać tego słyszeć. – Odetchnął głęboko, próbując się uspokoić. – *Chale*, to… jest piękne. Słyszałem to również podczas koncertu. Dlatego później wyszedłem zaczerpnąć świeżego powietrza. – Szerzej otworzył wilgotne oczy. – Widziałem, jak pośród tłumów wyrastają drzewa…

Opadł ciężko na sofę, dyszał. Nigdzie nie odchodził.

– Ten dom to dobra lokalizacja. Przyciągniecie tutaj tłumy – stwierdziła z uśmiechem Ayodele.

Anthony zdjął zawój z szyi i otarł nim twarz. Agu siedział bardzo sztywno i wpatrywał się w akwarium. Adaora spoglądała na jego dłonie i zastanawiała się, czy ich wielkość się zmieniła, gdy do

nieprzytomności pobił swojego przełożonego.

– Anthony, rozumiesz, prawda? Musisz przywołać do siebie ludzi – powiedziała mu Ayodele. – Mój lud działa w taki sposób, że najpierw potrzebujemy zgromadzenia. – Odwróciła się do Agu, zanim Anthony zdążył spytać, dlaczego. – Agu – powiedziała. – Idź do swojego przełożonego *ahoa*. Wyjaśnij mu wszystko. Zabierz Adaorę jako eksperta. Zróbcie, co konieczne, by go przekonać.

Adaora i Agu wszystko rozumieli.

Czas odnaleźć prezydenta.

Rozdział jedenasty

Wahala

Moziz zaciągnął się głęboko skrętem, który podał mu Troy.

– Dawaj dalej i bierz nastempne, jest dużo – wychrypiał, przytrzymując dym w płucach.

Troy, Tolu i Jacobs, również studenci zmuszeni do „wzięcia urlopu” z powodu strajków na uczelni, dopiero przybyli, a on chciał, żeby byli rozluźnieni, kiedy będą oglądać nagranie na telefonie Philo. Pozwolił im palić.

Siedzieli na dworze, przy starym stole pod drzewem na tyłach domu, w przyjemnym i spokojnym miejscu. Spojrzał na nich, mrużąc zaczerwienione i wysuszone oczy, wiedział, że czekają, aż się odezwie. Każdemu z nich wysłał pilnego SMS-a, mówiąc, że chodzi o mnóstwo pieniędzy. Wiedzieli jednak, że jego nie należy poganiać.

Philo spojrzała na zegarek. Gdyby biegła, dotarłaby do domu w ciągu pięciu minut. A tego dnia Pan i Pani byli tak zajęci, że nawet nie zauważyli jej nieobecności, dzieciakom zaś to nie przeszkadzało. Na razie opierała się o drzewo z rękami założonymi na piersi. Była przyjemnie obolała po wczesnym popołudniu spędzonym z Mozizem. W półmroku złożył jej tysiąc i jedną obietnicę, w tym małżeństwa i dużego, bardzo dużego domu. Wszystko się spełni, kiedy zmusi stwora do zrobienia czegoś, co ten z pewnością może zrobić. Poczuła między nogami dreszcz podniecenia, kiedy patrzyła, jak spogląda na przyjaciół.

Po obejrzeniu nagrania Tolu, Troy i Jacobs gapili się na telefon. Żaden z nich nie miał pieprzonego pojęcia, co o tym sądzić. Philo, dziewczyna Moziza, nie była dość bystra, by wymyślić coś tak niezwykłego, a Moziz nie miał powodu. Co znaczyło, że to, co widzieli, musiało być prawdziwe.

– Któryś z was wcionż nie wierzi w to, *wetin* widział na własne oczi? – spytał Moziz po tym, jak Tolu, Troy i Jacobs obejrzeli film trzy kolejne razy.

Tolu oddał telefon Mozizowi. Trzymał go między kciukiem i palcem wskazującym, jakby był nieczysty.

– W Lagos nie ma jeszcze wielkiego zamentu tylko dlatego, że ludzie wcionż nie wiedzom, *wetin* ta cała *wahala* znaczi – powiedział Moziz.

Podobnie jak ojciec Oke, chłopak wiedział, kiedy zdołał owinąć sobie ludzi wokół palca, i bardzo go to cieszyło. Siedział na stole przed Troyem, Tolu i Jacobsem.

– My wiemy, co to znaczi. A jeden z nich jest w domu *oga* mojej dziewczyny. *Una* sami zobaczicie. *Na*, oni przibyli z kosmosu. Mogom zmieniać kształt i ciała, jak sobie żiczom. *Na*, tylko człowiek z wyobraźniom może sobie wyobrazić, jak dużo innych rzeczi oni mogom zrobić. – Pochylił się. – *Una* wiecie, *wetin* możem zrobić, jak ich porwiem? Pomyślcie no tylko! – Dla podkreślenia swoich słów uniósł pięść. Odchylił się z powrotem. – Stary! Jeśli nie ruszim siem szibko, stracim naszom okazje, *o*.

Kiedy żaden z nich się nie odezwał, Moziz mówił dalej.

– Pierwsze, co im powiemy, to żeby wydrukowali dla nas pieniondze. Banknoty *naira*, amerykańskie dolary, euro, nawet funt szterling! Nikt siem nie wzbogaci tak jak my! Możem im też powiedzieć, coby wchodzili na internetowe rachunki bankowe. Pierdolić to całe 419, możem ominońć pośredników i od razu wziońć kase.

Troy odezwał się cicho, ale zdenerwowanym tonem.

– *Da* plan może być niebezpieczny, *nka?*

Jacobs i Tolu przytaknęli mruknięciami. Moziz posłał Troyowi bardzo paskudne spojrzenie.

– Nie martwcie siem – powiedział. – *Na*, to coś jest kobietom, *o*. Paczcie na *am*.

Na te słowa Troy zmarszczył czoło. Coś mu nie pasowało w słowach Moziza, ale nie był pewien, co dokładnie. Czuł jednak, że Moziz ma rację – istota na filmie była zwykłą kobietą. Właściwie wyglądała jak nieco starsza wersja jego siostry. Musiała być bezbronna. Na pewno bez trudu ją porwą.

Tolu całkiem podobała się idea porwania obcej, ale przede wszystkim nie zamierzał denerwować Moziza, kiedy był w takim nastroju.

Jacobsowi pomysł zupełnie się nie podobał. Jeśli ta kobieta była obcą, która mogła zmieniać postać, to nie była tylko kobietą. A to mogło uczynić ją niebezpieczną. Z drugiej strony, Jacobsowi bardzo podobał się pomysł, żeby się wzbogacić. Najwyższy czas. Zbyt długo był studentem, który ciągle walczył o byt. Zabrał telefon Mozizowi i znów obejrzał nagranie. Popatrzył na Tolu i Troya. Obaj wpatrywali się uważnie w Moziza, któremu bardzo podobało się ich zainteresowanie. Jacobs dyskretnie przesłał nagranie na własny telefon.

– Widzicie – powiedział Moziz. – Złapiem *am*, zaniesiem i przywieziem do mojej chaty. Bendziem bogaci przed zachodem słońca. *Na*, kto siem nie zgadza? Jest tylko kobietom, nic nam nie zrobi.

Wszyscy w to weszli. Moziz spojrzał na Philomenę, posłał jej całusa, a później pokazał język. Philomena uśmiechnęła się nieśmiało,

ciesząc się, że nikt nie widzi bólu między jej nogami i pełnych nadziei marzeń w głowie.

Rozdział dwunasty

Niech Bóg wciąż obdarza was łaską

Tego popołudnia w kościele były tłumy, dzięki telewizji, gazetom i radiu, lecz już nie Internetowi. Według mediów, woda na plaży „wznosiła się zatrważająco szybko!” i wpływała do laguny. Budynki rządowe i niezależne firmy zostały „zamknięte do odwołania!”. Od strony oceanu dobiegał „nieznośnie głośny hałas”. Zdecydowanie coś się działo i wszyscy przygotowywali się na to, co miało nadejść.

Niektórzy spakowali się i uciekli do wiosek, w których mieli domy, zazwyczaj zamieszkane jedynie podczas wakacji. Bogaci i wpływowi próbowali nieskutecznie nabyć bilety lotnicze do Wielkiej Brytanii, Niemiec i Stanów. Niektórzy próbowali nawet polecieć do Ghany i Kamerunu. Ale wszystkie samoloty zostały bezterminowo uziemione ze względu na niezidentyfikowany grom dźwiękowy. A w Lagos setki tłoczyły się w kościele ojca Oke. Dla wielu jego kościół był dokładnie tym schronieniem, którego poszukiwali.

Ojciec Oke z szerokim uśmiechem przeszedł od drewnianej ambony do trzech klęczących kobiet. Z tyłu stali jego trzej ochroniarze – mieli oko na wszystko, zapewniali bezpieczeństwo. Stanąwszy przed kobietami, rzucił okiem na swoje drogie białe mokasyny ze złotymi czubkami. Wystawały spod nieskazitelnie czystej białej sutanny. Wyglądał elegancko.

Przeniósł wzrok z butów na pierwszą klęczącą kobietę. Z trudem zapanował nad odrazą. Niemal czuł jej smród. Chłopka, pomyślał. Śmieć. Brud. Ale weźmie jej pieniądze.

– Czego chcesz? – spytał.

– Jestem wiećmom.

Zgromadzeni sapnęli.

Zamrugał, wstrząśnięty. Jej słowa ukłuły go jak igła.

– Co powiedziałaś?

– Nie jestem wiećmom. Jestem wiećmom… dla Jezusa – powiedziała.

Jej głos był bezbarwny, a twarz obwisła, gdy patrzyła na niego tępym wzrokiem. Miała na sobie starą białą bluzkę i długą niebieską spódnicę. Na ile widział, była płaska jak deska, a jej szorstkie włosy nie znały kosmetyków wygładzających. Mogła mieć około dwudziestu lat. Ta idiotka musi być jedną z tych tępych dziewczyn, które w dzieciństwie zostały upuszczone na główkę, pomyślał. Co za marnotrawstwo.

– Co to znaczy „wiećmom”? Wiesz, co to znaczy? Nie mówisz po

angielsku? Jesteś niewykształcona?

– Przepraszam – powiedziała swoim bezbarwnym głosem. – Mój angielski słaby, *o*.

– Wiedźma. Jesteś wiedźmą?

– Tak, dla Jezusa.

Poczuł, jak wypełnia go wściekłość, i nie zdołał nad nią zapanować. Ten… ten zwykły kobiecy śmieć w jego wspaniałym kościele miał czelność przyznać się do największego z grzechów! Prosto w oczy! Przed jego napęczniałą kongregacją!

– Jesteś OHYDNYM DIABŁEM! Czy wiesz, do kogo mówisz? Ohydny diable! – Uniósł rękę i spoliczkował ją, najmocniej jak zdołał.

Kobiety obok niej zapiszczały.

– Chwała Jezusowi – zawołało kilku zgromadzonych. Inni klaskali.

W chwili, kiedy jego dłoń zetknęła się z jej twarzą, pożałował tego czynu. Wiedział, że posunął się za daleko. Spojrzał w bok, gdzie kamera nagrywała wszystko, co się działo. I czy nie zauważył również na widowni młodego mężczyzny z uniesioną komórką? Cholera, pomyślał. Ale kobieta tak piekielnie go rozzłościła. Jak śmiała? Zaczął od niej odchodzić, ale cofnął się. Nie mógł tego tak pozostawić. Nie wiedział, co robić, ale nie mógł tego tak pozostawić. Musiał zachować panowanie nad sytuacją. Sprawić, by obróciła się na jego korzyść.

– Skąd jesteś? – spytał ostro. Nie umiał ukryć gniewu w głosie.

– Ze stanu Imo – odpowiedziała z łzami w oczach. Ale nadal klęczała.

Dobrze, pomyślał.

– Skąd się nauczyłaś czarowania?

– Nie jestem wiećmom…

– Kim jesteś?

– …ale jestem wiećmom dla Jezusa!

Niech to diabli! – pomyślał, czując, jak znów wypełnia go wściekłość. Znów to powtarza! Co jest nie tak z tą diabelską suką? I patrzcie tylko, jak wyzywająco się odzywa! Może rzeczywiście jest wiedźmą! Wyprostował się i spojrzał na urzeczoną widownię. Uśmiechnął się, odetchnął głęboko, po czym popatrzył na nich i zaczerpnął jeszcze kilka oddechów. Spokojnie, pomyślał, serce biło mu coraz wolniej. Opanowanie.

– Jezus nie ma wiedźm! Jesteś demonem! – zaryczał.

Tym razem mówił jednak z pasją, nad którą panował. Mocą i pewnością siebie. Jego widownia podskakiwała, krzyczała i klaskała. Stłumił pragnienie, by spoliczkować ją po raz kolejny, kiedy coś wymamrotała. Zakrył jej twarz dłonią, nie chciał usłyszeć kolejnego słowa.

– Wiedzcie to wszyscy! Ktokolwiek wypowiada kłamstwo, zostanie powalony! A teraz, ohydny diable, wynoś się stąd, zanim Bóg zabije

cię na miejscu.

Towarzyszki spoliczkowanej wstały i szybko ją wyprowadziły. Miał nadzieję, że widownia pobije każdą z nich. W imię Jezusa.

Otarł twarz chusteczką. Był wściekły. Musiał się uspokoić. Dzisiejszy dzień dotyczył czegoś wyjątkowego, nie wioskowych idiotek. Przed tą głupotą przez bite trzy godziny, z pianą na ustach i potem płynącym z czoła nauczał o „zmianie", „przeciwieństwach" i „postępie". Owijał prawdziwą kwestię w bawełnę, budując napięcie do punktu kulminacyjnego. Wiedział dokładnie, jak poruszy ten temat ze swoimi wiernymi wyznawcami. Energia już się zgromadziła. Konfrontacja z wiedźmą oznaczała, że w pełni skupili na nim uwagę. To była właściwa chwila. Wezwał Chrisa, by się podniósł ze swojej pierwszej ławki i przemówił do trzódki ojca Oke. Mężczyzna zatoczył się do pulpitu, wydawał się udręczony.

– Moja żona... jest chora na duszy – powiedział Chris.

Załamał ręce, zrozpaczony i zdenerwowany. Tak się cieszył, że ojciec Oke w końcu pozwolił mu przemówić. Potrzebował pomocy. Zbawienia.

Zgromadzeni mruknęli zachęcająco.

– Coś ją opętało – powiedział, zakładając ręce na piersi.

Wokół kołnierzyka i pod pachami białej bawełnianej koszuli miał plamy potu. Przez dwa kolejne dni wkładał do pracy tę samą koszulę.

– Nie wiem, jak to powiedzieć...

Ludzie krzyczeli i klaskali, dodając mu otuchy.

– Przykro mi to mówić, ale moja żona stała się morską wiedźmą, *o!* – ogłosił.

Kościół wypełniło oburzenie, a Chris poczuł wdzięczność w sercu. W oczach miał łzy.

– Potrzebuję pomocy! – zawołał, zaciskając pięści.

– Dostaniesz *am!* – odkrzyknął mężczyzna.

– *Kai!* Bóg ci pomoże, *o!* – krzyknęła kobieta.

– Pan obdarzy cię łaską, *o!* – krzyknęło dziecko.

Niektórzy potępiali bezbożników, co nie chodzili do kościoła. Inni wykrzykiwali, że wszystko się spełniało. Czymkolwiek to „wszystko" było, jedynie oni sami wiedzieli. Ogłaszali, że ocean wkrótce pochłonie ich wszystkich za grzechy morskich wiedźm i czarowników, niewierzących w Chrystusa, którzy opanowali kraj. Niektórzy obwiniali muzułmanów z północy. Inni Amerykanów. Al-Kaidę. Chorobę. Brytyjczyków. Pecha. Diabły. Ubóstwo. Kobiety. Los. 419. Biafrę. Kiepski stan dróg. Wojsko. Korupcję.

Ojciec Oke uniósł ręce, by uciszyć swoje owieczki. Miał dla nich odpowiedzi. Był święty. Umilkli, włączając w to Chrisa, który z powagą wpatrywał się w ojca Oke. Jeśli mógł pokochać mężczyznę, to w tej chwili bardzo kochał ojca Oke.

– Nie lękaj się! – powiedział Chrisowi ojciec Oke. – Ja ocalę twoją żonę.

Owieczki westchnęły z ulgą.

– Opowiedz wszystkim o przyjaciółce żony, bracie Chrisie – zachęcił go.

Chris pokiwał głową, ale zmarszczył czoło. Co uzdrowienie żony mogło mieć z tym wspólnego? Ufał jednak ojcu Oke.

– Wczoraj wieczorem – zaczął – moja żona przyprowadziła coś do domu... Gościa. Prawdziwego gościa. Widziałem...

Ojciec Oke odezwał się szybko.

– Gościa z kosmosu! Obcego! Kosmitę! – zawołał z emfazą.

W całym kościele zapanowało milczenie. Taki właśnie wstrząs planował wywołać ojciec Oke. Doskonale.

– Jest w domu brata Chrisa! To jedynie pierwszy z wielu! – mówił dalej. – Widzieliście wiadomości, te wszystkie dziwne rzeczy, które się dzieją. Zostaliśmy nawiedzeni, przyjaciele.

Przerwał, gdy ludzie zaczęli rozmawiać między sobą.

– *Kai!* Wiedziałem! – wykrzyknął jeden z mężczyzn do stojącej obok kobiety. – Nie mówiłem ci? Nie ma dymu bez ognia!

– Dlaczego tutaj? Dlaczego tutaj?

– Wczoraj nic nie widziałem.

– Wszyscy umrzemy, *o!*

Kiedy w gadaninie pojawiła się nuta paniki, ojciec Oke wykrzyknął:

– Uspokójcie się! Uspokójcie się! Posłuchajcie!

Niemal natychmiast zapanowała cisza. Ci ludzie jedli mu z ręki. Bogu niech będą dzięki, pomyślał.

– Widzieliście dzisiaj, jak traktuję wiedźmy i ich diabelstwo. Miejcie wiarę w moją zdolność uzdrawiania! Poza tym, ci goście, moi przyjaciele, nie chcą nas skrzywdzić. – Roześmiał się i oparł o pulpit, unosząc mikrofon do ust. – Widziałem jednego w domu brata Chrisa. To ludzie, którzy potrzebują zbawienia! Powitamy ich, przyjmiemy do naszego zgromadzenia. Obmyjemy ich we Krwi Chrystusa! Uczynimy niepokalanymi.

Przerwał i z uśmiechem spojrzał w ich przerażone twarze.

– Kto do mnie dołączy? Kto pójdzie ze mną do domu brata Chrisa, by przyjąć tę inteligentną istotę do naszego zgromadzenia? Kto uczyni nasz kościół pierwszym w całym Lagos, na całym świecie, który coś takiego zrobił? Kto pójdzie ze mną, by wypełnić Bożą wolę?

Zapanowała cisza. Ojciec Oke wpatrzył się w tłum twarzy, a to, co zobaczył, zasiało w nim ziarno zwątpienia. Tchórze. Wszyscy z nich. Słabi. Pełni obaw. Pan dał mi słabe naczynia, pomyślał z rozpaczą. I wtedy ktoś z tyłu zaczął śpiewać. Głos był słaby i przerażony. Ojciec Oke od razu go rozpoznał – Memory Fulami, jedna z jego najbardziej

zwariowanych parafianek. Dołączyła do jego trzódki cztery lata wcześniej i dwa razy dziennie chodziła do kościoła. Śpiewała za głośno, śmierdziała brudem i potem, miała też w zwyczaju krzyczeć na dziewczęta, które nosiły obcisłe dżinsy. Doprowadzała go do szału. Miała głos, który mógł zabić wszystkie karaluchy w budynku „drzwi w drzwi”, w którym mieszkała. Ale w tej chwili z całego zgromadzenia ją właśnie kochał najbardziej. Ojciec Oke wbił paznokcie w udo, zmuszając się do zachowania przyjaznego uśmiechu na twarzy.

Policz łaski, wszystkie dał ci Bóg. Policz łaski, gdybyś zliczyć mógł. Licz błogosławieństwa, któreś dzisiaj miał, Zdziwisz się, że tyle Bóg ich tobie dał

1.

Inni zaczęli się do niej przyłączać. Może chcieli zagłuszyć jej koszmarny głos, a może był to gest prawdziwej solidarności. Nieważne. Wkrótce cały kościół wyśpiewywał swoje wsparcie dla ojca Oke.

Wszyscy poza Chrisem.

Rozdział trzynasty

Chin chin

Stali niespokojnie w salonie w domu Adoary. Do środka wpadały promienie popołudniowego słońca, odbijające się od białych skórzanych kanap i białego dywanu na podłodze. Włączyli wiatraki, a Philo postawiła na ławie miskę chin chin. To był pokój odpoczynku. Nie rozważania końca świata, jaki znali.

Adaora zaczynała rozumieć, dlaczego lud Ayodele wybrał Lagos. Gdyby wylądowali w Nowym Jorku, Tokio albo Londynie, władze tych miejsc szybko zjawiłyby się na miejscu, by ukryć, odizolować i badać obcych. Tu, w Lagos, nie było takiego porządku.

Jednakże mimo wszystko w kraju panowało ożywienie. Wszyscy chcą wyjechać z Lagos, pomyślała. Ale nikt nie odchodzi. Lagos jest we krwi. Biegniemy z powrotem do Lagos już w chwili, kiedy je opuszczamy, nawet jeśli zarzekaliśmy się, że nigdy tu nie wrócimy. Lagos to Lagos. Nie ma drugiego takiego miasta. Lagos jest słodkie. Nawet Chris to wiedział. Powrócił z Niemiec w chwili, gdy dostał do ręki MBA, mimo że dostał propozycję pracy w jednej z niemieckich firm.

Dlatego też, chociaż była bardzo cenionym biologiem morskim i przez kilka lat wykładała na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara, postanowiła wrócić do domu. Lagos przeżerała korupcja, ale ona nie umiała sobie wyobrazić życia gdziekolwiek indziej. A życie oceanu było fascynujące. I problematyczne. Potrzebowało jej. Lagos jej potrzebowało. I Adaora musiała się udać tam, gdzie była potrzebna.

W oceanie byli obcy i wkrótce mieli się z niego wyłonić.

– Wyślijcie mi SMS, gdyby były jakieś problemy – powiedział Anthony.

– Zapamiętałem twój numer telefonu – odparł Agu, stukając się w bok głowy. – Lepiej tutaj niż na kawałku papieru.

Mimo to zapisał go, złożył kartkę i schował ją głęboko do kieszeni, na wypadek, gdyby z jakiegoś powodu zapomniał.

Adaora popatrzyła na Agu.

– A będą problemy?

– Popatrz na moją twarz, *o* – powiedział Agu. – Mój dowódca może narobić *wahala*. Ale myślę, że będzie dość bystry, by skupić się na bieżącym kryzysie.

Adaora nie podzielała jego pewności, ale nie drążyła sprawy. Lepiej, żeby udało im się dotrzeć do prezydenta, wtedy byłoby łatwiej.

– Anthony, Philomena jest na górze z dziećmi – powiedziała. Kiedy

wykładała, a Chris pracował, Philomena zostawała z dziećmi, ale tego dnia Adaora wolała się od nich nie oddalać. Zamierzała wrócić jak najszybciej i miała nadzieję, że Chris również. – Trzymaj się blisko Ayodele, dobrze?

Ayodele siedziała na dole, w laboratorium, i czytała „National Geographic”.

– Oczywiście, że tak – odparł Anthony.

– Zadzwoń, jeśli mąż Adaory wróci i narobi więcej *wahala* – powiedział Agu.

– Wysłałam mu SMS, kazałam zostawić cię w spokoju – dodała kobieta. – Ale nie odpowiedział.

– Poradzę sobie z nim – stwierdził Anthony.

– A jeśli nie ty, to Ayodele, *e?* – Agu mrugnął.

– *Ibi* tak – zapewnił ją Anthony, przybył piątkę Agu i krótko uścisnął Adaorę.

Kiedy wyszli, Anthony wyjął komórkę i wybrał numer.

– Festus – powiedział z uśmiechem.

Zawsze mógł się dodzwonić do Festusa, jedynej osoby w całym ghańskim przemyśle muzycznym, której ufał.

– Gdzie ty, do diabła, jesteś? – ryknął Festus.

– Spokojnie. Nic mi nie jest.

– Powinieneś wcześniej zadzwonić i mi o tym powiedzieć – zawarczał Festus. – Zniknąłeś z własnej imprezy po koncercie!

– Przepraszam, *o*. Zaufaj mi, mam dobre usprawiedliwienie.

– Myślałem, że zostałeś porwany.

– Nie – odparł Anthony. – Posłuchaj, Festusie, mam robotę dla ciebie i chłopaków.

Opowiadając Festusowi skróconą wersję wszystkiego, co wydarzyło się od czasu, gdy opuścił klub, w którym występował, podszedł do okna. Frontowa brama była wysoka, ale lekka. Ludzie mogli oglądać cały dom, ale ktoś musiałby otworzyć bramę, żeby podejść do frontowych drzwi. Dobre miejsce dla tłumu. Pod warunkiem, że pozostanie grzeczny.

Festus zareagował dokładnie tak, jak się tego spodziewał Anthony. Wykrzyknął z zaskoczeniem i zaczął zadawać tysiące pytań. Później Festus wpadł na doskonały pomysł, jak poinformować fanów Anthony’ego o „zwariowanym darmowym koncercie Anthony’ego Dey Craze”, który miał się odbyć na trawniku niedużego domu w Victoria Island.

– Przez radio, media społecznościowe i z ust do ust – powiedział. – Wszyscy się dowiedzą!

Anthony niemal widział szeroki uśmiech Festusa. W głębi serca Festus był podżegaczem, więc nie czuł się winien, że wszystko to było jedynie podstępem, by zgromadzić ludzi na coś niezwykłego.

– Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz – stwierdził Festus.

Anthony poskubał krótką bródkę i zagryzł wargi. Wiedział… w pewnym sensie.

– Wiem.

Podczas gdy Anthony układał plany z Festusem, dzieci Adaory, Kola i Fred, zajrzały do środka z korytarza. Kiedy muzyk ich nie zobaczył, przeszły na paluszkach przez salon, kierując się w stronę schodów prowadzących do laboratorium matki.

* * *

Kola z trudem powstrzymywała wybuch śmiechu. Fred jej w tym nie pomagał. Nigdy nie umiał zapanować nad chichotem, kiedy przekradali się obok dorosłych. Kola musiała zatrzymać się na chwilę – czuła skurcz brzucha od powstrzymywania śmiechu. To było zabawne, ale również naprawdę irytujące. Jakimś cudem dotarli do wejścia do laboratorium.

Z bolącymi brzuchami zeszli po schodach i zajrzeli do obcej. Wydawało się, że zajęta lekturą Ayodele nie zauważyła, że oboje ostrożnie wślizgnęli się do laboratorium i ukryli za akwarium. Panowała zupełna cisza, przerywana jedynie bulgotem filtra w akwarium. Kola cicho postukała w szkło, by żółta ryba motyl odpłynęła z jej pola widzenia. Zamierzała prześlizgnąć się bliżej, kiedy Fred chwycił ją za rękę.

– Co? – wysyczała.

– Boję się! – wyszeptał Fred.

– Nie chcesz porozmawiać z prawdziwym obcym? – spytała Kola. – Jak na filmach?

Gwałtownie pokręcił głową.

– Zmieniłem zdanie.

– A ja chcę – stwierdziła Kola. Wyprostowała się i nerwowo chwyciła garść warkoczyków. – Cześć.

Ayodele uśmiechnęła się, choć nie podniosła wzroku znad książki.

– Witajcie, dzieci.

– Jestem… Kola, a to mój młodszy braciszek Fred.

Chłopiec, który nadal kulił się za akwarium, niepewnie pomachał ręką.

– Naprawdę jesteś obcym? – spytała Kola.

Ayodele zamknęła książkę i spojrzała na nią.

– Według waszej definicji tak.

– To dlaczego wyglądasz jak człowiek?

– Wolałabyś, żebym nie wyglądała?

– Dlaczego nie pokażesz się taka, jaka jesteś naprawdę?

– Istoty ludzkie mają problemy ze zrozumieniem tego, co ich nie

przypomina. To wasza największa wada.

Koli bardzo spodobała się ta odpowiedź, bo miała sens. W kreskówkach nawet zwierzęta, które mówiły ludzkim głosem, musiały przypominać ludzi również wyglądem. To zawsze drażniło jej braciszka. Podeszła bliżej.

– Dlaczego mówisz po angielsku? – spytała Kola.

– Żebyście mnie rozumieli.

– Znasz hausa?

– *Ii* – odpowiedziała, kiwając głową.

– Igbo?

– *E-eh* – powiedziała Ayodele, znów kiwając głową.

– Rosyjski?

– Tak, jeśli znajdę się w pobliżu kogoś, kto się nim posługuje. Ty go nie znasz, więc ja też nie.

Kola musiała się z tym zgodzić. Rzeczywiście, znała igbo i hausa, ale nie rosyjski.

– Podoba ci się tutaj?

– Tak.

– Stany mogłyby spodobać ci się bardziej – powiedziała. – Mają więcej rzeczy. A jeśli wasz statek się popsuł, oni pewnie umieliby go lepiej naprawić.

– Nasz statek się nie popsuł.

– Mama mówi, że wody są brudne i martwe z powodu firm wydobywających ropę – powiedziała Kola. – Czy to wam nie zaszkodzi?

Ayodele zaśmiała się w taki sposób, że w głowie Koli zaczęły kiełkować tysiące nowych pytań.

– Nie – powiedziała.

– Możesz umrzeć?

– Może. Pewnie nie.

– *Na wao* – wyszeptała z podziwem Kola. Oparła się o sofę, zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od Ayodele. To była najbardziej interesująca osoba/istota/cokolwiek, jaką poznała. – To ile masz lat?

Po schodach zbiegła Philomena.

– Kola! Odejdź od niej… chodź tutaj! Fred!

Fred przez cały czas martwił się o siostrę i czuł strach przed tą dziwną kobietą, która wyglądała jak ciotka z Asaby. Teraz podbiegł do Philomeny, która jako jedyna poza rodzicami umiała zapanować nad Kolą. Dziewczynka niechętnie zostawiła Ayodele.

– Chcieliśmy tylko zadać kilka pytań – powiedziała, kiedy dotarła do Philo.

– Nigdy bym ich nie skrzywdziła – stwierdziła Ayodele.

Philomena popchnęła Kolę na schody.

– Dlaczego miałabym uwierzyć w cokolwiek, co powiesz? Nie

wiem nawet, jak wyglądasz, nie wspominając już o tym, co nam zrobisz. – Niegrzecznie cmoknęła językiem o zęby i ponad ramieniem mruknęła: – Bzdury.

– W takim razie może powinnaś mnie zapytać – stwierdziła beznamiętnie Ayodele.

Philomena była już w połowie schodów.

– Trzymaj się z dala od dzieci.

– Szkoła da ci więcej niż małżeństwo – powiedziała Ayodele, podnosząc wzrok.

Philomena odwróciła się i spiorunowała ją wzrokiem.

– Wiem, co planuje twój chłopak, i wiem, dlaczego powiedziałaś mu o mnie – stwierdziła Ayodele. – W ostatecznym rozrachunku tylko ty sama możesz się uszczęśliwić. Skończ szkołę. Zapomnij o nim.

Philomena wbiła paznokcie w drewnianą poręcz. Po chwili pobiegła na górę.

Rozdział czternasty

Czarny Węzeł

Niezależnie od tego, jak ostrożnie szedł Jacobs, jego obcasy robiły zbyt wiele hałasu. Stuk, stuk, stuk. Korytarz opuszczonej szkoły średniej potęgował hałas. Było popołudnie i na dworze świeciło jaskrawe słońce, a on włożył ulubioną długą czarną sukienkę i wysokie obcasy. Zaparkowali tuż obok budynku i szybko wbiegli do środka. To był bardzo zły moment, by zwracać na siebie uwagę, ale nie mógł przybyć na to spotkanie, posługując się pidżynem, jak w rozmowach z chłopakami, ani nie mógł przyjechać ubrany jak „facet". Musiał przedstawić te nowe wydarzenia swoim przyjaciołom jako on sam. Musiał pokazać, że mówi poważnie i się nie boi.

– Idź szybciej – polecił, krzywiąc się na odgłos własnych kroków, kiedy przyśpieszyli.

– To był taki dziwny dzień – powiedziała Fisayo, równie głośno stukając obcasami. – Wszystko pozamykane, punkty kontrolne... *wahala* na Bar Beach. Mój Boże, Jacobs, nie wiem, co widziałam wczoraj wieczorem, ale cokolwiek się dzieje, jeszcze się nie skończyło.

– Uwierz mi, wiem – powiedział, obejmując siostrę ramieniem i ściskając uspokajająco.

Cieszył się, że z nią wszystko w porządku. Nie znosił zostawiać jej samej na Bar Beach, kiedy szukała klientów. Zazwyczaj kręcił się w okolicy, żeby upewnić się, że nic jej się nie stało, ale poprzedniego wieczoru zjadł zepsutą zupę i cierpiał z powodu zatrucia. I popatrzcie tylko, co się z nią stało!

Co gorsza, pewnie będzie chciała wrócić na Bar Beach, kiedy już tu skończą. Wróci do domu, przebierze się i wieczorem pojawi na Bar Beach. Teraz był najlepszy moment, żeby podrywać najbezpieczniejszych klientów. Popołudniowi klienci szukali dziewczyny, z którą mogliby spędzić wieczór, a to zazwyczaj oznaczało dobre traktowanie i posiłek. Wieczorni klienci byli bardziej okrutni i szukali czegoś mniej sympatycznego.

Jacobs wiedział, że powinien spędzać więcej czasu z młodszą siostrą. W ciągu ostatniego miesiąca nie miał nawet czasu zajrzeć do jej mieszkania. Prawda, że pewnie by jej nie zastał, Fisayo rzadko bywała w domu. Po tych wszystkich szalonych wydarzeniach w Lagos, teraz w końcu miał okazję się z nią spotkać.

Wcześniej widział się z Mozizem, Tolu i Troyem, wysłuchał więc jedynie skróconej wersji dziwnej opowieści Fisayo o tym, co widziała na Bar Beach, kiedy uderzył grom. I do tego rozmawiali przez

komórkę. Nie wspomniał o nagraniu, które pokazał mu Moziz i pozostali, ani o planie porwania obcego. Jeszcze nie.

– Tak, też uważam, że zrobi się jeszcze dziwniej – powiedział. – Dlatego nie chcę, żebyś pracowała na ulicy.

– Bar Beach i tak jest zamknięta. – Wzruszyła ramionami. – Moi stali klienci nawet nie będą wiedzieli, gdzie mnie szukać.

Władze Czarnego Węzła, Rome i Seven, wstały, gdy Jacobs wszedł wraz z siostrą do opustoszałej sali lekcyjnej. Rome jak zwykle wyglądał idealnie. Wysoki, szczupły i posągowy jak model, nosił obcisłe granatowe dżinsy i luźną białą bluzkę. Małe złote kółka w uszach idealnie podkreślały jego krótko przycięte włosy. Nawet bez makijażu wyglądał na piękną kobietę. Choć nigdy nie powiedział, że nią jest, wszyscy na uniwersytecie tak sądzili. Seven była zaledwie kilka centymetrów niższa od Rome'a. Miała krągłe kształty Oszun, bogini Jorubów, ogoloną na łyso głowę i tak wyraziste spojrzenie, że rzadko musiała się odzywać.

Ta dwójka przewodniczyła jedynej istniejącej wśród nigeryjskich studentów organizacji LGBT, Czarnemu Węzłowi. Choć większość członków nie ukrywała swojej orientacji, grupa spotykała się w tajemnicy raz w miesiącu, w środku nocy. To nie było jedno z tych spotkań. Było popołudnie, a cel spotkania był ściśle określony.

– Cześć – powiedział Rome i uścisnął ich oboje.

– Dobrze was widzieć – dodała Seven niskim, ochrypłym głosem.

Fisayo ściskała zdecydowanie dłużej niż Jacobsa. Dziewczyna cofnęła się nieśmiało. Kobiety zupełnie jej nie pociągały, jednak Seven zawsze sprawiała, że miała ochotę chichotać jak uczennica.

Seven nie musiała proponować Jacobsowi i Fisayo, żeby usiedli. Widzieli to w jej oczach. Ona sama i Rome usiedli na ławkach naprzeciwko.

– Dobra, człowieku, co jest takie ważne, że wyciągnąłeś nas tutaj, kiedy Lagos jest właściwie zamknięte? – spytała Seven, pochylając się. A jej oczy dodały: „I lepiej, żeby to był dobry powód".

– Mam ważny powód – powiedział Jacobs, wyciągając komórkę. – Podejdźcie bliżej. Lepiej, żebyśmy wszyscy zobaczyli to jednocześnie.

Jacobs miał porządny telefon, więc nagranie wyglądało lepiej niż na taniej jednorazówce Moziza. Jacobs oglądał je już co najmniej pięćdziesiąt razy i ciągle nie mieściło mu się w głowie. Najpierw była młodą kobietą, następnie jakby zwijała się w sobie, przeobrażając się w chmurę metalicznego dymu, po czym zwijała się po raz kolejny i stawała zupełnie inną kobietą, starą i zgarbioną. Nawet jej głos brzmiał staro. A Jacobs znał mężczyznę, do którego zwracała się zmiennokształtna istota – był biskupem diecezji jego matki. Przed trzema laty matka zmusiła Jacobsa, by poszedł z nią na mszę.

Tak się złożyło, że tego dnia ojciec Oke wygłaszał kazanie o „złu i

ohydzie homoseksualizmu”. Jacobs musiał je przesiedzieć obok matki, w garniturze i krawacie. Wszystko go swędziało, i czuł się żałośnie, zażenowany i spocony, gdy biskup porównywał homoseksualizm z zoofilią. Później biskup podszedł do niego i stwierdził, że matka opowiedziała mu wszystko o jego… zwyczajach. Jacobs doświadczył całkowitej paniki.

Widział, jak ojciec Oke policzkuje tych, których postępowania nie pochwalał i nazywa ich „najohydniejszymi z diabłów”. A kiedy biskup policzkował, robił to naprawdę mocno. Zazwyczaj cios wierzchem lub wnętrzem dłoni przyjmowały kobiety, lecz od czasu do czasu zdarzało mu się spoliczkować również mężczyznę. Jacobs wiedział, że jeśli biskup go spoliczkuje, on walnie go pięścią w twarz. Wiedział również, że jeśli to zrobi, biskup mu nigdy nie wybaczy, ujawni jego preferencje i wypędzi go z miasta albo gorzej.

Ku jego uldze biskup jednie uścisnął rękę Jacobsa i pogratulował mu podjęcia pierwszego kroku ku „uleczeniu duszy w imię Jezusa”. Jacobs czuł się tak upokorzony, że nie umiał się zmusić, by powiedzieć biskupowi (albo własnej matce), że wcale nie jest gejem. Po prostu lubił chodzić w kobiecych ubraniach.

Uwielbiał kolory, faktury, tkaniny, kreatywność i, ach, dopasowanie. Rok później wstąpił do Czarnego Węzła, ponieważ byli jedynymi, którzy go zaakceptowali. Jeśli ktoś potrzebował pomocy Pana, to jego siostra Fisayo, która była zbyt bystra i urocza, by sprzedawać swoje ciało.

– Cooo? – wyszeptał Rome, przybliżając twarz do obrazów w wysokiej rozdzielczości na ekranie komórki Jacobsa.

– Puść to jeszcze raz – powiedziała Seven, uśmiechając się szeroko. – Czy to prawda? Nawet jeśli nie, to mamy tu osobę zmieniającą się w inną osobę! Byłoby lepsze, gdyby się zmieniła z kobiety w mężczyznę, ale to wystarczy. Będziemy mieli niezłą zabawę, rozsyłając to nagranie.

Fisayo milczała, obgryzając paznokcie.

Jacobs odtworzył powtórnie.

– Mój kumpel Moziz dostał to od swojej dziewczyny Philo – powiedział. – To prawda. Żaden Photoshop ani nic w tym rodzaju. – Wyłączył komórkę. – Philo mówi, że ta kobieta… mężczyzna… cokolwiek, to obcy, który przebywa w domu jej pracodawców.

Pomyślał, żeby wspomnieć o planie porwania, ale powstrzymał się. Musiał wyprowadzić się z domu rodziców i potrzebował pieniędzy na czesne, kiedy uniwersytet znów zacznie działać. Porwanie obcego rozwiązałoby wszystkie problemy. Jednakże…

– Hej! Powinniśmy do niej pójść. Przeciągnąć ją na naszą stronę – zasugerował Rome. – Czarny Węzeł może wyjść z ukrycia po czymś takim. Kto lepiej nas zrozumie od zmiennokształtnej?

– Dokładnie tak myślałam! – zgodziła się Seven, z trudem łapiąc oddech. – Na to czekaliśmy, *o*.

Fisayo uniosła palec wskazujący i zmarszczyła czoło.

– Czekajcie… czekajcie chwilę – wyszeptała. – Wczoraj w nocy widziałam… – Spojrzała na Jacobsa. – Powiedziałeś im?

Pokręcił głową.

– Myślałem, że będzie lepiej, jeśli ty to zrobisz.

Fisayo wstała.

– Byłam na plaży i gadałam z gościem, kiedy usłyszałam głośny huk.

– Ten, o którym mówią we wszystkich wiadomościach? – spytał Rome. – Byłaś tam?

Pokiwała głową.

– Wszyscy się rozglądali przerażeni. Gość, z którym byłam, pobiegł sprawdzić samochód. Hałas potłukł wiele okien.

– Ten mężczyzna zostawił cię samą? – spytała Seven z dezaprobatą. – *Anuofia!*

– Tylko na chwilę – odparła niezręcznie Fisayo. – W każdym razie, zanim wrócił, stałam i gapiłam się na wodę. Wyglądała… dziwnie się poruszała. Fale jakby utraciły rytm, a woda się podnosiła. Widziałam, jak jedna z tych istot wychodzi z wody, tego jestem pewna! Wyglądała z początku jak dym, jak dym, który wydostał się z wody. – Przerwała, zaniepokojona własnym wspomnieniem. – Później to była kobieta. Ta sama, co na nagraniu. Zanurkowała do wody, a chwilę później wielka fala rzuciła się na tych troje ludzi na plaży, kobietę i dwóch mężczyzn, tak mi się wydaje. Nie widziałam ich dobrze. Uciekali, ale woda…

Fisayo zmarszczyła czoło i zacisnęła wargi. Kiedy znów się odezwała, mówiła szeptem.

– Nie… nie było żadnych innych fal, poza tą jedną. Zalała ich i wróciła do morza… z nimi. Zniknęli! Porwani. I jeśli mówicie, że ta niby kobieta jest obcym, to właśnie ona musiała ich zabrać! Porywają ludzi! Może ich zjadają albo coś w tym rodzaju! – Z jej oczu popłynęły łzy. – Jak w tym starym amerykańskim filmie… zapomniałam tytułu. Czy obcy w ogóle mogą nie być źli?

– *E.T.*? – zasugerował Rome.

Jacobs objął Fisayo.

– Spokojnie. To…

– Nie – powiedziała i zrzuciła jego rękę.

Usiadła na jednej z ławek i zaczęła łkać. Jacobs znów ją objął i popatrzył na Seven i Rome'a.

– Jest zdenerwowana i zmęczona – powiedział.

– Wcale nie, wiem, co widziałam.

– To skąd wiesz, że nie oddali ich z powrotem? – spytała ostrożnie Seven.

– Usłyszałam ten hałas i widziałam, jak zabierają ludzi. To mi wystarczyło.

– Pokaż mi to jeszcze raz – powiedział Rome.

Wszyscy obejrzeli nagranie, nawet Fisayo. Kiedy się skończyło, nie odezwali się ani słowem, ale w głowach widzieli mnóstwo różnych rzeczy. Jacobs widział kres mieszkania z rodzicami, którzy nie chcieli go zaakceptować. Jego siostra Fisayo widziała całe Lagos w płomieniach. Seven widziała niekończące się możliwości i istoty z kosmosu, które mogły sprawić, by świat zaakceptował i pokochał każdego. Rome widział wzlot Rome'a.

– Zbierzmy jutro Czarny Węzeł – zaproponował Rome. – Zbyt długo się ukrywaliśmy. Powiedzcie mi, jeśli tego nie czujecie. To jest to. To rewolucja.

Jacobs to czuł. A jeśli tych obcych było więcej, to Czarny Węzeł zdecydowanie mógł się ujawnić, czy mają się spotkać z tym w domu tej dziewczyny, czy w jakimś innym. Mógł brać udział w porwaniu dla pieniędzy i rewolucji Czarnego Węzła. Zje ciastko i będzie miał ciastko.

Rozdział piętnasty

Alkohol, jeszcze czego

Droga do koszar Agu powinna zająć zaledwie pół godziny, ale wzmożony ruch uliczny w Lagos przedłużył ją do dwóch. Agu nie mógł uwierzyć, że już czwarta. Wszyscy próbowali się gdzieś dostać, do kościoła, do baru, do domu – albo wydostać z Lagos. Do tego jeszcze exodus mieszkańców Lagos Island, Ikoyi i Victoria Island, uciekających w stronę wyżej położonych dzielnic, gdzie szansa zalania była najmniejsza, gdyby woda jeszcze się podniosła. Niemal wszystkie pasy ruchu w obu kierunkach były zapchane ludźmi jadącymi w głąb lądu, czyli w kierunku przeciwnym do tego, w którym udawali się Adaora i Agu. Jadąc jedynym dostępnym pasem, ciągle musieli gwałtownie skręcać, by uniknąć zderzenia z tymi, którzy wykorzystywali go do omijania korków na wylotówce z miasta. Nim dotarli do siedziby armii w Lagos, byli wyczerpani, spoceni, głodni i zdenerwowani.

Adaora wyłączyła silnik i odchyliła się.

– Nie musisz wchodzić ze mną – powiedział Agu.

– Idę – odparła Adaora. Uniosła zeszyt. – Zabrałam też swoje notatki.

Agu westchnął i zamknął oczy.

– Jak ja mu spojrzę w twarz po tym, jak go pobiłem do nieprzytomności?

Zmarszczyła czoło.

– On miał zamiar zgwałcić tę kobietę.

– Nie znasz wojska. – Rozmasował tę skroń, na której nie miał naklejonego plastra. – Adaoro, czy to się naprawdę dzieje?

Adaora powoli odsunęła jego dłoń od czoła. Miał szorstką skórę, a na dwóch kostkach blade blizny. Zastanawiała się, czy to ślady bójek. Mówił, że brał udział w wielu bójkach.

– Lepiej, żeby tamta rana nie zaczęła znowu krwawić – powiedziała cicho. Spojrzała w jego ciemnobrązowe oczy. – Dziękuję, że stanąłeś na drodze mojego męża.

Agu uśmiechnął się ze zmęczeniem.

– Już i tak byłem pobity. Nie miałem nic do stracenia.

Adaora zaśmiała się, nie puszczając jego dłoni.

– To jedyny powód?

Teraz i on chwycił ją za rękę.

– Dziękuję ci za oczyszczenie rany na twarzy – powiedział.

Pochylił się, a ona się nie odsunęła. To był słodki pocałunek. Tak

słodki, że żadne z nich nie zauważyło samochodu, który powoli przejechał od strony Agu.

Okno Chrisa było opuszczone. Przeczucie kazało mu śledzić ich od chwili, gdy opuścili dom, a teraz jego podejrzenia znalazły potwierdzenie. Patrzył na żonę, gdy udowadniała mu to, co podejrzewał od ponad dwóch lat. Jakimś sposobem udało mu się zachować milczenie i pojechać dalej, choć miał ochotę wyskoczyć z samochodu, wyciągnąć żonę i pobić ją do nieprzytomności. Tym razem jego wściekłość z pewnością pokonałaby wszelką czarną magię, jaką mogła się posługiwać. Postanowił jednak zaczekać, powiedzieć ojcu Oke, co widział. Chris był pewien, że ojciec Oke przyzna mu rację – Adaora zasługiwała na surową karę. Wiedźmy należy zniszczyć, a niewierne żony bić. I dlatego Chris pojechał dalej. A gdy Adaora oderwała się od Agu, droga obok nich była pusta.

– O mój Boże, co ja narobiłam? – westchnęła Adaora. Chwyciła klamkę i otworzyła drzwi.

– Przepraszam – powiedział szybko Agu. – Nie powinienem tego robić.

Adaora zatrzymała się z na wpół otwartymi drzwiami, gdy zalała ją fala przerażenia.

– Jestem mężatką.

Płakała. Łzy ją złościły, ale nic nie mogła na nie poradzić. Nie była cudzołożnicą. Nawet w najgorszych momentach nie przyszło jej na myśl, by zdradzić Chrisa.

Agu wyciągnął rękę do jej twarzy. Odepchnęła jego dłoń i pociągnęła nosem.

– Nie. – Otworzyła szerzej drzwi, ale nie wyszła. – W ciągu niecałej doby moje życie się rozpadło – wyszeptała.

– To wina obcej – powiedział cicho Agu.

Adaorze nie udało się powstrzymać uśmiechu. Znów zamknęła drzwi.

– Może mój mąż ma rację – powiedziała. – Może jestem wiedźmą.

Kiedy Agu wziął ją za rękę, nie wyrwała jej.

– Twój mąż jest głupcem – stwierdził. – A ty jesteś silna. Masz notatki?

– Tak.

– To chodź – powiedział, otwierając drzwi.

* * *

Starszy szeregowy Benson był potężnym mężczyzną w średnim wieku, bardzo potrzebującym urlopu. Potrzebował spędzić trochę czasu z dala od żony, z dala od trójki małych dzieci i z dala od pracy. I jeszcze całe to wariactwo poprzedniego dnia. Nie wiedział, dlaczego

palenie zioła zawsze wpędzało go w szaleństwo, ale tak właśnie było. Kiedy spróbował go po raz pierwszy, pięć godzin ganiał po ulicach, zaczepiając kobiety i gadając do każdego, kto chciał go słuchać. Później stracił przytomność i obudził się w szpitalu z kroplówką wbitą w ramię. Wczoraj zapalił z kilkoma młodszymi szeregowymi. Był znudzony i zirytowany życiem. Potrzebował ekscytacji. Nie zamierzał zaatakować tej dziewczyny. Czuł się z tym koszmarnie… i to nie tylko dlatego, że lewa strona jego głowy była spuchnięta, a brzuch bolał, jakby zmiażdżył go pięćdziesięciokilowy ciężar. Na szczęście lekarze powiedzieli, że ma jedynie stłuczone żebra, chwała Allahowi.

Najmniej ze wszystkiego chciał teraz zobaczyć pyszałkowatą mordę szeregowego Agu. Benson przyglądał się uważnie, gdy Agu wchodził do jego biura. Spojrzał na jego ręce. Wydawały się zupełnie normalne. Za nim podążała kształtna kobieta z notatnikiem w ręku. Agu zasalutował Bensonowi. Benson nie odpowiedział salutem.

W chwili, kiedy weszli do biura, Adaora wiedziała już, że popełnili błąd. Stali i milczeli niezręcznie, gdy Benson piorunował ich wzrokiem. Krępy, opuchnięty na twarzy mężczyzna za biurkiem emanował złością. Wydawał się gotów skręcić Agu kark. Mimo wielkiego wiatraka kręcącego się za jego plecami, skóra błyszczała mu od potu.

Benson usadowił się wygodniej na skórzanym fotelu, obracając w dłoniach ołówek. Milczenie się przeciągało.

– Nie przyszedłem, by rozmawiać o wczorajszym, sir – powiedział w końcu Agu.

Benson zaśmiał się gardłowo.

– Pewien jesteś?

– To Adaora – powiedział Agu. Kobieta skinęła krótko głową. – Jest profesorem biologii morskiej, a poznałem ją wczoraj wieczorem po… poznałem ją na Bar Beach.

Benson szerzej otworzył oczy, zaraz jednak zapanował nad sobą.

– Byliście tam? Kiedy to się wydarzyło?

– Tak, sir.

– Siadajcie.

Agu i Adaora usiedli.

– Sir, wiemy, co wywołało grom dźwiękowy i co sprawia, że woda się podnosi. My… my poznaliśmy jedną i…

Benson zmarszczył czoło.

– Jaką jedną?

Cisza. Po tym, jak przez kilkanaście sekund nikt się nie odezwał, Adaora popatrzyła na Agu. Obaj mężczyźni patrzyli na siebie.

– Może zaczniesz od początku, Agu? – odważyła się odezwać Adaora.

Ale mężczyźni jedynie patrzyli na siebie gniewnie.

– Hm... Proszę, sir – odezwała się znów Adaora. – Proszę go posłuchać, sir. Proszę. Sir?

Cisza. Adaora niemal słyszała gniew, który przepływał między Agu i Bensonem.

– Proszę posłuchać – odezwała się zdesperowana kobieta. – Poznałam Agu wczoraj wieczorem. Oboje spacerowaliśmy po Bar Beach. My dwoje i jeszcze jeden mężczyzna znaleźliśmy się w tym samym miejscu, kiedy usłyszeliśmy huk. Był boleśnie głośny. Później... coś... – Zagryzła wargi. Nie, nie sądziła, by to był człowiek, który powinien usłyszeć, jak zostali zabrani. – Ta kobieta wyszła... z wody.

Benson powoli oderwał wzrok od Agu i patrzył na Adaorę. Zaczęła mówić głośniej i szybciej.

– Ona... ona powiedziała nam, że jest z kosmosu – powiedziała. – Może się przeobrażać. W wiele rzeczy! Nasza trójka dwa razy widziała, jak to robi. Zabraliśmy ją do mojego domu. Zbadałam jej komórki pod mikroskopem. Jak już wspomniano, jestem biologiem morskim. W domu mam laboratorium. – Adaora pochyliła się, wbrew sobie podekscytowana. – Nigdy nie widziałam niczego podobnego. Ona nie składa się z materii komórkowej. I nie jest jedyna. Jest ich więcej... w wodzie. Dlatego woda się podnosi.

Agu odezwał się w końcu.

– Sir, pański wuj, prezydent, musi przejąć kontrolę nad tym, co się dzieje. Wiem, że nikt tu nie wie, gdzie on jest, ale pan może do niego dotrzeć, prawda? To okazja dla Nigerii, by...

– Mój wuj jest bardzo chory.

– Ale wciąż jest prezydentem, sir – powiedział Agu, próbując zapanować nad sobą. – Nie zrzekł się ani jednego ze swoich uprawnień, prawda? Choć wizja obcych w Lagos, w którejkolwiek części Nigerii wydaje się absurdalna, to jest prawda. To się dzieje. On musi się w to włączyć.

Kątem oka Agu widział, jak Adaora kiwa głową.

– Czyli zatrzymaliście jednego, szeregowy? – spytał Benson.

– Tak jest, sir – odparł Agu. – Nie jest niebezpieczna ani...

– Czy to coś jest zielone?

Agu zmarszczył czoło.

– Cóż, sir, ona...

– Pokryte śluzem? Czy ma czułki i te wielkie *yanfuyanfu* oczy? – spytał Benson z uśmieszkiem.

– Oni nie są źli jak ci wszyscy w filmach – dodała Adaora.

Benson chrząknął, bawiąc się ołówkiem.

– Wiesz, to wszystko przez alkohol.

– Co takiego? – wyrwało się Agu.

– Wczoraj, w punkcie kontrolnym – powiedział Benson. – Wszyscy byliśmy pijani i zmęczeni. I nie możesz mi powiedzieć, że ona nie

miała ochoty.

Agu i Adaora popatrzyli po sobie. Twarz Agu spochmurniała. Alkohol, jeszcze czego, pomyślał. Na własne oczy widział, jak Benson poprzedniego wieczoru palił *igbo*. Czy ten człowiek uważał go za idiotę?

– Nie przyszedłem tu, żeby o tym rozmawiać, sir – powiedział spokojnie.

– Nikt nie może zaprzeczyć, że była pijana i właściwie rozłożyła przede mną nogi – powiedział Benson.

Agu zacisnął dłonie na oparciach fotela, mocno wbijając palce w tapicerkę. Adaora chwyciła go za ramię. Wcale tego nie zauważył.

– Dosyć! Nie zostawię tak tego! Zadbam o to, żeby wszystkie gazety i wszyscy pańscy przełożeni dowiedzieli się, co pan zrobił! – Wyskoczył z fotela. – Kobiety nie wrzeszczą, nie płaczą i nie szarpią się, kiedy „mają ochotę”! – krzyknął.

Adaora z irytacją uderzyła dłonią w czoło.

– Czy moglibyście zająć się tym później? – powiedziała do Bensona. – To nagły wypadek! Narodowy kryzys! Niech pan zadzwoni do tego cholernego prezydenta! Niech pan mu powie, że musimy go zobaczyć! Niech…

– Zrobię, co będzie konieczne, proszę pani! – ryknął Benson i podniósł się. Wskazał na Agu. – Zostaniecie osądzeni za niesubordynację, szeregowy Agu! Szeregowy Julius, szeregowy Akunna, do mnie!

Drzwi gabinetu otworzyły się i do biura wpadli dwaj muskularni żołnierze. Adaora wzdrygnęła się, widząc ich zadowolone miny.

– Czekałem na to – powiedział wyższy. Wskazał na Agu. – Ja cię *kparoof*.

– Chyba wczoraj nie miał dosyć – dodał drugi.

Agu uniósł pięści, wybałuszył zdrowe oko. Przesunął wzrokiem od jednego do drugiego.

– To chodźcie – powiedział. – Obu was pokonam.

Nie chciał już uderzać. Nie chciał nikogo zabić. Ale w pięściach czuł potencjał. Nie patrząc na nich, szybko założył ręce na plecach.

Obaj mężczyźni się zawahali, po czym ruszyli do przodu i złapali go.

– Co wy, do diabła, wyprawiacie? – krzyknęła Adaora, odsuwając się od żołnierzy. Przycisnęła plecy do ściany.

Skuli Agu. Później ten niższy go przytrzymał, a Benson skinął głową. Wyższy uderzył Agu pięścią w brzuch, wywołując atak kaszlu i krztuszenia się.

– PRZESTAŃCIE! – wrzasnęła Adaora ze łzami w oczach.

Znów uderzyli Agu w brzuch, a później w twarz. Rana na czole się otworzyła. Jego zapuchnięte oko zalała krew.

Adaora oderwała się od ściany i ruszyła w stronę bójki, kiedy Benson chwycił ją za rękę. Posłała mu paskudne spojrzenie i spróbowała się wyrwać. Przez chwilę zastanawiała się, czy go nie ugryźć, ale nie mogła się do tego zmusić.

– Zabierzcie mi go z oczu – polecił Benson swoim sługusom. – Umieśćcie go gdzieś, gdzie nie sprawi kłopotów. – Kiedy zawlekli Agu za drzwi, Benson podążył za nimi, ciągnąc za sobą Adaorę. – Chodź, kobieto. Najpierw wykonam ważny telefon, a później chciałbym, żebyś przedstawiła mnie swojej przyjaciółce.

Adaora w końcu wyrwała rękę z jego uścisku. Mężczyzna wydawał się rozbawiony.

– Nie może pan tego zrobić – powiedziała i zadrżała. Z trudem panowała nad oburzeniem. – Nie będę współpracować!

Benson uśmiechnął się paskudnie.

– To kwestia bezpieczeństwa narodowego, profesorko. Stawanie na drodze wojskowej operacji to nie jest dobry pomysł. Za coś takiego ludzie lądują w więzieniu. A nasze więzienia to nie są miłe miejsca, zwłaszcza dla kobiety takiej jak ty.

Adaora zmarszczyła czoło. Miała mętlik w głowie.

– A jeśli nie mówiliśmy prawdy? A jeśli to wcale nie jest inwazja obcych? Zrobi pan z siebie głupca na oczach wszystkich?

Benson uśmiechnął się i znów chwycił ją za ramię.

– Agu nigdy nie kłamie. To jego największy problem.

Rozdział szesnasty

Bezgłowe państwo

Prezydent Nigerii piętnaście godzin po operacji serca spędził w tym samym miejscu, wpatrując się w wiadomości. Wciąż nie mógł uwierzyć własnym oczom. Pielęgniarka i żona zapewniały go, że umysł ma jasny. Utrzymywały, że leki przeciwbólowe nie mają działania halucynogennego. A ponieważ mógł mówić, choć było to nieco męczące, wiedział, że nie trafił do piekła. Jeszcze nie. Po raz pierwszy od wielu miesięcy zapomniał o zapaleniu osierdzia. Był wolny od koszmarnych obrazów, które go dręczyły, obrazów jego serca otoczonego workiem ohydnego, żółtego, chorobliwego płynu.

Ale to było gorsze.

Allahu, co ja mogę zrobić z Arabii Saudyjskiej? – zastanawiał się. Nie zamierzał dzwonić do wiceprezydenta. Przekazać sprawy Wishwellowi Williamsowi, jeszcze czego! Nie miał zamiaru przekazać czegoś tak poważnego temu żądnemu władzy, chciwemu chrześcijańskiemu tępakowi o tak głupim imieniu. Kto nazywa swoje dziecko „Wishwell", Dobrze Życzący? Sam pomysł przekazania władzy w kraju człowiekowi zwanemu Wishwell Williams sprawił, że miał ochotę splunąć. Na miłość Allaha, ten człowiek miał tytuł magistra zoologii! Williams wiedział więcej o rządzeniu jaszczurkami i ptakami niż istotami ludzkimi.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała jego pierwsza żona Zena.

Siedziała na brzegu łóżka i razem z nim oglądała wiadomości. Wolałby, żeby sobie poszła. Od jej duszących perfum bolała go głowa, a brzęczące porcelanowe bransoletki robiły zbyt wiele hałasu. Potrzebował swoich doradców. Nie przeszkadzałaby mu również obecność drugiej żony, Hawry. Jako prawniczka miała dobre wyczucie polityki. Jedyną zaletą Zeny było to, że wolała rozmawiać z nim w hausa, zamiast po angielsku.

Zamknął oczy i odetchnął głęboko, czując nierówne bicie serca. Ta sytuacja go zabije. Żałował, że nie jest w domu w Abudży, z kuflem chłodnego guinnessa w ręku i *Gwiezdnymi wojnami* na ekranie panoramicznego telewizora HD. Uwielbiał *Gwiezdne wojny*, zwłaszcza nowsze części. Miały w sobie tak wiele honoru. W innym życiu byłby z niego doskonały Jedi. Życie rycerza lojalnego jedynie wobec sprawiedliwości zawsze było lepsze niż życie głowy państwa.

– Nie wiem, co zrobię – powiedział sucho. – Musimy przeprowadzić odpowiednie badania.

Zena popatrzyła na niego, ale nie wypowiedziała swoich myśli na

głos. Choroba męża sprawiała, że jej obecność była jeszcze ważniejsza. Jako najstarsza z żon znała go najdłużej. I dlatego kiedy zachorował, to ją chciał mieć przy sobie, by się o niego troszczyła. Mimo to czasem na jego widok miała ochotę splunąć. W białej szpitalnej koszuli wydawał się taki chudy, taki kruchy, taki bezsilny. Jego skóra była pokryta plamami, oczy żółte i załzawione. W niczym nie przypominał władczego mężczyzny, którego poślubiła przed wielu laty. I nawet nie myślał jasno. Jak mógł prowadzić „badania", skoro był po drugiej stronie kontynentu? Najmniejszy stres sprawiał, że jego serce zaczynało tańczyć taniec śmierci. Ale jeśli wkrótce nie wróci do Nigerii, z pewnością dojdzie do zamachu stanu.

Prezydent chciał wyłączyć telewizor. Wiedział więcej od żony, bo odebrał telefon, a następnie odprawił ją z pokoju. Dzwonił jego bezużyteczny siostrzeniec, Benson. Ze wszystkich innych ludzi, dlaczego to on musiał się zajmować tą sprawą? Wysłał grupę żołnierzy i dwóch miejscowych oceanografów, by patrolowali Bar Beach, i ci ludzie donieśli, że w oceanie kłębią się stwory, których nie widziano w tych okolicach od ponad trzydziestu lat, jak również takie, których w ogóle nigdy nie widziano – cokolwiek to znaczyło. Nie umieli też wyjaśnić ogromnych ilości wodorostów wyrzucanych na brzeg.

Najbardziej niepokojące były doniesienia o kobiecie w jakimś domu w Lagos, którą uważano za jedną z kosmicznych istot. Benson powiedział, że według doniesień mogła się przeobrażać i była potencjalnie niebezpieczna. A teraz Benson jechał do tego domu, by ją pojmać lub zabić. Benson, jego najgłupszy siostrzeniec.

Muszę wrócić do Nigerii, pomyślał prezydent, drapiąc się po zarośniętej brodzie.

Rozdział siedemnasty

Nerkowce, czysta woda i chin chin

Anthony wyjrzał przez okno na tłum fanów zgromadzony w wąskiej uliczce przed domem. W większości młodzi ludzie, przynieśli ze sobą świąteczny nastrój. Miejscowi handlarze wykorzystywali okazję i sprzedawali napoje w butelkach, torebki „czystej wody", nerkowce, orzeszki ziemne, chin chin i papierosy. Wielu pewnie było na koncercie poprzedniego wieczoru. I wszyscy chyba mieli w rękach taką czy inną komórkę. Rozmawiali, wysyłali wiadomości, robili zdjęcia i nagrywali filmiki domu Adaory. Jego przyjaciel Festus zapewniał go, że media społecznościowe aż wrzały od wieści o miejscu pobytu ghańskiego rapera i darmowym koncercie, który odbędzie się, jeśli zbierze się dość ludzi. Wiadomości rozchodziły się szybko.

Ayodele siedziała z tyłu na sofie. Dzieci Adaory usiadły obok i gapiły się z fascynacją. Philo stała naburmuszona po drugiej stronie pokoju. Wpatrywała się w swój milczący telefon.

– Widownia się zbiera – powiedział Anthony.

Ayodele się uśmiechnęła.

– Lubią cię.

– Kochają – poprawił, odwracając się z powrotem do okna.

Miał nadzieję, że nadal będą go kochać, kiedy dowiedzą się, że nie zagra koncertu.

Philo z niecierpliwością otworzyła klapkę telefonu, zamknęła ją, znów otworzyła. Nie mogła wytrzymać w jednym pomieszczeniu z tą kobietą, istotą, kimkolwiek była. Philo była głęboko przekonana, że ten stwór w kształcie kobiety jest zły, z całym swoim przyjemnym zachowaniem, długimi włosami zaplecionymi w zbyt ciasne warkoczyki i grzechami. Bóg ją ukarze, pomyślała ponuro Philo.

Rozdział osiemnasty

Paląc igbo

Moziz próbował nie przekraczać dozwolonej prędkości. Po ulicach krążyło tyle wojska i policji, że lepiej było nie rzucać się w oczy. Zwłaszcza że wciąż było późne popołudnie. Podkręcił muzykę – Anthony Dey Craze – aż basy wstrząsnęły jego zużytym jasnobrązowym nissanem rocznik 1994.

Obok niego siedział Troy, bardziej milczący niż zwykle. Jacobs i Tolu siedzieli z tyłu, również milczeli, bo palili *igbo*. Dym pachniał wyjątkowo słodko i Moziz zaciągnął się głęboko. Wszyscy mieli czarne maski i czarne ubrania, jak im polecił Moziz. Był środek dnia, ale Mozizowi chodziło głównie o to, by nastraszyć wszystkich w tym domu.

– Bendziem bogaci, *ooo!* – wykrzyknął Jacobs ponad muzyką. Czuł się bardzo *irie*.

Wypchnął z głowy myśli o Czarnym Węźle. Seven i Rome wydzwaniali do niego przez cały dzień. Mogli zaczekać. Wszystko w jego życiu miało się ułożyć, był tego pewien. Kiedy już dostanie pieniądze, wyda je na różne rzeczy. Pomyślał o Fisayo, która miała do niego zadzwonić kilka godzin temu. Ale był pewien, że czuła się dobrze. A kiedy przyniesie jej pieniądze, poczuje się jeszcze lepiej.

Jacobs przybił piątkę Tolu, który zaciągnął się skrętem i podał go Mozizowi. Mówiąc, Tolu wypuszczał dym:

– Jeszcze troszke, a złapiem ich wszystkich i bendom nam robić pieniondze. Moziz, ta twoja laska dała nam garnek złota, *o*.

Moziz zaciągnął się i pokiwał głową.

– Jeszcze siem tak nie cieszcie. Módlcie siem raczej, żeby na tej drodze nie było punktów kontrolnych.

Jedynie Troy nie podzielał ich nastroju.

– Mówiom, że nigeryjscy policjanci skaczom na motory i na *okada* jak ci amerykańscy nindzia i jak Bruce Willis w *Szklanej pułapce*, *abi?* – powiedział. – Nawet siekajom kobiety jak orzeszki. – Ze złością cmoknął językiem o zęby i mruknął: – Bzdura.

Moziz, Jacobs i Tolu wybuchnęli śmiechem, ale Troy jedynie wyglądał przez okno z ponurą miną. Myślał o tym, jak kilka godzin wcześniej zadzwonił do niego kuzyn Inno i powiedział, że jego kochana i urocza kuzynka Oregbemi została poprzedniego wieczoru zgwałcona przez żołnierzy czy policjantów, a jeden z nich miał nawet czelność pokazać się w telewizji. Pokazał się tam tuż po tym, jak próbował zabić Oregbemi. On, jego krewniacy i przyjaciele wkrótce

poznają szczegóły i zajmą się tą sprawą, jak już zrobi to, co musi zrobić tutaj. Kiedy dostanie pieniądze do ręki, poradzi sobie nawet z tymi, którzy mają władzę.

– Posłuchajcie, jeśli tam dojedziem, szybko wchodzim i wychodzim – powiedział Moziz.

Wszyscy się zgodzili.

* * *

Anthony uniósł telefon do ucha, obserwując jednocześnie gromadzący się przed domem Adaory rozbawiony tłum. Zmarszczył czoło.

– Dlaczego żadne z nich nie odbiera? – mruknął.

Spojrzał na telefon, nacisnął „Zakończ" i ponownie wybrał numer.

Ayodele pokazywała Koli, jak używać starej, lecz niezawodnej kamery cyfrowej Adaory. Jej młodszy brat Fred przyglądał się z wielkim zainteresowaniem.

– Czyli po prostu naciskam ten guzik, tak? – spytała Kola, trzymając kamerę w obu rękach i wyciągając palec wskazujący do czerwonego przycisku nagrywania.

– Tak.

– To takie proste! – wykrzyknęła Kola, spoglądając na ekran. – Mama nie pozwala mi tego dotykać. – Zachichotała. – Zaczekajcie tylko, aż zobaczy, że umiem się nią lepiej posługiwać niż ona sama.

Opuściła kamerę i zaczęła się bawić przyciskami.

* * *

Adaora gotowała się ze złości. Dlaczego oczekiwaliśmy, że ten człowiek zachowa się racjonalnie? A kiedy to nigeryjski rząd i armia zrobili cokolwiek dla mieszkańców? Zajmowali się jedynie pilnowaniem własnych tyłków i napełnianiem kieszeni. Chciała się uderzyć w drugi policzek. Była idiotką. Ona i Agu, rzadki przypadek nigeryjskich patriotów, którzy próbowali postąpić właściwie. Głupi przedstawiciele ludności. Pozbawieni znaczenia, bezsilni cywile. Powinna się tego spodziewać.

Oparła głowę o szybę samochodu. Starszy szeregowy Benson siedział na miejscu pasażera; błyszczącego srebrnego SUV-a prowadził kolejny z jego sługusów. Biedny Agu. Co mu zrobią? Prawie podskoczyła, kiedy zadzwoniła jej komórka.

Benson uniósł telefon, spojrzał na wyświetloną nazwę kontaktu. Odwrócił się i popatrzył na nią z ponurym grymasem.

– Kim jest Anthony Dey Craze?

Adaora zazgrzytała zębami. Telefon był jej prywatną własnością. I

kiedy w ogóle go wyciągnął z jej kieszeni?

– To ten drugi mężczyzna, który był na plaży ze mną i Agu, kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy kobietę.

Chrząknął, patrząc na telefon.

– Brzmi jak ten *mumu* raper, którego słucha moja bratanica, a który zawsze wrzeszczy, że jest szalony – powiedział, chowając telefon do kieszeni. – Jeśli tak, to jego może też powinniśmy aresztować?

Zarówno on, jak i kierowca zaczęli się śmiać.

Adaora ponuro założyła ręce na piersi i wyjrzała przez okno, gdy mijali wysokie budynki w centrum Lagos, przebijając się przez gęsty ruch. Tuż przed nimi dwa pomarańczowożółte *danfo*, tak zapchane, że pasażerowie wisieli na zewnątrz, skręciły gwałtownie. Ostro zahamowali, Adaora aż oparła dłonie o tył siedzenia Bensona. Kiedy mijali jedno z *danfo*, kierowca SUV-a wychylił się przez okno, splunął na sąsiedni pojazd i uderzył go w bok, wrzeszcząc:

– Niech diabli wezmą twoją matkę! *Mumu!* Idiota! Zgiń!

* * *

Moziz zaparkował na końcu ruchliwej ulicy. Musiał wcisnąć się między poobijaną starą hondę i zakurzonego SUV-a forda. Innych miejsc nie było. W okolicy kręciły się ponad dwie setki ludzi. Większość wydawała się w ich wieku. Cała czwórka zdjęła maski.

– Co to za pierdolone wariactwo, *na?* – powtórzył Moziz, wyłączając silnik. Siedzieli w samochodzie. Philo nie wspomniała o pieprzonym tłumie. – Jacobs, ić i dowiedz siem, *wetin* ci ludzie *sabi*.

Jacobs pokiwał głową, wysiadł, stanął przy otwartym oknie od strony Moziza, wcisnął ręce do kieszeni luźnych dżinsów i rozejrzał się dookoła. Moziz zmarszczył czoło, patrząc na ludzi. Wszyscy wydawali się podekscytowani.

– *Na*, to wariactwo – powiedział.

– Może ci ludzie tu som, bo ktoś robi wielkom impreze w swoim domu – powiedział Tolu.

Moziz z irytacją przewrócił oczami.

– Nie ogarniasz – powiedział tylko, marząc o tym, by Tolu się zamknął. Tolu nigdy niczego nie rozumiał, dopóki mu tego nie wytłumaczyli. – Nie marnuj czasu, *o* – powiedział do Jacobsa.

– Nie bende – odparł Jacobs. Wszedł w tłum.

Kilka minut później zauważył kilka znajomych twarzy z czasów, kiedy jeszcze się uczył. Miał właśnie podejść do gościa, którego pamiętał z zajęć biologii, kiedy jego uwagę zwróciły jaskrawe barwy w odległości kilku metrów. Minęło trochę czasu, zanim udało mu się przecisnąć bliżej. A wtedy tylko się gapił. Ludzie byli tak zaskoczeni, że zrobili dość miejsca, by cała grupka mogła się przecisnąć. Wolno

idąca procesja zagarnęła muzykę, konfetti i wielki, tęczowy transparent z wymalowaną pośrodku ogromnym Czarnym Węzłem. Jacobs zamarł.

Było ich dziewięcioro, cała organizacja. Eze, Yinka i Michele włożyły czarne garnitury i pomalowały usta taką samą czerwoną szminką. Szły powoli, świadome uwagi, jaką przyciągały. Royal włożył czerwone kozaki na koturnie sięgające do pół uda, czerwone legginsy i obcisłą różową koszulkę. Niósł odtwarzacz i podskakiwał, potrząsając tyłkiem dla każdego, kto miał ochotę popatrzeć. Royal tańczył nawet dla swojej babki w wiosce, tak bardzo był wyzwolony. Okechukwu miał na sobie dżinsy i białą podkoszulkę, ale zachowywał się podobnie, tańczył w rytm muzyki i nawet dołączył do grupy roześmianych kobiet na obrzeżach tłumu. Chioma i Yemi trzymali transparent Czarnego Węzła. Oboje wyglądali, jakby chcieli wpełznąć z powrotem do szafy, ale wysoko unosili głowy. Seven miała na sobie obcisłe dżinsy i jeszcze bardziej obcisłą bluzeczkę i paliła cygaro. Ignorowała pożądliwe spojrzenia mężczyzn i posyłała kobietom całusy.

A któż był lepszy, by poprowadzić tę grupę, niż największa ciota spośród nich? Rome włożył oszałamiającą *rapa* i pasującą bluzkę, które leżały na nim tak, jakby tego rodzaju stroje szyto również dla mężczyzn. Wyglądał jak królowa Jorubów. Wszyscy mieli opaski z czułkami obcych. Zbliżając się do nich, Jacobs mógł myśleć jedynie o tym, że zaraz ich ktoś zabije.

Uniósł rękę.

– Rome!

Rome zauważył jego spojrzenie, uśmiechnął się z dużą pewnością siebie, podszedł do Jacobsa i stwierdził:

– Czarny Węzeł zszedł na ziemię.

Jacobsowi opadła szczęka. Wszyscy się przyglądali, na razie zbyt oszołomieni widokiem studenckiej organizacji, by zareagować. Na razie.

Jacobs nie wiedział, co powiedzieć.

– Co… wy… nie…

– Przez ostatnie kilka godzin usiłowaliśmy się do ciebie dodzwonić.

– No… ja… – Czuł, że wbijają się w niego setki spojrzeń.

– Tak czy inaczej – powiedział Rome, machając lekceważąco ręką – usłyszeliśmy, że na tej ulicy jest jakieś zamieszanie i założyliśmy, że ma to coś wspólnego z tym, co nam pokazałeś.

Jacobs nie wiedział, co robić. Z jednej strony to, co musiał zrobić dla Moziza i pozostałych, z drugiej, widok Czarnego Węzła w miejscu publicznym. Chciał do nich dołączyć, ale nie chciał, żeby zobaczyli to Moziz, Troy i Tolu, którzy nie wiedzieli nic o jego przebierankach. Po raz pierwszy w życiu był jednocześnie niezmiernie dumny i

niezmiernie zawstydzony.

– Ale myliliśmy się. Ci ludzie są tu z powodu cholernej gwiazdy! – powiedział Rome. Przybrał wyszkoloną pozę, kiedy kilka kobiet zatrzymało się, żeby zrobić mu zdjęcie komórką. – Miłej zabawy. – Uśmiechnął się do nich szyderczo. – Wy nigdy nie będziecie wyglądać tak dobrze.

Kobiety zaśmiały się i uciekły pośpiesznie.

– Gwiazdy? – spytał Jacobs.

– Tam jest ten ghański raper Anthony Dey Craze. – Wskazał na dom.

Jacobs zamrugał i zmarszczył czoło, próbując ukryć dezorientację. Co raper miał wspólnego z obcymi?

– Ja... zaraz wracam. – Nie wiedział, co poza tym powiedzieć.

Odwrócił się i przepchnął przez tłum. Część zgromadzonych zaczęła mamrotać o *adofuroo*, „pedałach" i „władzy tyłka".

– *Kai! Wetin* jesteś? – spytał jakiś mężczyzna.

– Jesteś mężczyzną czy kobietą?

Przyśpieszył, czując się przy tym jak dezerter. Czarny Węzeł zwariował, pokazując się w tak publicznym miejscu. Ale byli jednocześnie bardzo odważni. Tak długo się ukrywali. Nie ze wstydu, lecz raczej dla bezpieczeństwa. Teraz do Lagos przybył obcy. Nie tylko Czarny Węzeł był zagrożony, a co najmniej niezbyt bezpieczny. Wszyscy byli. W głębi serca wiedział, że jeśli w tym domu jest obcy, nadszedł czas. Czas zmian.

– Jacobs wraca! – wykrzyknął Troy.

Jacobs podbiegł do samochodu z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Z każdym krokiem w stronę auta potrzeba rewolucji wypływała z niego jak powietrze z nieszczelnego balonika. Jeszcze nie, ale wkrótce, powiedział sam sobie, by odepchnąć poczucie winy, które zastąpiło nadzieję. Powstrzymał się przed odwróceniem, kiedy zgromadzeni krzyknęli zaskoczeni, gdy coś się wydarzyło. Dołączył do grupy przyjaciół.

– Rany! – powiedział Jacobs, wsiadając do samochodu. – Mówie wam, nie uwierzicie, jak wam powiem.

– *Wetin?* – warknął Moziz. – Skond ludzie mogom o niej słyszeć, *na*, skoro tylko Philo o niej *sabi?*

– Tu nie chodzi o tem wiećme – powiedział Jacobs, udając podekscytowanie. – *Na* Anthony Dey Craze! Mówiom, że to przez niego tu som!

– Ej! – wykrzyknęli Tolu i Troy, prostując się i wyglądając przez okno.

Jacobs wykorzystał tę chwilę, by znów spojrzeć w tłum, ale nie widział Rome'a ani nikogo z Czarnego Węzła. Moziz siedział z ponurą miną i założonymi rękami. Wszystko nagle zrobiło się o wiele bardziej

skomplikowane. Moziz klasnął językiem o zęby.

– Niech Bóg broni przed takom sytuacjom, *o*.

Rozdział dziewiętnasty

Przy brzegu

Po raz trzeci w życiu Agu znalazł się w miejscu, które nie do końca miało sens. Po raz pierwszy przeżył to, kiedy miał dziesięć lat i wracał do domu z piętnastoletnim bratem. Tamtego wieczoru stali na drodze prowadzącej do domu i gapili się na pakunek owinięty w gazetę. Zamiast pójść na targowisko, pół godziny wcześniej kupili mięso od mężczyzny, który sprzedawał je za pół ceny na poboczu. Był wieczór i słońce już zaszło. Przynieśli mięso do domu, oddali je matce, a resztę gotówki zachowali dla siebie.

Agu wiedział, że nigdy nie zapomni chwili, gdy matka odpakowała mięso, spodziewając się kawałka wołowiny albo koźliny. Z pakunku wypadła ręka z malutką, niemal ludzką dłonią, jakby prosiła o datek. Małpka była martwa, jej różowy język wysunął się z pyska, czoło było zmiażdżone, a wysuszone oczy szeroko otwarte. Agu prawie zwymiotował. Matka sprała ich obu i kazała im pozbyć się małpki.

Później była ta chwila, kiedy miał dwadzieścia siedem lat i obudził się na Saharze. Odwiedzał brata na północy, w Katsinie, i wsiadł do pustynnej taksówki. Kierowca mówił łamanym angielskim, a Agu łamanym hausa. Agu sądził, że kierowca jedzie do Lagos, a kierowca miał na myśli Agadez. Wyczerpany po całonocnej imprezie, zasnął w chwili, gdy zatłoczona taksówka ruszyła. Obudził się dwie godziny później pośrodku pustyni, w części świata, której nigdy nie spodziewał się zobaczyć. Zatrzymali się w malutkim miasteczku o nazwie Maradi, a kierowca tankował na drogę przez Saharę!

Teraz znajdował się na pieprzonej motorówce, zakuty w kajdanki. Gdyby coś się stało i wywrócili się do góry dnem, utonąłby. Szeregowy Akunna i szeregowy Julius byli zbyt głupi, by to sobie uświadomić, a może po prostu się nie przejmowali. Oprócz dwóch idiotów, którzy sprali go na kwaśne jabłko w gabinecie Bensona, na pokładzie był jeszcze wyraźnie zatroskany nafciarz i zirytowany inżynier.

Kierowali się w stronę przybrzeżnego pola naftowego, gdzie, jak udało mu się zorientować, coś się stało z rurociągiem zaopatrującym FPSO *Mystras*. Według doniesień tysiące baryłek ropy naftowej wylewały się do morza. Ze względu na wszystko, co działo się w Lagos, wielu nafciarzy, wojskowych i policjantów porzucało swoje obowiązki i uciekało wraz z rodzinami z miasta do wiosek i miasteczek na wschodzie i północy. Ci, którzy pozostali, musieli zająć się podtopieniami, ruchem ulicznym i ogólną paniką w mieście. Nie pozostał nikt poza Akunną i Juliusem, kto mógłby sprawdzić zepsuty

rurociąg, jak też przypilnować Agu. Dlatego szeregowy Julius i szeregowy Akunna musieli zabrać go ze sobą. Na szczęście woda wydawała się spokojna, więc ryzyko, że Agu wypadnie z łodzi, nie było wielkie. Mimo to do zachodu słońca nie zostało wiele czasu. Biorąc pod uwagę wszystko, co się działo, Agu nie chciał znajdować się po zmroku na wodzie.

– Jesteście pewni, że powinniśmy tu być? – krzyknął Agu.

– Zamknij się! – warknął ponad ramieniem szeregowy Akunna.

Piętnaście minut później dotarli do platformy wiertniczej i statku i Akunna wyłączył silnik. Konstrukcja platformy przypominała pajęczynę z betonu i pordzewiałej stali. Pewnie zakotwiczona w dnie za pomocą stalowych pali, była wiekowym potworem, niezdarnym, nienaturalnym konglomeratem zakładów produkcyjnych, platform wiertniczych i kwater dla pracowników. Agu wiele razy okrążał ją na patrolach. Zazwyczaj panował na niej hałas i zamieszanie. Teraz była opuszczona i cicha. Wielki statek również wydawał się nienaturalnie cichy. Agu zauważył, że wcale nie czuje ostrego smrodu ropy z rzekomego wycieku. Za to pojawiła się dziwna słodycz.

– Gdzie jest ropa? – spytał Akunna, chwytając za ramię jednego z nafciarzy. – Nie widzę jej. Nawet jej nie czuję!

– *Ah-ah*, byliśmy tam wszyscy – odpowiedział nafciarz, wyślizgując się z uchwytu Akunny.

Na imię miał Biko, na cześć południowoafrykańskiego działacza przeciwko apartheidowi, Steve'a Biko. Niestety, Biko nie był mieszkańcem Afryki Południowej, tylko Igbo, a w języku igbo słowo „biko" znaczyło „proszę". Znienawidził ojca za nadanie mu tak głupiego imienia. Wydawało mu się, że całe życie błaga ludzi, by go wysłuchali.

– Wycieku ropy nie da się pomylić z niczym, *o*. Proszę, musicie nam uwierzyć. Zajrzyjcie na *Mystras*. Ludzie nadal tam są. Opowiedzą wam!

– On ma rację. Musieliśmy ewakuować to miejsce z powodu gromu, ale na pewno był wyciek – powiedział inżynier Rafiu.

Czuł mdłości. Wiedział, że nigdy nie pozbędzie się poczucia winy z powodu porzucenia platformy wiertniczej, która wypluwała ropę do wody. Został inżynierem, by ocalić środowisko. Przetarł spoconą twarz chusteczką.

– Zaświeciliśmy na wodę. Widzieliśmy, jak się podnosi. Zamierzałem…

Szeregowy Akunna uniósł rękę.

– Sza, sza.

Wszyscy nasłuchiwali, unosząc się na wodzie około stu metrów od platformy.

Cisza.

– Chyba powinniśmy zawrócić – zaproponował znów Agu.

– Zamknij się! – krzyknęli wszyscy.

– To w takim razie choć zdejmijcie mi kajdanki! – nalegał Agu. – Dokąd ucieknę?

Akunna popatrzył na Agu z odrazą. Mimo to sięgnął do kieszeni i serce Agu wypełniła nadzieja.

Głos szeregowego Juliusa zatrzymał dłoń szeregowego Akunny.

– Słyszałeś to? – wyszeptał.

Agu przeszedł dreszcz po plecach. Ze wszystkich na pokładzie tej łodzi tylko on go rozpoznał. Odgłos metalu na szkle. Hałas dochodził z wody z boku łodzi.

– Zdejmij mu kajdanki – powiedział Akunna, oddając kluczyk Biko. Sam wyjrzał za burtę razem z Juliusem.

– Widzicie to? – spytał Julius, wskazując na coś w wodzie.

Rafiu dołączył do nich. Gdy tylko Biko zdjął mu kajdanki, Agu przesunął się na środek łodzi. Biko podszedł do burty razem z pozostałymi.

Świst!

Minęło całą czwórkę i otarło się o ramię Agu, zanim wpadło do wody po drugiej stronie łodzi. Agu poczuł pieczenie i spojrzał na ramię. Z długiej na siedem centymetrów rany w pobliżu łokcia sączyła się krew. Agu błyskawicznie zorientował się, co się stało. Rzucił się na dno i przekręcił głowę w taki sposób, że zdążył jeszcze zobaczyć pięćdziesiąt latających ryb wystrzeliwujących z wody jak zatrute strzałki.

Zamknął oczy i zasłonił uszy, nadal jednak słyszał mięsisty odgłos ryb przecinających ludzkie ciało i udręczone krzyki pozostałych.

ŁUP!

Cała motorówka zadrżała, a jej dno popękało pod ciałem Agu. Kolejne uderzenie przewróciło łódź i wszyscy zostali wyrzuceni do wody, w której kłębiło się obce i potworne życie. Otworzywszy oczy, Agu zorientował się, że jest uwięziony w wodzie pod łodzią. Widział ogromną istotę przypominającą włócznika, która niemal swawolnie wbijała swój wyrostek w łódź. Później zobaczył coś straszliwego. Rekin odgryzał ramię Biko. Wtedy szeregowemu Agu zabrakło powietrza w płucach i już nic nie widział.

Rozdział dwudziesty

Oblężenie

– Kiedy dotrzecie na miejsce, zaczekajcie na mnie – powiedział Benson.

Wciąż byli w drodze do domu Adaory. Benson wykorzystywał jej komórkę, żeby rozmawiać ze swoimi ludźmi, którzy już tam dotarli. Nienawiść Adaory do mężczyzny osiągnęła szczyt.

– Co?! – wrzasnął do telefonu. Adaora wyobrażała sobie, jak jego ślina rozbryzguje się na mikrofonie. Obrócił się na siedzeniu i spiorunował ją wzrokiem. – Co wy narobiliście? – wykrzyknął. – Powiedzieliście całemu cholernemu światu?

Jego złość sprawiła jej sporą przyjemność. Czyli Anthony'emu się udało.

– Gdyby pan nas posłuchał zamiast…

Benson zignorował ją i dalej warczał do telefonu.

– To nie problem – powiedział. – Jest tylko jeden. To nie może być trudne. Bądźcie w gotowości. Prezydent wyląduje na lotnisku w Lagos około szóstej rano. – Przerwał i spojrzał na zegarek. Adaora też rzuciła okiem na swój. Siedemnasta dziewiętnaście. – Łapiemy go, zamykamy i przewozimy do więzienia Kirikiri. Tylko nic nie spierdolcie. – Zatrzasnął klapkę jej komórki i powiedział ze złowrogim błyskiem w oku: – Szeregowy Agu trafi za to na jakiś czas do więzienia.

* * *

Minęło dziesięć minut, a Moziz i pozostali nadal siedzieli w samochodzie. Bez klimatyzacji wnętrze zaczynało przypominać saunę. Moziz miał ochotę walnąć łbem w kierownicę. Bolała go głowa, a upalenie sprawiało, że zaczynał dostawać paranoi. Philo wysłała mu wiadomość, że owszem, w domu jest Anthony, ale również przynosząca pieniądze obca. Jak mieli porwać obcą w obecności wszystkich tych ludzi? Z każdą mijającą minutą tłum robił się coraz większy. Wydawało mu się nawet, że w odległości kilku metrów widzi trupę cyrkowców. Tolu miał ochotę zapomnieć o całym planie i rozejrzeć się za dziewczynami, ale nie chciał wkurzać Moziza. Jacobs chciał pieniądze. Czarny Węzeł mógł zaczekać. Troy zamierzał wysiąść z samochodu, znaleźć motocykl *okada* i ruszyć do domu kuzyna. Miał coś do zrobienia – honor kuzynki do pomszczenia, wojskowego do zabicia. Jego komórka zawibrowała – SMS od brata kuzynki, gotowego dołączyć do polowania na napastnika.

– Skupcie siem! – powiedział Moziz. – Zapomnijcie o Anthonym Dey Craze! *Na* wienksza ryba!

Na zewnątrz hałas jeszcze się wzmógł.

– Kurwa. Co teraz? – jęknął Moziz.

Odwrócili się i zobaczyli grupę około trzydziestu ludzi idącą od drugiego końca ulicy. Ci byli ubrani na biało i śpiewali chrześcijański hymn. Prowadził ich biskup z wielkim metalowym krzyżem. Moziz zamknął oczy i odetchnął głęboko. Później je otworzył i uruchomił silnik.

Jacobsowi zrobiło się niedobrze. Chrześcijańska procesja kierowała się prosto w stronę Czarnego Węzła. Wiedział, że Rome nienawidzi chrześcijan i często wdawał się gwałtowne kłótnie z każdym, kto mu podskakiwał. A Seven nie była lepsza. Obrażała każdego księdza, wielebnego, pastora, imama lub rabina, który choćby spojrzał w jej stronę. Czarny Węzeł nawet nie zauważył chrześcijańskiej procesji, bo kłócili się z grupą krzepkich gości. Jacobs wiedział, że powinien do nich pójść, dać im wsparcie. Nie ruszył się jednak i paskudnie się z tym czuł.

– Pojedziem dookoła – powiedział Moziz, gdy powoli odjeżdżali. – Wkradniem się od tyłu.

Biskup prowadzący trzódkę wydawał się trochę zwariowany. Moziz zauważył, że niektórzy z jego otoczenia robili wrażenie wściekłych. Przewrócił oczami. Ten typ ludzi zawsze się pojawiał, kiedy masy przestawały „cierpieć z uśmiechem na twarzach”.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Krowa morska

Agu trzymał się ze wszystkich sił najgrubszego zwierzęcia, jakie widział w życiu. Manat pachniał jak zanurzone w wodzie drewno cedrowe. Jego gruba mokra skóra była pomarszczona jak u słonia, twarda jak tablica korkowa i szorstka niczym papier ścierny. Płynął leniwie, na tyle blisko powierzchni wody, że Agu mógł utrzymać nad nią głowę. Wokół niego i pod nim w czystych wodach oceanu kłębiły się dziwaczne, niemożliwe stwory. Około metra pod nimi falowało coś, co wyglądało jak ogromny, czerwono-biały wąż.

– Co wyście zrobili z oceanem? – spytał Agu manata.

Czy potwory zaatakowały również platformę wiertniczą i statek? To był lud Ayodele i jej ziemscy sojusznicy? Ayodele była nie tylko zmiennokształtną, ale też kłamcą. Wcale nie przybyła w pokoju.

Odpowiedź manata usłyszał w głowie, jak głos dziecka przez komórkę.

– Zobaczysz – powiedział.

Rozdział dwudziesty drugi

Spokój

Moziz zaparkował w wąskiej uliczce na tyłach domu. Philomena czekała przy drzwiach.

– Załóżcie z powrotem maski! – polecił Moziz.

Wszyscy poza Troyem wysiedli z samochodu i wbiegli do środka. Troy usiadł za kierownicą i czekał, aż pozostali wyjdą z obcym. Jego komórka zawibrowała, ale w tej chwili nie myślał o gwałcie na kuzynce.

* * *

Kola filmowała Ayodele, która stała przy oknie i obserwowała tłum. Starając się trzymać kamerę nieruchomo, dziewczynka poprawiła kontrast, powoli ściemniła obraz i przechyliła kamerę do góry, by móc przetrzeć obiektyw brzegiem koszulki. Doskonale się bawiła. Znów włączyła sprzęt, by sfilmować tłum na zewnątrz. Zrobiła najazd na mężczyznę w bieli, który stał przed bramą z szeroko rozłożonymi rękami.

– Ojciec Oke – wyszeptała Kola.

Zachichotała. Wyglądał naprawdę idiotycznie i robił wrażenie spoconego. Otaczali go inni ludzie, także w bieli. Dwóch z nich kłóciło się z bardzo wysoką kobietą, która wyglądała jak modelka, i kobietą, która była ubrana jak mężczyzna, ale mimo to wyglądała jak kobieta. Jeden z mężczyzn w bieli spoliczkował wysoką kobietę, na co ona uderzyła go pięścią w twarz, tak mocno, że poleciał w tłum. Kola uśmiechnęła się i zrobiła najazd na nich. Cóż za dramatyzm, jak w tych filmach z Nollywood, które jej matka tak bardzo lubiła, a których ojciec nie znosił.

Przez tłum powoli przeciskał się samochód, irytując ludzi dookoła. Drzwi się otworzyły i ze środka wysiadło pięć osób, jedna elegancko ubrana kobieta i czterech mężczyzn w garniturach. Mieli w rękach notatniki i natychmiast zaczęli rozmawiać z ludźmi i fotografować.

– Ludzie z gazety! – wykrzyknęła Kola.

Zrobiła najazd na jednego z dziennikarzy, kiedy podszedł do jednego z ludzi w bieli, który nie brał udziału w bójce. Dziennikarz coś powiedział, a kilku ludzi w bieli natychmiast zaczęło na niego wrzeszczeć, aż cofnął się wstrząśnięty.

– O, to jest niezłe! – powiedziała dziewczynka ze śmiechem.

Ayodele nie zwracała uwagi na Kolę, gdyż z zadowoleniem

wpatrywała się w tłum.

Anthony siedział na krześle z Fredem, bez przerwy wybierając numery Adaory i Agu.

– Cholera, cholera, cholera! Co się dzieje? To jakiś burdel! – wysyczał, kiedy po raz dwudziesty nikt nie odebrał. Spojrzał na Freda. – Przepraszam, *o* – powiedział i poklepał chłopca po głowie.

Fred się uśmiechnął.

– W porządku – powiedział. – Słyszałem, jak rodzice wypowiadają te słowa. Zwykle, kiedy je mówią, mają ważny powód.

Anthony odpowiedział uśmiechem i ponownie poklepał chłopca po głowie. Podniósł wzrok i jego spojrzenie padło na Philo. Z szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w wejście do kuchni. Podniósł się powoli, jego dłoń zsunęła się z głowy Freda. Odepchnął chłopca za siebie.

– Co ty…

Z kuchni wypadli mężczyźni w czerni.

– Prosze, wszyscy majom zachować spokój – powiedziała Philo wysokim głosem i odsunęła się na bok, by przepuścić Moziza i pozostałych.

– Nikomu nie chcem zrobić krziwdy!

Moziz i Troy trzymali pistolety. Philo wskazała na Ayodele.

– *Na* ona.

– Wszyscy na ziemie, już! – krzyknął Moziz, celując w Ayodele.

Ayodele gapiła się na niego tępo i nie poruszyła się. Ale Kola i Fred padli na podłogę, jakby od tego zależało ich życie. Anthony uniósł ręce i odezwał się najspokojniej, jak mógł:

– O co chodzi?

– Kłać siem! – rozkazał Moziz.

– *E! Na* Anthony Dey Craze, *o!* – wykrzyknął Tolu, opuścił pistolet i się uśmiechnął.

Rozproszony Moziz zamrugał i znów spojrzał na Anthony'ego.

– Cholera – powiedział, opuszczając broń.

– Kupiłem wszistkie twoje płyty! – wykrzyknął Tolu.

Moziz trzepnął go w bok głowy.

– I *kukuma* poproś *am* o autograf! – Popatrzył na Anthony'ego. – Przikro mi, Anthony. Ale ty też musisz położić siem na podłodze. Nie zrobim wam krzywdy. Chcemy tylko te kobiete. – Wskazał na Ayodele, która nadal się nie poruszyła.

– Prosze – powiedział do niej Moziz. – Choć z nami.

– Czego ode mnie chcecie? – spytała Ayodele. Przechyliła głowę i przeszła na pidżyn. – *Wetin una* ode mie chcecie?

– Pogadamy, kiedy wyjdziem na zewnontrz. Tylko.

– Nigdzie z *una* nie ide – warknęła.

Moziz spojrzał na Tolu i Jacobsa, lekko skinął głową. Cała trójka

rzuciła się na nią. Natychmiast zamarli. Moziz miał wrażenie, jakby dom był pełen tych głośnych owadów, które hałasowały na drzewach, a wszystkie piszczały w straszliwej harmonii. Zacisnął dłonie na uszach i upuścił pistolet. Miał szeroko otwarte usta i przytłumiony słuch, gdy na jego oczach kobieta... ona... roztopiła się? Roztopiła! Implodowała? Zdezintegrowała się? Na jego oczach. Wyparowała w coś małego na podłodze. Zielone... Zmrużył oczy. Zielona jaszczurka.

Tolu stał z pistoletem w ręku i odsłoniętymi uszami, i piszczał jak mała dziewczynka.

– Widzieliście?! – krzyknął Jacobs.

Zdjął maskę, a jego twarz była mokra od potu.

– Łapać *am!* – krzyknął Moziz.

W pokoju zapanował chaos, gdy cała trójka rzuciła się za jaszczurką. Umysł Moziza był pusty, cały jego świat ograniczył się do skupienia na niemożliwym, jaszczurce, która wcześniej była kobietą. Zabrać ją i uciec. Najpierw była kobietą. Teraz była jaszczurką. Złapie jaszczurkę.

Philomena stała i patrzyła jak Moziz szamoce się po pokoju, goniąc jaszczurkę. Jak dziecko. Jego nogi wydawały się krótkie i chude, i uświadomiła sobie, jaki jest przysadzisty, jak pozbawiony wdzięku, a jego brzuszek kołysał się, gdy biegał. Westchnęła i opuściła ramiona. Czuła ściskanie w żołądku. Moziz był tylko kolejnym z Area Boys.

Przewrócili wazony i odepchnęli na bok ławę. Podeptali poduszki. I cały czas przeklinali. Anthony chwycił dzieci za ręce i podbiegł do frontowych drzwi. Kiedy je otworzył, przywitały go podekscytowane okrzyki fanów.

BANG!

Kola zapiszczała, a Fred skulił się u jej stóp. Anthony popchnął dzieci za siebie.

– Nie podnoście głów – powiedział, gorączkowo szukając wzrokiem strzelającego.

Tolu stał przy kanapie i strzelał do biegającej jaszczurki.

– *Biko!* Nie szczelaj do *am!* Chcemy *am* żiwom! – krzyknął Moziz.

Tolu miał oszalałe spojrzenie.

– Ona zła, *o!* – bełkotał i szaleńczo machał pistoletem, próbując nadążyć za jaszczurką. – Mamy zabić *am! Kai!* Zabić *am!* – Znów pociągnął za spust.

BANG!

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknął Jacobs. – Przestań!

Anthony, Kola i Fred wciąż próbowali ocenić, którędy najbezpieczniej uciekać, kiedy jaszczurka wybiegła za drzwi między nogami rapera.

* * *

Kiedy Adaora wysiadła z samochodu Bensona, od razu pomyślała, że na ulicy przed jej domem trwa karnawał. Nawet powietrze pachniało rozkosznie świątecznie. Handlarze sprzedawali szaszłyki suya, smażone banany, gotowane jajka, fantę, piwo. Jedna kobieta rozstawiła się nawet dokładnie naprzeciwko jej domu. Sprzedawała fufu i coś, co wyglądało jak zupa egusi, ryż jollof i inne ciepłe potrawy. I chyba robiła niezły interes. Co najmniej dziesięć osób czekało w kolejce.

Wszędzie wokół kręcili się młodzi ludzie, śmiali się, rozmawiali, palili, pili. Dwaj starannie ogoleni mężczyźni w białych ludowych strojach i dobranych czapkach stali obok siebie pośrodku ulicy i krzywili się z odrazą.

– Powinniśmy wracać do meczetu – powiedział jeden.

Drugi pokiwał głową, ale żaden się nie ruszył.

Większość tłumu gapiła się na jej dom.

– Anthony DEY CRAAAZE! Anthony DEY CRAAAZE! – skandowali niektórzy, po czym zaczęli się śmiać.

Ale mimo radosnej atmosfery, nie wszystko było w porządku. W pewnej odległości od bramy stała kolorowa grupka ludzi, którzy wyglądali, jakby mieli kłopoty. Wysoka kobieta krwawiła z nosa. Czy była tam jakaś bójka? Adaora zmrużyła oczy. Kilkoro z grupy niepewnie przytrzymywało tęczowy transparent z dużą wirującą czarną kulą pośrodku. Przypomniała sobie podobne flagi z odwiedzin w San Francisco. Organizacja gejowska? W Lagos? Widziała kobiety w garniturach, a mężczyzna stojący obok nich miał różową koszulkę i… skórzane kozaki do pasa? Cóż, to jednocześnie odważne i głupie, pomyślała Adaora, marszcząc czoło. Ktoś im skopie tyłki albo i gorzej. Przez chwilę miała zamiar poprosić Bensona, by wysłał swoich ludzi na pomoc, ale zaraz uświadomiła sobie, że to równie głupi pomysł. Lepiej nie zwracać uwagi wojskowych.

Ojciec Oke i jego parafianie zagarnęli przestrzeń bezpośrednio przed jej domem. Śpiewali, modlili się, kołysali i klaskali. Niektórzy szydzili z grupki z gejowskimi symbolami. Większość błagała, by „Ayodele kosmitka” wyszła do nich, by mogli ją objąć i przyjąć do swojego kościoła. Adaora była jednak gotowa przysiąc, że kilku z nich wołało, by „plugastwo” „pokazało swoją pogańską twarz”. Zły znak.

Równie złym znakiem było dziesięć wojskowych ciężarówek i samochodów zaparkowanych w pobliżu. I idący w stronę Bensona żołnierze z kałasznikowami. Benson gestem kazał im czekać. Chwycił Adaorę za ramię.

– Chodź – powiedział, ciągnąc ją w stronę jej własnego domu.

– Nie musi pan być tak brutalny – warknęła.

Znajdowali się kilka metrów od płotu, kiedy cały tłum nagle się

ożywił i rzucił w stronę bramy.

– Anthony Dey Craaaaaaze! Anthony Dey Craaaaze! – wrzeszczeli ludzie.

– Trzymaj się mnie! – ryknął Benson, ciągnąc ją w stronę płotu z kutego żelaza, ale z dala od frontowych drzwi domu.

Na szczęście brama wciąż była zamknięta, bo inaczej frontowe podwórze zostałoby stratowane. Udało im się wydostać ze ścisku, ale nadal mieli dobry widok na podwórko. Patrzyli, jak z domu wychodzą wysoki, chudy mężczyzna o ciemnej skórze, dziewczynka z warkoczykami i chłopczyk w piżamie. Anthony, Kola i Fred. Kola niosła kamerę Adaory i mimo niebezpieczeństwa filmowała ten chaos. Anthony niepewnie oglądał się za siebie, w stronę domu.

– Fred! Kola! – krzyknęła Adaora i próbowała rzucić się do przodu, ale Benson trzymał ją za ramię.

– To moje dzieci! – wrzasnęła na niego.

– Przyprowadź nam tego stwora i możesz pójść do dzieci.

– Kochamy cię, Anthony! – krzyknęła jakaś kobieta.

– Niech pan mnie do nich puści! – warknęła Adaora, próbując się od niego oderwać. – Przyprowadziłam was na miejsce, prawda?

– To ja nas tu przywiozłem – powiedział. Ale puścił jej ramię. – Moi żołnierze otoczyli to miejsce. Nie próbuj uciekać, oni wiedzą, jak wyglądasz.

Adaora zrobiła krok w stronę bramy, kiedy ktoś znów chwycił ją za ramię. Odwróciła się, gotowa wbić paznokcie w dłoń Bensona, gdyby okazało się to konieczne. To nie był Benson.

– Chris?

Oczy miał oszalałe, wybałuszone. Zauważyła, że nie odział się w biel. Nosił te same dżinsy i koszulę od garnituru, które miał na sobie poprzedniego dnia, kiedy ją spoliczkował.

– Fred i Kola są w niebezpieczeństwie! Puszczaj mnie!

– Śledziłem cię – warknął. – Kim jest ten mężczyzna? Kolejny z twoich chłopaków? Ilu ich właściwie masz?

Adaora spojrzała w stronę Freda i Koli.

– Nie widzisz, że dzieci są... Puszczaj mnie!

Posłała Bensonowi błagalne spojrzenie. Uśmiechnął się drwiąco, zanim ruszył w stronę Chrisa.

– Przepraszam pana, ale pana żona musi pójść ze mną – powiedział Benson do jej męża. – To ważna sprawa. Wojskowa.

Chris zachowywał się, jakby Benson w ogóle nic nie powiedział.

– Nic, tylko kurwiąca się wiedźma! – rzucił w jej stronę. – Widziałem cię z nim w samochodzie, z tym drugim mężczyzną...

Kiedy Adaora przygotowała się na kolejny policzek, usłyszała dochodzący z podwórka odgłos metalowych kulek na szkle. Nawet z tej odległości zrobiło jej się niedobrze. Kilka osób z jej otoczenia

rzeczywiście się odwróciło, żeby zwymiotować. Adaora jednocześnie poczuła ulgę. Doskonale wiedziała, co się dzieje. Sytuacja wyglądała tak, że coś musiało pęknąć. Coś musiało się wtrącić. I coś właśnie zamierzało to zrobić.

– Ayodele – wyszeptała. – Dzięki Bogu.

Wszędzie wokół ludzie zaczynali krzyczeć i przyciskać dłonie do uszu, gapiąc się na podwórko Adaory. Słyszała trzaski odbezpieczanej i unoszonej broni. Ale jedyne, co widziała, to pomarszczona, wyniszczona, nieogolona, rozwścieczona twarz męża, gdy chwycił ją za ramię i rzucił nią o płot.

* * *

Moziz spojrzał przez otwarte drzwi na wzbierający tłum.

– Musim siem stont wynosić, *jo!* – krzyknął. – Już!

Na jego słowa Ayodele jaszczurka stała się Ayodele kobietą. Tolu zaskomlał, wciąż ściskając broń, i wycofał się do domu. Wszyscy podążyli za nim, także Philo, uciekli w głąb domu i tylnymi drzwiami do Troya, który czekał w samochodzie Moziza.

– Gdzie ona? – spytał Troy, gdy wskoczyli do nissana.

– Jeć! – krzyknął Moziz.

Wydostali się dokładnie na minutę przed tym, jak żołnierze i policja zalali wąską uliczkę za domem Adaory, niczym fala zalewająca plażę.

Rozdział dwudziesty trzeci

Powitania

Tym razem, gdy ją zaatakował, nie wydarzyło się nic magicznego. Nie powstrzymała go żadna tajemnicza siła ani nic w tym rodzaju. Z drugiej strony, tym razem nie czuła strachu, rozpaczy ani wstrząsu. I nie była z nim sama w domu, jak poprzedniej nocy – wokół niej byli żołnierze i tłum. Mimo to, jak sobie uświadomiła, spodziewała się, że dziwna moc zadziała, gdyby było to konieczne. Ona mogła to sprawić.

O Boże, pomyślała.

Dopiero dwóm żołnierzom udało się ściągnąć Chrisa z Adaory. Rzucili go na ziemię. Adaora chwyciła się bramy, by złapać równowagę. Gapiła się na mężczyznę, z którym przeżyła ponad dziesięciolecie, a który aż do poprzedniego wieczoru nigdy nie podniósł na nią ręki.

– Wiedźma! – załkał Chris, gdy żołnierz przycisnął mu głowę do betonu.

Benson wziął ją za ramię, delikatniej niż wcześniej.

– Chodź – powiedział. – Przejdźmy do przodu. Może tobie uda się coś poradzić.

Nie mieli problemów z przedostaniem się przez urzeczony tłum fanów, chrześcijan, żołnierzy, członków Czarnego Węzła, ciekawskich przechodniów i prasy. Nawet ojciec Oke był oniemiały, zupełnie zapomniał o metalowym krzyżu w dłoniach.

Tam, gdzie przed chwilą znajdowała się niewielka zielona jaszczurka, stała teraz kobieta. Ayodele, pośrodku trawnika, wpatrzona w tłum.

* * *

– Mamusia! – krzyknął Fred, kiedy dojrzał Adaorę przez płot.

Anthony zmrużył oczy i pomachał. Adaora również mu pomachała. Przynajmniej żyje, pomyślał Anthony. Nim udało mu się zatrzymać chłopca, syn Adaory pobiegł przez trawnik do matki. Anthony nie odważył się ruszyć. Tłum był oszołomiony, zdezorientowany, przerażony. Wszystko mogło spowodować wybuch. Wystarczy, jeśli będą widzieć, że tam stoi, nie musiał nic robić.

Kiedy Fred pobiegł w stronę Adaory, Ayodele spojrzała na Kolę, która nadal ją filmowała.

– Dobra robota, Kola – powiedziała; dziewczynka uśmiechnęła się i wciąż nagrywała. – Widzisz swoją matkę? – Wskazała, i Kola

spojrzała.

– Mama! – powiedziała Kola i pomachała.

Adaora pomachała wolną ręką. Fred do niej dotarł i trzymał ją przez płot za drugą rękę.

– Zwróć kamerę w moją stronę, Kola – poleciła Ayodele.

Dziewczynka pokiwała głową i uniosła kamerę. Zostało jej około dwóch godzin działania baterii, sprawdziła to wcześniej.

Ayodele spojrzała na urzeczoną widownię. Uniosła brodę i się uśmiechnęła.

– Witajcie, mieszkańcy Lagos – powiedziała.

Rozdział dwudziesty czwarty

Powitania

W kafejce internetowej w Lagos byli ci sami ludzie co zawsze. Właściciel, Nonso Daouda, który siedział za ladą i z ogromnym wysiłkiem, choć bez większego sukcesu, usiłował nie widzieć, co jego klienci robią ze swoimi komputerami i łączami internetowymi. Oprócz niego około dwudziestu mężczyzn w wieku od dziewiętnastu do czterdziestu lat – wysyłali maile i wiadomości, czatowali lub szukali informacji. Część była czysta, jednak większość zajmowała się taką czy inną odmianą 419. Do tego jedna kobieta rozmawiająca ze swoim chłopakiem za granicą. Wszyscy obecni byli w tym samym miejscu również poprzedniego dnia i robili dokładnie to samo.

Nagle wszystkie ekrany zamrugały. Kiedy uruchomiły się ponownie, pokazywały twarz młodej kobiety, która mówiła o sobie Ayodele. Wszyscy w kawiarni usiedli wygodniej, oglądali i słuchali. Jeden chłopak, który właśnie wysyłał SMS do siostry, wpatrywał się w piękną kobietę z długimi warkoczykami na ekranie komórki.

– WYLĄDOWALIŚMY TU W NOCY – powiedziała kobieta, a jej dziwny głos był gładki i pewny siebie. Obraz zakołysał się nieco. Było oczywiste, że ktoś trzyma kamerę i bardzo stara się utrzymać ją nieruchomo. – SPOZA ZIEMI. Z KOSMOSU. NAZWIECIE NAS OBCYMI. JESTEŚMY GOŚCMI, KTÓRZY PRAGNĄ ZOSTAĆ OBYWATELAMI… TUTAJ. WYBRALIŚMY TUTAJ. JESTEM PIERWSZĄ, KTÓRA PRZYBYŁA, I WITAM WAS.

* * *

Restauracja w Lagos podawała wszystko, od tradycyjnych nigeryjskich dań po chińszczyznę. Odwiedzali ją zarówno cudzoziemcy, jak i miejscowi. To właśnie zapewniało „The Tribe's Calabash" reputację i popularność. Dziś wszystkie miejsca były zajęte, ale w tej chwili nikt nie jadł i nie rozmawiał. Ci, którzy nie gapili się na panoramiczny ekran telewizora HD na ścianie, wpatrywali się w komórki, laptopy, prototypy iPada, nawet czytniki e-książek, które wyświetlały to samo, nieco niestabilne nagranie.

– PRZEPRASZAM ZA HAŁAS NASZEGO PRZYBYCIA I PODNOSZĄCY SIĘ POZIOM WÓD, KTÓRY JEST SKUTKIEM NASZEGO LĄDOWANIA – powiedziała Ayodele. – NIKT WAS NIE ATAKUJE. I NIKT SIĘ TERAZ NIE ODWAŻY. WIEJE WIATR ZMIAN. MY JESTEŚMY ZMIANAMI. ZOBACZYCIE.

* * *

Na ruchliwym targowisku w Abudży w centralnej Nigerii ludzie tłoczyli się przed niezgrabnym telewizorem, który stał na wystawie budki z używaną elektroniką.

– W CIĄGU NIECAŁYCH DWUDZIESTU CZTERECH GODZIN WIDZIAŁAM WŚRÓD WAS MIŁOŚĆ, NIENAWIŚĆ, CHCIWOŚĆ, AMBICJĘ I OBSESJĘ – powiedziała Ayodele. – WIDZIAŁAM WSPÓŁCZUCIE, NADZIEJĘ, SMUTEK, NIEPEWNOŚĆ, SZTUKĘ, INTELIGENCJĘ, POMYSŁOWOŚĆ, KORUPCJĘ, CIEKAWOŚĆ I PRZEMOC. TO JEST ŻYCIE. MY KOCHAMY ŻYCIE.

* * *

Unoma jechała starym, ale cudownie niezawodnym kremowym peugeotem po autostradzie Lagos i słuchała piosenki Anthony'ego Dey Craze, kiedy jej komórka zawibrowała. Gdy otworzyła klapkę, by odebrać, na ekraniku pokazało się nagranie Koli.

Unoma z trudem utrzymywała wzrok na drodze.

– Co do…

– PROSZĘ, POSŁUCHAJCIE MNIE – mówiła Ayodele. – ZASTANÓWCIE SIĘ NADE MNĄ, ZASTANÓWCIE SIĘ NAD NAMI. PODOBNIE JAK WY MACIE DUŻO DO ZAOFEROWANIA, TAK I MY MAMY.

Unoma zjechała na pobocze, by oglądać Ayodele na komórce. Przed nią stało kilkanaście innych samochodów, które też zjechały. W każdym siedzili ludzie wpatrzeni w telefony.

* * *

W Lagos ojciec, matka i syn siedzieli w salonie, oglądając obcą na ekranie starego telewizora. Dorośli zastanawiali się, czy to, co widzą, jest prawdą. A może ta kobieta w telewizji, która twierdziła, że jest z kosmosu, była wyszukanym żartem? Matka przerzucała kanały, a obca mówiła na każdym z nich. Ale jak mogła przejąć wszystkie nadajniki w Nigerii?

Chłopiec chłonął każde słowo. A czemu nie? To było takie super, *sha!*

– PRZYBYWAMY, BY WAS ZJEDNOCZYĆ I DAĆ WAM ENERGIĘ NA PRZYSZŁOŚĆ – powiedziała Ayodele. – WASZA ZIEMIA JEST PEŁNA ENERGII, KTÓRA WAS ROZRYWA.

* * *

W Arabii Saudyjskiej prezydent Nigerii, pierwsza dama i dwaj urzędnicy, Yuusuf i Nicholas, siedzieli w szpitalnym pokoju prezydenta i oglądali Ayodele na komórce Yuusufa. To była tania komórka, którą kupił w Lagos. Nie włączał jej od tygodni, od kiedy przybył z prezydentem do Arabii Saudyjskiej. A czemu miałby, skoro jego sieć nie sięgała poza Nigerię? Ale kilka minut temu telefon sam się uruchomił i zaczął przekazywać niezwykłą wiadomość od dziwnej kobiety.

– NIE PRZYBYLIŚMY PO ROPĘ NAFTOWĄ ANI WASZE INNE SUROWCE – powiedziała. – JESTEŚMY TU, BY PIELĘGNOWAĆ WASZ ŚWIAT.

W umyśle prezydenta pojawiła się jedna myśl. Benson mówił prawdę.

* * *

Ayodele popatrzyła na ludzi. Kola stała tuż przed nią z kamerą, więc wydawało się, że gdy kobieta patrzyła na tłum zgromadzony przed nią, patrzyła na wszystkich ludzi oglądających ją na dużych i małych ekranach w całym Lagos. Wyraz twarzy Ayodele był poważny, niemal groźny. Głęboki.

– CO WIĘC ZROBICIE? – spytała Ayodele.

Jej urzeczona widownia milczała.

I wtedy… *BUM!*

Rozdział dwudziesty piąty

Zamknięta plaża

Bar Beach była opustoszała. Postawiono barykady, które uniemożliwiały dostęp. Minutę po drugim wielkim gromie dźwiękowym wojskowi i policjanci, którzy strzegli tego miejsca, upuścili swoje komórki lub schowali je do kieszeni i uciekli. Hałas był ogromny. Większy i głębszy niż poprzedniej nocy. Roztrzaskał wszystkie szyby w domach i samochodach w promieniu półtora kilometra. Ptaki, owady i nietoperze spadały na ziemię, psy szczekały, koty się chowały, jaszczurki uciekały, kilka odmian bakterii zginęło, a inne zaczęły się rozmnażać. Tym razem dźwięk był tak głęboki, że wiele ze słabszych organizmów wielokomórkowych w częściach oceanu najbliższych źródła zostało unicestwionych.

Jedynie szeregowy Agu siedział na plaży, kilka metrów od brzegu, i ociekał wodą. Rozcięcie na czole znów zaczęło krwawić, ale opuchlizna twarzy się zmniejszyła... trochę. Krowa morska pozostawiła go około trzystu metrów od plaży. Kiedy zaczął płynąć do brzegu, prąd odpływowy niemal pociągnął go z powrotem na otwarte morze. Na szczęście wiedział, że musi płynąć równolegle, i udało mu się dotrzeć na brzeg.

Wypełzł z wody i odwrócił się, szukając wzrokiem krowy morskiej. Zniknęła. Pewnie nawet nie widziała jego krótkiej szarpaniny w wodzie. I wtedy właśnie usłyszał grom. Pozbawił go równowagi i rzucił twarzą na piasek. Leżał tak przez dłuższy czas, słysząc dzwonienie w uszach. Nie osłonił ich. Nie wytarł krwi z twarzy. Na chwilę zapomniał o powrocie do domu Adaory, by ich odnaleźć – Adaorę, Anthony'ego i być może złą Ayodele. Jedynie siedział na plaży. Przez prawie dwadzieścia minut siedział na plaży.

W końcu zorientował się, co się dzieje. Zmrużył oczy, wpatrując się w morze. Z początku widział jedynie malutkie, falujące światełka na tle ciemniejącego morza. Później zorientował się, że nie jest już sam na plaży. Pojawili się na niej ludzie z komórkami i latarkami. Słyszał podekscytowane głosy.

Z tyłu, na ulicy, rozległ się trzask, ale uwagę Agu przyciągnęło coś, co leżało na plaży, wielkie i czarne na tle świateł miasta. Czy to był kolejny potwór? Widział ich mnóstwo w morzu, gdy manat niósł go w stronę plaży. Ale jeśli tak, to dlaczego byli tu ci ludzie? To coś było czarne, duże jak autobus i tłoczył się wokół niego tłum.

– Wieloryb? – wyszeptał, bardziej mrużąc oczy.

Nic to nie dało. Wstał i zatoczył się w stronę wielkiej sterty, ale

wtedy nogi się pod nim ugięły i usiadł ciężko na piasku.

Od strony sterty na plaży biegł mężczyzna. Zmienił kierunek i podbiegł do Agu, na jego twarzy malował się szeroki uśmiech. Niósł w ramionach kawał czegoś białawego.

– Z ulicy przziszedłeś? – spytał.

– Nie – odparł Agu.

Mężczyzna się roześmiał.

– A wyglondasz, jakbyś przziszedł z ulicy. Nieważne, *sha*, nie ma *wahala*. Ludzie som szaleni. *Na*, tylko Bóg daje. A z wody wyszła duża ryba. Ryba pysk ma jak autobus, ale mnóstwo miensa na ciele.

– Co…?

– Ić po swoje zanim inni jom wykończom, *o!* – powiedział mężczyzna.

Ruszył dalej ze swoim mięsem, nim Agu zdążył się odezwać. Miał wrażenie, jakby świat odwrócił się do góry nogami. Wszystko wydawało się jak we śnie. Spojrzał w stronę ulicy. Okolicę rozświetlał płonący budynek. Widział i słyszał ludzi kłębiących się na ulicach i klaksony samochodów, które próbowały się przebić. To wyglądało na zamieszki. Tu jednak ci ludzie rozcinali na kawałki coś, co mogło być jedynie wielorybem. Nawet w tak wielkim chaosie, ludzie wciąż byli ludźmi. Nadal byli głodni i chcieli wykorzystać sytuację.

Kiedy tak siedział, widział sylwetki w wodzie, podświetlone ostatnimi promieniami słońca, kierujące się w stronę lądu. Rosły, wznosiły się z fal, przybierały rozpoznawalne kształty. Ludzkie kształty. To byli ludzie, setki ludzi wychodzące z oceanu prosto na Bar Beach. Najpierw byli mokrzy. Później już nie. Przynajmniej tak to widział Agu w coraz słabszym świetle. Niektórzy mijali go w odległości zaledwie kilku kroków. Inni szli dalej po obu stronach plaży. Część wyszła z wody kilka metrów od martwego wieloryba. Mieszkańcy Lagos byli tak zajęci zabezpieczaniem swojego kawałka mięsa, że nawet nie spojrzeli na kosmitów wychodzących z morza.

Niektórzy byli ubrani w różnego rodzaju tradycyjne stroje, niektórzy w mundury wojska i policji, inni w europejskie ubrania. Większość była Afrykanami, kilku Azjatami, jeden biały. Każdy był zupełnie suchy, a kiedy go mijali, Agu czuł zapach róż i wodorostów. Wszyscy mogliby udawać mieszkańców Lagos.

Szli plażą, a wówczas nad wodą wzniósł się olbrzymi obiekt, składający się z poruszających się, oleistych czarnych iglic i spiral, i brązowożółtych świateł. Pochłonął swym ogromem ciemniejący horyzont.

Dopiero wtedy ludzie krojący wieloryba przerwali pracę i podnieśli wzrok. Dopiero wtedy zabrali mięso i wynieśli się jak najszybciej.

Akt II

Przebudzenie

Prolog

Kolekcjoner Kości

Jak na tarantulę, nie jest bardzo duży. Przed pięciu laty stracił jedną z nóg w walce z nastecznikiem. Ale jest zdrowy. Dobrze żyje. Ten fragment lasu to dla niego dobre miejsce – pełne utuczonych, powolnych, soczystych ofiar, i wilgotnych, ciemnych miejsc, w których może je łapać.

Mimo to tarantula wierzy, że w życiu należy wykorzystywać wszystkie zmiany, które się pojawiają. Dlatego też ostrożnie stawia nogę na chłodnym chodniku – nogę obok miejsca po tej, którą stracił. Ta noga jest najbardziej czuła, zawsze tak było. Czuje nią duszę wielkiej pajęczej twórczyni tej ziemi, tej, która uplotła wszystko, co istnieje.

Na drodze nie ma wibracji. Żadnych zbliżających się ludzkich pojazdów. Wie jednak, że kiedy nadchodzą, są szybkie i ciężkie. Wiele razy przekraczał tę autostradę. I zawsze późnym wieczorem, kiedy powierzchnia jest chłodna. Jak teraz.

Mimo to za każdym razem ledwie unikał śmierci. Najpierw wyczuwał wibracje, a później na horyzoncie pojawiał się pojazd. Przedzierał się na drugą stronę, zastanawiając się, czy w końcu nadszedł czas na odrodzenie. Ale zawsze mu się udawało i doświadczał mięsistej, krwistej obfitości nowego kawałka lasu.

Dzisiaj znów nadszedł czas poszukać świeżego pastwiska. Wydarzyło się coś dynamicznego. Poprzedniej nocy poczuł wibrację tak intensywną, że całe jego ciało zadrżało z przyjemności. Później, przed kilkoma godzinami, poczuł jeszcze bardziej intensywną wibrację, aż po najdrobniejsze włoski na ciele, gruczoły przędne w odwłoku, spód każdej ze stóp. Wibracja była wspaniała. To było wezwanie do zmian.

Teraz odpowie na to wezwanie.

W chwili, kiedy jego czuła noga dotyka chodnika, zaczyna biec. Co dziwne, utrata nogi uczyniła go szybszym i zwinniejszym. To zawsze była jego przewaga przy zdobywaniu jedzenia i parzeniu się. Mimo fizycznego bólu i ciosu dla tożsamości, jakie wywołała utrata nogi, wie, że nastecznik zrobił mu przysługę.

Znajduje się dopiero w jednej trzeciej drogi, gdy rozlega się dudnienie. Wibracja. Ale nie smakowita wibracja ostatniej nocy czy tej sprzed kilku godzin. Ta jest przeciętna, spodziewana, nieciekawa. Tarantula biegnie szybciej, pewien, że przedostanie się na drugą stronę. Pewien swojej niezwykłej szybkości.

Trzask.

* * *

Kiedy samochód Adaory przejeżdża mały odcinek drogi między dwoma kawałkami lasu, ten odcinek autostrady Lagos-Benin swobodnie i wygodnie rozciąga swój stary, zmęczony asfalt. Zmiażdżone ciało wielkiej, siedmionogiej tarantuli wsiąka w jego ogrzaną słońcem powierzchnię jak świeży olej palmowy w gorący chleb.

Ayodele będzie zafascynowana tym aspektem swojego nowego świata. Jeszcze sobie nie uświadomiła, że poza istotami opartymi na węglu, Lagos zamieszkują też inni. Istnieją też większe stworzenia z ziemi, podłoża, morza, laguny i lądu. Ten odcinek autostrady nadał sobie imię Kolekcjoner Kości. Przeważnie kolekcjonuje kości ludzi i kości ludzkich pojazdów. Ale czasem podobają mu się również chitynowe kości pająków.

Rozdział dwudziesty szósty

Papa

Chłopiec tam był. Nie miał komórki. Nigdy nie zbliżył się do komputera. W ciasnym pokoiku, który dzielił z siedmioma innymi bezdomnymi chłopcami, nie było telewizora. Nie miał dostępu do żadnego ekranu, dużego czy małego. Nie został nawet zaszczepiony przeciwko polio. Ale był tam. Stał przed parkanem z kutego żelaza z setkami innych ludzi.

Po jego lewej stała grupka kolorowych, dziwnych ludzi, którzy kłócili się z grupką paskudnie wyglądających mężczyzn. A po jego prawej znajdowali się odziani w biel ludzie, którzy „narodzili się i odrodzili". Ludzie tego rodzaju prowadzili go do swojego domu, który był tak naprawdę kościołem, by karmić go utartym pochrzynem i bezmięsną zupą egusi, a jednocześnie opowiadać o magicznym białym mężczyźnie, który kiedyś mieszkał na pustyni.

Pomimo tych wszystkich interesujących rzeczy, które działy się wokół niego, skupiał się na czymś innym. Kobieta, o której wiedział, że nie jest kobietą, mówiła.

Papa, mężczyzna, który opiekował się nim i innymi chłopcami, przyprowadził go tu razem z czterema innymi, kiedy doszły go wieści, że przed tym domem jest zgromadzenie. Takie zgromadzenia były dobrym miejscem, by kraść i żebrać. Chłopiec nie umiał za dobrze kraść. Był zbyt powolny, zbyt rozproszony. Coś zawsze odwracało jego uwagę. Błyszczące buty kobiety, dziwny sposób mówienia mężczyzny, owad na ramieniu. I zapominał, co właściwie robi, czasami z ręką nadal w cudzej kieszeni.

Dziś rozproszyła go kobieta, która nie była kobietą. Zauważył ją, zanim jeszcze zaczęła mówić. Och, widział ją. Była jaszczurką, a później była kobietą. Widział, jak wybiega z domu jako jaszczurka, między nogami wysokiego mężczyzny o ciemnej skórze. Jego mózg nie umiał przetworzyć widoku malutkiej zielonej jaszczurki, która urosła i rozdęła się w tajemniczą kobietę o przerażającym spojrzeniu.

Niewyraźnie pamiętał ją z Bar Beach tuż przed tym, jak woda zabrała troje ludzi. Wspomnienie ukradzionych ludzi było silniejsze niż większość innych w jego głowie, ale nadal nie mógł zrozumieć tej, która była kobietą, która nie była kobietą. Nie mógł pojąć faktu, że widzi ją po raz drugi. Czuł jedynie niewyraźnie rozpoznanie i zaciekawienie.

Przycisnął twarz do płotu i słuchał, lecz ledwie pojmował to, co mówiła. Mimo to rozumiał, że jest świadkiem czegoś głębokiego,

podobnie jak wtedy, gdy pięść wody porwała z plaży troje ludzi. Jednym z tych ludzi był ten ciemnoskóry mężczyzna, między którego nogami przebiegła jaszczurka. To pamiętał.

Chłopiec uśmiechał się, gdy kobieta mówiła. Miała głos jak najsłodszy cukierek. Rzadko dostawał cukierki. Szczególnie lubił miętową gumę do żucia, rozjaśniała mu umysł. A kiedy żuł, poruszenia ust mówiły mu, że gdyby naprawdę, ale to naprawdę się postarał, mógłby mówić. Głos popłynąłby przez jego gardło jak ciepły miód i wydałby z siebie słowa, a one miałyby sens.

Tak, bardzo podobał mu się głos dziwnej kobiety. Kiedy się uśmiechał, poczuł ciepłą ślinę płynącą z kącików ust w dół brody. Gdyby jego opiekun zauważył ślinienie, uderzyłby go w tył głowy, ale chłopiec nic nie mógł na to poradzić. Nie teraz. Wyobrażał sobie, że może mówić, a to było warte kary.

Kiedy kobieta skończyła mówić, zapanowała cisza. Wszyscy wokół po prostu stali. Ale podobały mu się ich miny. Ludzie wpatrywali się z rozmarzeniem w kobietę na ekranach komórek. Obracał się we wszystkie strony. Zupełnie jakby był jedyną żyjącą istotą w morzu ludzi-drzew. Nikt się nie poruszał. Wszyscy uśmiechali się ciepło, jakby wyobrażali sobie urocze możliwości i zaskakujący potencjał. Jak i on sam.

– Widzicie, co przyniósł nam Pan? – spytał w końcu jeden z narodzonych i odrodzonych, przerywając milczenie.

Uniósł dłonie, przez co jego białe szaty się wydęły. Był krępy i nosił błyszczące buty z czarnej skóry. Takie buty nosili mężczyźni, którzy jeździli błyszczącymi, drogimi samochodami parkującymi na podjazdach tych otoczonych murem domów, do których chłopcu nie wolno się było zbliżać. Kiedy ostatnio mijał jeden taki dom, strażnik zaśmiał się szyderczo, wycelował w chłopca swój wielki pistolet i powiedział „Bum!”, po czym zaśmiał się i usiadł na swoim stołku. Tak, ten mężczyzna wyglądał na kogoś, kto zatrudniłby kogoś takiego.

– Ci obcy zostaną przyjęci przez Pana! – powiedział mężczyzna.

– Dosyć! – odkrzyknął ktoś. – Nie czas na to!

Głos był kobiecy. Chłopiec rozejrzał się, ale był za mały i nie widział, kto to powiedział.

– Dosyć? – odparł mężczyzna w bieli. – Trzódka Pana nigdy nie jest zbyt wielka! Aż do dnia, gdy zgromadzi wszystkie owce swoje! Dziś jest nowy dzień. Dzień, kiedy…

Chłopiec podążył wzrokiem za kamieniem, który szybował przez powietrze. Uderzył biskupa w tyłek, zostawiając brudną plamę na jego nieskalanych szatach. Mężczyzna krzyknął i odwrócił się z wściekłością. Ludzie otaczający biskupa zaczęli krzyczeć.

– Ej!

– *O ga, o!*

– *Chineke!*

– Co, do diabła?!

Wtedy coś poleciało w przeciwnym kierunku. Butelka napoju, w środku był brązowy, więc być może coca-cola. Nie trafiła do celu, bo wylądowała na ziemi i roztrzaskała się, a na młodą kobietę prysnął deszcz płynu i szkła.

Rozległy się okrzyki w trzech różnych językach, a chłopiec żadnego z nich nie rozumiał, poza pidżynem.

Mężczyzna w bieli błagalnie uniósł ręce.

– Ja… ja nie rzuciłem…

Chłopiec odwrócił się i w odległości kilku kroków zobaczył swojego opiekuna. Inni chłopcy już się do niego przyciskali. Żaden z nich nie wyglądał, jakby myślał o kradzieży. Poza chłopcem imieniem Oyo, który wyciągał portfel z kieszeni jakiegoś mężczyzny. Mężczyzna spojrzał Oyo w oczy i spoliczkował go. Ich opiekun rozzłościł się i uderzył mężczyznę w brzuch.

Niemy chłopiec zaśmiał się bezgłośnie i miał właśnie podbiec do opiekuna, kiedy usłyszał kolejny trzask. Podskoczył i przez chwilę, ponieważ dźwięk był tak znajomy, czuł, że jego własny policzek piecze i robi się ciepły. Odwrócił się i zobaczył, że biskup upadł. Nad nim stał wysoki mężczyzna ze skwaszoną miną i uniesioną dłonią, a kobieta i inny mężczyzna wrzeszczeli na biskupa.

BANG! BANG! BANG! BANG!

Odgłos wystrzałów sprawił, że chłopiec przypadł do ziemi, zasłaniając głowę rękami. Dwaj mężczyźni obok niego wymieniali się ciosami, a później dołączył do nich trzeci. Jakaś kobieta krzyczała tak wysokim głosem, że chłopiec miał ochotę wyrywać sobie włosy. Sapnęła, gdy coś uderzyło ją w bok głowy.

– Ej! – wykrzyknęło kilku mężczyzn obok niej.

Coś uderzyło o ziemię. Dwaj żołnierze zaczęli strzelać w powietrze, by zwrócić uwagę ludzi. To jeszcze zwiększyło chaos. Kiedy chłopiec zobaczył, jak pierś żołnierza otwiera się po uderzeniu dwóch kul, zaczął uciekać ze wszystkimi. Skąd się brał ten biały dym? Kichał i kaszlał, miał łzy w oczach i ciekło mu z nosa. Powietrze śmierdziało kwaśno, krwawo, brudno. Czuł palenie w piersi, kiedy wciągał powietrze. Miał wrażenie, jakby w uszach miał watę. Nie wiedział, gdzie idzie. Ani gdzie podział się jego opiekun.

Tam.

Jego opiekun. Ciągnął czterech pozostałych chłopców w dół ulicy. Niemy chłopiec uniósł rękę i zamachał, lecz zaraz dopadł go atak kaszlu. Żałował, że nie może krzyknąć. Musiał krzyknąć. Spojrzał w stronę domu, szukając istoty-kobiety o słodkim głosie. Gdyby tylko usłyszał ją ponownie, z pewnością zmusiłby swój głos do działania. Ale zniknęła. Na trawniku byli ludzie. Niektórzy próbowali się dostać

do domu. Grupka ludzi wplątała się w straszliwą bijatykę. Dlaczego wszyscy się bili?

Nie mógł teraz o tym myśleć. Próbował pobiec w stronę swojego opiekuna, ale ludzie wokół niego biegli w przeciwną stronę. Ludzie po drugiej stronie tłumu najwyraźniej próbowali dostać się do jego części tłumu, bo teraz chłopiec utknął między pięcioma starszymi chłopakami. Nie widział swojego opiekuna. Szarpał się, ale jego nogi nie dotykały ziemi, a tłum przesuwał się w drugą stronę.

Gdy go wypuścili, pobiegł. Na jego oczach jakaś kobieta padła na ziemię, z rany od kuli w jej nodze unosił się dym. Była jedną z kobiet w męskich ubraniach. Chłopiec biegł coraz dalej. W promieniach zachodzącego słońca widział więcej niż jego umysł mógł pomieścić.

Rozdział dwudziesty siódmy

Fisayo

Wszystko wyglądało zupełnie inaczej w oczach Fisayo, młodszej siostry Jacobsa. Kobiety z plemienia Joruba, która w ciągu dnia była porządną sekretarką, a nocami prostytutką. Od kiedy poprzedniej nocy zobaczyła, jak pięść wody zabiera tamtą trójkę ludzi, nie czuła się sobą. Nagranie, które jej brat pokazał Czarnemu Węzłowi, sprawiło jedynie, że poczuła się jeszcze bardziej beznadziejnie.

Stała na betonowym chodniku biegnącym wzdłuż Bar Beach. Niecałe dwadzieścia cztery godziny po tym, jak istoty opanowały wodę, z przyzwyczajenia powróciła na plażę. Od kiedy rzuciła studia, ten kawałek piasku był miejscem, od którego zależała jej przyszłość. Zamierzała po nim chodzić do czasu, aż jakiś mężczyzna zapragnie więcej niż tylko uprawiać z nią seks. Kiedy już pożegnała się z marzeniem, że zostanie pielęgniarką, postanowiła zostać żoną, jak jej matka. Kobietą, która zajmuje się domem, dziećmi i kładzie się na plecach tylko dla jednego mężczyzny. Prostytucja była jedynie sposobem na związanie z końca z końcem, zanim nadejdzie ta chwila.

Ta chwila nadeszła już dla Bunmi, jej najlepszej przyjaciółki, która pokazała jej, jak wymieniać seks z mężczyznami na pieniądze. Bunmi, która już się do niej nie odzywała. Bunmi, która mieszkała w posiadłości w Victoria Island z bogatym i potężnym biznesmenem, którego poznała, kiedy chodziła po Bar Beach. Przyszłość nadejdzie dla Fisayo. Bar Beach była miejscem, gdzie czekało na nią przeznaczenie.

Mimo to po wielkim huku poprzedniej nocy, kiedy zobaczyła, jak zmiennokształtna istota wyłania się z wody, a później ludzie zostali porwani, zaczęła się zastanawiać, czy jej przyszłość nie była gdzie indziej. I czymś innym. Zaczęła iść, a nogi zaniosły ją na Bar Beach. Kiedy tam dotarła, z trudem ją rozpoznała. Woda zalała ponad połowę plaży. Przed betonowymi chodnikami ustawiono barykady, zamknięte plażowe sklepiki obwieszono znakami „ZAKAZ WSTĘPU". A przed barykadami co trzydzieści metrów stali uzbrojeni żołnierze. Ten, do którego podeszła, był młody, miał nie więcej niż dwadzieścia lat. Pocił się i rozglądał niepewnie. Wyraźnie nie chciał być na służbie.

Dlaczego na plaży są żołnierze? – zastanawiała się. I barykady? Kiedy podeszła do młodego mężczyzny, by go o to spytać, zadzwonił jej telefon. Na wyświetlaczu pokazało się „numer nieznany". Kiedy otworzyła klapkę, ujrzała twarz anioła. Pogodną Afrykankę o ciemnej skórze i włosach zaplecionych w idealne warkoczyki. Przypominała

Fisayo stare zdjęcie jej babki z czasów, gdy babka była młoda.

– To dziewczyna z plaży – wyszeptała. I z nagrania, które miał Jacobs, pomyślała. Mój Boże.

Ta kobieta na jej taniej komórce, która nie nadawała się do niczego poza prowadzeniem rozmów, patrzyła na nią, jakby rzeczywiście mogła ją zobaczyć. Fisayo zamarła. Gdyby podniosła wzrok, zorientowałaby się, że inni ludzie idący ulicą również się zatrzymali i patrzyli w komórki. Dwa samochody i ciężarówka na pobliskiej drodze zjechały na pobocze. Handlarze przestali zachwalać swoje towary.

I wtedy kobieta na jej komórce zaczęła mówić. Fisayo usiadła na chodniku. Dziś miała na sobie dżinsy, niezbyt dopasowaną czerwoną bluzkę i sportowe buty, zamiast zwyczajowej krótkiej, obcisłej spódniczki, bluzki podkreślającej piersi i czółenek. Dlatego też było jej wygodnie, gdy usłyszała najbardziej przerażającą rzecz w życiu. Obca porwała jej telefon. Mówiła o przejęciu Nigerii. Fisayo zatrzasnęła klapkę.

Wstała. Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. To było uniesienie, apokalipsa, koniec. Otworzyła usta, by zaczerpnąć więcej powietrza. Chciała się dostać na plażę i stanąć przed wodą. Chciała być wzięta, jak tamta trójka ludzi, która została przyjęta poprzedniej nocy. Cóż takiego strasznego zrobiłam? – zastanawiała się, podchodząc do żołnierza. Sprzedawanie ciała? To tylko ciało. Mam czyste serce.

Żołnierz z otwartymi ustami gapił się na komórkę, broń oparł o nogę. Dłonie mu drżały. Fisayo słyszała, że dziwna kobieta mówi również na jego telefonie.

– NIE PRZYBYLIŚMY PO ROPĘ NAFTOWĄ ANI WASZE INNE SUROWCE – mówiła kobieta. – JESTEŚMY TU, BY PIELĘGNOWAĆ WASZ ŚWIAT.

– Co to, do diabła, ma być? – wyszeptał, patrząc na Fisayo. – Czy to żart? Czy atakują nas terroryści?

Poczuła drżenie serca. On miał w oczach czysty strach. Nie można było spojrzeć w takie oczy i nie poczuć tego samego.

Odezwała się z wielkim trudem.

– Ja… nie wiem – powiedziała. – Wiem jednak, że…

BUM!

Złapali się i padli na ziemię. Fisayo wrzasnęła, ściskając żołnierza. Jej głowa wibrowała. Ziemia się trzęsła. Młody mężczyzna, który pachniał potem i mydłem, też drżał i się jej trzymał. Wszystko się trzęsło. Wokół nich spadały ptaki i nietoperze. Podążały za nimi mniejsze istoty, komary, muchy, moskity, które martwe padały na ziemię. Betonowy chodnik popękał. Uruchomiły się samochodowe alarmy. Dwa samochody na drodze zderzyły się ze sobą. Kilku ludzi się przewróciło. Powietrze zaczęło śmierdzieć rybami.

I wszystko ucichło. Fisayo pomyślała, że może ogłuchła. Uszy

miała zatkane, a młody mężczyzna coś do niej mówił. Słyszała jedynie stłumione dźwięki. Pomógł jej wstać. Krwawiła z nosa, tak samo jak on.

O coś ją pytał. Zmrużyła oczy, usiłowała go usłyszeć.

– Wszystko w porządku? – krzyknął.

– Tak! – odkrzyknęła, ocierając krew z nosa.

Chwycił broń i popatrzył na coś za nią. Odwróciła się i sapnęła. Czterech mężczyzn walczyło. Na ziemi leżały banknoty naira. Dwaj z mężczyzn po nie sięgali. Dwaj inni próbowali ich powstrzymać, jeden uniósł spory kamień.

Fisayo odwróciła się, zanim mężczyzna opuścił go na głowę drugiego. Żołnierz zaczął biec w ich stronę z pistoletem w dłoni. Nie zdejmując sportowych butów, Fisayo odwróciła się i przebiegła obok barykady na zamkniętą Bar Beach.

* * *

Woda wydawała się zupełnie zwyczajna, poza tym, że podniosła się wysoko i zaczynała zalewać niektóre plażowe restauracje. Nie była wrząca czy lodowata. Nadal była przezroczysta i mokra. Fisayo dotknęła wody, która lizała jej buty i uniosła palce do warg. Wciąż słona. Łagodny wietrzyk tworzył niewielkie fale na powierzchni, a słońce zachodziło.

– Weźcie mnie! – krzyknęła do oceanu. Powietrze śmierdziało dusząco rybą, jednakże im więcej oddychała, tym jaśniejszy wydawał się jej umysł. Czyste, jakże czyste powietrze. – Weźcie mnie!

Zrzuciła buty, skarpetki i weszła do wody.

Martwe ryby, duże i małe, zaściełały plażę i unosiły się na łagodnych falach. Zobaczyła sklęsłą meduzę i nierówne, czerwono-białe szczypce dużego kraba. Brodziła obok nich.

– Proszę! Weźcie mnie, *o!* – krzyknęła z płaczem.

Głowa ją bolała, wciąż krwawiła z nosa, a odgłosy świata nadal były stłumione.

Zatrzymała się w wodzie sięgającej uda i wpatrzyła w przestwór granatowej wody, a fale poruszały się wokół jej nóg. Słońce ledwie wznosiło się nad horyzontem. Wkrótce zajdzie. Żółtopomarańczowe jak cukierek. W pewnej odległości zauważyła tankowiec. Później zobaczyła… nie wiedziała, co to było. W zapadających ciemnościach to wielkie coś było czarne i falujące, unoszące się i opadające na wielkich kolumnach jak olbrzymie członki. Wewnątrz pulsowały czerwone światła. Straszliwy pojazd, diabelskie *danfo*. Rozciągało się na horyzoncie. Czy tankowiec też usłyszał wielkie BUM? Czy tam było głośniejsze? Nie widziała już tankowca. Czy obcy zabrali ich wszystkich?

W pewnej odległości coś ogromnego i wężowatego wyskoczyło z wody i znów się w nią zapadło. Fisayo poczuła ucisk w gardle. Dziwne statki na horyzoncie, potwory w głębinach. Koniec z pewnością był blisko.

– WEŹCIE MNIE! – wrzasnęła. I zanurkowała. Chlup!

Płynęła. Od słonej wody piekły ją oczy, a jej ręce szybko się zmęczyły. Wkrótce znalazła się tak daleko, że nie czuła dna. Płynęła dalej.

Poczuła, jak peruka unosi się z jej głowy, pozostawiając jedynie siateczkę. Ta peruka kosztowała ją stanowczo zbyt wiele naira, ale w tamtym czasie uznała ją za inwestycję na przyszłość. Teraz zniknęła... a Fisayo miała nadzieję, że wkrótce podąży za nią.

Woda ją objęła. Jak ręka. Jak łono. Zabiera mnie, pomyślała. Zamknęła oczy i przestała płynąć, rozłożyła ręce, unosiła się na powierzchni. Czuła, jak jej ciało obraca się dookoła. Otworzyła usta i odetchnęła po raz ostatni, próbując się rozluźnić. Później przekręciła się na drugą stronę, wypuściła powietrze i zapadła się w ciemność.

* * *

Kiedy została wyrzucona na plażę, pomyślała, że nie żyje. Otworzyła oczy i spróbowała złapać powietrze. Zamiast tego zwymiotowała kilka litrów wody. Wymiotowała i nie mogła przestać. Później wstała, podeszła do wody i krzyknęła:

– Niech Bóg ześle na was ogień!

Zerwała siateczkę peruki i rozmasowała własne krótkie, mokre, zniszczone włosy, uwalniając je. Kiedy odwróciła się, by opuścić Bar Beach, zobaczyła kogoś siedzącego na plaży. Mężczyznę.

Zmrużyła oczy. To był mężczyzna w wojskowym mundurze. Podeszła kilka kroków bliżej i zamarła. Był przemoczony... ponieważ właśnie wyszedł z wody. Rozpoznała go. Był jednym z ukradzionych ludzi. On również został odrzucony. A może był teraz jednym z nich. Podeszła do niego, jej bose stopy ugniatały piasek. Nakrzyczy na niego. Spoliczkuje go... Zatrzymała się. Na plaży za nim leżało coś olbrzymiego. Ogromnego... jak wieloryb? Wokół niego i na nim kłębili się ludzie. Widziała, że wielu z nich miało maczety i noże.

– O mój Boże – wyszeptała.

Jej uwagę zwróciło poruszenie w wodzie. Westchnęła. Wychodzili z niej – ludzie, którzy nie byli ludźmi. Mężczyźni. Kobiety. Żadnych dzieci. Wysocy. Niscy. W większości Afrykanie. Kilku Azjatów. Wyminęli ją, nie patrząc na nią. Nie widząc jej. Ktoś, kto wyglądał jak biały mężczyzna ubrany w tradycyjny strój Igbo – miał nawet wełnianą czapeczkę w czerwone, czarne i białe paski, symbol wodza. To śmieszne! Wszystko nie tak. Obce!

Poczuła, jak coś pęka głęboko w jej umyśle. Poprzedniego wieczoru sprzedała się Amerykaninowi, który później powiedział jej, że nie jest bardziej niemoralna od innych kobiet z innych części świata. Patrzyła, jak diabeł wciąga ludzi w głąb oceanu i zwraca ich, napełnionych złem. Widziała jedną ze złych zmiennokształtnych na nagraniu na komórce brata, a później na ekranie własnego telefonu. Teraz widziała inwazję zła na miasto, w którym się urodziła i wychowała. I ani jedna z istot nie odwróciła się, by na nią spojrzeć. Dla nich była niczym.

Jej powieka drżała, a bose stopy bolały. Wcisnęła siateczkę peruki do stanika i podrapała delikatną skórę głowy. Musiała znaleźć brata. Ale najpierw musiała pomóc innym. Musiała powiedzieć ludziom. Musiała przynieść Lagos wieści, a to nie były dobre wieści.

Kiedy wcześniej szła na Bar Beach, szukała swojej przyszłości. Teraz ją znalazła. Świat dojrzał, był na krawędzi zgnilizny, apokalipsy. Musiała go ocalić. Ocalić go przed nimi.

Zacznie od niego, od mężczyzny, którego zwrócili.

Ale kiedy spojrzała na miejsce, w którym siedział, zniknął. Później go zobaczyła. Niepewnym krokiem wszedł na chodnik. Ruszyła za nim.

Rozdział dwudziesty ósmy

Bananowiec

Adaora chwyciła rękę Freda i oboje patrzyli na ojca Oke, który stał w odległości kilku metrów. Ktoś rzucił w niego kamieniem, a wtedy jeden z jego trzódki odpowiedział, rzucając butelką coli w stronę, z której nadleciał kamień. Teraz wysoki mężczyzna ze skwaszoną miną, który pierwszy rzucił kamieniem, stał przed ojcem Oke. Kobieta, która została zalana colą i obsypana szkłem, stała za nim i piorunowała ojca Oke wzrokiem.

Ojciec Oke uniósł błagalnie ręce:

– Ja… ja nie rzuciłem…

Mężczyzna mocno spoliczkował ojca Oke. Kiedy ten upadł, dwaj z jego parafian rzucili się do przodu, ale zostali zatrzymani przez innych.

– Być może jej nie rzuciłeś, ojcze, ale twój przeklęty kościół zubożył moją matkę – zaszydził mężczyzna, który go spoliczkował, patrząc z góry na skulonego biskupa. – Śmieci. – Spiorunował wzrokiem oszołomionych wyznawców i splunął w bok. – Wszyscy jesteście śmieciami.

– Paczcie na *am!* – zawołał młody chłopak z tłumu. – Na ten gupi ksionc, co to spoliczkował kobiete na YouTube! Na sprawiedliwość!

– Popacz, jak ci się to spodoba! – krzyknęła jakaś kobieta. – Kto teraz jest wiećmom?!

Adaora uśmiechnęłaby się, gdyby nie obawiała się o życie ojca Oke. Gardziła nim, ale nie życzyła mu, by tłum go zatłukł. Mocniej ścisnęła dłoń Freda, a on odpowiedział uściskiem.

– Mamusiu – powiedział ze łzami w oczach. – Nie puszczaj.

– Nie zrobię tego.

Stojąca w pobliżu frontowego wejścia Ayodele z miłym uśmiechem na twarzy obserwowała całą *wahala* w tłumie. Anthony stał obok niej i trzymał za rękę Kolę. Dziewczynka nie przerywała nagrywania, trzymała kamerę drugą ręką.

Benson nadal stał przy bramie z kutego żelaza.

– Zastrzelić to! – ryknął do żołnierzy po lewej, a z jego ust poleciała ślina.

Stał obok Adaory, przeskakując z jednej nogi na drugą jak dziecko, któremu zaraz przytrafi się wpadka, a oczy miał szeroko otwarte i oszalałe. Wskazywał na Ayodele.

– Zastrzelcie to, szeregowy Elenwoke! Zastrzelcie to teraz!

– Nie! – krzyknęła Adaora. Wciąż trzymając Freda za rękę,

odwróciła się do Bensona. – Nie! Nie!

Szeregowy Elenwoke wydawał się zdezorientowany, gdy uniósł kałasznikowa i przez bramę wycelował w Ayodele.

Wzrok Ayodele spoczął na nim.

– Nie! – wrzasnęła Adaora.

BANG! BANG! BANG! BANG!

Uśmiech zniknął z twarzy Ayodele, gdy zatoczyła się do tyłu i spojrzała na brzuch. W jej białej koszuli pojawiło kilka otworów, na piersi i brzuchu.

– Kola! – krzyknęła Adaora.

Kiedy żołnierze zaczęli strzelać, Kola stała obok Ayodele, filmując ją. Teraz siedziała u stóp kobiety. Po jej lewej ręce płynęła krew. Adaora puściła dłoń Freda i przecisnęła się obok Bensona i odzianych w biel parafian ojca Oke, szukając kluczy. Wepchnęła klucz do dziurki i otworzyła bramę. W chwili, kiedy znalazła się wewnątrz, Fred podbiegł do niej i chwycił ją za rękę. Oboje ruszyli do Koli. Adaora słyszała ludzi wpadających za nią na podwórko.

Dotarła do córki w chwili, gdy Anthony stanął nad Ayodele, która zaczęła wrzeszczeć i rzucać się. Adaora podniosła córkę i odsunęła ją od kobiety wijącej się na ziemi.

Kola jęczała i próbowała nie patrzeć na lewą rękę.

– Bardzo jest źle, mamusiu? Bardzo źle?

– Nie jest tak źle, kochanie – powiedziała Adaora, spoglądając na rękę córki. Krew wypływała z rany w rytm bicia serca Koli. Kobieta z trudem zachowała spokój. – Spokojnie – powiedziała cicho. – Połóż się.

Kiedy Kola to zrobiła, Adaora chwyciła ją za rękę i uniosła. Ciążenie spowolni upływ krwi. Nie była pewna, czy powinna zastosować ucisk, skoro kula być może wciąż tkwiła w ciele. Obok niej Fred zaczął płakać.

Adaora spojrzała na Anthony'ego. On patrzył na Ayodele, która krzyczała, falowała i… zaczęła się topić. Dźwięk kulek na szkle był wszędzie, wypełnił głowę Adaory, utrudniał myślenie. Czuła wibracje nawet najmniejszych włosków na ciele, ściskanie w żołądku i pulsowanie w głowie. Nad nimi stał Benson z pięcioma żołnierzami. Z niepewnymi minami celowali w Ayodele.

Benson wrzeszczał na Ayodele, przez cały czas wrzeszczał.

– Nie ruszaj się! Zostań tam, gdzie jesteś.

Obok Koli ukląkł żołnierz z apteczką pierwszej pomocy.

– Trzymaj jej rękę w górze – powiedział, otwierając pudełko.

– Ach! – krzyknął Fred.

Adaora odwróciła się i zobaczyła, jak Chris obejmuje chłopca, i cała stężała.

– Już dobrze – szepnął Chris synowi do ucha. – Cii. – Spojrzał na

Adaorę. – Czy z nią wszystko w porządku?

– Została postrzelona – odparła kobieta.

Przez kilkanaście sekund patrzyli sobie w oczy. Później Chris skinął Adaorze, a ona odpowiedziała podobnie. Żołnierz badał rękę Koli. Krwawienie nie ustępowało.

Oddalona o kilka metrów Ayodele nadal wrzeszczała, a Anthony stał na nią, niepewny, co robić. Nie wypłynęła z niej ani kropla krwi. Nie tylko topiła się, ale wręcz dezintegrowała. Jej skóra stawała się ziarnista, dłonie i dolna część twarzy utraciły kształt. Patrzyła na Kolę, a Kola patrzyła na nią. Później Ayodele spojrzała na Bensona, jej wzrok przesuwał się gorączkowo między nim a pozostałymi żołnierzami. Jej lewe oko rozpłynęło się w nicość, ale spojrzenie nietkniętego prawego było pełne czystej nienawiści.

Benson wystrzelił, trafiając Ayodele w nogę. Anthony odskoczył na bok.

– Zastrzelić to! – ryknął Benson. – Zabić! Zabić!

Trzej żołnierze znów otworzyli ogień do Ayodele. Strzelali w uda, pierś, twarz, wszędzie. Jej kruche, szarzejące ciało podskakiwało na ziemi. Adaora przyciągnęła do siebie Kolę, która krzyczała i łkała. Miała nadzieję, że Chris robi to samo z Fredem.

Odgłos kulek stał się tak głośny, że skuliła się nad Kolą, by ochronić ją przed hałasem. Przez cały czas słyszała stłumione krzyki. Głosy mężczyzn, nie Ayodele. Później bardziej wyczuła niż usłyszała wilgotny trzask i jej twarz zalał gorący płyn. A później… cisza.

Otworzyła oczy i natychmiast zapragnęła znów je zamknąć.

Tam gdzie stali żołnierze, stały teraz drżące sterty surowego mięsa, które po chwili znieruchomiały. Jej mąż zasłaniał twarz Fredowi. Żołnierz, który zajmował się ręką Koli, zasłonił rękami uszy i zamknął powieki. Anthony był na trawniku w odległości kilku kroków, przyciskał głowę do trawy i zasłaniał ją rękami. Wszyscy byli mokrzy od krwi. Adaora jako jedyna miała otwarte oczy. Na podwórku byli ludzie z tłumu, niektórzy wbiegali do domu, inni stali i się gapili. Większość wciąż się kuliła, przerażona strzałami i obcym hałasem. Adaora jednak skupiła się na swoich dzieciach, mężu, żołnierzu obok, Anthonym, i… obcej. Ayodele podniosła się powoli i stanęła wyprostowana nad żylastymi masami żółtobiałego tłuszczu, różowoczerwonej tkanki i mięśni, brązowej skóry i połamanych kości. Była cała, nietknięta, ubrana teraz w prostą brązową sukienkę. Patrzyła z ponurą miną na Adaorę.

Adaora popatrzyła na nią w milczącym błaganiu. Nie wiedziała, o co prosi, ale błagała. Ci obcy przybyli w pokoju.

Ayodele odwróciła się w stronę krwawych stert i Adaora ukryła twarz w szyi Koli.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptała córce do ucha.

Znów usłyszała dźwięk kulek. A kiedy podnosiła wzrok, miała nadzieję, że Ayodele zniknęła. Ona nie. Zniknęły natomiast wilgotne sterty mięsa, rozrzucone ubrania, nawet rozchlapana krew – jakby nigdy nie istniały.

Na ich miejscu rósł bananowiec, ciężki od niedojrzałych owoców. Adaora wpatrzyła się w niego i zrozumiała, co się wydarzyło. Ayodele wzięła pierwiastki – tlen, węgiel, wodór, azot, wapń, fosfor, potas, siarkę, sód, chlor i magnez – które były Bensonem i jego żołnierzami, i przeobraziła je w roślinę. Czy dusza też się przeobraża? – zastanawiała się Adaora. Nigdy nie wierzyła w Boga, ale była naukowcem i wiedziała, że materii nie da się stworzyć ani zniszczyć. Ona jedynie zmieniała postać.

– Jesteś z tego zadowolona? – warknęła Ayodele do Adaory.

Adaora pokiwała głową.

– A ja nie – powiedziała Ayodele.

Ruszyła w stronę bramy. Na pustoszejącej ulicy kilku ludzi walczyło, niektórzy się gapili, inni krzyczeli, ale większość uciekała. Adaora otworzyła szeroko usta, gdy to zobaczyła. Tak skupiała się na tym, co działo się na podwórku, że nie uświadomiła sobie, że na ulicy wydarzyło się coś gorszego! Na drodze leżały ciała, ranni odczołgiwali się w bezpieczne miejsce, płonął samochód, ludzie krzyczeli. Adaora słyszała trzask rozbijanego szkła.

– Nie – wyszeptała Kola. Wzdrygnęła się, czując ból ręki. Patrzyła na Ayodele, która przeszła już przez połowę podwórka. – Potrzebujemy cię.

Adaora spojrzała wstrząśnięta na córkę. Nie! Nie, zostaw nas. Idź dalej, pomyślała do Ayodele. Błagam cię.

Jakimś sposobem mimo całego hałasu Ayodele usłyszała ciche słowa Koli. Zatrzymała się.

– Przepraszam, że cię boli – powiedziała słabo Kola. – Mnie też.

Ayodele wróciła do nich. Chris wstał i podniósł Freda, cofając się od obcej, która usiadła przy Koli. W oczach kobiety były łzy. Adaora objęła córkę ramieniem, gdy Ayodele na nie patrzyła. Na oczach Adaory spod brązowej sukienki Ayodele wypadły dwa niewielkie, powyginane przedmioty. Jeden wylądował na trawie obok niej, a drugi na jej udzie i stamtąd sturlał się na trawę. Był nadal gorący, ale nie na tyle, by parzyć. Kula.

Ayodele spojrzała Adaorze w oczy. Kobieta wstrzymała oddech. Ciepła, ciekawa, beztroska istota, jaką była Ayodele, zniknęła. Oczy, w które patrzyła teraz, należały do wściekłej, rozgoryczonej staruszki. Adaora nie odsunęła się z Kolą, gdy Ayodele nachyliła się bliżej. TO był instynkt. Mimo wyrazu twarzy Ayodele, wiedziała, że ta istota nie skrzywdzi jej córki. Ayodele rozwinęła zaciśnięty bandaż z ręki Koli. Z rany natychmiast zaczęła płynąć krew.

– Mamusiu – jęknęła Kola.

Adaora wzięła ją za drugą rękę.

– Już dobrze – wyszeptała.

Wyraz twarzy Ayodele złagodniał, gdy przeciągnęła dłonią po krwi na ręce Koli. Gdziekolwiek dotykała jej dłoń, wchłaniała krew jak gąbka. Wkrótce pozostała jedynie rana od kuli. Adaora poczuła ściskanie w żołądku na jej widok. Ayodele lekko dotknęła rany i jej dłoń jakby się rozpływała w kolorowej mgiełce, jaka wznosi się czasem nad wodospadem w porannym słońcu. Kola zesztywniała, gdy mgiełka wniknęła w jej rękę.

– Czy to boli? – spytała Adaora, próbując zachować spokój.

– To jak mrówki – zajęczała Kola. – Nie cierpię mrówek. Nie cierpię mrówek, mamusiu!

– To nie mrówki, kochanie – powiedziała Ayodele głosem łagodnym i miękkim, niemal jak wcześniej. – To ja. Rozmawiam z tobą. Odbuduj się, Kolo.

Kola zamknęła oczy, a Adaora mogła przysiąc, że czuje gorąco emanujące od córki. Wyczuwała dym.

– Dobrze – powiedziała Ayodele. – Poczuj się lepiej.

Kola oddychała ciężko i marszczyła czoło, nadal nie otwierała oczu. Teraz Adaora rzeczywiście widziała gryzący dym, który unosił się znad ramienia jej córki. Był gęsty, biały i wznosił się leniwie w powietrze jak kadzidło.

Kiedy Ayodele zabrała dłoń, rana zniknęła. Kola spojrzała na uzdrowione ciało, po czym pochyliła się i zwymiotowała, krztusząc się dymem.

– To przytłaczające – powiedziała Ayodele głosem bez wyrazu. Adaora uznała, że nie brzmiała, jakby była przytłoczona.

Rozległ się łoskot, ale nie na ulicy. Adaora podniosła wzrok na swój dom.

– O mój Boże!

Smród dymu nie pochodził z uzdrowionej ręki jej córki. Coś w domu się paliło. Jej mąż, Anthony i żołnierz, który wcześniej pomagał Koli, wbiegli do środka. Ayodele podążyła za nimi spokojnym krokiem. Adaora podniosła się z trudem, zawahała i ruszyła za nimi, ciągnąc za sobą Kolę i Freda.

Kiedy Ayodele przeobrażała żołnierzy, wyrzucała kule z ciała i uzdrawiała rękę Koli, rabusie ukradli telewizory i komputery Adaory i Chrisa. Nanieśli brudu i zniszczyli tylne drzwi. I ktoś celowo zapalił gaz na kuchence i próbował podpalić wyciągnięte ze spiżarki pochrzyny. Chris gaśnicą zgasił dymiące bulwy. Żołnierz, który miał na imię Hassam, też pomagał, choć miał szklisty wzrok, był wstrząśnięty i zdezorientowany.

– Ta kobieta uratowała dziecko – powiedział, zakręcając gaz i

otwierając okno. – Zabija i daje życie.

Adaora siedziała z dziećmi przy kuchennym stole, a Ayodele usiadła naprzeciw nich. Zacisnęła pięść i oparła ją na stole. Dla Adaory to było gorsze niż uderzenie. Zawahała się, spojrzała na męża, który stał w odległości kilku kroków. Później poszła sprawdzić laboratorium. Drzwi były zamknięte. Dobry znak.

– Nienawidzę ludzi – powiedziała Ayodele. Adaora słyszała ją wyraźnie, choć kobieta była w kuchni, a ona w korytarzu. – Nie chcę mieć z wami nic wspólnego – mówiła dalej. – Z żadnym z was.

Adaora zmarszczyła czoło, zamierzała wrócić do kuchni. Ufała, że Ayodele nie zrobi krzywdy dzieciom, ale dalej jej zaufanie nie sięgało. Ayodele sprawiła, że ci mężczyźni wybuchli, a później zmieniła ich w drzewo. Tak się kończyła próba zabicia jej... czy w ogóle dało się ją zabić? Adaora nie wiedziała. Może Ayodele zareagowała tak gwałtownie, ponieważ sprawili, że doświadczyła bólu, pomyślała. Wrzeszczała i rzucała się, jakby nie tylko czuła ból, ale była nim wstrząśnięta. Niezależnie od powodu, nadepnięcie jej na odcisk było wyraźnie złym pomysłem. Adaora wyjęła klucz do laboratorium i sięgnęła do gałki drzwi. Serce biło jej bardzo szybko.

– Czy nienawidzisz nas wszystkich? – spytała Kola Ayodele. – Właśnie mnie ocaliłaś.

Adaora wypróbowała gałkę, zanim wsunęła klucz do dziurki. Przekręciła się.

– Cholera – syknęła Adaora.

Oparła głowę o drzwi, po jej policzkach spływały łzy. Skupiła się na głosie dzieci w kuchni.

– A to, że paru ludzi zachowało się głupio, nie znaczy, że wszyscy jesteśmy głupi – dodał Fred. – Uczą nas tego w szkole. A ty jesteś bystrzejsza niż wszyscy w szkole razem wzięci.

Adaora uśmiechnęła się, ocierając łzy.

– I nie możesz tak po prostu wywołać tego całego zamieszania, a potem odejść – powiedziała stanowczo Kola. – Powiedziałaś, że masz misję! Że jesteś am... ambas-adorem, pamiętasz?

– Zastanowię się nad tym – powiedziała Ayodele.

Adaora weszła do laboratorium. Schodząc po schodach, niemal to czuła. Tak, ludzie tam byli. Zniszczony zamek wyraźnie o tym świadczył. Zapaliła światło i od razu je zgasiła. Widziała wszystko, co musiała zobaczyć. Nic nie płonęło. Ale podłoga była mokra od wody ze zmiażdżonego akwarium, a bezwładne ciała jej ukochanych rybek już wysychały. Telewizor i komputer zniknęły. Całość została splądrowana. Robili to, kiedy my walczyliśmy o życie na podwórku, pomyślała. Co to za ludzie? Ale znała odpowiedź. W Lagos nie trzeba było wiele. Wystarczyła na wpół pokojowa inwazja obcych, by zniszczyć wszystko, co było dla niej ważne. No, prawie wszystko. Jej

dzieci były żywe i szczęśliwe.

Wróciła na górę.

* * *

– Usiądź – powiedział Anthony do Chrisa.

Dzieci były na górze w pokoju Koli i spały, a Adaora ich pilnowała. Na dole Ayodele wyglądała przez okno z żołnierzem Hassamem.

W kuchni Chris usiadł przy stole. Anthony umieścił przed nim dużą miskę zimnego ryżu jollof i wbił w niego łyżkę. Zabrakło prądu, a włączenie generatora byłoby szaleństwem – hałas tylko by przyciągnął uwagę. Poza tym ktoś ukradł mikrofalówkę.

– Jedz – powiedział.

– Czy ty myślisz, że ona jest aniołem?

Anthony pokręcił głową.

– Wcale a wcale, *chale*. Musisz zacząć myśleć nieszablonowo, przyjacielu.

Chris popatrzył na niego ze zmarszczonym czołem, z podobną miną popatrzył na ryż i na łyżkę w ryżu. Podniósł ją powoli. A później zaczął jeść, a gdy jadł, poczuł się lepiej. Anthony założył ręce na piersiach i obserwował go.

Na górze Adaora opierała się o ścianę, ciesząc się, że dwójka dzieci śpi. Nic im nie było. Obojgu. W jej piersi wezbrały uczucia, gdy przypomniała sobie postrzeloną Kolę. Krew. Cierpienie na jej ośmioletniej twarzy. Adaora odetchnęła głęboko i uspokoiła się. Kiedy odwróciła się, by zejść na dół, uświadomiła sobie, że unosi się kilka centymetrów nad podłogą. Ten idiota, mój mąż, ma rację, pomyślała tępo. Jestem wiedźmą.

Na zewnątrz w Lagos trwały zamieszki i inwazja obcych.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Hotel Eko

Przeszli przez plażę i wkroczyli do Lagos. Wszyscy dobrze ubrani. Żaden mokry. Było ich około setki. Wydawali się poważni, nie pogodni jak Ayodele. Choć nie powłóczyli nogami, choć wydawali się żywi i zdrowi, przypominali Agu zombie. Może chodziło o sposób, w jaki wyszli z wody i wydawali się przy tym zupełnie obojętni. Kiedy tak siedział zwrócony twarzą do oceanu, a plecami do Lagos, poczuł, że jest świadkiem śmierci czegoś. Śmierci Lagos. Śmierci Nigerii. Afryki. Wszystkiego?

Zmrużył oczy, które zapiekły go od soli wysychającej na twarzy. Fale wpływały na brzeg i się cofały, omywając jego kostki, a woda powoli powracała do normalnego poziomu. Statek kosmiczny na niebie (Agu nie umiał inaczej go nazwać) unosił się nad wodą, zamykając horyzont. Przeobrażał się i falował, pojawiały się na nim wybrzuszenia, roztapiały się i znów pojawiały. Znajdował się zbyt daleko, by ocenić, jak wysoko unosi się nad wodą. I jaki dźwięk wydaje, jeśli w ogóle wydawał dźwięk.

Z wody wyskoczyło coś ogromnego i wężowatego. Wygięło się w łuk w powietrzu, skręciło w spiralę i bezgłośnie opadło z powrotem w głębiny. W pewnej odległości od brzegu na powierzchni wody pojawiło się co najmniej dziesięć szarych trójkątnych płetw jak u rekina, ustawionych w jednym rzędzie. Stwory – a może stwór – skręciły gwałtownie i ruszyły w głąb morza. Co oni zrobili z oceanem? – zastanawiał się, podciągając przemoczone ubranie. Zakaszlał, gdy odetchnął dymem. Z daleka dochodził odgłos pękającego szkła, krzyków, strzałów, echa gromkiego śmiechu. Coś się wydarzyło, kiedy był na morzu. Po jego twarzy spłynęło coś ciepłego. Dotknął rozcięcia na czole.

– Do diabła – jęknął i oparł się na łokciach.

Głowa go bolała, a ciało ciążyło, jakby ważyło setki kilogramów. Rozcięciem zajmie się później. Samym sobą zajmie się później. Znów zakaszlał i zdjął koszulę. Wycisnął ją, zalewając wodą przemoczone buty, i znów ją włożył. Żył, a wcześniej bywało gorzej. Zaśmiał się. W końcu to nie była pierwsza inwazja na Nigerię.

Powlókł się przez piasek, później bocznymi uliczkami w stronę ulicy Adetokunbo Ademoli. Zgiełk głosów, klaksonów i setek kroków wzmagał się w miarę, jak się zbliżał. Podszedł do głównej ulicy i dopiero wtedy zobaczył, co się dzieje.

– Cholera! – wykrzyknął. – Co, na Boga…

Nie mógł się poruszyć, zmienił się w parę oczu i ściśnięty żołądek. Ulice były pełne ludzi. Grupka nastolatek przebiegła obok z wrzaskiem, oglądały się za siebie, jakby zobaczyły ducha. Po drugiej stronie ulicy trwała bijatyka. Grupka chłopaków rozbijała okna samochodów i budynków za pomocą desek i młotków. Wskakiwali na pechowe auta, które musiały zwolnić ze względu na tłok na ulicy.

Kilka budynków płonęło. Z wielu miejsc rozlegała się głośna muzyka. Nagle obok przebiegł biały mężczyzna, którego ścigało dziesięciu Area Boys, a wszyscy krzyczeli:

– Obcy! Zabić *am!* Zabić obcego!

Mężczyzna skręcił za róg, a chłopcy podążyli za nim. Po chwili Agu usłyszał radosne okrzyki i śmiechy, i jeden głośny wrzask.

Wejście w ten koszmar było wejściem w nieznane. Widział już wcześniej taki chaos, kiedy został wysłany na północ podczas zamieszek między chrześcijanami i muzułmanami. W bolesny sposób przekonał się, że przy takich okazjach nie można ufać ludziom. Każdy w każdej chwili mógł się poddać gwałtowności tłumu.

Zauważył policję i żołnierzy próbujących rozpędzić uczestników wyjątkowo dużej bijatyki pomiędzy wieloma mężczyznami. Poczuł ukłucie winy. Powinien być z nimi, starać się przywrócić spokój i porządek. Potrząsnął głową i wyszedł na ulice. Nie, pomyślał, przypominając sobie, jak Benson i pozostali zaatakowali kobietę, a później pobili go, gdy próbował ich powstrzymać. Wszystko się zmieniło. Wycofał się w cień jednego z plażowych sklepików i sięgnął do kieszeni po kartkę papieru, na której zapisał numer Anthony'ego. Przesiąknięta wodą, zmieniła się w pulpę. Z przerażeniem spróbował przypomnieć sobie numer. Ulga. Dokładnie go pamiętał.

– Przepraszam pana – zawołał do przebiegającego obok mężczyzny. – Proszę pana, *abeg*, czy mógłbym pożyczyć pański telefon?

– *E* – odezwał się tamten, marszcząc czoło. – Mój telefon, tak?

Rozległ się głośny trzask. Agu i mężczyzna obrócili się gwałtownie. Zabrzmiały radosne okrzyki, gdy ktoś roztrzaskał witrynę sklepu z komputerami. Rozległ się alarm, gdy do środka wpadło około trzydziestu ludzi, później ucichł. Agu słyszał ich głosy w środku.

– Tak – powiedział Agu, próbując się skupić. – Muszę… muszę…

– Dlaczego? – spytał mężczyzna, mrużąc oczy. – Dlaczego chce pan skorzystać z mojego telefonu? Po co?

– Żeby skontaktować się z przyjaciółmi – błagał Agu. – Proszę, *o*. Coś się dzieje na Bar Beach, muszę…

– Z przyjaciółmi? Co z Bar Beach, *e?* Jesteś jednym z nich? – sapnął mężczyzna i cofnął się jeszcze bardziej. Mówił w igbo. – Chcesz się skontaktować z nimi?

– Co takiego? – spytał Agu po angielsku.

Mężczyzna obrócił się na pięcie i odbiegł, podobnie jak kilku innych ludzi, którzy usłyszeli jego słowa. Agu poczuł, że zaparło mu dech w piersiach – coś było bardzo nie tak. Część z plądrujących zatrzymała się, żeby na niego spojrzeć, niektórzy ruszyli w jego stronę. Po lewej zebrała się grupka Area Boys.

– Ten mężczyzna! – krzyknęła kobieta, wskazując na Agu. Miała krótkie, rozczochrane włosy i była na bosaka. Wyglądała, jakby sama przed chwilą wyszła z oceanu. – On jest jednym z nich! Popatrzcie na *am*. Bierzcie *am!* Jest jednym z nich! Widziałam, jak wczoraj w nocy wszedł do oceanu i z niego wyszedł! – Jej oczy wychodziły z orbit. – Został porwany przez obcych i zarażony obcą chorobą!

Agu poczuł wściekłość na Ayodele. Co ona narobiła?! Ale był uwięziony. Mógł jedynie się odwrócić i pobiec ze wszystkich sił. Za nim biegli Area Boys i kto wie ilu jeszcze innych. Rzucali się na niego ze wszystkich stron, ale on ich unikał. Przebiegł obok płonącego samochodu. Przeskoczył nad dwiema bijącymi się kobietami. Pod jego stopami zatrzeszczało szkło ze stłuczonej szyby przed płonącym budynkiem. Później coś uderzyło go w bok głowy i roztrzaskało się na ziemi. Butelka. Coca-cola? – zastanawiał się. Bogowie naprawdę muszą być szaleni.

Potknął się, głowa go bolała. Ale musiał przyznać, że wcale nie czuje się jak człowiek, na którego głowie właśnie roztrzaskała się szklana butelka. Czuł się… dobrze. Dotknął miejsca, w które został trafiony, i nacisnął je. Żadnego bólu. Żadnej opuchlizny. Ale na palcach miał krew. Drugie rozcięcie wciąż krwawiło. Nic mu się nie stało. Lecz wściekłość, która już wcześniej się w nim gotowała, teraz go wypełniła. Tym razem była skierowana w stronę ludzi, którzy właśnie próbowali go zabić… za bycie kimś, kim nie był. Słyszał pulsowanie krwi w uszach.

Podbiegł do niego mężczyzna, uderzył go pięścią w twarz.

– Zabiję cię! – warknął mężczyzna.

Znów uderzył Agu. Dwaj inni dołączyli do niego, jeden kopnął go w krzyż, a drugi uderzył kolanem w jaja. Jego pieprzone jaja! Jednak Agu nie czuł bólu, jedynie świeży przypływ wściekłości, która wypełniła całą jego istotę.

Chwycił mężczyznę, który uderzył go kolanem, uniósł pięść i wbił ją w brzuch tamtego. Mężczyzna poleciał do tyłu, ramieniem wgniótł bok samochodu, po czym przekoziołkował nad nim i niczym meteoryt wbijający się w ziemię spadł na gapiów. Wszyscy na ulicy umilkli, wpatrując się w grupę nieruchomych ludzi, przewróconych jak kręgle. Pośród nich leżał mężczyzna, którego chwycił Agu, jedna z jego nóg była wykręcona pod dziwnym kątem. Agu zamrugał i uspokoił się, opuściła go furia.

I tak oto Agu, żołnierz wyszkolony, by chronić ludzi w trudnych

chwilach, który prawdopodobnie właśnie kogoś zabił, odwrócił się i ruszył biegiem.

* * *

Krzyki, walka, tłuczenie, śmiechy, bieganie, ukrywanie się – tak wyglądała ulica Adetokunbo Ademoli. Agu potrzebował komórki. Ale coś się wydarzyło, kiedy jechał na manacie i teraz poproszenie kogoś, by mógł skorzystać z jego aparatu, wydawało się nagle bardzo, ale to bardzo złym pomysłem. Na szczęście Agu miał plan B.

Zatoczył się po zadbanym podjeździe luksusowego Hotelu Eko, omijając zbyt starannie pielęgnowane palmy i zamknięty sklepik z pamiątkami. Ponieważ była to przystań dla cudzoziemców, spodziewał się, że całość będzie przypominać fortecę. Hotel Eko wybudowano właśnie w takim celu. Tymczasem okazało się, że otaczają go zdenerwowani wojskowi ochroniarze, którzy nie odezwali się do niego ani słowem. Przepuścili go, bo znał ich wszystkich. Znał ich od lat. Na szczęście w tej chwili Hotel Eko nie był w centrum zainteresowania plądrujących, ale Agu miał przeczucie, że wytchnienie jest tylko chwilowe. Każdy symbol bogactwa w Lagos w końcu stanie się celem.

Tym, co uderzyło go najbardziej, kiedy znalazł się w holu ekskluzywnego hotelu, była jego błyszcząca podłoga. Tak błyszcząca, że widział, w jakim koszmarnym jest stanie. Jego mundur polowy był pomięty, mokry, pokryty piaskiem i plamami krwi. Twarz miał opuchniętą i szarą od morskiej soli, a na wardze i czole zaschniętą krew. Przynajmniej opuchlizna wokół prawego oka nieco się zmniejszyła i w końcu na nie widział. Tu mógł się dowiedzieć, co się wydarzyło, gdy był na morzu. I skorzystać z telefonu.

W holu tłoczyli się przerażeni turyści i pracujący w Lagos cudzoziemcy. Hotel był jednym z nielicznych miejsc w Lagos, gdzie widywało się więcej niż kilka białych twarzy naraz. Głównie europejskich i amerykańskich biznesmenów. Teraz nie było inaczej. Agu wydawali się napuchnięci i zaczerwienieni.

– Do kurwy nędzy, skąd mam wiedzieć? – ryknął krępy Brytyjczyk i padł na pobliską sofę. Miał walizkę na kółkach, ale nie wyglądał, jakby w najbliższym czasie gdzieś się wybierał. – To 419 obejmujące całe miasto! Całe to pierdolone miejsce się jebie!

Otaczający go biznesmeni przytaknęli.

– Mam telefon satelitarny. Jak, do diabła, go zhakowali?

– Tamten gość mówi, że na zewnątrz się tłuką, bo każdy myśli, że wszyscy pozostali są obcymi, a nikt nie wie, jak naprawdę wyglądają obcy.

– Bujdy i przesądy. Tu przynajmniej jest bezpiecznie.

– Na razie.

– Jak mogli po prostu zamknąć lotniska?

– Jebani obcy, jasne.

Agu pochylił głowę, kiedy ich mijał. Nie chciał odpowiadać na żadne pytania. Zajrzał do sali komputerowej. Wszystkie stanowiska były zajęte.

– Cholera – szepnął.

Zbliżając się do recepcji, pomasował się po czole. Skup się, Agu, pomyślał. Najpierw najważniejsze. Wróć do domu Adaory.

– Obi – powiedział, opierając się o blat.

Na jego wargach pojawił się uśmiech, pierwszy od bardzo dawna. Czuł się z tym dobrze.

Obinna, jego młody brat cioteczny, rozmawiał z kilkoma kolegami, odwrócony plecami do Agu. Nieco dalej samotna recepcjonistka dyskutowała z grupką białych kobiet, które robiły wrażenie wyczerpanych.

– Proszę się uspokoić – błagała recepcjonistka, unosząc dłonie.

Dwie z białych kobiet wspierały się o siebie nawzajem i płakały, spoglądając w stronę drzwi wejściowych. Pewnie bały się, że do hotelu zaraz wpadną Area Boys z maczetami. Każdego innego dnia Agu wyszydziłby te kobiety. Dziś jednak ich obawy wydawały się bardziej niż uzasadnione.

Obinna się odwrócił.

– Agu? – Uśmiechnął się szeroko. – Bracie!

Wychylił się nad blatem, by go uścisnąć.

Agu uniósł ręce.

– Nie chcesz mnie ściskać – powiedział. – Śmierdzę jak diabli i ociekam potem.

– Przyszedłeś stamtąd? – spytał Obi.

– Jest źle – odparł krótko Agu.

– Co ci się stało?

Agu zawsze troszczył się o swojego małego brata ciotecznego. Załatwił mu posadę recepcjonisty. Obi, syn siostry jego matki najbliższej jej wiekiem, był dla niego jak brat. Niemniej jednak, czego był świadom przez całe życie, Obiemu brakowało odwagi i wyobraźni. Gdy zaczynała się bójka, Obi uciekał. Kiedy ktoś mu rzucił wyzwanie, uciekał. Kiedy ktoś zrobił coś złego i nadszedł czas się przeciwstawić, uciekał. Lepiej, żeby został w Eko i nie wiedział o Ayodele ani o tym, dokąd się wybierał Agu.

– Wpakowałem się w sam środek – powiedział Agu.

Obejrzał się przez ramię i napotkał wzrok zdenerwowanego, zaczerwienionego Brytyjczyka. Mężczyzna gapił się na niego, jakby był obcym. *O nie, znowu,* pomyślał Agu. Znów odwrócił się do kuzyna.

– Obi – powiedział. – Musisz mi pomóc.

– *Na wao* – stwierdził Obi i obejrzał go od góry do dołu. – Ale

poważnie, brachu, co ci się stało?

– W życiu mi nie uwierzysz – odparł Agu przyciszonym głosem. Zawahał się, rozważając swoją prośbę. Ale jaki miał wybór? – Proszę, *abeg*, potrzebuję… internetu. Pozwól mi skorzystać ze swojego laptopa. Wiem, że go tam masz.

– Czemu nie skorzystasz z tych ogólnie dostępnych? – spytał Obi, marszcząc czoło.

– Muszę wysłać wiadomość. Ale wszystkie komputery są zajęte – wyjaśnił.

– Po co?

– Muszę się z kimś skontaktować.

Obi zawahał się i zaczął mu się przyglądać. Agu niemal się roześmiał – oto jego mały kuzyn obrzuca go spojrzeniem, jakby był jednym z Area Boys. Obi pozostał Obim, którego znał od lat – tchórzem, który bardziej przejmował się swoją pracą niż kuzynem, który mu tę pracę załatwił.

– Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś jednym… jednym z nich? – wyrzucił z siebie Obi.

Miał minę, jakby pożałował, że zadał to pytanie już w chwili, kiedy je wypowiedział, ale nie cofnął słów. Agu prychnął z odrazą i głośno cmoknął językiem o zęby.

Dwoje z kolegów Obiego szło w ich stronę. Jednym był wysoki, czymś przejęty mężczyzna, a drugą niska kobieta. Toyin i Vanessa, jak odczytał na ich plakietkach.

– Kto to? – spytał Toyin.

– *Abeg*, spadaj – warknął Agu, niecierpliwiąc się.

– Znasz go? – spytała Vanessa Obiego, ignorując Agu. – Możemy go wyrzucić. Tylko popatrzcie na niego.

Obi, jego własny krewniak, popatrywał niepewnie to na Agu, to na kolegów. W umyśle Agu tłoczyły się obrazy wszystkiego, co mu się przytrafiło. Pobyt pod wodą. Pytania. Bójka z oszalałym mężem Adaory. A gdyby kiedykolwiek dorwał w swoje ręce Bensona, to byłby zaiste ponury dzień. Motorówka i mężczyźni rozszarpani w wodzie przez potwory. Krowa morska, która wyniosła go na brzeg. Martwy wieloryb. Zamieszki. Własna siła. Tam, na ulicy, być może kogoś zabił.

Agu znów odetchnął głęboko i poczuł się spokojnie. Musiał dotrzeć do Ayodele. Jeśli uda się doprowadzić ją do prezydenta, to wszystko być może się skończy. Może.

– Posłuchajcie – powiedział Agu. – Wiem, co się dzieje. Jestem żołnierzem. Widzicie moje ubranie? *Ehe*. – Pokiwał głową. – Tej nocy przeszedłem piekło. – Zawahał się. – Ja… ich widziałem. Znam ich. Proszę, *abeg*, Obinna, bracie, daj mi na chwilę skorzystać z sieci, *o*.

Vanessa i Toyin gapili się na niego z otwartymi ustami.

– Widziałeś ich? – spytała w końcu Vanessa głosem pełnym

podziwu.

– Tak.

– Czy są niebezpieczni?

Mogą być, pomyślał.

– Nie.

Vanessa pokręcił głową.

– Nie mogę się z tym zgodzić, kiedy pomyślę o tym, co jedna z nich zrobiła z komunikacją radiową i sieciami.

– I o tym, jak ty wyglądasz – dodał Toyin.

– To nie oni mi to zrobili – rzucił krótko. – To zrobiły istoty ludzkie!

– Co się tam, do diabła, dzieje? – spytał go Obi, pochylił się po laptopa i postawił go na blacie.

– Chaos – powiedział Agu, wybudził laptopa z hibernacji i kliknął na ikonkę Skype. Na szczęście Obi miał jeszcze jakieś pieniądze na koncie. – A jeśli pozwolisz, by cię dotknął, stajesz się jego częścią. Robisz rzeczy, których byś nigdy nie zrobił. – Popatrzył na kuzyna. – Obi, wiem, że masz komórkę. – Obi odwrócił wzrok. *Mumu!* Idiota! Pomyślał ze złością Agu. – Zadzwoń do moich rodziców, *sha*. Proszę. Upewnij się, że nic im nie jest.

Wystukał numer Anthony'ego – miał nadzieję, że dobrze go zapamiętał – i szybko napisał krótką wiadomość.

Obi pokiwał głową, wyciągnął telefon z kieszeni i odwrócił się.

Nacisnąwszy „wyślij", Agu oparł się o blat. Widział, że budynek po drugiej stronie ulicy płonie.

– Nic im nie jest – stwierdził Obi, odwracając się w jego stronę. Rozłączył się. – Powiedzieli, że przyszli jacyś mężczyźni… żołnierze… ale oni ukryli się w środku i nic im nie jest. Kto…

– To długa historia – odparł Agu.

Z ulgi aż zrobiło mu się słabo. Najwyraźniej Benson postanowił zrealizować swoją groźbę wobec jego rodziny. Zły człowiek.

– Sądzisz, że to koniec świata? – spytał Obi, otwierając szeroko oczy.

– Nie.

Rozdział trzydziesty

Krucjata

Adaora trzy razy przeczytała wiadomość od Agu. „Zostańcie na miejscu. Jadę. Agu”.

Oddała telefon Anthony’emu, oparła łokcie na stole i opuściła głowę. Hassam, żołnierz, który próbował udzielić pierwszej pomocy jej córce, poszedł sobie. Powiedział, że spróbuje przywrócić spokój w Victoria Island. Adaora cieszyła się, że zniknął.

Okna były otwarte, by wpuszczać do środka świeże powietrze – gorące, wilgotne powietrze. Dom i tak śmierdział dymem. Nie była pewna czy to dym z pożaru, który wcześniej ugasił Chris, czy z płonącego domu w sąsiednim kwartale. Kiedy zamknęła oczy, odgłosy rozbijanych okien, wyważanych drzwi, piszczących opon i ludzi biegających i wrzeszczących na drogach i trawnikach wydawały się jeszcze głośniejsze.

Spojrzała między palcami na malutką małpkę siedzącą z naburmuszoną miną na kuchennym stole i z trudem stłumiła chichot. Małpka była puchata, miękka, brązowa, miała ściągniętą twarz jak skwaszony staruszek i była tak malutka, że swobodnie zmieściłaby się na dłoni Adaory. Wyglądała dokładnie jak pomniejszona wersja pluszowej zabawki, którą Kola każdej nocy tuliła w ramionach.

– Proszę – zwróciła się do niej Kola. – Nie bądź taka. Nie mówiłaś, że przybyłaś tutaj, żeby z nami rozmawiać?

Fred gapił się na małpkę, oczy miał szkliste, a usta otwarte. Powinien się położyć. Powinien porządnie odpocząć. Wszyscy tego potrzebowali. Małpka opuściła kąciki ust, przez co zaczęła wyglądać na jeszcze bardziej naburmuszoną. Założyła malutkie ramionka na porośniętej futrem piersi i odwróciła się plecami do Koli. Tak mocno zaciskała pięści, że Adaora słyszała trzask drobnych stawów. Ayodele zmieniła się w tego stworka przed godziną, kiedy uznała, że już nie chce być człowiekiem.

– Nie powinniśmy czekać tu zbyt długo – mruknął Anthony, wyglądając przez frontowe okno.

– Wiem – powiedziała Adaora, dołączając do niego.

Przez chwilę przyglądali się ojcu Oke. Podszedł z około dwudziestoma pięcioma wiernymi i teraz wszyscy stali na trawniku przed bananowcem. Ojciec Oke maszerował w jedną i drugą stronę, mówił z pasją i energicznie gestykulował. Jego trzódka klaskała i machała rękami w powietrzu, pobudzona przez to, do czego ich namawiał. Na drodze za nimi grupa młodych mężczyzn zabrała się do

pracy nad zaparkowanym samochodem, wybijając w nim okna łomami i cegłami. Niektórzy z nich się śmiali i pokazywali na ojca Oke i jego ludzi.

Przy krawężniku przed domem Adaory zaparkowała *okada* i ktoś z niej wysiadł. Adaora zmrużyła oczy, próbując zorientować się, co się dzieje. Kobieta i kierowca wymienili kilka zdań i kierowca odjechał pośpiesznie. Kobieta krzyknęła za nim, rozejrzała się i zaczęła iść. Miała na sobie dżinsy i czerwoną bluzkę, i szła pewnym siebie, gniewnym krokiem.

Kiedy mijała grupę zajętych niszczeniem Area Boys, zaczęli pokazywać ją palcami i śmiać się. Jeden nawet poklepał ją po pośladkach. Kobieta spiorunowała go wzrokiem i spoliczkowała. On tylko się roześmiał i odepchnął ją. Przeklinała chłopaków, ale nie zatrzymała się. Ojciec Oke i jego zgromadzenie byli zbyt zajęci, by zauważyć kobietę i jej kłopoty.

Źle, źle, źle, pomyślała z drżeniem Adaora. To zła sytuacja, która wkrótce stanie się jeszcze gorsza. Podniosła się.

– Zaraz wracam.

* * *

Adaora cicho zamknęła drzwi i zeszła po schodach do laboratorium. Chris wpatrywał się w pozostałości akwarium. Nie podążyła za jego spojrzeniem. Czuła smród martwych morskich stworzeń i to jej wystarczało.

– Chris – wyszeptała.

Nie odwrócił się. Po zjedzeniu miski ryżu jollof, który postawił przed nim Anthony, Chris zabrał się za resztki gari i zupy egusi, którą Adaora ugotowała kilka dni wcześniej. Następnie zjadł kilka ciastek, torebkę orzeszków arachidowych i trzy pomarańcze, a popił to wszystko butelką guinnessa ze skrzynki, która jakimś cudem nie została ukradziona z kredensu.

– Ja… pójdę porozmawiać z ojcem Oke – powiedział Chris.

– Nie – sprzeciwiła się Adaora. – Ślepy jesteś? Ten człowiek oszalał. – Odetchnęła głęboko i zmusiła się, by się odezwać, zanim straci resztki odwagi. – Zabierz dzieci do swojej matki. Oni mieszkają na tym zamkniętym osiedlu i…

Chris obrócił się gwałtownie, w oczach miał ogień.

– Uważasz mnie za idiotę?

– Co? Chris, ja tylko…

– Widziałem cię – powiedział.

Adaora zmarszczyła czoło.

– Wiedźma, nierządnica, ulicznica… dziwka! – Wyszeptał te słowa, co wcale nie uczyniło ich mniej bolesnymi dla Adaory. – Widziałem

cię z nim, Adaoro. – Prychnął. – Żono.

– Widziałeś… Co widziałeś?

– „Co widziałeś?”, spytała – przedrzeźniał ją. Podszedł do niej. – Widziałem ciebie! Ciebie i tego żołnierza w samochodzie, jak się całowaliście. W miejscu publicznym, jak zwyczajna dziwka.

Adaora była zbyt wstrząśnięta, by się odezwać.

Chris pokiwał głową.

– Bóg wszystko ujawnia – powiedział. – W imię Jezusa.

– Ja… przepraszam – wyszeptała. – Nie chciałam…

– Nie! – Przyciszył głos. – Nie karm mnie tymi bzdurami. Coś ze mną zrobiłaś… nim odeszłaś, coś ze mną zrobiłaś. Z nim pewnie też. Gdybym mógł to z ciebie wybić, zrobiłbym to. Ponieważ cię kocham i jesteś moją żoną. Ale jesteś zła. Ojciec Oke miał rację. Jesteś morską wiedźmą. Powiedz mi, że nie jesteś wiedźmą, powiedz mi, że nie czułem tego, co czułem. Powiedz mi, że to nie ty przytrzymywałaś mnie na podłodze, kiedy się szarpaliśmy. – Przerwał, a kiedy nic nie powiedziała, dodał: – Nie chcę, żebyś zbliżała się do dzieci.

– Nie obchodzi mnie, czego chcesz – warknęła. – To również moje dzieci. Ja je urodziłam, nie ty!

Otworzył szerzej oczy, a jego twarz z brązowej stała się ciemnoczerwonobrązowa. Zacisnął pięści. Ale Adaora się go nie bała. Czuła to w sobie. Gdyby tylko przestała nad sobą panować, ta bójka, podobnie jak poprzednia, skończyłaby się, zanim jeszcze się zaczęła. Piorunowała go wzrokiem.

– Na dole wszystko w porządku? – zawołał Anthony ze szczytu schodów.

– Mamusiu? – zawołała Kola. – Tatusiu?

Powieki Chrisa drżały, ale rozluźnił pięści.

– Tylko… rozmawiamy – powiedziała Adaora. Nie spuszczała wzroku z Chrisa. – Kola, za chwilę wrócimy na górę.

– Na pewno? – spytał Anthony.

– Nic się nie dzieje.

– W porządku.

Adaora nie usłyszała odgłosu zamykania drzwi, co ją ucieszyło. Przełknęła ślinę i powtórzyła najtrudniejsze słowa swojego życia.

– Zabierz je do swojej matki. Tam jest bezpieczniej.

– A ty zostaniesz tutaj? Żeby czekać na niego?

– Żeby zakończyć tę sprawę z Ayodele – powiedziała. – Musimy doprowadzić ją do prezydenta.

– Niech żołnierz to zrobi. To jego zadanie, nie nasze.

– Musi być cała nasza trójka.

– Dlaczego?

– Taka… taka jest Boża wola. – Adaora wstrzymała oddech.

Chris roześmiał się głośno. Poczuła ulgę, kiedy się cofnął.

– Nie masz pojęcia o Bożej woli.

Ty też nie, pomyślała.

– Zostawisz dzieci, żeby pójść z nim? – spytał.

– O mój Boże – westchnęła, przewracając oczami. – Nie widziałeś, co Ayodele… – Odetchnęła głęboko, wzięła się w garść. – Posłuchaj, co się tam dzieje! Nie słyszałeś, co powiedziała? Tu nie chodzi o nasze małżeństwo ani o to, czy jestem złą matką!

– Zostawiasz mnie.

Adaora westchnęła i uciekła spojrzeniem,

– To nie czas na tę rozmowę, Chris.

– Pozwoliłaś, żeby cię dotknął. – Jego oczy błyszczały, gdy przeciągnął palcami po jej twarzy. Z całego serca pragnęła się wzdrygnąć, ale tego nie zrobiła. – Bóg zawsze panuje – powiedział.

Później minął ją i wspiął się na górę po schodach. Adaora usiadła na najniższym stopniu i spuściła wzrok. Czuła smród zniszczenia.

* * *

Kiedy wróciła na górę, Kola i Fred wkładali buty i kłócili się, kto opowie wszystko babci. Chris pakował do teczki ciasteczka, orzeszki arachidowe i banany. Anthony stał w milczeniu, oparty o blat, z rękami założonymi na piersi. Ayodele, nadal w postaci malutkiej małpki, siedziała na stole, odwrócona plecami do wszystkich.

– Dzwoniliśmy do babci – powiedziała Kola. – Mówiła, że jeśli uda nam się do niej dotrzeć, będziemy bezpieczni!

Adaora pokiwała głową.

– Miała rację.

– A jednak ty zostajesz tutaj, gdzie wcale nie jest bezpiecznie – stwierdził Chris.

Cisza. Na zewnątrz coś głośno zatrzeszczało.

– Zgadza się. Zostaję – powiedziała w końcu.

– Dlaczego? – spytał Fred, dysząc ciężko.

Miał rozdęte nozdrza. Adaora znała tę minę – próbował powstrzymać płacz. Kola przytuliła go do siebie.

– Musimy zaczekać na Agu – powiedziała Adaora i spróbowała nie skulić się na myśl o reakcji Chrisa.

– Dlaczego? – rzucił ostro Chris. – Czy on jest twoim mężem?

Anthony zaśmiał się pod nosem i mamrocząc coś, spuścił wzrok.

– Bzdura.

– Kola, Fred, idźcie na górę i zabierzcie podręczniki.

– Mamusiu, powinnaś uratować świat – powiedział Fred. – Jeśli masz okazję…

– Zamknij się i idź na górę! – krzyknął Chris. – Jakie dziecko wtrąca się w rozmowy dorosłych? Co za obrzydliwość!

Kola i Fred pobiegli na górę.

– Nie mam zamiaru o tym rozmawiać, Chris – powiedziała, kiedy dzieci znikły. Nieświadomie uniosła dłoń do policzka. – Dość już rozmawialiśmy.

– Ja... przepraszam – powiedział, opuszczając ramiona. – Nie powinienem cię uderzyć.

– Nie obchodzi mnie to.

Milczenie.

– Adaoro – powiedział. – Co... ja... co takiego zrobiłaś? Kiedy... kiedy się biliśmy?

Poczuła ściskanie w brzuchu, ale nic nie powiedziała.

Podszedł bliżej, a ona się nie cofnęła.

– Czy to ma coś wspólnego z tym, jaka się urodziłaś? Ty...

– Chris, czy ty mnie przypadkiem nie nazwałeś morską wiedźmą czy czym tam, czego tak bardzo się boicie? – Zapiekły ją oczy, ale nie przerwała. – Myśl tak dalej, jeśli dzięki temu czujesz się spokojniejszy. Trzy rzeczy muszą się wydarzyć. Po pierwsze, nasze dzieci muszą być bezpieczne. Po drugie, Anthony, Ayodele i ja musimy odnaleźć Agu. Nie zrozumiesz tego, a ja nie zamierzam tłumaczyć. Po trzecie, musimy doprowadzić Ayodele do prezydenta. I wiesz co, Chris, przypadkiem wiem, gdzie prezydent będzie o szóstej rano. Jeśli Agu wkrótce się pojawi, mamy całą noc, żeby tam dotrzeć. Ale musimy tam dotrzeć. Nie będzie łatwo, biorąc pod uwagę to, co dzieje się na zewnątrz.

Milczenie.

– Dlaczego wasza trójka? – spytał Chris.

– Ja nie... nie, to nieprawda. – Zamrugała, gdy nagle ją oświeciło. Chwyciła go za ramię, ścisnęła je. – Chris?

– Co?

Wydawał się przestraszony.

Serce waliło jej w piersiach. Jej dłonie drżały. Nigdy nie był religijna. W przeciwieństwie do męża nigdy nie wierzyła w tajemnice. Była naukowcem. Fundamenty jej świata stanowiły dowody empiryczne, starannie przeprowadzone eksperymenty, dane. Ona była myślicielem, a on wolał po prostu wierzyć. To zapewniało im równowagę. Geniusz Chrisa objawiał się w zdobywaniu i rozwijaniu kontraktów. Miał akcje w Ameryce i Wielkiej Brytanii. Kiedy prowadził interesy, kierował się przeczuciami. Gdy czuł, że jest na rozdrożu, konsultował się z dibiami, szamanami i babawelami. I to zawsze działało. Zapewniło im bogactwo.

Działania Adaory determinowała logika. Chodziła do kościoła, bo tego od niej oczekiwano, nie dlatego, że wierzyła. Badała ocean i żyjące w nim istoty. Obliczała, dokumentowała, obserwowała. Pisała artykuły do czasopism naukowych i w swej dziedzinie została

autorytetem. Była uznanym wykładowcą i choć zarabiała o wiele mniej od Chrisa, jej zarobki czyniły ich jeszcze bogatszymi.

Znali się przez całe życie. Mieli wspólną historię. A w tej historii kryła się tajemnica, o której bez słowa zgodzili się nigdy nie rozmawiać. Żadne nigdy nie nazwało drugiego złym lub nielogicznym… aż do poprzedniego roku, kiedy Chris tak bardzo przestraszył się w samolocie z Lagos do Owerri i się odrodził. Od tego czasu wszystko zaczęło się rozpadać.

– Masz rację – wyszeptała.

– W czym?

– W kwestii świata.

Uniósł brwi. I uśmiechnął się.

– Nie, nie chodzi mi o to całe chrześcijańskie gadanie – powiedziała. – Ale o tajemnicę. – Milczała przez chwilę. – Ayodele powiedziała, że jej lud jest katalizatorem zmian. Gdziekolwiek się udadzą, przynoszą zmiany.

– A ty jesteś częścią tej zmiany – powiedział.

– Może. – Wzięła go za rękę. – Zawieziesz dzieci do swojej matki? Proszę. Są jedynym, co mamy.

Po długiej chwili powiedział:

– Tak.

Uniósł jej dłoń do warg i pocałował ją.

Oboje ruszyli na górę. Anthony, który opierał się o drzwi i słuchał, pociągnął długi łyk z trzymanej w ręku butelki z wodą. Z westchnieniem wrócił do salonu.

– W końcu jakiś postęp.

* * *

Chris wziął mercedesa Adaory, zostawiając jej swoje mniejsze, szybsze BMW. Fred i Kola płakali. Poza pragnieniem pozostania z matką, nie chcieli opuszczać Ayodele, która nadal pozostawała w postaci małpki i wciąż się nie odzywała. Kiedy odjechali, Adaora padła na sofę z początkami bólu głowy, który mógł wynikać jedynie z głębokiego konfliktu, wewnętrznej bitwy między ulgą a niepokojem. I wtedy przez okno wpadła cegła, a później koktajl Mołotowa, który podpalił sofę.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Rytm

– Wyjdźcie! – krzyknął ojciec Oke.

Anthony zaczynał tracić panowanie nad sobą. Opuszczało go od chwili, gdy ci idioci próbowali zastrzelić Ayodele. Odpływ wzrósł dziesięciokrotnie, kiedy żołnierze ranili Kolę. Zazwyczaj wystarczył głęboki oddech i spojrzenie na niebo, by się uspokoić. Nie teraz. A najgorsze w tym wszystkim było to, że Starsi zobaczą wszystko, cokolwiek zrobi.

Starsi. Tak nazywała ich Ayodele. Nie, nie Starsi, którzy byli jego przodkami, lecz Starsi z gwiazd. Te… istoty, od których Anthony z trudem się oddzielił. Wciąż słyszał ich pieśń, wciąż słyszał dudnienie ich bębnów – o tak, wciąż ich czuł. Znajdowali się w głębi oceanu, u brzegów megalopolis Lagos. Czuł ich tak, jak niczego nie czuł wcześniej. Ponieważ wciąż z nim byli. Przez niego słuchali. Słyszeli, widzieli i czuli razem z nim. Mimo to wciąż był sobą, a kiedy się złościł… wpadał w szał. A gdyby wpadł w szał, czerpałby ze wszystkiego, co go otaczało. Czerpałby z ziemi. Z samego podłoża pod stopami. Później zaś wykorzystałby to, co wziął, a zniszczenia byłyby wielkie.

Zrobił to raz, kiedy miał dziesięć lat, kiedy wciąż posługiwał się imieniem, które nadali mu rodzice, Edgar. Niedługo po tym, jak jego ojciec umarł, pozostawiając matkę, by dźwigała brzemię winy za jego atak serca. Przez miesiąc Edgar siedział w domu z matką i rodzeństwem. Żywili się resztkami ze stypy i zapasami, które matce udało się kupić dzień przed ceremonią. Mimo to, kiedy zaczęło brakować wody, matka w końcu się poddała.

Owego pamiętnego dnia była na targowisku, Edgar zaś został w domu, by opiekować się młodszym rodzeństwem. Matka doszła do wniosku, że rodzina ojca się poddała. W domu spędziła miesiąc. Ale on wiedział, że przyjdą. Pół godziny po jej wyjściu przybyli do małego białego domku z talerzem satelitarnym na dachu i brązowymi plamami od wody na ścianach. Jego krewni. Stryjowie, stryjenki, starsze rodzeństwo stryjeczne. Wszyscy ze strony ojca. Przybyli po to, co uważali za swoje. W owych czasach nie było telefonów komórkowych, ale wioskowe plotki, poczta pantoflowa, działały lepiej niż jakakolwiek komunikacja elektroniczna. Pewnie to ciotka Osei, która mieszkała po drugiej stronie drogi, powiadomiła wszystkich, że jego matka w końcu wyszła.

Edgar siedział na niewielkim ganku i patrzył, jak nadchodzą.

Podjechali samochodami osobowymi i terenowymi i czekali. Zbierali się jak mrówki gotowe odciągnąć martwego pająka. Mrówki nie śpią. Mrówki są nieustępliwe. Mrówki znają zapach okazji i nie wahają się podążyć jego śladem.

Krewni jego ojca – w sumie około dwudziestu – zebrali się pod dużym drzewem mangowym, które rosło przed domem. Było obwieszone dojrzałymi owocami. Kilku z grupy zaczęło zrywać największe mango, jakby mieli do tego prawo. Dzień był ciepły i Edgar zaczął się pocić. Po kilkunastu minutach jedną dużą grupą ruszyli w stronę domu Edgara. Jego najmłodsza siostra, Helen, miała siedem miesięcy, brat Bamfo dziewięć lat. W sumie było ich pięcioro, a zajmował się nimi dziesięcioletni Edgar.

– Wejdź do środka – powiedział do Bamfo.

Młodszy braciszek spojrzał na niego z taką troską, że Edgar prawie się rozpłakał. Miłość brata, miłość całego rodzeństwa była tak silna! Oddaliby życie za siebie nawzajem. A wiedzieli, czym jest śmierć. Wszyscy byli obecni, gdy ojciec na ich oczach zmarł na atak serca, przy stole w jadalni. Byli właśnie w trakcie wspaniałej niedzielnej uczty, na którą składało się fufu i zupa z orzeszków z koźliną. Rzadki obfity posiłek. Edgar nie pamiętał, co świętowali. Pamiętał jedynie zmieniający się wyraz twarzy ojca. Od szczęśliwego, przez zbolały po wstrząśnięty. I tak właśnie wyglądał, gdy ostatni raz zaczerpnął tchu.

Ojciec Edgara był Wielkim Synem rodziny. Był najstarszy. Odniósł największy sukces. Był najgłośniejszy. I został pobłogosławiony przez Boga, by głosić Słowo Boże. Rodzina ojca Edgara oskarżała jego matkę o bycie wiedźmą. Wierzyli, że doprowadziła go do śmierci, by zabrać jego pieniądze i stworzyć imperium z dziećmi, które mu ukradła. Byli zdecydowani, by jej na to nie pozwolić. Chcieli, by żona ich Wielkiego Syna popadła w nędzę za to, co zrobiła. Chcieli, by dzieci umarły z głodu. Te dzieci były złe, skoro pozwoliły matce, by zabiła Wielkiego Syna rodziny.

Edgar był szczerym aż do bólu i pełnym współczucia dzieckiem. Nie mógł znieść żadnego cierpienia. Znano go więc z tego, że przenosił żółwie na drugą stronę drogi i wynosił z domu jaszczurki. Raz nawet gołymi rękami złapał ptaszka, który latał po salonie, i wypuścił go na dworze. Był wysoki jak na swój wiek, choć chudy, niezależnie od tego, ile jadł. A kiedy mówił, wydawał się jeszcze wyższy, tak bardzo był wygadany. Matka często biła go za niewyparzony język, a jeszcze częściej tuliła za pieśni pochwalne. Ojciec niemal pękał z dumy za każdym razem, gdy Edgar śpiewał mu pieśń pochwalną. Edgar zazwyczaj umiał uszczęśliwić rodziców. A do tego miał wielu przyjaciół i nigdy się nie bił. Jego bronią były słowa. Umiał trzaskać językiem jak biczem. Ale tylko kiedy się rozzłościł.

A owego dnia, gdy Edgar patrzył na krewnych, którzy obwiniali

jego matkę o śmierć ojca – tego pamiętnego dnia Edgar się rozzłościł.

Jako pierwszy szedł wuj Kuffour, u boku mając ciotkę Boteng i wuja Mensaha. Wydawali się rozemocjonowani i zadufani w sobie. Ta trójka rozpuszczała najgorsze plotki o jego matce. Edgar miał nie tylko dar mowy, ale również słuchu. Słyszał rozmowy po drugiej stronie pomieszczenia, każde słowo, każdą sylabę. Słyszał, jak ta trójka mówi o jego matce, jakby była psem.

Ich zdaniem, w swojej wiosce, zanim wyszła za jego ojca, matka Edgara znana była z kontaktów z diabłem. Od śmierci ojca nie tylko gotowała dla wszystkich jego przyjaciół, ale też z nimi spała. A nawet przed śmiercią ojca usunęła kilka ciąż. Tak mówili. Ich zdaniem jej paznokcie zawsze były brudne, jej zupa zawsze skwaśniała, a żeby skłonić ojca do małżeństwa, matka użyła uroków.

Matka wiedziała o tych plotkach, nawet gdy była zmuszona przez miesiąc siedzieć w domu i go strzec. I każdej nocy płakała z ich powodu. Edgar słyszał ją przez cienkie ściany. Matka była pediatrą, a ojciec znanym i lubianym kaznodzieją. Dobrze sobie radzili. Razem. A teraz, po śmierci ojca, jego krewni chcieli zabrać wszystko. Edgar wiedział, że rodzina powinna udzielać wsparcia, kiedy sprawy miały się źle. Ale ta rodzina chciała pozbyć się jego matki, braci, sióstr i jego samego.

Kiedy się zbliżyli, Edgar wstał i stanął w otwartych drzwiach do domu rodziców. Swojego domu. Domu rodzeństwa. Bose stopy mocno wcisnął w ziemię. Miał na sobie starą koszulkę i czarne szorty. Był ciemnoskóry, jak ojciec, i patrzył im wszystkim prosto w oczy, jak matka.

– Czego chcecie?

– Zejdź nam z drogi – powiedział wuj Kuffour. Pozostali potwierdzili.

– Rusz się.

– Nie utrudniaj.

– Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji.

– Nie – powiedział Edgar. – To dom moich rodziców.

– I nie zaprosisz krewnych do domu? – spytała ciotka Boteng, mrużąc oczy.

– A czy wy zachowujecie się jak moi krewni? – spytał.

Odważnie zrobił krok do przodu, czując, jak wypełnia go wściekłość. Oczyma duszy widział środkową siostrę łkającą w kuchni, gdy wyglądała przez wejście i widziała ciotkę Boteng zachowującą się jak ktoś obcy. To była jej ukochana ciocia.

– Czy ktokolwiek z was przyszedł tu, by dobrze życzyć mojej matce? – spytał Edgar. – By zobaczyć, jak radzą sobie dzieci waszego brata? Czy ktokolwiek z was ma serce, które nie jest z lodu? Czy ktokolwiek z was ma choć trochę wstydu?

Poczuł to. Z początku w piersi, ale później zaczęło promieniować na całe ciało. Zwinął się, by to powstrzymać, lecz było tak gorące, tak potężne.

– Stary malutki – zaśmiał się wuj. Podszedł bliżej do Edgara.

Edgar się nie poruszył. Ci ludzie przyszli tu, by zabrać wszystko. Nie poruszy się.

W chwili, gdy najstarszy brat ojca chwycił go za ramię, Edgar usłyszał muzykę – słodką, czystą i elektryzującą. Śpiewała do niego czystym głosem „Broń ich”.

I wtedy to, co w nim narastało, wibrując w rytmie ziemi, wyrwało się na zewnątrz. Stryjowie, stryjenki, krewniacy, wszyscy polecieli do tyłu. Dwa najbliższe samochody zostały przewrócone na bok i uderzyły w ziemię. Domy po drugiej stronie ulicy, w tym dom ciotki, zadrżały w posadach i zasypała je czerwona ziemia.

Ci krewni nigdy nie wrócili.

Edgar nigdy nie opowiedział matce o całym incydencie, o wszystkim dowiedziała się później od sąsiadów. Nigdy więcej nie wykorzystał rytmu do stosowania przemocy. Kiedy jednak wkraczał na scenę, kiedy rapował i pozwalał, by słowa spływały z jego języka jak ogrzany miód, czuł go. Wiedział, że będzie pod ręką, gdyby go potrzebował. Jak dotąd nic takiego się nie wydarzyło.

Ale teraz go potrzebował.

Ludzie ojca Oke tłoczyli się na trawniku i Anthony wyczuwał, że zamierzają zrobić coś strasznego. Przed chwilą wrzucili do domu koktajl Mołotowa i mieli ich jeszcze kilka. Podszedł do frontowych drzwi.

Kiedy występował, tkał słowa jak pająk sieci. Sięgał w głąb siebie i pracował z nimi, a później rzucał je w stronę widowni, wzmocnione i uzupełnione energią i obrazami. Z jego koncertów wszyscy wychodzili odmienieni. Był pozytywną siłą – ale jedynie dlatego, że tak postanowił. Tamtego dnia, w drzwiach domu matki, był czymś innym. Musiał być.

Teraz zsunął buty i wyszedł na zewnątrz, by stawić czoła ojcu Oke i jego parafianom. Wszedł na ziemię rabatki obok ścieżki prowadzącej do domu Adaory. Wydawała się chłodna.

– Co wy wyprawiacie? – spytał spokojnie.

Spojrzał ojcu Oke prosto w oczy. Ten człowiek był urzekający i charyzmatyczny, zupełnie jak ojciec Anthony’ego. Muzyk zmarszczył czoło. Działania ojca Oke niewiele różniły się od tego, co sam robił, gdy występował jako Anthony Dey Craze. Ale ja nie wykorzystuję ludzi, pomyślał. Uwalniam ich, otwieram ich na Boga.

Szaty ojca Oke były zabrudzone, a jeden policzek zapuchnięty, zupełnie jak twarz Agu i Adaory. Oczy miał zaczerwienione i błyszczące od powstrzymywanych łez, jednak mówił stanowczo.

– Chcielibyśmy porozmawiać z kosmitką.

– Nie – powiedział Anthony. – Rozmawiajcie ze mną.

Teraz to ojciec Oke spojrzał Anthony'emu prosto w oczy. Obaj stali wyprostowani, dumni i potężni. Obu uwielbiali ludzie, którzy ich otaczali. Obaj to wiedzieli i czuli. Anthony był spokojny jak podziemna rzeka. Ojciec Oke był wulkanem gotowym do wybuchu.

– Wyprowadźcie go! – krzyknął ojciec Oke z szeroko otwartymi oczyma. – Wyprowadźcie stwora, już!

Kilku z jego wyznawców obrzuciło dom kamieniami. Inni krzyczeli i machali rękami. Dwaj podeszli do Anthony'ego z zaciśniętymi pięściami. Przy drzwiach zatrzymali się jednak i spojrzeli za niego. Anthony się odwrócił. Z tyłu stała Adaora. Trzymała Ayodele, nadal w postaci malutkiej małpki.

– Oto i ona – powiedziała Adaora ze złośliwym uśmieszkiem. Przeszła obok Anthony'ego i spojrzała na dwóch mężczyzn. – I nie ma wam nic do powiedzenia.

Słyszała trzask ognia, czuła gorąco i widziała blask odbity w potłuczonym szkle na ziemi. Górne piętro domu musiało płonąć.

– Nie wierzę ci – powiedział Oke.

– A skąd bym, do licha, w środku nocy wzięła małpkę? – warknęła Adaora, ale znała jego odpowiedź nim jeszcze ją usłyszała.

– Jesteś wiedźmą. Na pewno masz swoje sposoby.

Kilku z jego wyznawców mruknęło przytakująco.

– Ojcze Oke, czy jak się nazywasz – powiedział Anthony. Zrobił krok do przodu, stając między Ayodele i dwoma mężczyznami. – Opuść wraz ze swoimi ludźmi własność Adaory. Nic tu dla was nie ma.

Ojciec Oke posłał Anthony'emu groźne spojrzenie, po czym odwrócił się do swoich wyznawców. Uniósł ranną lewą rękę, krzywiąc się teatralnie.

– Proszę, mówcie ze mną: „To jest moja Biblia".

Wyciągnął z kieszeni Biblię i uniósł ją prawą ręką.

– To jest moja Biblia – powtórzyli jego wyznawcy z żarliwymi minami.

– To Słowo Boże – wykrzyknął.

– To Słowo Boże!

– Tak! Dobrze, moje owieczki, dobrze! Wierzę, że jestem, kim jestem. Wierzę, że mogę zrobić to, co ono mówi, że mogę zrobić. Czy wierzycie we mnie?

– Wierzymy!

– Tak, *o!*

– Mówisz prawdę!

Ojciec Oke, wzmocniony entuzjazmem swojej trzódki, podskoczył z ekscytacją, uśmiechnął się szeroko i wykrzyknął:

– Amen!

Kiedy jednak znów odwrócił się do Anthony'ego, jego uśmiech zniknął, a na twarzy malowała się złość. Pstryknął palcami i machnął prawą ręką w stronę Adaory i Ayodele.

– Łapać *am*, łapać *am*! – ryknął.

Dwaj krępi mężczyźni ruszyli naprzód.

– Adaora, wracaj do środka! – warknął Anthony.

W chwili, gdy dwaj mężczyźni rzucili się na Adaorę i Ayodele, Anthony przestał się hamować. Pierwszy raz od czasu, gdy miał dziesięć lat, wyzwolił surową moc tego, co nazywał rytmem. Była to wibracja, która wzbierała w jego wnętrzu i pozwalała mu dotknąć wszystkiego. Przetoczyła się ciepło ponad ojcem Oke, dwoma mężczyznami, jego wyznawcami i wszystkimi na ulicach. Zgasiła wywołany koktajlem Mołotowa pożar, który pożerał dom Adaory i Chrisa, i ten po drugiej stronie ulicy, który pochłonął większość budynku. Wikłacze, które schroniły się na pobliskim drzewie, spadły na ziemię. Uruchomiły się alarmy samochodów. Roztrzaskały się nieliczne ocalałe okna w pobliskich budynkach.

Gdy fala dźwięku się przetaczała, Anthony stał nieruchomo, z zamkniętymi oczyma, i odbierał informację o wszystkim, czego dotknęła fala. Jego umiejętności wzrosły od czasu, gdy był dzieckiem. Wtedy, gdy poradził sobie z rozgoryczonymi krewniakami, poleciał do tyłu, uderzył w ścianę domu i na dziesięć minut stracił przytomność. Teraz zatoczył się zaledwie o krok. To był rytm. Lud Ayodele również go znał. Użyli go dwukrotnie, by odczytać Lagos.

Anthony odetchnął głęboko i otworzył oczy. Otaczało go potłuczone szkło. Kolejne odłamki spadły ze zniszczonego okna, z brzękiem uderzając o chodnik. I zapanowała cisza. Na trawniku leżały ciała. Ciała. Ale wiedział, że nie są martwi, jedynie nieprzytomni. Czuł jednak ten sam przypływ mocy i oszołomione przerażenie co wtedy, gdy miał dziesięć lat. Zrobił to. Zapanował nad wibracją, nad energią. Panował nad nią podczas koncertów, aż kobiety czuły ekstazę, a mężczyźni euforię. Teraz zapanował nad nią tutaj, by odczytać wszystko, by powstrzymać wszystko. By znaleźć porządek w chaosie,

Wiedział tak wiele.

– Ayodele – powiedział. – Nie wszyscy jesteśmy źli, *chale*.

Ayodele stała w drzwiach i patrzyła na niego. Powróciła do ludzkiej postaci, tyle tylko, że stała się wyższa, wyższa od niego. Miała co najmniej dwa metry wzrostu i długą sukienkę z grubej białej tkaniny.

– Zobaczymy – powiedziała.

– W tym mieście kryje się więcej niż sobie wyobrażałaś – stwierdził.

Widział wszystko, co działo się w promieniu pięciu kilometrów.

Wszedł do środka i zamknął za nimi drzwi, pozostawiając nieprzytomnych wyznawców ojca Oke pod bananowcem.

– Powinniśmy przygotować samochód – zauważył. – Agu już tu prawie jest.

Rozdział trzydziesty drugi

Stylowe, kosztowne i wyjątkowe

– Kim jestem? – wyszeptał Jacobs, gdy jechali powoli niemal pustą ulicą.

Ledwie słyszał własne myśli. Z przodu Moziz i Tolu kłócili się, gdzie jechać. Kilka minut wcześniej wysadzili Troya na poboczu, gdzie czekali na niego uzbrojeni w maczety krewniacy. Jacobs zastanawiał się, jak zamierzają odnaleźć żołnierza, który napastował ich kuzynkę.

– Ta noc bendzie nocom, kiedy zatłuczem *am* – powiedział jeszcze Troy, nim dołączył do krewniaków.

Kiedy odjeżdżali, Jacobs widział, jak Troy chwyta maczetę i unosi ją wysoko w powietrze. Ci, którzy go otaczali, zrobili to samo. Dwie kobiety idące w ich stronę natychmiast się odwróciły i pośpiesznie ruszyły z powrotem.

Jacobs oparł czoło o chłodne okno, próbując odciąć się od Moziza i Tolu. Nie obchodziło go, dokąd pojadą. Minęli grupę przekupek niosących na głowach wyraźnie ukradzione towary. Krzesła, bele tkanin, kosze pomidorów, komputery. Wszystkie kobiety śmiały się i śpiewały, gdy mijały płonący biurowiec. Philomena siedziała obok Jacobsa i z otwartymi ustami wpatrywała się w kobiety. Przynajmniej przestała płakać.

Kiedy jechali boczną drogą, Jacobs próbował skupić się na drzewach. Gdy zamknął oczy, widział jedynie Rome'a, Seven i innych członków Czarnego Węzła bitych aż do nieprzytomności. Zostawił ich, żeby porwać jakąś kosmiczną istotę dla pieniędzy. Do tego doszedł? Nie był lepszy od Moziza czy ojca Oke.

– Zmywajmy siem z Lag! – ryczał Tolu.

Miał łzy w oczach. Przekrzykiwali się przez ostatnie pięć minut.

– Na ostatnie miejsce, gdzie chcom być ludzie, jeśli prawdziwy kosmita chce przejońć władze, *sha*. Pamientaj, oni nie som lućmi!

– Tolu, zamknij jadaczke. Chcem siem skupić na jeździe – powiedział Moziz, niebezpiecznie zbliżając się do pobocza. – Kiedy doczem do mie, zdecydujem.

– Mówiem ci teraz, musim działać szybko – powiedział Tolu. – Jeśli nie zrobim tego teraz, możem nie zrobić tego wcale, *o*.

– Pacz do przodu! – wrzasnęła Philomena.

Moziz wytrzeszczył oczy i spróbował powstrzymać samochód przed zderzeniem z dziewczyną na drodze. Zatrzymali się gwałtownie i Jacobs uderzył w siedzenie z przodu, a pas wbił mu się boleśnie w pierś i szyję. Rozległ się nieprzyjemny huk. Kiedy podniósł wzrok,

zobaczył ciało kobiety na masce. Później osunęła się na ziemię.

Przez chwilę milczeli. Moziz siedział bez ruchu, gapiąc się tępo na kobietę leżącą na ulicy jak porzucona lalka. Światła samochodu oświetlały jej skórę. Nie poruszała się. Philo bezmyślnie wyszła z samochodu. Tolu sięgnął pod nadgarstkiem Moziza i wyłączył silnik.

– O rety! – krzyknął Jacobs i wyskoczył z auta.

Odepchnął Philo na bok i podbiegł do kobiety. Droga była pusta i panowała całkowita ciemność, przecinana jedynie blaskiem przednich świateł. W ciszy Jacobs słyszał granie świerszczy. Kobieta była wysoka, po trzydziestce, ubrana w ciemnoniebieskie spodnie i pasującą do nich bluzkę, ozdobioną srebrnym i czerwonym haftem. Stylowe, kosztowne i wyjątkowe, pomyślał. Jeden z czarnych pantofli na wysokim obcasie zsunął się z jej stopy. Nos miała zmiażdżony, podobnie jak czoło. Nie krwawiła, ale Jacobs widział biel kości i coś wypływającego z jej czoła.

– O Boże! Ona *peme* – powiedziała stojąca obok Philo, jakby Jacobs był ślepy.

Z daleka rozległ się dudniący odgłos przypominający burczenie wielkiego brzucha. Rozejrzał się dookoła.

– *Wetin* to? – wyszeptał.

– Nie wiem – odpowiedziała, również szeptem, i zbliżyła się do niego.

Kiedy znów to usłyszeli, tym razem głośniej, Moziz uruchomił silnik.

– *Wetin* robisz? Nie możem tak zostawić *am!* Kobieta...

– Wsiadać! – krzyknął Moziz.

Beton pod stopami Jacobsa się poruszył. Nie, nie poruszył, zmiękł. Spojrzał w dół – był miękki jak poduszka. Od strony drogi dobiegło gardłowe warczenie, które zmieniło się w ryk. Jacobs poczuł, że jeżą mu się wszystkie włoski na ciele. Babcia zawsze go łajała, że o zmroku gra z kolegami w piłkę nożną na drodze. Mówiła, że pewnego dnia droga go połknie w chwili, gdy zajdzie słońce.

– Bierz *am!* – powiedział. Tego wieczoru zrobił dość zawstydzających rzeczy. – Pomóż mi!

Ale Philomena już wskoczyła do samochodu. Jacobs podbiegł do kobiety, potykając się na miękkim betonie, który teraz drżał z każdym jego krokiem. Przypominało mu to sposób, w jaki drży skóra byka, kiedy usiądzie na niej mucha. I był ciepły pod jego stopami. Czuł gorąco przez podeszwy tenisówek. Chwycił kobietę pod ramiona. Od razu zauważył, że też była ciepła... i lekka. Poza tym zaczynała się zapadać. Droga próbowała ją połknąć.

– *Ah-ah!* Ona nie *peme, o!* – krzyknął Jacobs histerycznie w stronę drogi. – Ona nie *peme!*

Wkładając w to wszystkie siły, wyciągnął jej ciało z mięknącego

asfaltu i, ignorując wściekły ryk stwora, któremu odebrano posiłek, przerzucił ją przez ramię i zaniósł do samochodu. Moziz dodał gazu, zanim Jacobs zdążył zamknąć drzwi.

Kiedy zawrócili i ruszyli z powrotem w stronę centrum Lagos, Philo, która wyglądała przez okno, zaczęła wrzeszczeć i coś pokazywać. Jacobs miał ochotę ją spoliczkować, aż obejrzał się za siebie i sam zobaczył. Droga za nimi podnosiła się jak asfaltowy wąż. Kołysała się we wszystkie strony, dwa żółte pasy błyszczały w ciemnościach. Tocząc się za nimi, uderzała w drzewa wzdłuż poboczy.

– Ona nie *peme!* – krzyknął Jacobs. – Ona nie umrze, *o!*

Moziz przyśpieszył do prawie stu trzydziestu na godzinę. Samochód szarpał i wibrował, ale oddalał się od potwornej drogi. Jacobs opadł z ulgą na siedzenie i spojrzał na kobietę obok, która powinna być martwa, ale nie była. Patrzyła na niego.

Z jej oczu płynęły łzy, a zmiażdżona twarz była ściągnięta z bólu. Szybko odwrócił wzrok, pełen obrzydzenia i niepokoju. Zagryzł pięść, żeby nie zwymiotować.

– Papa Boże – sapnął.

Z trudem przeniósł wzrok na tył głowy Moziza, a później Tolu. Żaden nie zauważył, że kobieta żyje. Nawet Philomena, która siedziała obok na tylnym siedzeniu, nadal wyglądała przez okno.

Ponieważ Jacobs odwrócił wzrok od poranionej kobiety, nie zobaczył tego. Żadne z nich tego nie widziało, i dobrze. Jacobs, Philo, Moziz i Tolu już widzieli więcej, niż mogli znieść. Jeszcze jedno dziwactwo, a ich umysły poddałyby się. Zmiażdżony nos i czoło kobiety zaczęły się odbudowywać – kości, chrząstki i skóra.

– *Wetin* było to na drodze? – szepnęła.

Jacobs odwrócił się do kobiety i wybałuszył oczy na widok jej zdrowej twarzy. Przez chwilę gapił się na nią z otwartymi ustami.

– Ja… ja nie mam pojencia, wcale a wcale – powiedział w końcu.

Rozdział trzydziesty trzeci

Patyczak

Agu krył się w cieniach. Po ulicach paradowali Area Boys i pojedyncze Area Girls z maczetami, pałkami i prawdopodobnie bronią palną, jak również złodzieje, policjanci i żołnierze, którzy porzucili swoje obowiązki, oraz wszelkiego innego rodzaju motłoch. Agu poradziłby sobie ze wszystkimi, tyle że nie chciał. Lepiej prześlizgiwać się za budynkami i bocznymi ulicami, niż być zmuszonym, by ranić i zabijać ludzi.

Znów krwawił z nosa po bójce z grupką gości, którzy właśnie skończyli niszczyć czyjś terenowy mercedes. Agu rozumiał, że są wściekli na Lagos, wściekli na Nigerię, wściekli na świat. Inwazja obcych była jedynie pretekstem, żeby uwolnić tę wściekłość. Zmaltretowany z wyglądu żołnierz w mundurze był dla nich jak prezent… do chwili, gdy odkryli, że Agu nie jest zwyczajnym żołnierzem.

Agu wiedział, że nie jest normalny od dwunastego roku życia, od kiedy czterech chłopaków dopadło za kościołem jego i Patyczaka. Patyczak był biednym, chudym dzieciakiem, który dużo gadał i miał talent do psot. Agu miał słabość do Patyczaka i często go bronił. Tego dnia Patyczak sporo wygrał, grając w karty ze starszymi chłopakami. W chwili, gdy zbierał się do odejścia, z kieszeni wypadła mu karta, dzięki której oszukiwał. Agu wychodził z kościoła, w którym był ministrantem, kiedy podbiegł do niego Patyczak, stanął za nim i krzyknął:

– Oni chcą mnie pobić, *o!* Pomocy!

Agu chwycił Patyczaka i razem pobiegli za kościół. Kiedy Agu odmówił wydania Patyczaka wściekłym chłopakom, dwóch z nich pchnęło go na ścianę, a jeden podszedł i uderzył go w twarz. To uderzenie… nie było konieczne. Już nie mógł im przeszkodzić, ale ten chłopak chciał, żeby Agu cierpiał za to, że miał odwagę próbować bronić Patyczaka. I wtedy właśnie Agu wyrwał rękę z uchwytu drugiego chłopaka, który go przytrzymywał. Uderzył tego, który go spoliczkował. Cios był tak silny, że tamten przewrócił się na ziemię i nie wstał.

Wtedy wszystko znieruchomiało. Agu był pewien, że go zabił. Jego ojciec był w swoim czasie wielkim zapaśnikiem i zupełnie jak Okonkwo z powieści Chinuy Achebe *Wszystko rozpada się* miał przydomek Agu, czyli lampart. Matka z dużą radością nazwała tak ich syna. A teraz wydawało się, że po ojcu odziedziczył nie tylko imię.

Jeden z chłopców pobiegł po matkę. Agu został. Niezależnie od kary, jego obowiązkiem było zostać z chłopcem, którego skrzywdził. Minęły dwie minuty, zanim tamten w końcu wstał, jęcząc i potrząsając głową. To były najgorsze dwie minuty w życiu Agu. W ciągu tych dwóch minut zobaczył przyszłość. Zostanie posłany do więzienia. Jego mózg zgnije, a ciało osłabnie od kiepskiego jedzenia. Jego duszę zniszczy kontakt z innymi mordercami. W ciągu tych dwóch minut stał się bezużytecznym człowiekiem, który po wypuszczeniu z więzienia wiele lat później zacznie napadać na ludzi na drodze zamiast pójść do szkoły. Nigdy nie zostanie kimś, kimś kto będzie chronił swoją rodzinę. Rodzina była jego sercem.

Kiedy chłopiec w końcu się poruszył, Agu podjął dwie decyzje – że zostanie żołnierzem, żeby bronić niewinnych, i że nawet jeśli wda się kiedyś w bójkę, nigdy nikogo mocno nie uderzy.

Ale czuł w sobie tę możliwość. Przez nią miał wrażenie, że jest ciężki i twardy jak skała, choć wcale nie był duży. Żyła w nim jak korzenie tysiącletniego drzewa w głębi ziemi. A ponieważ nie mógł się jej pozbyć, zamknął ją bardzo głęboko. Do czasu, gdy przed dwoma dniami Benson i inni *ahoa* zaatakowali tamtą kobietę. Oburzenie sprawiło, że odkopał swoje zdolności i odkrył, że są potężniejsze niż w dzieciństwie.

Agu prawie dotarł już do domu Adaory. Poczuł zapach dymu i uświadomił sobie, że dach budynku obok płonie. To był jeden z tych domów otoczonych betonowym murem ze zwieńczeniem z kutego żelaza. Jak ktokolwiek mógł go podpalić?

– Ssss! – zasyczał ktoś.

Agu się odwrócił. Dwaj mężczyźni byli mniej więcej w jego wieku i jego wzrostu. Jeden miał na sobie wojskowy mundur, a drugi mundur policyjny.

Agu natychmiast się zorientował, że policjant jest ciężko ranny. Żołnierz z trudem go podtrzymywał.

– Został postrzelony – powiedział.

W tej chwili pod policjantem ugięły się nogi. Agu czuł od obu smród krwi i potu. Odwrócił się, żeby im pomóc.

Za plecami Agu rozległ się śmiech. Jęknął. Grupa Area Boys. Młodzi i uzbrojeni.

– Cholera – powiedział jednocześnie z żołnierzem.

Area Boys dumnym krokiem wkroczyli w uliczkę, machając maczetami i pałkami. Na ich młodych brązowych twarzach malowały się uśmiechy, ich zęby w ciemnościach błyszczały bielą. Zwrócili się do Agu i żołnierza w języku joruba, którego Agu nie znał. Ale żołnierz obok znał. Mówił stanowczym tonem, gestem wskazał na rannego policjanta.

Nim Agu zdołał cokolwiek powiedzieć, jeden z chłopaków

zamachnął się maczetą na żołnierza. *Łup!* Ostrze przebiło mu ramię, twarz Agu zachlapała krew. Mężczyzna krzyknął. Z zaskoczeniem i gardłowo. Nagle krzyk stał się wysoki i nieludzki. Jak szklane kulki kręcące się w szklanym słoju. Agu zaczął biec, zanim jeszcze zorientował się, co robi. Za nim Area Boys zaczęli wrzeszczeć, po czym rozległ się wilgotny odgłos. Nie obejrzał się za siebie.

Ayodele, pomyślał. Ta istota była jak Ayodele. Nie byli bezbronni. Czuli ból. I nie podobało im się to.

Przebiegł przez ulicę wypełnioną tłumem kobiet, które trzymały się za ręce – nie słyszał, co skandują, ale przed złączonymi kobietami szły trzy inne, które wyglądały, jakby zostały pobite. Przebiegł przez dwie grupki ludzi, którzy rozbijali okna i grabili. Przebiegł przez główną ulicę, tak zatłoczoną, że żaden samochód się nie poruszał, a powietrzem właściwie nie dawało się oddychać. Starał się trzymać bocznych uliczek i przejść. Z nikim nie rozmawiał. Z nikim nie walczył. Nikomu nie pomagał – chyba że nie mógł tego uniknąć. Choć noc była chłodna, a niebo czyste, Lagos się gotowało.

Minęło zaledwie pięć godzin od chwili, gdy zobaczył, jak lud Ayodele wychodzi z morza. Teraz brama przed domem Adaory została wyłamana. Trawnik wyglądał, jakby został zdeptany przez olbrzymy. Jedynie bananowiec pozostał nietknięty. Jedno z okien w górnej części domu zostało wypalone, ale ogień już nie płonął, w ciemnościach migotały jedynie węgielki. Ulica była względnie pusta, i zasypana szczątkami, od śmieci po pojemniki po gazie łzawiącym. Co tu się wydarzyło od chwili, kiedy odjechał?

Zapukał do drzwi. Otworzyła je Adaora. Bez słowa wziął ją w ramiona. Gdyby ją puścił, z pewnością odleciałby w kosmos.

Rozdział trzydziesty czwarty

Fisayo

Fisayo wróciła na Bar Beach i patrzyła na to coś, co unosiło się nad wodą. Falowało i emanowało blaskiem, a w wodzie pod nim kryły się inne rzeczy. Wielkie rzeczy, które przewalały się w obcym blasku. Fisayo miała na kolanach kawał tektury. W dłoni trzymała flamaster, który gdzieś znalazła.

Znad wody podniósł się chłodny wiaterek, który musnął jej krótkie, zniszczone włosy. To było przyjemne uczucie. Nie pamiętała, kiedy ostatnio wyszła bez peruki. Zazwyczaj nosiła peruki z prostymi, błyszczącymi, długimi, czarnymi włosami, przeważnie drogie, na siatce. Skóra głowy cierpiała, ale portfel zyskiwał.

Czasy, gdy się prostytuowała, wydawały jej się bardzo odległe. Świat się zmienił. Lagos pożerało samo siebie. Zdjęła nasadkę z flamastra. Wyglądał na nowy. Dobrze. Kiedy dotknęła nim tektury, poczuła wielki dreszcz emocji i wiedziała, że to, co robi, jest właściwe.

Pisała powoli. Dłoń jej nie drżała. Umysł miała zaćmiony, choć sądziła, że jest jasny. Nie spodziewała się jeszcze spotkać brata, który przebierał się w kobiece łaszki. Nie byłby mile widziany w niebie i ona sama zresztą też. Fisayo cofnęła się i oceniła swoją pracę. Uśmiechnęła się w blasku księżyca i słabych plażowych świateł. Tak, to było doskonałe.

Napisała: NAWRÓĆCIE SIĘ. LAGOS NIGDY NIE ZOSTANIE ZNISZCZONE!

Spodnie miała usmolone, a bluzkę poplamioną krwią – jej własną i kogoś innego – i ziemią. Włosy śmierdziały jej potem i były sztywne od piasku i sadzy. Twarz miała brudną i pokrytą smugami od łez. Bose stopy bolały i krwawiły. Nie pamiętała, gdzie zgubiła buty.

Wstała. Powie wszystkim. Widziała obcych. I była pewna, że nie można im ufać. Będzie walczyć, aż nie pozostanie nic, o co można walczyć, bo kochała Lagos. Wcześniej wepchnęła siateczkę peruki do stanika, a teraz ją wyciągnęła. Wyjęła z niej elastyczny sznurek i przywiązała oba końce do otworów w wywieszce, którą przygotowała. Zawiesiła ją sobie na szyi.

Kiedy dotarła na ulicę, którą wypełniali zdezorientowani, wściekli, walczący, roześmiani, niszczycielscy, przerażeni, jadący, idący, biegnący mieszkańcy Lagos, podniosła brodę, a później głos.

– Nawróćcie się! Wszyscy! Nadchodzi koniec, *o!* Spójrzcie w lewo! Spójrzcie w prawo! Podnieście wzrok! Czy to wasi przyjaciele? Wasi krewni? A może są czymś innym? Przyjrzyjcie się uważnie, *o!*

Nawróćcie się!

Rozdział trzydziesty piąty

Chris i dzieciaki

Minęła już północ, a Chris wciąż tkwił w korku, ale przynajmniej wszyscy wydawali się spokojni. Biały mężczyzna siedział na tylnym siedzeniu, a Fred patrzył na niego z szerokim uśmiechem na twarzy. Kola siedziała na przednim siedzeniu, ale odwróciła się, żeby też spojrzeć na białego. Mówił po angielsku z akcentem joruba i powiedział, że nazywa się Oluwatosin. Miał na sobie drogą tunikę buba, spodnie sokoto i białe skórzane buty ze złotymi czubkami. Z pewnością ubierał się i mówił jak zamożny Joruba. Ale w byciu Jorubą chodziło o coś więcej niż tylko język i styl ubierania.

Jadąc, Chris zauważył dziwnego białego, zaczepianego przez grupę młodych mężczyzn. Natychmiast zrozumiał, że dziwny biały był jednym z nich. Zahamował z piskiem opon i krzyknął na mężczyznę, żeby wsiadł do samochodu. Od pięciu minut jechali w milczeniu, a Chris nie wiedział, co robić. Przynajmniej nikt nie zginął. Ci idioci, którzy go zaczepiali, nie mieli pojęcia, jak blisko byli przemiany w kawały krwawego mięsa.

– Jest pan jednym z nich, prawda, panie Oluwatosin? – spytała Kola.

Mężczyzna napotkał spojrzenie Chrisa we wstecznym lusterku i pokiwał głową.

– Tak.

Chris odetchnął głęboko i wyszeptał modlitwę. Rozważył telefon do ojca Oke i prośbę o radę. Wtedy przypomniał sobie, że skończył już z tym oszustem udającym świętego męża.

– Co… co zamierza zrobić pański lud? – spytał Chris.

– Robimy to, co już się dzieje – odpowiedział Oluwatosin.

Chris zamierzał zadać kolejne pytanie, kiedy odezwał się Fred:

– Czy on może pojechać z nami? Mógłby zjeść z nami kolację!

Chris zesztywniał. Zamierzał przy pierwszej okazji wysadzić stwora, a później jak najszybciej odjechać. Wciąż nie rozumiał, dlaczego go uratował. Zachował się jak wariat i naraził dzieci na niebezpieczeństwo. Ale teraz syn postawił go w niezręcznej sytuacji. Może Oluwatosin miał inne plany. Zawsze istniała taka szansa.

– Czy miałby pan ochotę na kolację? Późną kolację? – spytał Chris.

– Bardzo chętnie.

Chris wzdrygnął się. Cholera, cholera, cholera, pomyślał. Fred i Kola uśmiechnęli się szeroko.

Kola zapiszczała z radości i wykrzyknęła:

– To najszczęśliwsza noc w moim życiu!

Rozdział trzydziesty szósty

Drzwi w drzwi

Najwyższe piętro budynku „drzwi w drzwi”, w którym mieszkał Moziz, dymiło, a na zewnątrz grupka ludzi sprawiała wrażenie, że doskonale się bawi. Była wśród nich nawet pani Ogbu, machała butelką guinnessa, głośno się śmiała i robiła wulgarne gesty w stronę powoli ginącego budynku. Mieszkała w nim dłużej niż pozostali, wprowadziła się, gdy jej mąż, minister edukacji, zostawił ją i dwójkę dzieci dla młodej Angielki. Dwaj synowie zdążyli już się wyprowadzić, a ona stała się wściekłym, napastliwym elementem wyposażenia budynku. Miała obsesję na punkcie Pana Jezusa i wierzyła, że wszyscy pozostali też powinni. Wrzeszczała na Moziza za każdym razem, gdy wychodził z mieszkania. Kiedy nie była na jednym z nabożeństw ojca Oke Ikwuemesibe, tkwiła przed wejściem do mieszkania, udowadniając swoje oddanie poprzez zadręczanie innych lokatorów.

Teraz była pijana i wulgarnie kołysała się i kręciła biodrami do muzyki dobiegającej z głośników terenówki, podczas gdy jej dom płonął. Dom Moziza. Życie Moziza. Jego oszustwa internetowe się skończyły… przynajmniej na jakiś czas. Później zawsze może skorzystać z kafejki internetowej. Jeśli jakieś jeszcze pozostaną, gdy ta *wahala* się skończy, pomyślał.

W tej chwili Moziz miał jednak dość myślenia. Tolu, który siedział obok niego na miejscu pasażera, nie odezwał się ani słowem. Po prostu gapił się na płonący budynek. Kiedy Moziz spojrzał w lusterko wsteczne, napotkał spojrzenie dziwnej kobiety, którą uratowali. Odwrócił wzrok i napotkał rozbiegane oczy Philo. Dziewczyna była nie tylko idiotką, ale też w kryzysie dawała ciała. Po raz trzeci tego wieczoru doszedł do wniosku, że musi ją rzucić, kiedy tylko będzie miał okazję. Mógł sobie znaleźć kogoś o wiele lepszego od niej. Napotkał spokojny wzrok Jacobsa.

– I co? – spytał go ponownie.

Jacobs westchnął.

– Moja chata. Jećmy na mojom chate.

* * *

Zaparkowali na poboczu drogi, wysiedli i zapatrzyli się na blok Jacobsa. Był czteropiętrowy, betonowy, ale w środku nie było aż tak źle. Właśnie, w środku. Jak mieli się dostać do środka? Jacobsowi zrobiło się niedobrze. Stertę śmieci za budynkiem porastały wcześniej

pnącza – wydawało się jednak, że od rana porosły cały kompleks. Właściwie rosły na jego oczach. Pnącza wiły się i falowały, liście pączkowały i rozrastały się nienaturalnie. Na pędach rozkwitały czerwone kwiaty i to one musiały wydzielać tę słodką różaną woń, którą czuł Jacobs.

– Co do kurwy…? – wyszeptał Jacobs.

Tolu kichnął.

– *Na*, mojom chate to wyśmiewałeś, a popacz no tylko, sam mieszkasz w krzakach – powiedział Moziz ze śmiechem.

– Tam som ludzie, *sha* – stwierdził Tolu. – Popaczcie.

Miał rację. Nawet z tego miejsca Jacobs widział pokoje z zapalonymi światłami i poruszających się w środku ludzi.

Philo jęknęła i zbliżyła się do Moziza, on jednak syknął i odepchnął ją.

– Nie pchaj siem na mie – warknął.

– Bojem siem – powiedziała.

– A *wetin* ja mam zrobić, że ty siem boisz? – spytał. – Bzdura.

– R… Rain – powiedział Jacobs do kobiety.

Wciąż siedziała w samochodzie i spokojnie wpatrywała się w budynek. Powiedziała Jacobsowi, żeby mówił jej „Rain”, bo, jak stwierdziła, podobało jej się brzmienie tego słowa. Kiedy Jacobs i pozostali zobaczyli, że jej twarz się zagoiła i że obca nie była na nich zła, cieszyli się, że mają ją ze sobą. O tym, co się działo, z pewnością wiedziała więcej od nich. Jacobs wskazał na budynek.

– Czi to… co to?

– Ja nie *sabi* – powiedziała.

– I to nie skutek, że *una* tu wylondowali?

– Ci ludzie wyglondajom, jakby przylecieli z innej planety? – spytała kobieta.

– Nie o tym mówiłem – stwierdził z frustracją Jacobs.

Musiał skontaktować się z Fisayo. Nie odbierała komórki.

Wszyscy podskoczyli na odgłos strzału.

– Wchodzim do środka! – powiedziała Philo, chwyciła Moziza za ramię i pociągnęła go w stronę budynku; Tolu podążył za nimi.

– Idziesz? – Jacobs zwrócił się do Rain.

Wstała i pokiwała głową.

– Dobrze.

Ale wtedy zmarszczył czoło. W mieszkaniu na drugim piętrze było czysto i miał dla nich dużo piwa i fanty. Telewizor miał mały ekran, ale wysokiej rozdzielczości. Tylko czy na łóżku nie pozostały rozłożone sukienki? Nie pamiętał. Ostatnie dwanaście godzin się rozmywało, a dzień zaczął od spotkania z Seven i Romem. A zanim wyszedł, spędził dwie godziny, wybierając odpowiednią kreację… co oznaczało, że wyciągnął najlepsze rzeczy i przymierzył je wszystkie. I

zostawił je na wierzchu. Cholera, pomyślał, kiedy wraz z Rain dołączyli do Tolu, Moziza i Philo.

Stali około metra od wejścia do budynku, zasłoniętego przez gęste pnącza.

– Som trujonce? – spytał Tolu.

– Brachu, dziś wszystko siem może zdarzić – powiedział Moziz. – Ale… – Spojrzał na Rain, po czym odwrócił wzrok. Żaden z nich nie chciał z nią rozmawiać. Tylko Jacobs. – Nie sondze. Te rzeczy takie nie som.

– A to coś na drodze? – spytała Philo. – Ono nie było niebezpieczne? Dlaczego te tutaj nie som trujonce?

– Nie chcesz być wewnontrz? – warknął Moziz.

– Tylko mówiłam…

– To może zamkniesz jadaczke? – powiedział Moziz.

– O Boże, *una* przestańcie już! – jęknął Jacobs.

Tolu zaśmiał się i pokręcił głową.

Rain zrobiła krok naprzód i odsunęła pnącza na bok. Jacobs wstrzymał oddech. Wszyscy to zrobili. Odwróciła się w ich stronę.

– Nie umarłam? – spytała sarkastycznie.

– *Una* ludzie mogom umrzeć, *sef?* – warknęła Philo, obrzucając ją spojrzeniem od stóp do głów.

Philo była niegrzeczna, ale Jacobs myślał podobnie. Obca wyciągnęła rękę i dotknęła pnączy, a pnącza nie zrobiły jej krzywdy, to jednak nie znaczyło, że nie zrobią krzywdy pozostałym. Czy ci obcy umierali? Mimo to pnącza z bliska wydawały się nieszkodliwe. Jacobs otworzył zamek w drzwiach i wszyscy weszli do środka.

Betonowe schody na drugie piętro były nierówne i nie było światła. Jacobs uśmiechnął się pod nosem, gdy usłyszał, że jeden z pozostałych potknął się i zaklął. Philo zgubiła but, kiedy źle postawiła nogę.

– Czekajcie, *o* – powiedziała, próbując go wymacać.

Jacobs odwrócił się i zobaczył Rain tuż za sobą. Ledwie widział ją w ciemności. Pozostałych w ogóle nie widział.

– Som za tobom – powiedziała Rain.

– Widzisz w ciemności? – spytał.

– Tak. Czemu nie majom tu światła?

Jacobs wzruszył ramionami. Nigdy się nie zastanawiał, czemu na klatce schodowej nie było światła – po prostu go nie było. Kiedy otwierał zamek, zaczął się pocić. Nagle był pewien, że zostawił na krześle stertę sukienek. Wszyscy wiedzieli, że nie ma dziewczyny. Co, do cholery, miał powiedzieć?

– Pośpiesz siem, ziom – powiedział Moziz. – Chce mi siem lać.

– Kibel jest tam – odparł Jacobs, wskazując ręką. – Nastempne drzwi po prawej.

Kiedy otworzył drzwi, usłyszał, jak Moziz odbiega. Wszedł do środka i celowo nie zapalił światła.

– Niech no znajde włoncznik – powiedział, gdy pozostali potykali się dookoła.

Nie śpieszył się, marząc, by jego wzrok się przyzwyczaił i mógł zobaczyć, co zostawił. Nim jednak zdołał zrobić cokolwiek, Tolu znalazł włącznik. I oto na kanapie leżały sukienki.

Philo. Ta idiotka podeszła prosto do nich. Uśmiechała się szeroko. Spojrzała na Tolu, podniosła jedną sukienkę i przyłożyła ją do siebie. Była jaskrawozielona, z lejącej się tkaniny, z dużym dekoltem. Niezbyt ją lubił z powodu paskudnego koloru. Ale uwielbiał jej dotyk na ciele, jak kaskada chłodnej wody. W gorące noce, kiedy nigdzie się nie wybierał, wkładał tę sukienkę, włączał wiatrak, otwierał okno i przy zgaszonym świetle siadał na parapecie.

– Skond to masz? – spytała Philo ze znaczącym uśmiechem. Nie czekała na odpowiedź Jacobsa. Popatrzyła na Tolu. – Popacz, *wetin* wam mówiłam? Jacobs ma władze tyłka.

Tolu patrzył na Jacobsa z wyraźną odrazą.

– Nie jestem gejem – powiedział Jacobs. Zrobiło mu się zimno. Jak to możliwe, że Philo podejrzewała? Zawsze sądził, że jest zbyt głupia, żeby cokolwiek zauważyć. Głupia *olofofo* wścibska baba, pomyślał. – Lubiem tylko nosić babskie łachy.

– Mój Boże. – Philo się roześmiała. – Nawet nie zaprzecza *am*.

– Nie daj Allah! – krzyknął Tolu. – *Kai!*

Moziz wszedł do środka i zatrzymał się gwałtownie. Jacobs nie mógł na niego spojrzeć. Moziz wpatrywał się w niego z prawdziwą złością.

Jacobs stał nieruchomo w kręgu światła z ulubionej lampy. W mieszkaniu ciągle brakowało prądu. NEPA gasiła światła jak Bóg gasił ludzkie życie. Jednakże teraz, w tej straszliwej chwili, przeklęta lampa nawet nie zamrugała.

– On tylko lubi zerżnońc psa – powiedział Moziz i wszedł do środka. – Nie lubisz cipek? Wolisz zwierzenta?

– Nie zwierzenta… – odpowiedział Jacobs. – Ja nawet nie…

Moziz odwrócił się do Tolu i Philo, chwycił zieloną sukienkę Jacobsa i rzucił ją na ziemię. Wytarł dłonie o dżinsy, jakby dotknął gówna chorego.

– *Kai!* I z tym pedałem spendziłem całe żicie? Chcem siem spytać, *o*. Oddajesz też cześć bóstwom? Wierzysz w juju?

Jacobs spojrzał na Rain, która obserwowała ich w milczeniu.

– Ty, ty, ty, ciebie majom ukamienować na śmierć – powiedział Moziz, jąkając się z wściekłości. Na jego czole zebrał się pot.

Jacobs znał Moziza od zawsze. Bawili się razem jako dzieci i właściwie żyli jak bracia. Bardzo się od siebie różnili, ale Jacobs

zawsze umiał przewidzieć myśli i reakcje Moziza. Aż do tej chwili. Nigdy by się nie spodziewał, że Moziz zrobi to, co zrobił.

BUM!

Philo wrzasnęła i schowała się za Rain, ukrywając twarz w jej plecach.

– Kurwa! – krzyknął Tolu.

Jacobs zatoczył się do tyłu. Zamrugał. Padł na kolano. Przez całe życie, od kiedy pamiętał, znał Moziza. Ich rodzice mieszkali w tym samym bloku. Ojcowie się nienawidzili, a matki były razem nieszczęśliwe. Co się stało? Co się stało? Jacobs przez dwadzieścia trzy lata życia nie czuł takiego bólu. Lewa strona jego piersi jednocześnie paliła i wydawała się zalana wodą. Wcześniej tego dnia, gdy jechali do domu kobiety porwać obcą, życie wydawało się takie piękne. Była szansa zmiany na lepsze. Teraz… teraz nie wiedział, co czuje. Zakaszlał i poczuł smak krwi. Znów zakaszlał i odkrył, że nie może oddychać.

Moziz zamrugał, nagle uświadomił sobie, co właściwie zrobił. Spojrzał z góry na Jacobsa, najstarszego przyjaciela, bardziej brata niż przyjaciela. Nigdy go nie znał. Od jak dawna przebierał się za kobietę? Moziz nie mógł w to uwierzyć. Coś pękło. Ktoś musiał coś zrobić. Miał mętlik w głowie, kiedy podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Rain. Uniósł pistolet, który wyciągnął zza paska dżinsów, z którego zastrzelił najstarszego przyjaciela, a który wciąż miał w dłoni.

Paf!

I Moziz przestał istnieć.

Philo, która stała obok Moziza, spojrzała na Rain tuż przed tym, jak to się wydarzyło. Na twarzy Rain pojawił się gniewny grymas i przez chwilę przestała być twarzą. W miejscu jej głowy pojawiła się czarna dziura – przerażająca, bezdenna, pusta. Później jej rysy wróciły na swoje miejsce i wpatrywała się w Moziza.

Sucha czerwień uderzyła w Philo tak mocno, że zerwała jej wiszące kolczyki. Dziewczyna raz w życiu odwiedziła brata w Niemczech. Bardzo jej się tam nie podobało i wróciła do domu tydzień przed czasem. Nikt już jej nie przekonał do opuszczenia Nigerii. Tym, czego najbardziej nie znosiła w Niemczech, był śnieg. Kiedy dotarła na miejsce, akurat trwała burza śnieżna. Gdy po raz pierwszy odetchnęła niemieckim powietrzem, towarzyszył mu świeży śnieg. Było zimno, a później mokro.

To, w co eksplodował Moziz, nie było zimne ani mokre, ale przypominało jej ten śnieg, sposób, w jaki powietrze uderzyło ją w twarz. Było czerwone i na chwilę ją oślepiło. Wrzeszczała. Nie mogła przestać. Wstrząs był zbyt wielki.

Tolu wybiegł z mieszkania ze łzami w oczach. Popędził po ciemnych schodach i ani razu się nie potknął. Otworzył drzwi i

wypadł na zewnątrz, nie przejmując się, że musi przebić zasłonę obcych pnączy. Wybiegł na ulicę i po prostu biegł dalej. Mijały go samochody, a raz wpadł w wielką, głęboką dziurę, której po ciemku nie zauważył. Wstał i biegł dalej.

W końcu się zatrzymał. Stał na poboczu, trzymając się za głowę. Później zaczął łkać z twarzą zwróconą ku niebu, a oczy piekły go od gorących łez.

– Bóg mie pokarze – jęknął. – Pokarze nas wszystkich!

Rozdział trzydziesty siódmy

Chłopiec na drodze

Adaora, Agu, Anthony i Ayodele siedzieli w czarnym BMW Chrisa w drodze na lotnisko. Agu zacisnął palce na kierownicy. Przez ostatnie dwie godziny nie ruszyli się ani o centymetr.

Droga Ahmadu Bello to najlepsza droga w Lagos. Gruby i gładki asfalt sprawia, że niczym nie przypomina śmiertelnej pułapki znanej jako autostrada Lagos-Benin. Jeśli autostrada jest pełna duchów (w co wierzyła matka Adaory), to droga Bello jest pełna aniołów. Przynajmniej w zwykły dzień. Ten jednak bynajmniej nie był zwykły. Droga nigdy nie była tak pełna samochodów i ludzi. Po lewej, za nielicznymi budynkami, znajdowała się laguna Lagos, a po prawej dobrze utrzymane domy zamożnego osiedla Victoria Island. To miało być piękne miejsce.

– Powinniśmy zostawić twój samochód – powiedział Agu.

Przez korek biegł chłopiec. Po drodze wskoczył na maskę, roześmiał się. Dziewczyna niosąca tacę z obranymi pomarańczami przechodziła od samochodu do samochodu. Adaora spiorunowała ją wzrokiem. Idiotka, pomyślała. Albo zdesperowana. Dziewczyna nie była jedyną handlarką, która próbowała zarobić na chaosie. Pojawiły się kobiety i dziewczyny sprzedające wszelkiego rodzaju jedzenie, obracające chaos na własną korzyść. Ale nawet to nie szło najlepiej. Na oczach Adaory dwaj młodzi mężczyźni przewrócili dziewczynę, która sprzedawała jajka na twardo. Uciekli z jej pieniędzmi i kilkoma jajkami.

Niektórzy rzeczywiście porzucali samochody. Podjeżdżali do krawężnika, wysiadali i odchodzili. Albo odbiegali. Wszędzie wybuchały bijatyki między unieruchomionymi samochodami, a czasami na nich.

– Jeśli zostawimy samochód, dotarcie na lotnisko zajmie nam mnóstwo czasu – powiedziała. – A zaczyna nam go brakować. Już jest po trzeciej.

– Możliwe. To nie może być więcej niż dwadzieścia pięć kilometrów.

– Powinniśmy zostać w samochodzie – stwierdził Anthony. Wskazał na chaos na zewnątrz. – Kto wie, jak to się skończy, jeśli tam wyjdziemy. Może pójść źle.

Kobieta sprzedająca nerkowce w torebkach kłóciła się z kierowcą. Ten wysiadł i zrzucił jej tacę na ziemię. Kierowca ciężarówki wyskoczył ze swojego samochodu w chwili, gdy pierwszy mężczyzna

spoliczkował kobietę.

– To straszne – powiedziała przerażona Adaora.

Inny mężczyzna i dwie kobiety podbiegli i dołączyli do kierowcy ciężarówki, bijącego mężczyznę, który zaatakował sprzedawczynię orzeszków. Jakaś kobieta wzięła tacę handlarki i uderzyła nią mężczyznę w głowę.

– Robi się coraz gorzej. Wysiadajmy! – powiedział Agu i wyłączył silnik.

Cała czwórka wysiadła. Anthony wziął Ayodele za rękę, Adaora obiegła samochód i chwyciła dłoń Agu, i oddalili się od bójki.

Adaora to czuła. Rodzaj falowania w powietrzu.

Nacisk.

– On! Widzicie? – krzyknął mężczyzna, który gapił się na jedną z bójek. – Widzicie go? Tego chłopca?

Chłopiec? – pomyślała Adaora, spoglądając na Agu. On obejrzał się przez ramię, w kierunku, który wskazywał mężczyzna. Adaora również się odwróciła.

Mały chłopiec stał w pobliżu pośród tłumu ludzi – mężczyzn, kobiet, dzieci, którzy poruszali się we wszystkie strony jednocześnie, Ale on się nie poruszał i nikt nie pochylał się w jego stronę, nie wyciągał do niego ręki, ani nawet nie przeszedł na tyle blisko, żeby się o niego otrzeć. W blasku świateł samochodów wydawał się odległy. Nie do końca z tego świata.

Miał na sobie brązowe spodnie i brudną koszulę.

Czemu ten chłopiec jest sam? – zastanawiała się Adaora.

– To jeden z nich! – krzyknęła jakaś kobieta.

Miała na sobie dżinsy i czerwoną bluzkę. Jej krótkie włosy były zmierzwione, nie miała butów, a na szyi nosiła wywieszkę z napisem NAWRÓĆCIE SIĘ. LAGOS NIGDY NIE ZOSTANIE ZNISZCZONE!

* * *

Fisayo była pewna, co widzi. Widziała już wielu z nich. Wyróżniał się jak Szatan w morzu aniołów. Był obecny tamtej nocy, kiedy troje ludzi zostało porwanych przez morze. Pierwsze ofiary. Miała dobrą pamięć do twarzy.

Lagos zalało zło, nadchodził koniec. Gardło ją bolało, a głos był ochrypły od głoszenia Nowiny wszystkim, którzy chcieli słuchać. Wszędzie wokół trwały bójki – ludzie ogarnięci przez diabelstwo. Ale ona skupiła się na chłopcu i tylko na chłopcu. Dziecko-wiedźma Szatana. Najgorszy z nich wszystkich. Nie spuści go z oczu. Już nie. Nie ucieknie. Kiedy zobaczyła go na Bar Beach, od razu poczuła do niego niechęć. Jak pies trzymał się mężczyzny. Teraz jedynie on stał nieruchomo w morzu chaosu. Uniosła broń. Pociągnęła za spust.

* * *

Agu widział, co się zdarzy. Odwrócił się i zaczął biec.

* * *

Kula wbiła się w lewe oko niemego chłopca. Zatoczył się na bok i usiadł. Położył się. Było mu wygodnie. Jego umysł rozjaśnił się po raz pierwszy w życiu. Gdyby miał cokolwiek do powiedzenia, mógłby to powiedzieć.

* * *

Odgłos wystrzału przerwał bójkę.

* * *

Fisayo zwróciła broń w stronę jednej z kobiet i pociągnęła za spust. Zatoczyła się do tyłu. Kula trafiła kobietę w ramię. Lagos jest beznadziejne. Zwróciła się w stronę grupy uciekających i pociągnęła za spust. Jeden z mężczyzn padł, krwawiąc z pięty, gdzie został trafiony. To koniec. Nigdy wcześniej nie strzelała, ale wydawało jej się to naturalne. Może dlatego Bóg pokazał jej leżącego w bocznej uliczce wojskowego z nożem wbitym w szyję, naprowadził jej wzrok na pistolet leżący w cieniu obok niego. To nie był jeden z wielkich kałasznikowów, które zwykle nosili – Bóg zostawił jej broń, którą mogła się posłużyć. W imię Jezusa, Bogu niech będą dzięki.

Pociągnęła za spust po raz czwarty i nic się nie wydarzyło. Poczuła zapach dymu. Oczy ją piekły. Robiła różne rzeczy. Straszne rzeczy. Klienci nigdy by nie uwierzyli, że mieszkała w „dżungli", w głębi slumsu Ajegunle w Lagos. Że przez ostatni miesiąc musiała mieszkać na stworzonej przez ludzi wyspie z ubitych śmieci. Za dobrze pachniała. Zbyt dumnie unosiła głowę. Zbyt sprawnie się rżnęła.

Miała nadzieję, że brat jej kiedyś wybaczy.

* * *

Puf! Ayodele rozpadła się na miliardy komórek w chwili, gdy Fisayo znów pociągnęła za spust. Adaorze wydawało się, że stała się mgiełką, jaką można zobaczyć u podstawy wielkiego wodospadu. Powolną i szarą. I pachniała jak morze. Niektórzy zaczęli krzyczeć. Adaora nawet nie mrugnęła. Chciała zobaczyć.

Jednakże, gdy tak patrzyła, widziała tylko Fisayo otoczoną

mgiełką, a po chwili nie widziała już nic. Nie, pomyślała przerażona Adaora. Coś tam było. Widziała to jedynie przez ułamek sekundy, ale miała pewność, że to zobaczyła. W tej chwili widziała, jak Fisayo się rozprasza, łącznie z ubraniem. Rozciągała się jak zdjęcie, które powiększa się jedynie pionowo, nie poziomo. Jednocześnie jakby blakła. I zniknęła. Adaora chwyciła się za pierś, gdy zrozumiała, co zobaczyła. Ayodele rozerwała Fisayo na poziomie komórkowym. Adaora zadrżała.

* * *

Fisayo niczego nie słyszała. Niczego nie widziała. I niczego nie powiedziała. Już nigdy niczego nie poczuje.

* * *

Młody mężczyzna, który nagrywał chaos, przypadkiem skierował cyfrową kamerę na chłopca dokładnie w chwili, gdy trafiła go kula. Nie przerywał filmowania, kiedy chłopiec usiadł, a później upadł na plecy, a wokół jego głowy pojawiła się kałuża krwi.

Młody mężczyzna pisnął z przerażenia, kiedy trzej mężczyźni i kobieta podbiegli, by pomóc chłopcu. Nagrywał dalej, gdy trzej mężczyźni zorientowali się, że nic się nie da zrobić. Podszedł bliżej, sam nie wierząc, że to robi. Nigdy nie widział śmierci. Zawsze sądził, że gdy na nią natrafi, ucieknie, ale oto był, kierował obiektyw w twarz chłopca. Nikt go nie powstrzymał. On i jego kamera pochwycili duszę chłopca.

Ten młody mężczyzna z kamerą kilka minut później za pomocą komórki umieścił film w Internecie. Miliony mogły oglądać zaskoczoną, lecz spokojną twarz chłopca zwróconą do kamery. Kałużę krwi rozrastającą się jak aureola. Później twarz chłopca obwisła, a blask w jego oczach przygasł, by w końcu zniknąć zupełnie. Chłopiec dołączył do grupy zamordowanych młodych ludzi, którzy stali się symbolami niespokojnych czasów, jak Hector Pieterson z RPA czy Neda Agha-Soltan z Iranu. To dziecko miało stać się Chłopcem, Który Zginął, By Świat Zobaczył.

Niemy chłopiec nie znał swoich rodziców. Znaleziono go na śmietniku i umieszczono w sierocińcu. Nikt nigdy nie nadał mu imienia, on sam również nie wiedział, jak się nazwać.

Miał zaledwie osiem lat.

* * *

Adaora wskoczyła z powrotem do samochodu i zwinęła się w

kłębek. Stojąc za Agu, widziała, jak w oczach chłopca gaśnie blask. Ktoś wziął ją za rękę i ścisnął.

– Co zrobiłaś tej wariatce? – zwróciła się z pytaniem do Ayodele, która teraz siedziała obok w samochodzie i trzymała ją za rękę.

– Zabrałam ją do wody – odparła Ayodele. – Tego właśnie pragnęła.

Rozdział trzydziesty ósmy

Udide mówi

Wszyscy to widzieli.

Na całym świecie.

To było prawdziwe wprowadzenie do tego, co działo się w nigeryjskim Lagos. W Afryce Zachodniej. Afryce. Tutaj. Ponieważ tak wielu mieszkańców Lagos miało przenośne, ładowane, świecące, wibrujące, świergoczące, połączone z siecią urządzenia komunikacyjne, właściwie wszystko zostało nagrane i umieszczone w Internecie, tak czy inaczej. Szybko. Współczesny ludzki świat jest połączony jak sieć pająka.

* * *

Świat obserwował. Wpatrywał się z pełną fascynacji grozą, dla informacji… lecz głównie dla rozrywki. Nagrania tego, co się wydarzyło, zdominowały wszystkie międzynarodowe serwisy informacyjne, strony z plikami wideo i portale społecznościowe, kręgi, piramidy i trapezoidy.

* * *

Ale historia sięga głębiej.

Jest w glebie, błocie, ziemi, w czułych wspomnieniach ziemnego kosmosu.

Jest w na zawsze przemieszanej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości.

Jest w wodzie.

Jest w potężnych duchach i przodkach, którzy mieszkali w Lagos.

Jest w głowach i sercach mieszkańców Lagos.

Zmiana rodzi zmianę.

Ayodele to wiedziała.

Wszyscy z jej ludu to wiedzieli.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Kryptonim: Legba

Byłem tam.

Dokładniej rzecz biorąc, byłem w kafejce internetowej Testament, niedaleko Bar Beach. Wody oceanu się podnosiły, a rząd próbował się zorientować, kto nas atakuje. Ja jednak siedziałem w kafejce internetowej, niczym się nie przejmowałem i nie robiłem nic dobrego. To znaczy, byłem w tym dobry. Byłem dobry w tym, że nie robiłem nic dobrego. Byłem dobry w 419. Nigeryjskim szwindlu.

Mój kryptonim to „Legba". Idealny, bo Legba to bóg-przechera z panteonu Jorubów, pan języka, komunikacji i rozstajnych dróg. Jestem z ludu Igbo i handluję słowami. Urodziłem się i wychowałem w Ameryce. W takim razie jestem Igbo-Amerykaninem. A może amerykańskim Igbo. To brzmi lepiej.

Przyjechałem do Lagos, żeby pobyć z dziadkiem. Na dwa miesiące. Sporą część letnich wakacji. Dziadek był w porządku. Kochałem go. Cieszyłem się, że mogłem przyjechać i spędzić z nim tyle czasu. Wcześniej przyjeżdżałem do Nigerii z rodzicami i siostrą, na parę tygodni, nie dłużej.

Tym razem, kiedy dotarłem na miejsce, zorientowałem się, że dziadek jest żwawym staruszkiem, który nadal świetnie tańczy, a każdego ranka chodzi na długie spacery z rękami założonymi z tyłu i uśmiechem na twarzy. Umiałem rozśmieszyć dziadka. Cieszył się, kiedy byłem w pobliżu. Studiowałem inżynierię, ale moją namiętnością było aktorstwo. Umiałem wszystkich naśladować. Każdy głos. Każdą osobowość. Dziadek najbardziej lubił, kiedy udawałem babcię lub aktora Nkema Owoha – w obu rolach byłem doskonały.

Tak czy inaczej, miałem mnóstwo kuzynów i z niektórymi z nich się zaprzyjaźniłem. Oni byli podejrzanymi gośćmi, a ja szybko pisałem na komputerze. I umiałem udawać każdego, nie tylko w mowie, ale i w piśmie. To właśnie robiłem w tej kafejce internetowej z kuzynami Uche i Afamem. Jak już mówiłem, nie robiłem nic dobrego. Kto by podejrzewał Igbo, który jest Amerykaninem, a używa imienia boga Jorubów? Ta głupia biała Amerykanka miała przesłać swojemu „nollywoodzkiemu kochankowi" kolejną dużą sumę, i to mimo że dwa tygodnie wcześniej nie przyjechał na umówione spotkanie do Akry.

Mój plan był genialny. Mówię serio, ta kobieta była idiotką. Naprawdę wierzyła, że jej biała krew i pieniądze czynią ją nieodpartą pokusą dla jednego z najlepszych nollywoodzkich reżyserów. Nawet mi tak powiedziała, dokładnie tymi słowami. Nie miała pojęcia, że

brzmi rasistowsko, protekcjonalnie i arogancko. Pochodziła z wyjątkowo czystej linii uprzywilejowanych białych. Dlaczego więc nie wykorzystać jej głupoty?

W kafejce było nas sporo, mimo szaleństwa na zewnątrz i dziwnej kobiety, która wcześniej pojawiła się na ekranach naszych komputerów i komórek. Wszyscy zajmowaliśmy się tym samym biznesem, wykorzystywaliśmy te same słabości. Klasyczne 419. Dla przeciętniaków to jak loteria. Jeśli jednak ktoś jest mistrzem takim jak ja, to jest niczym bycie doskonałym gimnastykiem na bardzo wąskiej równoważni – ryzykowne, ale pewne. Zysk to jedynie kwestia czasu. W moim wypadku odbieraliśmy pieniądze co kilka dni. Wszyscy próbowaliśmy dokończyć interesy, kiedy zabrakło prądu. Nikt nie może powiedzieć, że nie byliśmy oddani pracy.

Właśnie wysłałem jeden z moich starannie skomponowanych listów miłosnych do szanownej pani, by upewnić się, że natychmiast prześle pieniądze. Powiedziałem jej, że jestem w Lagos i potrzebuję pieniędzy, żeby dostać się do Akry – miałem je zwrócić, kiedy tylko wrócę do Lagos. Naprawdę mógłbym zostać pisarzem. Kilkoma starannie dobranymi słowami wpływałem na myśli i działania kobiet.

– A teraz czekamy – powiedziałem do Afama i oparłem się wygodniej.

To było tanie metalowe krzesełko, ale czułem się na nim jak król na tronie.

Afam uśmiechnął się szeroko, przybiliśmy piątkę i zaczepiliśmy się palcami. Podobnie zrobiłem z Uche. Afam wyciągnął papierosa i zapalił go. Wywieszka obok jego głowy głosiła: „Zakazane: 419, pornografia, spam i palenie”. Spojrzałem ponad jego ramieniem i zobaczyłem, jak właściciel kafejki, który siedział przy wejściu, z krzywą miną odwraca się w naszą stronę. Był przysadzistym, ciemnoskórym Jorubą, w tanich ciuchach i bez obrączki. Zaśmiałem się, kiedy nie wstał.

Na zewnątrz rozległ się trzask, i nie robię was w balona, przez okno widziałem grupę młodziaków skaczących na terenówce jakby to była trampolina. A to wszystko na ulicy tuż przed kafejką. Krzyczeli i śmiali się z przerażonych pasażerów. Terenówka odjechała pośpiesznie, goście spadli z dachu na ulicę. Większość podniosła się ze śmiechem. Jeden z grymasem bólu złapał się za kolano. Wszyscy w kafejce wydawali się zaniepokojeni, ale większość wróciła do tego, czym się zajmowała. To było straszne, ale ja też miałem co robić.

– Powinniśmy wynosić się stąd w diabły – powiedział Afam.

– Spokojnie, stary – odpowiedziałem mu. – Najpierw musimy dostać odpowiedź.

– Skąd wiesz, że ta kobieta nie śpi?

– Jest w Stanach. Tu jest dwudziesta, czyli tam mają popołudnie.

Wierz mi, znam ją. Właśnie siada do komputera.

Uche wyglądał, jakby zaraz miał się zmoczyć. Nigdy bym się do tego nie przyznał, ale czułem się podobnie. Nie byłem pewien, czy ludzie tylko świrują, czy dojdzie do zamieszek z ofiarami śmiertelnymi, jak to się zdarzało czasem na północy, gdy jakiś chrześcijanin spojrzał krzywo na muzułmanina.

– Ale co, jeśli… – powiedział Uche, obgryzając paznokcie.

– Słuchaj, cokolwiek się, kurwa, dzieje, lepiej zaczekajmy tutaj, bo to jakieś piekielne szaleństwo. Kto wie, może to nasza ostatnia szansa, żeby w najbliższym czasie skorzystać z Internetu.

– Ale co, jeśli…

Brzęk! Biała kobieta odpowiedziała. Widziałem w skrzynce podgląd wiadomości.

„Pieniądze w drodze. Wysłałam na ten sam adres. Kiedy się spotkamy, możemy…”.

W chwili, gdy uniosłem dłoń do myszki, żeby otworzyć wiadomość, pomieszczenie się zakołysało, a ekrany zamrugały.

– Cholera – powiedział Uche, rozglądając się. – Tylko nie znowu ta kobieta. Proszę, nie znowu. Co to było?

– Nie wiem, *sha* – odparł Afam z papierosem wiszącym z ust.

Wszyscy zamarliśmy. Zły moment, żeby NEPA wyłączyło prąd. Niech działa na tyle długo, żebym przeczytał maila, pomyślałem z bijącym z ekscytacji sercem. Ale już wiedziałem, że to dobre wieści. Pieniądze były w drodze.

Do kafejki wszedł stary mężczyzna i stanął pośrodku, opierając ręce na biodrach. Miał na sobie długi czarny kaftan. Po otwarciu drzwi do środka wpadł hałas zamieszek. Kilku ludzi wybiegło, ostrożnie mijając starca. Pomieszczenie znów zadrżało, więc wyjrzałem przez okno. Obok przejeżdżała duża ciężarówka, a ludzie na ulicy odskakiwali na boki.

Patrząc jednym okiem na mężczyznę pośrodku kafejki, otworzyłem wiadomość. Nim zdążyłem ją przeczytać, całe pomieszczenie zaczęło się trząść! Wszyscy padliśmy na podłogę. Światła zgasły. Wokół nas padały monitory. Słyszało się jedynie brzęki, trzaski, łupnięcia i krzyki. Zaczęły na nas spadać kawałki cementu z sufitu. Stara, pożółkła posadzka wybrzuszyła się.

Umierałem.

Światła zamigotały. Drzwi wypadły z futryny, a framuga była przekrzywiona. Na naszą trójkę spadł stół, teraz wyjrzeliśmy spod niego. Ludzie kaszleli, jęczeli i leżeli rozciągnięci na podłodze albo pod kawałkami sufitu czy ścian. Jakaś kobieta zrzuciła z siebie komputer, a on upadł z trzaskiem na ziemię. Właściciel powoli wstał zza lady. Ci, którzy mogli to zrobić, odwrócili się w stronę tego czegoś, co wchodziło przez ziejący otwór wejścia.

Było potężne. Wyższe od pomieszczenia. Ale ponieważ sufit przestał istnieć, zmieściło się. Nie dotykało ziemi, więc gruz, szkło i ciała nie robiły mu różnicy. Wszystko nadal się trzęsło, a ja dość solidnie oberwałem stołem w głowę, ale wiem, co widziałem.

To była maskarada.

Nie jacyś goście ubrani w skomplikowane kostiumy, którzy odstawiali nigeryjski teatrzyk na cześć duchów i przodków – to było prawdziwe. Musielibyście naprawdę zobaczyć, co ja widziałem, żeby zrozumieć. Rzędy drewnianych podestów miały średnicę trzech, może czterech metrów, a całość wznosiła się na wysokość prawie dziesięciu. Z górnej połowy konstrukcji wystawały bambusowe pręty i laski, do tego pokrywała ją ceremonialna tkanina zdobiona geometrycznymi kształtami i magicznymi wzorami – a wzory te wirowały i poruszały się. Były żywe.

Było na niej czterdzieści, może pięćdziesiąt ludzkich figurek o brązowej skórze. Widziałem, jak biegają po niej jak pchły, nie, jak elfy, mały ludek. Widziałem matkę, ojca, tego w policyjnym mundurze, konie, drzewa, palmowe wino. Rozpoznałem wszystkie postacie, bo jako dziecko uwielbiałem maskarady. Cały ten teatr. Ale nigdy nie wyobrażałem sobie niczego takiego. Do tego górną i dolną część rozdzielał ogromny żółty wąż, symbol dumy i potęgi Igbo. I rozglądał się dookoła z zainteresowaniem.

Stwór mienił się wszystkimi barwami tęczy, w mroku nocy emanował mocnym blaskiem. I grał. Tkanina drżała zgodnie z rytmem, który posyłał w głąb ziemi. Dźwięk był nieprawdopodobny, przysięgam. Dźwięk życia, początków.

Cholera jasna, to był Ijele, wódz wszystkich maskarad, władca Igbo. Ijele nie prosi, by inne maskarady, małe czy duże, opuściły wioskowy rynek, kiedy chce wejść. One muszą to zrobić. Ijele to punkt kulminacyjny, występuje samotnie. Jeśli to coś nie było Ijele, to oszalałem. Zadrżało, unosząc się nad ziemią, i zaczęło przesuwać się w stronę jedynego komputera, który wciąż stał. Co dziwne, ten komputer miał świecący ekran… a przed nim stał mężczyzna w czarnym kaftanie.

Nikt nie odważył się poruszyć, kiedy Ijele, wielka maskarada ponad wszystkie maskarady, jeden z największych duchów Nigerii, powoli tańczył w stronę mężczyzny w czerni. A mężczyzna w czerni się nie poruszył. Wszystko to pod ciemnym nocnym niebem, ponieważ w całej okolicy nie było prądu, nawet w budynkach, które miały własne generatory.

Stali naprzeciwko siebie. Moi dwaj krewniacy zdążyli już uciec, podobnie jak wszyscy inni, którzy byli do tego zdolni. Ale ja zostałem, by dać świadectwo. To coś, o czym mógłbym opowiadać wnukom, gdybym przeżył. Byłem świadkiem cudów. Dni oszustw… już kiedy

klęczałem pod stołem, wiedziałem, że się skończyły.

W tej chwili wszystko stało się dla mnie jasne. Wszystko, co działo się przez ostatnie kilka godzin. Terrorystka, która przejęła wszystkie komputery i komórki. Patrzyliśmy, jak mówi, ale wciąż byliśmy skupieni na swoich sprawach, na zdobyciu tego, co mogliśmy zdobyć. Ja byłem zbyt zajęty namawianiem białej kobiety, żeby zapłaciła, nawet kiedy na ulicach rozlało się szaleństwo.

Ale to mnie przebudziło. Nadejście Ijele. Nie przesadzam, i nie zwariowałem. I nadal jestem w niebezpieczeństwie. Ale nigdy więcej nie będę zajmował się oszustwem. Nigdy. Przysięgam.

Kiedy kuliłem się pod stołem i obserwowałem, jak Ijele oraz mężczyzna, którego uznałem za jednego z obcych, patrzą na siebie, poczułem wielki przypływ dumy i miłości do Nigerii. Czułem patriotyzm. Oddał bym za nią życie. Żyłbym dla niej. Tworzyłbym dla niej. To było prawdziwe. Po mojej twarzy płynęły łzy.

– Ijele – powiedział mężczyzna w czerni.

Ijele podskoczył, a kiedy opadł na ziemię, rozległo się dudnienie głębokie jak dno oceanu, które wstrząsnęło skorupą budynku. *BUM!* Przypominało grom dźwiękowy, który słyszeliśmy dwukrotnie w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, tyle tylko, że było o wiele głośniejsze, o wiele bliższe. Ocalałe ściany kafejki zadrżały, a niektóre się zawaliły. Nikt nie jęczał. Wszyscy, którzy mogli, uciekli. Oprócz mnie.

Jak wyjaśnić, co widziałem później?

Weszli do komputera. Czy to ma sens? Ijele stał się taki jak gaz, a mężczyzna w czerni stał się jak dym i razem zniknęli w komputerze.

Po kilkunastu minutach wstałem i podszedłem do swojego komputera. Wciąż był włączony. Nie wiem, jakim cudem zalogowałem się na skrzynkę pocztową. Zaskoczyło mnie, że mam do niej dostęp. Ale wcale mnie nie zdziwiło, że wszystkie wiadomości i kontakty zostały wykasowane. I byłem z tego zadowolony.

Rozdział czterdziesty

Droga potwór

Byłem tam.

Razem z żoną i synami utknąłem w korku. Było już po północy, ale to, co działo się na drodze, przypominało pełną agresji imprezę. Autostrada Benin-Lagos jest do dupy. Ciągle na niej okradają ludzi. Kiedy zacząłem pracować, jeździłem tą drogą do pracy, ale zostałem obrabowany tyle razy, że zacząłem jeździć autobusem.

A później, przed rokiem, usłyszałem o napaści na luksusowy autobus, która zmieniła się w krwawą jatkę, i wróciłem do samochodu. W okolicy jest pełno Area Boys, nawet wojskowych i policjantów, którzy zatrzymują ludzi jak bandyci albo trolle z europejskich baśni. Oprócz tego są jeszcze koszmarnie utrzymane drogi z dziurami, które mogą pochłonąć samochód. Nie, nie nazywajmy ich dziurami, to raczej kratery.

Ale tej nocy nie na tym polegał problem z autostradą. Była po prostu zatłoczona. Wszyscy uciekaliśmy z Lagos. Żona ma jedną z tych nowych komórek. Wszyscy oglądaliśmy na niej przekaz. Nie uwierzyłem, że to obcy. To musieli być ludzie z Boko Haram albo innej głupiej bandy terrorystów z północy, którzy w końcu postanowili zdobyć Lagos. Ci *mumu* wrzeszczą, że zachodnia technika jest bluźniercza, a jednak wykorzystują ją do swoich celów. Hipokryci.

Nim dziwna kobieta skończyła się wypowiadać na ekranie komórki mojej żony, oboje się zgodziliśmy – natychmiast wynosimy się w diabły z Lagos. Coś musiało wybuchnąć. I patrzcie, nie minęło wiele czasu od wystąpienia kobiety, *BUM!* – coś wybuchło! Nie wiedzieliśmy co, ale słyszeliśmy dźwięk. Wpakowaliśmy dzieciaki do samochodu, razem z wszystkimi naira, które mieliśmy, ubraniami, jedzeniem, laptopami, komórkami i ładowarkami, i ruszyliśmy w drogę.

Jechaliśmy powoli, bo ludzie już próbowali uciekać przed powoli rosnącym poziomem wody. Udało nam się skierować na północny wschód, na autostradę, a po jakiejś godzinie wszystko się zatrzymało. Nic się nie ruszało. Wielu próbowało jechać po trawie i ziemi na poboczach, ale tam też utykali. Ludzie wyłączali silniki i wysiadali, żeby rozprostować nogi i porozmawiać, i wkrótce droga zmieniła się w targowisko. Handlarki napełniały nam brzuchy pikantną suya, orzeszkami arachidowymi i nerkowcami – te dziewczyny świetnie zarabiały. Ale też zapewniały doskonałą obsługę. Młodzi mężczyźni puszczali głośno muzykę i oglądali kobiety. Dzieci płakały i spały. Komary wypijały krew.

Po obu stronach drogi w miejscu, gdzie się zatrzymaliśmy, rosły krzaki. Nie było gdzie uciec do czasu, aż korek się rozładuje. Siedziałem w samochodzie, a chłopcy spali z tyłu. Żona stała w pobliżu i rozmawiała z dwiema kobietami, które właśnie poznała. Jedna była bardzo wysoka i ubrana, jakby miała właśnie wejść na plan nollywoodzkiego filmu, jej obcisła szaro-różowa sukienka doskonale pasowała do różowo-szarych szpilek na platformie. Druga bardziej przypominała moją żonę, miała czarne spodnie, buty na obcasach i białą bluzkę.

– Utkniemy tu na trzy dni – powiedziała kobieta w czarnych spodniach.

– Będzie dobrze – stwierdziła wysoka nollywoodzka piękność.

– Modlę się, *o* – powiedziała moja żona.

– Słyszałam, że w Victoria Island panuje szaleństwo – dodała kobieta w czarnych spodniach, kiwając głową. – Zamieszki, jacyś idioci wszystko podpalają, ludzie wrzucają to do Internetu. Oglądałam to na swoim BlackBerry.

Żona cmoknęła językiem o zęby.

– Czy to się bardzo różni od tego, co się dzieje codziennie? Czy ta „napaść na luksusowy autobus, która zmieniła się w krwawą jatkę" nie wydarzyła się w tej okolicy?

Miała rację – to wydarzyło się… właściwie dokładnie tu, gdzie parkowaliśmy. Może dwieście metrów przed nami, ale wystarczająco blisko. Wiedziałem o tym, bo widziałem wszystko na własne oczy. Żonie nigdy nie powiedziałem prawdy. Tamtego wieczoru wracałem do domu z pracy, kiedy przejechałem obok tej sceny.

Okaleczone, powykręcane ciała na całej przeklętej drodze. Nie przesadzam. Samochody jechały po trawie i ziemi, żeby je ominąć. W przeciwieństwie do większości, ja nie zwolniłem. Jechałem szybko. Nie chciałem widzieć. Nawet po ciemku ten szybki przejazd i tak był dla mnie trudny. Miałem otwarte okno, a powietrze śmierdziało krwią i gorszymi rzeczami. Musiało mnie to przytłoczyć, bo zrobiło mi się słabo, przez chwilę widziałem niewyraźnie, droga przede mną zafalowała i mógłbym przysiąc, że samochód podskoczył. Ale na nic nie najechałem. I minąłem to miejsce.

Żona później usłyszała o wypadku i spytała, czy cokolwiek widziałem. Powiedziałem jej, że musiałem tamtędy przejeżdżać tuż przed tym, gdy wszystko się wydarzyło. Zazwyczaj jej nie okłamuję, ale nie musiała wiedzieć, że tam byłem. Gdybym powiedział jej, co widziałem, zażądałaby, żebym opisał wszystko ze szczegółami, ja bym to zrobił, a później ona godzinami opłakiwałaby zmarłych. A później moi synowie, którzy zawsze podsłuchują pod drzwiami, mieliby ten niezdrowy wyraz twarzy, jaki ich twarze przybierają zawsze, kiedy dowiadują się czegoś, na co nie są gotowi. Moje drobne kłamstwo

miało ich chronić... przynajmniej do chwili, gdy w gazetach i Internecie pojawiły się zdjęcia. Drogę pokrywały rozszarpane ciała, krew, wnętrzności, zdarta skóra, powykręcane torsy, oderwane kawałki ciała. Zdjęcie każdego doprowadziłoby do wymiotów.

Te drogi są pełne duchów. Zawsze to wiedziałem. Dlatego wolałem trzymać się z dala od autostrady o północy w taką noc, gdy coś atakowało Lagos.

Ale utknęliśmy.

Patrzyłem na drogę, kiedy zobaczyłem, jak wielki czarny pająk przebiega obok i znika w trawie. Zadrżałem. Nie cierpię pająków, a ten był wielki... i bardzo szybki.

– Czym jesteś?! – wrzasnęła moja żona.

Przestałem zwracać uwagę na ich rozmowę, a teraz znów się na niej skupiłem. Żona i kobieta w czarnych spodniach patrzyły na wysoką nollywoodzką piękność.

– Rozmawiacie ze mną od pół godziny – powiedziała kobieta. – Czy wyglądam na niebezpieczną?

Nawiązałem kontakt wzrokowy z żoną, po czym spojrzałem na wysoką kobietę. Była... jedną z nich. Wydawała się taka normalna. Ale... trudno to opisać. Jeśli patrzyło się na nią wystarczająco długo, pojawiał się ślad czegoś dziwnego. Jakby była czymś więcej niż była i czymś mniej niż ukazywała, jak zdjęcie naświetlone dwa razy. Żona zrobiła krok w stronę samochodu, a ja miałem z niego wyskoczyć, kiedy ziemia się zatrzęsła.

Chłopcy się obudzili.

– Tatusiu, co to? – spytał niewyraźnie, sennym głosem Loteh.

– Nie wiem...

Spojrzałem w stronę nollywoodzkiej piękności. Patrzyła na zatłoczoną drogę. Podobnie jak moja żona.

Ziemia znów zadrżała. Tym razem mocniej. Żona pobiegła do samochodu, za nią obie kobiety. Obserwowałem tę wysoką, czekając, aż zmieni się w potwora albo coś w tym rodzaju.

– Udeh! Co się dzieje? – zawołała moja żona.

Pokręciłem głową. Nie wiedziałem, na czym się skupić. Na dzieciach na tylnym siedzeniu, drżącej drodze, żonie czy stojącej za nią „kobiecie”?

– Wysiadajcie z samochodu! – krzyknęła nollywoodzka piękność. – Pośpieszcie się! Tu nie jest bezpiecznie!

Gapiliśmy się na nią z żoną. Chłopcy zaczęli wysiadać. Ja też otworzyłem drzwi, żeby wysiąść. Kobieta w czarnych spodniach obiegła samochód i potykając się, ruszyła przed siebie drogą, krzycząc:

– Widziałam jedną z nich! Tam! Tam!

Ludzie wyskakiwali z samochodów i biegli drogą razem z kobietą. Jak najdalej od nas.

Chwyciłem swoją torbę i torebkę żony. Jeden z chłopców złapał siatkę z jedzeniem, drugi komórkę żony. I wtedy właśnie droga zaczęła się trząść jak wąż walczący z zadziornym szczurem.

– Zejdźcie z drogi! – krzyknęła wysoka kobieta.

Stała tuż obok mnie. Wszystko się trzęsło, ale nawet w ciemnościach widziałem jej oczy – wyraźne, spokojne. Były brązowe, ale emanowały blaskiem, jakby za nimi świeciło słońce – może słońce innego świata. W tej chwili poczułem do szpiku kości, że nie była człowiekiem. Nie była ziemska. Była czymś zupełnie innym. Ale nie była też zła. Miałem zawroty głowy, ale musiałem zachować przytomność. Dla dobra rodziny.

Pociągnąłem żonę i dzieci na trawę, zupełnie zapominając o tarantuli, którą widziałem przed chwilą, a nollywoodzka piękność podążyła za nami. Jeśli ona kazała zejść z drogi, to lepiej było zejść z drogi. Zrobiliśmy to jako jedyni. Panowała ciemność, którą rozjaśniały jedynie światła samochodów. Nikt nie chciałby wbiec w wysokie trawy, krzewy i cienie w takich ciemnościach, więc wszyscy biegli przed siebie drogą.

Przynajmniej w ten sposób oddalali się od… tego. Do dziś nie wiem, czym naprawdę „to” było, *o*.

Niedaleko od miejsca, gdzie rok wcześniej wydarzył się wypadek, droga falowała. Następnie zaczęła się rozciągać jak rozgrzany plastik. Coś pod nią jęknęło, głęboko i głucho: „UUUUMMM”. Powietrze śmierdziało smołą, poczułem uderzenie gorąca na twarzy.

– Nie ruszajcie się – powiedziała wysoka kobieta.

My się nie ruszyliśmy. Ale wszyscy inni na drodze i owszem. Wrzeszczeli i biegli. Ludzie uruchamiali silniki samochodów i próbowali nieskutecznie wyjechać z korka, na trawę. „UUUUUUUUUMMM”, powiedziała droga i zaczęła się ruszać pod pojazdami. Nozdrza piekły mnie od smrodu. Moja żona przycisnęła do siebie dzieci i wpatrywała się w nollywoodzką piękność. Synowie płakali, patrząc na drogę, gdzie coś olbrzymiego podnosiło się i zwijało.

Droga uniosła się jak wąż, wielka, betonowa płyta, wciąż z wyblakłymi żółtymi pasami. Później zafalowała. Zrzuciła z siebie samochody, tocząc się w stronę uciekających ludzi. Kiedy do nich dotarła – cóż, słyszałem jedynie wrzaski bólu. Zasłoniłem uszy synów. Tamci byli zbyt daleko i było zbyt ciemno, byśmy zobaczyli, co się dzieje. Cieszyło mnie to.

I zapanowała cisza.

„UUUM”, powiedziała droga. Tym razem brzmiała, jakby była w ekstazie. Krzyki ucichły. Czy zjadła wszystkich? Wtedy właśnie wysoka kobieta wbiegła na drogę. Biegła w stronę potwora, a jej obcasy tonęły w miękkim betonie.

– Zostań tutaj – powiedziałem.

Żona jedynie na mnie spojrzała, a dzieci przyciskały twarze od jej nóg.

Szybko prześlizgiwałem się wzdłuż drogi, bałem się jej dotknąć, ale też nie odważyłem się wejść zbyt głęboko w trawy. Zwolniłem, gdy zbliżyłem się do nollywoodzkiej piękności. Potwór był tak przerażający, że zmieniłem zdanie i zagłębiłem się w trawie, padłem na kolana i zacząłem się czołgać. Węże i tarantule były niczym w porównaniu z tym, co widziałem.

Pozwólcie, że wam coś powiem – ta kobieta była spoza tej ziemi, owszem. Ale to coś, to coś, co nawiedzało drogę, było stąd i pewnie istniało od czasu, gdy wybudowano drogi, a może nawet i wcześniej. Nie jestem chrześcijaninem ani muzułmaninem, a może jestem i tym, i tym. Ale wierzę w tajemnice, których nigdy nie pojmiemy, szczególnie w moim kraju. To coś było jedną z nich.

– Kolekcjonerze Kości – powiedziała wysoka kobieta, spoglądając na potwora.

Wznosił się przed nią, sięgając na cztery piętra w niebo. Przysięgam, to właśnie widziałem. Beton, który śmierdział jak świeża, rozgrzana smoła... i krew. Krwią też śmierdział.

– Dlaczego? – spytała go kobieta. – Dlaczego to robisz? Dlaczego teraz?

– Kolekcjonuję kości – powiedział.

Dźwięk wydawał się parzący i wilgotny. Wibracja przeszyła mnie do głębi. Sprawiła, że poczułem się jak mięso, jakby mógł otrząsnąć mięso z moich kości, kości, których pragnął.

– Od zawsze kolekcjonuję kości. Jestem drogą.

– Weź moje kości i już więcej ich nie bierz – powiedziała kobieta. – Jestem wszystkim i jestem niczym. Weź mnie, a uwolnisz się od apetytu.

Wokół mnie zapanowała cisza. Nie słyszałem nawet szelestu traw. Wyobrażacie sobie? Nigdy w życiu nie byłem świadkiem tak bezinteresownego czynu. Nie pochodziła z tego świata. A jednak. Pomyślałem o najgorszych zarazach Nigerii – wszechobecnej korupcji i niebezpiecznych drogach. Ta, która mówiła przez komórkę żony, miała rację. Ona i jej lud rzeczywiście byli czynnikami zmiany. Klęcząc tam, czułem tę zmianę w sobie. I z pewnością nie byłem jedyny.

Teraz to czuję.

Patrzyłem, jak ją pochłania. Choć tyle byłem jej winien. Widziałem ból na jej twarzy, gdy wciągało ją gorące ciało drogi, gdy zmieniło się w papkę pod jej szpilkami, pociągnęło ją w dół. Szaro-różowa sukienka unosiła się wokół niej, gdy tonęła. Kobieta nie krzyknęła, nie wydała żadnego dźwięku, pozwoliła się pochłonąć. Droga zadrżała,

droga się przeciągnęła, ale w końcu poczuła się usatysfakcjonowana. Położyła się z powrotem i znieruchomiała. A kiedy się dokonało, usłyszałem zadowolone westchnienie milionów duchów.

Niedługo potem korek się rozładował. Niektórzy wrócili, wsiedli do samochodów i odjechali. Całą rodziną wsiedliśmy do naszego samochodu, ominęliśmy porzucone pojazdy i opuściliśmy Lagos.

Po tym, jak droga pożarła kobietę, nikt już chyba nie zginął na autostradzie Benin-Lagos. Nie tej nocy.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Afrykański chaos

Byłam tam.

Choć może nie powinno mnie być. Może matka miała rację. Ostrzegała mnie, żebym nie jechała do Nigerii. Powiedziała, że ze wszystkich afrykańskich krajów, o tym słyszała najdziwniejsze historie na CNN. Internetowi oszuści, chrześcijanie i muzułmanie zabijający się nawzajem na ulicach, rząd otwarcie rabujący swoich obywateli. Jej zdaniem Nigeryjczycy byli nacją wichrzycieli.

– Nie jesteś Afrykanką – powiedziała wieczorem przed moim wyjazdem. – Tylko Amerykanką. Żywcem cię zjedzą.

Później uścisnęła mnie, dała mi pięćset dolarów i słoiczek tranu w kapsułkach.

Do tego wszystkiego matka nie znosiła hip-hopu. Nazywała go „śmieciem, który odniósł sukces" i „prymitywnymi bzdurami z getta". Zawsze sądziła, że powinnam śpiewać w kościele. Mówiła, że nie wychowała rapera. Ale jestem kim jestem i będę kim będę. Nieźle śpiewam, ale kościół jest nie dla mnie. Matka może się wypierać ile chce, ale to ona wychowała mnie na wolnomyślicielkę, która nie boi się spełniać swoich marzeń. I mimo własnych problemów, jak również faktu, że mój ojciec zostawił nas z długami, kiedy byłam małym dzieckiem, zrobiła kawał dobrej roboty.

Przez lata byłam wielbicielką Anthony'ego Dey Craze, lirycznego rapowego geniusza z Ghany. Jeden z moich przyjaciół, Ghańczyk, pokazał mi jego twórczość, a kilka miesięcy później zobaczyłam Anthony'ego na żywo. Jego występ... jak mogę to opisać? Odmienił mnie. Słuchanie go w samochodzie czy na komórce to jedno. Występ na żywo to coś zupełnie innego. Kryło się to w jego basowym głosie, w płynących słowach. W jego występie był rytm, który kołysał całą widownią! Praktycznie widziało się przetaczające się fale. Nigdy nie doświadczyłam czegoś takiego. Ten towar pochodził prosto z ziemi kontynentu, wiedziałam to. I dlatego, kiedy wystąpiłam przed nim w Atlancie, a później on zaproponował, żebym pojechała z nim na tournée po Ghanie i Nigerii, bez żadnych dodatkowych kosztów, oczywiście entuzjastycznie się zgodziłam.

Tamten wieczór w Lagos był niesamowity. Występowałam jako pierwsza i wątpię, by widownia się mnie spodziewała. Nie sądzę, by byli gotowi na czarnoskórą Amerykankę, wysoką na metr osiemdziesiąt, ubraną we wspaniałą wieczorową suknię, z ogoloną głową, która umiała jednocześnie rapować i śpiewać. Scena należała

do mnie. Zakończyłam wszystko sesją freestyle. Tak bardzo odleciałam, że nawet nie pamiętam, co z siebie wyrzucałam. Nawijałam, nawijałam, nawijałam. Powinnam się domyślić, że coś wisiało w powietrzu. Za sceną Anthony podszedł do mnie, uścisnął mnie mocno i powiedział, że jestem oficjalnie jego podopieczną. Zatkało mnie. Wszystko w moim życiu się układało.

Dorastałam w Athens w stanie Georgia. Przez większość życia nie oddaliłam się od domu bardziej niż do Jackson w stanie Missisipi, gdzie studiowałam psychologię na stanowym uniwersytecie. Byłam pierwszą osobą w rodzinie, która poszła na studia. A na przedostatnim roku, ku przerażeniu matki, zostałam również pierwszą, która nagrała płytę hip-hopową. W życiu się nie spodziewałam, że wyląduję na ulicach Lagos podczas zamieszek.

Po koncercie wyszłam poszukać Anthony'ego. Jego producent powiedział mi, że się wyślizgnął i że znajdę go na drodze prowadzącej do miejsca zwanego Bar Beach. Dlatego tam byłam. Naprawdę nie zamierzałam nigdzie iść sama. Chciałam tylko sprawdzić, czy może jeszcze nie odszedł.

W pobliżu wejścia do nocnego klubu kręcili się jacyś goście. Oparłam się o drzwi i patrzyłam na drogę. Klub znajdował się przy ruchliwym skrzyżowaniu, a ja patrzyłam na ruch uliczny i cieszyłam się nocnym powietrzem.

I dlatego to zobaczyłam. Widziałam grom dźwiękowy. Przysięgam na Boga, nawet powietrze zadrżało. Widziałam, jak nadchodzi od ulicy. Z początku myślałam, że jestem po prostu zmęczona i przytłoczona po tak cudownym wieczorze. Zastanawiałam się, czy nie powinnam pójść coś zjeść. Przed występem nie mogę nic w siebie wmusić, a później umieram z głodu.

Ale powietrze rzeczywiście zadrżało. I gdy tak stałam, dotarło do mnie. Nie było materialnego poruszenia powietrza, przybyło jak duch. I omyło mnie jak wielka fala wody. Kiedy przeszło, czułam się przemoczona, ciężka.

Przez chwilę panowała cisza, jak chwila po zaczerpnięciu oddechu.

I nagle *BUM!* Ogłuszający hałas, który sprawił, że poczułam wibracje w głowie.

Ludzie przewracali się na ziemię, jakiś mężczyzna spadł z *okada*, okna pękały, wyły alarmy samochodów, dwa samochody najechały na krawężnik. Cały ruch wiecznie trąbiących samochodów, ciężarówek, *okada*, czerwonych autobusów, podniszczonych pomarańczowych minivanów *danfo*, motorynek, zatrzymał się na pełną minutę. Powinnam wrócić do środka, wyszłam jednak w morze ludzi, zaciskając dłonie na uszach. Przez pierwsze kilka minut wielu innych też tak robiło. I wkrótce pobocza były pełne ludzi takich jak ja, zaciekawionych, przestraszonych, podekscytowanych, ludzi, którzy

bali się zostać w środku.

Wszyscy zastanawialiśmy się nad tym samym – co wybuchło? Czy coś jeszcze eksploduje? Czułam pulsowanie w głowie i próbowałam je zignorować. Stałam na drżących nogach na skrzyżowaniu, przyciśnięta do latarni, żeby nikt mnie nie potrącał. Samochody znów ruszyły, ale ludzie byli wyraźnie przestraszeni. Widać to było na ich twarzach.

– Widziałaś to?

Ktoś poklepał mnie po ramieniu.

Odwróciłam się, rozmasowując skronie. Stary, zgarbiony mężczyzna w długim beżowym kaftanie i kapeluszu z szerokim rondem wspierał się na ciemnej drewnianej lasce. Miał bujną siwą brodę i kępki sztywnych włosów po bokach głowy i śmierdział papierosami.

– Ja… nie wiem.

– Wiesz – powiedział. – Widziałaś. *Na wao*, pierwsze, co mi mówisz, jest kłamstwem, *kai.*

– Ja…

– Może w takim razie wiesz, co to było?

– Hałas? – spytałam.

– Nie, drżące powietrze. Czy to był ptak?

– Nie sądzę.

– Samolot?

Zmarszczyłam czoło.

Mężczyzna uśmiechał się szeroko. Nie miał zbyt wielu zębów. Później roześmiał się chrapliwie i powiedział coś w innym języku. Może joruba, może hausa, a może to był zupełny bełkot. Ale nie sądzę, by to był bełkot. Błysk w oczach mężczyzny mnie niepokoił.

– A ty jak myślisz, co to było? – spytałam.

– Zakładasz, że myślę.

– Muszę wracać do klubu – powiedziałam i odwróciłam się, żeby odejść.

Za dużo było dla mnie tego dziwactwa. Poza tym alarmy samochodów i spaliny sprawiały, że głowa bolała mnie coraz bardziej. Odwróciłam się do niego plecami.

– Skąd jesteś? Atlanta w stanie Georgia, w USA, prawda? – powiedział.

– Skąd wiesz?

– Widzę, *o*. Mam krewniaka w Ameryce – odparł z uśmiechem. – Mam krewniaków na całym świecie.

– Hm… rany – powiedziałam.

Kiedy tak stał odwrócony plecami do drogi, prawie otarła się o niego *okada*. Wydawało się, że nawet tego nie zauważył.

– Tak, widziałaś, co widziałaś i ja też to widziałem – stwierdził. – Wkrótce zrobi się tu bardzo ciekawie, zobaczysz. To wspaniały

moment, by być w Afryce! I przynajmniej możesz powiedzieć, że widziałaś początek. – Wyciągnął w moją stronę wykrzywiony palec. – Możesz powiedzieć, że tam byłaś. Większość amerykańskich dziewczyn nie może powiedzieć czegoś takiego. Jeśli uda ci się wrócić do kraju, opowiedz im o swoim kraju tutaj. To, że jesteś Amerykanką, nie czyni cię Amerykanką. Twój dom jest tutaj.

Uśmiechnęłam się mimo dziwnego drżenia w piersiach. Musiałam wracać do klubu.

– Dobrze – powiedziałam. – Dobranoc panu!

– Scratch – powiedział. – Mów mi Scratch.

– Dobrze, Scratch. Uważaj na siebie.

– O mnie się nie martw, *o*. – Mrugnął. – To moja noc.

Odwróciłam się, by pobiec z powrotem do klubu. Obejrzałam się przez ramię, ale mężczyzna już zniknął, pochłonięty przez późnowieczorny ruch. Spojrzałam po raz ostatni na ruchliwą ulicę. Co to był za hałas? – zastanawiałam się. Dochodziła północ, a na ulicy panował bardziej gorączkowy ruch niż kiedykolwiek.

Scratcha zobaczyłam raz jeszcze, dwadzieścia cztery godziny później, kiedy biegłam ze wszystkich sił po tym, jak musieliśmy porzucić samochód w drodze na lotnisko. Byłam z kilkoma członkami zespołu i menadżerem Anthony'ego i wszyscy byliśmy przerażeni, bo widzieliśmy zamieszki w centrum (nie mogliśmy znaleźć samego Anthony'ego). Scratch tańczył na środku bitej drogi w tłumie handlarek. Kobiety wznosiły pieśni do Pana Jezusa. Kiedy zobaczyłam staruszka radującego się z nimi, przestałam się bać. Przypominały mi moją matkę i jej koleżanki w kościele w niedzielę.

Rany, ale mam historię do opowiedzenia matce. Legba, bóg rozstajnych dróg, ma się doskonale w kraju pochodzenia. Jejku. Może o tym też napiszę piosenkę. Nazwę ją „Afrykański chaos". A jest jedno miasto, które rymuje się z „chaos". Lagos.

Rozdział czterdziesty drugi

Lotnisko Mmia

Agu prowadził, Adaora siedziała obok niego, a Anthony i Ayodele na tylnym siedzeniu. Wszyscy milczeli. Adaora podjadała pastę do zębów. Podróżna tubka była jedynym, co miała w torebce, a co mogło pomóc w walce z mdłościami. Kiedy nurkowała, po powrocie na powierzchnię zawsze myła zęby, więc z przyzwyczajenia nosiła przy sobie pastę.

Ostatnie „nurkowanie" zupełnie nie przypominało wcześniejszych, pomyślała histerycznie. Wracała myślami do incydentu na drodze Ahmadu Bello. Wciąż widziała wzrok chłopca, kiedy umierał. Ta wariatka. Dlaczego to zrobiła? Ayodele powiedziała, że kobieta utraciła nadzieję. Adaorze to nie wystarczało. Biedny chłopiec. Otarła oczy i wyssała trochę pasty.

Zbliżali się do lotniska. Dochodziła szósta rano. Mieli kilka minut. Im bardziej się zbliżali, tym mniej samochodów widzieli. Agu powiedział, że lotnisko najprawdopodobniej zostało ewakuowane, tymczasem wyglądało na zupełnie porzucone.

Szum.

Kiedy rozległ się ten dźwięk, wszyscy pochylili się do przodu i spojrzeli przez okna na ciemne niebo. Za kilka godzin miało wzejść słońce. Co ukaże? Adaora odepchnęła od siebie tę myśl i skupiła się na samolocie. Na niebie był tylko jeden.

– Cholera – powiedział Agu, przyśpieszając.

– Myślisz, że to oni? – spytała Adaora.

– Oczywiście – odparł. – A któż jeszcze mógłby to być?

– Dzisiaj? – spytał Anthony. Otworzył okno, żeby lepiej się przyjrzeć. Roześmiał się. – *Chale*, to może być mnóstwo różnych rzeczy.

– Jak on wygląda? – spytała Ayodele.

– Jak małomówny stary hodowca pochrzynu – stwierdziła Adaora.

Agu zaśmiał się.

– Jest wysoki i chudy jak Anthony… ale nie jest zdrowy. Ma wiele pomysłów, ale mało który realizuje.

– Baba Go-slow[2] – mruknęła Adaora.

Po minucie dotarli na miejsce. Agu zatrzymał się przy bramie prowadzącej na pas. Dalej znajdowała się rampa prowadząca do hali odlotów i przylotów, którą Adaora dobrze znała. Nawet stąd widziała ludzi kłębiących się dookoła. Zdezorientowanych. Nikt nie wchodził do środka, pewnie drzwi były zamknięte. Ale kilku ludzi opuściło

budynek – wybiegli i wskoczyli do czekających na nich pojazdów.

Wejście na pas było opuszczone, a szlaban podniesiony. Agu z obrzydzeniem pokręcił głową. Wjechali. Łatwo było zauważyć nieduży prywatny odrzutowiec prezydenta. Jako jedyny miał napis „Siły Powietrzne Nigerii” i jako jedyny się poruszał.

– Wyłącz światła – powiedziała Adaora.

Skradali się za samolotem, który kołował po pasie startowym, aż zatrzymał się na drugim końcu. Agu zaparkował w ciemności między podstawianymi schodami i wysiadł. Adaora czuła, że drżą jej nogi. Czy postąpili właściwie, sprowadzając tu Ayodele? Co powie prezydentowi? Co mu zrobi?

Samolot zatrzymał się. Przez kilkanaście minut nic się nie działo. Ale przez okrągłe okienka Adaora widziała palące się w jego wnętrzu światła i ludzi, którzy chodzili i wyglądali w ciemność. Zauważyła prezydenta.

– Widzę go! A wy? – Pokazała ręką.

– Tak – odparł Anthony.

– Okno blisko środka – stwierdził Agu.

Prezydent Nigerii wyglądał na zewnątrz. Jeden z żołnierzy odciągnął go od okna. Adaora widziała też dwie z jego żon. Hawra, tuż po czterdziestce, była młodsza. Ludzie nazywali ją „bystrą”, ponieważ była prawniczką, miała doktorat z politologii i powszechnie uważano, że jest jednym z najbliższych i najbardziej elokwentnych doradców prezydenta. Zena, starsza żona, miała prawie sześćdziesiąt lat. Ludzie zazwyczaj o niej nie wspominali.

W końcu drzwi się otworzyły, opuszczając się na schody. Jako pierwsi wyszli trzej wysocy rangą wojskowi. Z uniesioną bronią rozejrzeli się dookoła. Musieli uznać, że jest bezpiecznie, ponieważ rozstąpili się na boki, pozwalając wyjść Hawrze i Zenie. Obie żony, wysoka na prawie metr osiemdziesiąt Zena i niska, pulchna Hawra, miały na sobie białe szaty i chusty. Następnie wyłonili się dwaj starsi mężczyźni w eleganckich garniturach – doradcy prezydenta. W końcu pokazał się i sam prezydent. Podtrzymywali go dwaj młodzi żołnierze. Wydawał się słaby i ledwie przytomny. Na wpół znieśli, na wpół powlekli go w dół schodów, jego nogi prawie nie dotykały stopni. Kiedy dotarli na ziemię, jeden z żołnierzy poklepał go po ramieniu, jakby chciał przeprosić za szorstkie traktowanie.

Ten skurczony, chorowity mężczyzna miał przeprowadzić kraj przez kryzys? Adaora nigdy nie czuła się tak zażenowana i niepewna. Jeśli był aż tak chory, dlaczego przynajmniej nie delegował części obowiązków do czasu, aż wyzdrowieje?

Adaora jako pierwsza zorientowała się, że Ayodele się ruszyła.

– Zaczekaj – powiedziała, idąc za nią, podobnie jak Anthony i Agu. – Zaczekaj na nas!

Ale Ayodele była szybka. Choć wydawało się, że idzie, to jednak niewiarygodnie szybko przebyła całą odległość.

Na jej widok żołnierze unieśli broń. Ayodele nie zwolniła.

– Panie prezydencie – powiedziała głośno. – Jestem tu, by z panem porozmawiać.

– Stój! – krzyknął jeden z żołnierzy, gdy Ayodele znalazła się kilkadziesiąt centymetrów od lufy jego karabinu. – Będę strzelał!

Dołączyli do niego trzej inni żołnierze.

– Kim jesteście? – spytała Zena swoim piskliwym głosem. Stanęła przed mężem. – Co tu robicie?

Adaora, Agu i Anthony, wszyscy zdyszani, zatrzymali się za Ayodele.

– Jestem szeregowy Agu, Dywizja Wodno-Lądowa, sir – powiedział Agu żołnierzowi i zasalutował. – Przybyliśmy z pomocą.

– Czy lotnisko zostało zamknięte? W wieży kontrolnej nie było nikogo! Prawie zginęliśmy przy lądowaniu! – powiedziała Hawra. – Jak całe lotnisko może być puste i ciemne?

– Nie wiecie, co tu się dzieje? – spytał Agu.

– Wiemy jedynie to, co usłyszeliśmy – odparł słabo prezydent.

– Ty – odezwał się jeden z żołnierzy, wskazując na Anthony'ego. – Jesteś tym raperem z Ghany?

– Tak.

– Ej, *na wao* – powiedział inny z żołnierzy, opuszczając broń. – Mam wszystkie twoje płyty, *jare!*

– Powiedz to, *sha*. – Pierwszy żołnierz uśmiechnął się szeroko. – „I dey craze!".

Anthony przewrócił oczami.

Adaora zrobiła krok do przodu.

– Nazywam się Adaora. Jestem biologiem morskim. To Ayodele. Jest jedną z nich, jedną z… istot pozaziemskich. Ich ambasadorem. Jako pierwsza nawiązała kontakt i pragnie spotkać się z panem, panie prezydencie. Wiele przeszliśmy, by tu dotrzeć.

Żołnierze wycelowali w Ayodele i przesunęli się, by osłonić prezydenta.

– Odsuńcie się – rzucił krótko prezydent. Wydawał się bardziej ożywiony. – Naprawdę myślicie, że możecie uratować mi życie? Popatrzcie na mnie! Już prawie jestem martwy! – Mruknął coś w hausa. – Chodź – powiedział, spoglądając na Ayodele.

Podeszła do niego. Jej długie warkoczyki falowały na lekkim wietrze. Obaj młodzi żołnierze podtrzymujący prezydenta wydawali się przerażeni. Nad nimi niebo pojaśniało blaskiem nadchodzącego świtu.

– Naprawdę jesteś obcą? Istotą pozaziemską? Kosmitką?

– Tak.

– Wyglądasz jak kobieta Igbo.

– Wygląd o niczym nie świadczy.

Zaśmiał się słabo i zakaszlał.

– Udowodnij to.

Zawahała się.

– Proszę patrzeć uważnie – powiedziała.

Już w chwili, gdy wypowiadała te słowa, zagłuszał je hałas metalowych kulek na szkle, przesuwających się i przeobrażających razem z jej ciałem. Żołnierze strzegący prezydenta rzucili broń, żony wrzeszczały, a jeden z doradców zemdlał. Pilot padł na kolana i zaczął wymiotować. Prezydent wpatrywał się z szeroko otwartymi oczyma. Na szczęście dwaj żołnierze, którzy podtrzymywali prezydenta, nie puścili go, choć jeden zaczął łkać, a drugi wyglądał, jakby nie mógł oddychać.

Ayodele była teraz barczystym i krępym białym mężczyzną o gęstych siwych włosach i brodzie. Był ubrany w niebieski mundur, a jego spojrzenie wydawało się udręczone.

Prezydentowi opadła szczęka.

– Karol Marks – wyszeptał. – Ja... ja...

– Wiem – powiedziała Ayodele męskim głosem. Podeszła bliżej, pełna wdzięku nawet w męskim ciele. – Wierzy pan w marksizm, ale jest pan zbyt bezsilny, by go wprowadzić.

Prezydent zajęczał.

– Odczytuję powietrze, którym pan oddycha – powiedziała.

Kiedy wciąż się nie odzywał, przeobraziła się z powrotem. Jej druga przemiana przerosła strażników, pilota, nawet doradców. Jak jeden mąż odwrócili się i uciekli. Jeden z żołnierzy podtrzymujących prezydenta zaczął się modlić pod nosem do Allaha, drugi nadal łkał.

– Tak lepiej? – spytała, odprowadzając wzrokiem uciekających.

Kiedy znów spojrzała na prezydenta, oblizał wargi i odetchnął głęboko.

– T-tak.

– Chciałby pan, żebym wyglądała bardziej jak Hausa?

– To... nie, dziękuję, tak jest w porządku.

– Nie chciałam was przestraszyć.

– Jesteś zła! – krzyknęła Zena zza prezydenta.

– Nie – odpowiedziała beznamiętnie Ayodele. – Jestem przemianą.

– Jak przejęłaś wszystkie komórki? – spytał prezydent.

– Nie tylko komórki i nie tylko ja. Oni pomogli – powiedziała, wskazując na Adaorę, Anthony'ego i Agu. – Podobnie jak potomstwo Adaory – mówiła dalej. – Jak mój lud. Jak twój lud. To wszystko kwestia połączenia i komunikacji. – Uśmiechnęła się szeroko. – A wasza technika jest prosta, łatwo nią manipulować.

– A wasza nie?

– My jesteśmy techniką, panie prezydencie. I nie, nie da się nami łatwo manipulować.

– Czego chcecie?

– Nie chcemy władać, kolonizować, podbijać ani brać. Chcemy domu. A czego pan chce?

Zawahał się.

– Znowu żyć.

– Uczynię tak.

Akt III

Symbioza

Prolog

Oślepione trzecie oko

Nietoperzyca jest do głębi wstrząśnięta.

Zjadła pięćdziesiąt moskitów. Pięćdziesiąt jeden. Pięćdziesiąt dwa. Brzuch ma pełny owadów. Jej miękkie brązowe futerko faluje, kiedy leci. Wie, gdzie są wszyscy pozostali – unoszą się nad zbiorowiskiem ludzi na plaży. To miejsce obfituje w moskity i komary, przyciągane przez światła, ciepło ciał i zapach krwi. Odkryła to w tym tygodniu, a inne młode nietoperze podążyły za nią. Teraz tak szybko krążą po okolicy, że ludzie nawet nie są świadomi ich obecności.

Czuje się wspaniale. Na chwilę przed tym wydarzeniem, łapie i zjada moskita, a potem robi beczkę i wznosi się wysoko w niebo, ciesząc się wilgocią i chłodnym powietrzem. Czuje się taka lekka i potężna. Unosi się na ciepłym wietrzyku. Jednocześnie wysyła serię ultradźwiękowych pisków, by opowiedzieć innym nietoperzom o urodzie tego wieczoru.

I wtedy właśnie horyzont, tam, gdzie styka się z oceanem, rozjaśnia gęsta mgła. Jak zgniłe wnętrze zmiażdżonego owocu. Mgła przetacza się, zwija i rozprzestrzenia. Kieruje się prosto w jej stronę.

BuUm!

Dogłębny, gęsty, ale nie do końca materialny. Widzi go doskonale, ponieważ dla niej ten dźwięk jest niemal namacalny. Głęboki, obszerny i rozprzestrzeniający się. Szybko. Zalewa ją tak, jak fale zalewają piasek plaży.

Czuje to tak, jak poczuła pierwszy w życiu oddech, gdy się urodziła. Wyraźnie pamięta chwilę narodzin. Otworzyła oczy i tak niewiele widziała. Ale wtedy zapiszczała i dźwięk odnalazł jej matkę. Później innych. I jaskinię. A kilka tygodni później, gdy echolokowała w mroku nocy, myślała, że piękno drzew i ziemi ją zabije.

Teraz jest pośrodku… czerwieni, różu, zieleni, żółcieni, błękitu, fioletu. Nie ma słów na barwy, ponieważ jest nietoperzem, a nietoperze nie widzą kolorów. Ale ona teraz je widzi. Widzi ich tysiące. Czuje ich smak. Są mięsiste jak moskity, liściaste jak pędy paproci, owocowe jak mango. Koziołkuje w powietrzu, a później upada na piasek. Próbuje zachować przytomność, rozciąga skrzydła, przekręca głowę. Patrzy w niebo i widzi… światła. W tej chwili jest jedynym nietoperzem na świecie, który widzi gwiazdy na niebie. Ale nie wie, czym są. Jej echolokacja nigdy nie sięgnęła tak daleko. Gwiazd robi się coraz więcej. Jakby były coraz bliżej. To przytłaczające.

I zapada martwa cisza. Żadnego powietrza. Żadnego dźwięku. Żadnej Ziemi. Jest w kosmosie. Dalej, głębiej. Widzi planetę z kamienia. Czerwonego oleistego kamienia i płynnego powietrza. Później wodny świat błękitnych oceanów. Później żółtą, szybko obracającą się kulę oświetlaną blaskiem trzech słońc. Świat po świecie. Budzi się w malutkiej, ciepłej jaskini ciemności, ale tu również kryje się energia. Wstrząsa nią dźwięk, rytm. Cóż to za wyższy rodzaj echolokacji?

To ją budzi. Sprawia, że powraca do ciała, do życia. Nagle ciemność się otwiera, ukazuje noc, a ona zostaje wyrzucona w niebo. Wdzięczna Najwyższej Istocie za drugą szansę, odlatuje, jej umysł wibruje, jej perspektywa się zmieniła.

Dźwięk i wzrok – teraz nietoperzyca ma jedno i drugie. Podnosi wzrok i widzi gwiazdy. Echolokuje na wiele kilometrów. Jej świat nagle stał się ogromny.

* * *

Nic nie je. Chce jedynie latać i widzieć nowymi zmysłami. Na środku jej czoła wyrosło oko, ale ona tego nie widzi. A gdyby nawet widziała, i tak by nie wiedziała, co o tym myśleć. Lata wyżej niż kiedykolwiek wcześniej. Może próbuje opuścić Ziemię. Nie jest pewna. Nie zastanawia się nad tym.

Zatonęła w myślach. Dotyk powietrza na skrzydłach jest wspaniały. Płynie, unosi się w powietrzu, jakby to była woda. Lecąc, unosi głowę i wypuszcza z siebie serię głośnych pisków. I wtedy to widzi. Największy ptak, z jakim się zetknęła. Lecący szybciej niż jastrząb, orzeł albo sowa. Ryczący jak potwór. Gdyby znała ludzkie słowo „smok”, tak by go nazwała.

Nie ma czasu uciekać. Nie ma czasu zawrócić. Nie ma czasu wrzasnąć. I nie ma bólu. To jak wyrzucenie w gwiazdy.

* * *

Pilot samolotu nigeryjskiego prezydenta nie ma pojęcia, że jego samolot właśnie zabił najbardziej oświeconego nietoperza na świecie. Po unicestwieniu nietoperzycy, samolot leci dalej w stronę lotniska w najdziwniejszą noc w historii Lagos.

Rozdział czterdziesty trzeci

Yawa don gas3

– AAAAHHHHH!

Adaora przycisnęła głowę do fotela samochodowego i zamknęła oczy. Po raz pierwszy od lat zaczęła się modlić. Modliła się do ojca, który został zmiażdżony przez pędzącą ciężarówkę na autostradzie Lagos-Benin, modliła się do wszystkich duchów, które, jak wiedziała, mieszkały w głębi zanieczyszczonej gleby Lagos, modliła się nawet do chrześcijańskiego boga, w którego nie wierzyła, i do muzułmańskiego boga, którego nie znała. Modliła się, by się okazało, że postąpiła właściwie, kiedy wsiadła do samochodu razem z Agu, Anthonym, żonami prezydenta i dwoma strażnikami, zostawiając prezydenta Nigerii z kosmitką Ayodele.

– GAAAAA! – wrzeszczał dalej prezydent.

Agu przytrzymywał Zenę, a jeden z żołnierzy trzymał Hawrę.

– Wypuście mnie! – krzyknęła Zena, z jej oczu płynęły łzy.

– *Ah-ah*, co ona mu robi? – jęknął jeden z żołnierzy.

Wrzaski ucichły. Adaora nasłuchiwała ze wszystkich sił, ale nie usłyszała nic, co świadczyłoby, że mężczyzna umarł, uciekł, zemdlał albo przestał istnieć. Mijały chwile. Adaora otworzyła oczy i odkryła, że wpatruje się w nią spocony na twarzy Anthony. W chwili, gdy Agu puścił Zenę, ta wyskoczyła z samochodu.

Adaora ruszyła za nią. Hawra przebiegła kilka kroków, jak najszybciej przebierając grubymi nogami, po czym zwolniła. Prezydent i Ayodele siedzieli twarzą w twarz na pasie startowym przed samolotem. Zena zatrzymała się nad nimi.

– Ukochany, wszystko w porządku? – spytała Zena.

Adaora stanęła za nią i popatrzyła na prezydenta. Nawet w półmroku widziała, że jego oczy są błyszczące, nie załzawione. Wciąż miał zmarszczki na twarzy, ale zniknęły plamy. Siedział wyprostowany. I uśmiechał się.

– Czuję się dobrze – powiedział. Nawet jego głos był bardziej donośny. Wyraźny. Silny. Zaśmiał się i z uśmiechem na twarzy spojrzał w niebo. – Czuję się dobrze.

– Co ona ci zrobiła? – krzyknęła Zena. – To brzmiało jak…

– Uzdrowiła mnie, Zeno.

– Chwała Allahowi – wyszeptała kobieta.

Po jej policzkach płynęły łzy. Pochyliła się i oparła dłonie na kolanach, próbując złapać oddech. Podeszła do niej Hawra, obserwująca wszystko szeroko otwartymi oczami.

Ayodele nic nie powiedziała. Razem z prezydentem patrzyła w niebo.

Wszyscy pozostali również wyszli z samochodu i powoli zbliżyli się do nich.

– Powietrze jest takie słodkie – stwierdził prezydent. Zrobił wdech i wydech. – Allah jest wielki.

Podniósł się nieśpiesznie.

Zena zamrugała i przechyliła głowę, zrobiła podejrzliwą minę.

– Pomóż naszemu mężowi – rozkazała, popychając Hawrę do przodu. – Jesteś silniejsza.

Hawra podeszła do prezydenta.

– Mój umysł… jest jasny – powiedział, obejmując drugą żonę. Znów się zaśmiał.

Adaora spojrzała na Agu, który wzruszył ramionami.

Prezydent odwrócił się do Ayodele, która również wstała i patrzyła na samolot.

– Zabierz mnie do swojego przywódcy – powiedział.

Ayodele odwróciła się w jego stronę.

– Przywódców – poprawiła z uśmiechem.

– Gdzie mogę ich spotkać? – spytał.

– W wodzie.

Agu jęknął.

Prezydent spojrzał na niego.

– Szeregowy Agu, skąd możemy wziąć łódź?

Rozdział czterdziesty czwarty

Powitanie narratorki

Morze zawsze więcej odbiera niż daje.

W tej chwili, gdy tkam, w morzu kłębi się życie.

Półtora dnia temu oceany cierpiały od zanieczyszczeń.

Dziś o świcie na wszystkich plażach Lagos mógłby się pojawić napis:

„Tu Są Potwory”.

Zawsze było to prawdziwe stwierdzenie, lecz dziś jest jeszcze prawdziwsze.

Muszą to zrozumieć. Ale mam nadzieję, że nic z tego nie rozumieją. Jeśli rozumieją, nie wejdą na pokład tej łodzi i historia nie będzie miała dalszego ciągu. Moja mocna sieć pęknie. Opowieść przestanie rozrastać się i rozprzestrzeniać. Niech wyruszą. Ja rzucę mocną nić, może trzy. Później umocuję ją do Lagos. W ten sposób mogę nadal z przyjemnością opowiadać tę historię.

* * *

Jestem Udide, narratorka, tkaczka opowieści, Wielka Pajęczyca.

* * *

Żyję w wielkiej jaskini pod miastem. Spędziłam tu wiele stuleci i wiele ich jeszcze spędzę. Ta metropolia dopiero się zaczyna. Nadejście tego nowego ludu to w rzeczy samej wielki zwrot w opowieści Lagos. Któż go przewidział? Nawet ja nie. Przetaczam się na grzbiet i dotykam włochatymi nogami ziemi nade mną. Czuję wibracje Lagos. W ten sposób widzę wszystko. Cóż to za opowieść! Słońce wkrótce wzejdzie, a ja będę patrzeć, jak wszyscy oglądają to, co zrobili. Wyeksponowany chaos.

Słońce wschodzi.

Nadszedł świt, pył opada.

Ulice są pełne straszliwych owoców zamętu.

Spalone pojazdy. Dymiące budynki. Martwe zwierzęta.

Przebudzony olbrzym drogi znów zasypia, pozostawiając ślad grozy.

Śmierć chłopca na asfalcie już została obejrzana przez trzy miliony ludzi na świecie, a obejrzą ją kolejne miliony.

Wśród starych ludzi są nowi ludzie.

A cyfrowy eter oszalał.

Wielki Ijele prowadzi szaleństwo, a przebiegły Legba się śmieje.

W wodach Zatoki Biafra kłębi się życie.

Prezydent został uzdrowiony.
Jego oczy są suche i białe. Jego skóra czysta i brązowa.
Jego umysł jest silny i swobodny.

* * *

Raduję się tym wszystkim.

* * *

Jestem silniejsza niż kiedykolwiek. Zbliżam się do końca tej odnogi opowieści.
I witam cię tutaj.
Witaj, Czytelniku, witaj.
Przyciskam wrażliwe stopy do sklepienia jaskini.

* * *

Na *dobra, dobra historia.*
Słucham dalej, o. *Cicho...*

Rozdział czterdziesty piąty

Na wodzie

Prezydent Nigerii szedł wąską alejką za rezydencją, wdychając woń bzu i lilii. Nieduży ogród między rezydencją a domkiem gościnnym na tyłach był jego azylem. Dobrze opłacani ogrodnicy każdego dnia troszczyli się o kwiaty i nie były to zmarnowane pieniądze. W tym miejscu prezydent miał w zwyczaju spędzać ranki i myśleć. Ten poranek jednak nie był bynajmniej zwyczajnym porankiem, więc mężczyzna szybko minął kwiaty, kierując się do domku gościnnego.

Włożył białe sukodo i bubę, swój najlepszy strój. Oczywiście, gdyby wpadł do wody, taki ubiór raczej utrudniałby pływanie. Ale nie zamierzał wpadać do wody. Zakładał, że obcy przybędą na jego łódź w takim czy innym pojeździe, którym się poruszali, i rozpoczną się rozmowy. Rozmowy o czym? Tą kwestią na razie nie zaprzątał sobie głowy. Liczyło się, że kobieta Ayodele, która nie była kobietą, go uzdrowiła. Była dzieckiem Allaha. A to znaczyło, że wszystko jest dobrze.

– Nie idę – powiedziała Zena, gdy stali przed domkiem gościnnym, i osłoniła twarz delikatną czarną chustą.

Mieszkała w nim od czasu, gdy wrócili, Nie chciała przebywać w tym samym domu co „ten stwór w kobiecym ubraniu”. Nie chciała też zbliżać się do męża, który z pewnością zaraził się tym czymś, czym zakażał stwór. Choć Zena z przykrością patrzyła, jak mąż podupada na zdrowiu, z jego choroby czerpała też pewne pocieszenie. Taka była wola Allaha, a ona się z tym pogodziła.

Chodziło jednak o coś więcej, nawet jeśli się do tego nie przyznawała. Kiedy był zdrowy, poślubił dwie kolejne żony, a jej rola powoli się zmniejszała. Gdy zaczęła się choroba, Zena znów stała się jego wsparciem – jego ustami, jego powierniczką. Najmłodsza z trzech żon, Caroline, stała się tak zazdrosna, że przeprowadziła się do ich domu w Abudży. Teraz, gdy został uzdrowiony, wszystko się zmieni.

– Jedna z nas powinna tu pozostać – rzuciła krótko Zena. – Niech Hawra pójdzie.

I oby nigdy nie wróciła, pomyślała. Zena miała dość zbyt wykształconej i bezczelnej pani doktor Hawry. Niech idzie i nigdy nie wraca.

Hawra włożyła obcisłe dżinsy i podkoszulkę, a później chustę. Przez całe życie chciała być częścią czegoś wielkiego. Czegoś, co zmieni wszystko, co znała. Za nic nie przegapiłaby tego, co właśnie

miało się wydarzyć.

Rozdział czterdziesty szósty

Szklany dom

Ojciec Oke oparł plecy o bramę z kutego żelaza, która otaczała Szklany Dom w centrum Lagos. Potwornie bolała go głowa. Ale przynajmniej żył. Kiedy się ocknął na trawniku przed domem Chrisa, był sam, a dom płonął. Zostawili go tam. Jego trzódka. Może nawet przyłączyli się do obcych.

Odepchnął od siebie te myśli i spojrzał na drogę. Był bezchmurny wczesny ranek. I cichy. Nie tylko nie widział w okolicy żadnych ludzi, ale też grom dźwiękowy pozbawił całe miasto elektryczności. Co jakiś czas mijała go grupka hałaśliwych chłopaków albo samochód, ale poza tym droga była pusta. Ta część Lagos wydawała się wymarła, poza dymiącym samochodem kawałek dalej. Pewnie największe szaleństwo panowało w Oshodi albo w pobliżu Mile 2.

Oprócz bólu głowy czuł też pieczenie twarzy w miejscu, gdzie został spoliczkowany. Już dawno pozbył się brudnych białych szat. Ubrany w szare spodnie, białą koszulę i szary krawat chodził przez jakiś czas po ulicach. Widział kobietę, która śmiała się, kiedy mężczyzna brał ją od tyłu, opartą o stojący w korku samochód. Krzyczała i śmiała się, że obcy ją sonduje. Ojciec Oke pomógł przejść na drugą stronę ulicy młodej kobiecie z trójką małych dzieci. Widział kilka korków tak wielkich, że ludzie porzucali samochody. Widział Area Boys niosących gałęzie i palmowe liście, którymi grozili ludziom. Jak sępy rzucali się na opuszczone auta. Co najgorsze, widział wielu z tamtych.

Większość ludzi tego nie zauważała. Wszyscy byli zajęci tym, co właśnie robili. Ale ojciec Oke nigdzie się nie wybierał. Nie zgubił się. Po raz pierwszy w życiu miał otwarte oczy. Dlatego zauważał tych, którzy wydawali się odrobinę dziwni. Ich twarze wyrażały mniej uczuć niż twarze pozostałych. Albo wydawali się zbyt spokojni. Zbyt swobodni. Zbyt przystosowani do sytuacji. Chodzili ze zbyt wielkim wdziękiem. I byli wszędzie.

Widział, jak pomagają ludziom uciekać przed Area Boys. Widział, jak dwaj gaszą płonącą ciężarówkę. Widział, jak jeden pomaga małej dziewczynce odnaleźć ojca. Widział, jak obserwują mieszkańców Lagos, którzy robili z siebie idiotów.

– Panie nasz – powiedział, masując skronie. – Panie nasz, ocal nas, *o*.

– Przepraszam pana. Mówił pan coś?

Podniósł wzrok. Kobieta stała na parkingu i patrzyła na budynek.

Miała obfite kształty, obcisłe niebieskie dżinsy i białą bluzkę z krótkim rękawem, która ledwie mieściła jej wielkie piersi. Na obu nadgarstkach nosiła błyszczące srebrne zegarki. Ich cyferblaty migotały w blasku księżyca. Tak robiły jedynie zegarki zdobione diamentami. Ojciec Oke przypomniał sobie, jak pojechał kiedyś do Stanów, by przeprowadzić zbiórkę pieniędzy, i podziwiał zegarek pewnego rapera. Tak, to były bardzo duże piersi i bardzo duże diamenty.

– Yyy, nie, nic nie mówiłem – odpowiedział, obejmując ją całą wzrokiem.

Regularnie sypiał ze swoimi służącymi i płacił im, żeby siedziały cicho. Były pociągające, potulne, uległe i bez wątpienia urocze. Ale ta kobieta była inna. Tajemnicza. I przypominała mu kobietę, którą kochał przed laty.

Podeszła do niego kołyszącym się krokiem. Nosiła szpilki na platformie, jak wszystkie aktorki w nollywoodzkich filmach. Buty, które je unosiły, ale tak naprawdę nie dodawały im wzrostu. Uwielbiał patrzeć, jak chodzą na tych obcasach.

– Czyli tak mi się tylko wydawało – powiedziała.

Mówiła, jakby pochodziła z delty Nigru. Wciąż patrzyła na budynek, a na twarzy miała szeroki uśmiech.

On również się uśmiechnął.

– Szuka pani kogoś?

– Nie, nie, po prostu podoba mi się ten budynek – odparła.

– Cóż, to chyba nie najlepszy moment, żeby go podziwiać.

– To szaleństwo, co? – powiedziała. Podniosła wzrok na bank.

Ojciec Oke zmarszczył czoło, zdziwiony zachowaniem pięknej kobiety. Zaśmiała się i spojrzała na niego.

– Miasto się rozpada – dodała. – Ale w tym budynku nie pękła nawet jedna szyba.

Ojciec Oke popatrzył na siedzibę Fin Banku i skrzywił się. Fin Bank był jedną z najbardziej artystycznych budowli w Lagos, olbrzymim trapezem o wzniesionych skrzydłach i elewacji składającej się w całości ze szkła. Nieliczne tafle były czerwone, ale większość niebieska jak ocean. Przez lata nosił wiele nazw, ale mieszkańcy Lagos zawsze nazywali go Szklanym Domem. Nie znosił tego budynku. Był pewien, że jest zły. Nic dziwnego, że choć tej nocy miasto zalało zło, Szklany Dom został oszczędzony.

– Chcesz pójść ze mną?

Uśmiechnął się krzywo.

– Dokąd?

– Najpierw odpowiedz na moje pytanie.

Ojciec Oke przeniósł wzrok z kobiety na budowlę, a później na niebo. Z pewnej odległości dobiegły go krzyki, a później pisk opon.

Najgorsza noc jego życia płynnie przeszła w najgorszy dzień. Noc i dzień, gdy wszystko się rozpadło. Odwrócił się.

– Pierdolić to – powiedział. – Tak, pójdę z tobą.

Zaśmiał się, wyobrażając sobie jej wielkie piersi kołyszące się nad nim, gdy weźmie ją tu i teraz, na opuszczonej plaży. Już był zbrukany, czemu nie zbrukać się bardziej? Przynajmniej będzie miał z tego trochę przyjemności.

– Znasz mitologię otaczającą to miejsce, *sha*?

– Tak, tak – powiedział szybko. Nie chciał o tym myśleć. – Chodźmy.

– Powiadają, że ponieważ ten budynek jest tak błyszczący i w kolorze wody, tworzy aurę, która przyciąga wodę. Atlantyk zawsze przelewa się w okolicach Bar Beach, a to jest blisko tej budowli. I dlatego to miejsce ciągle jest zalewane.

– W porządku, *o* – powiedział.

Chciał odejść, zanim kobieta powie więcej. Wziął ją za rękę i pociągnął. Ale ona się nie poruszyła. Zmarszczył czoło. Była jak ciężki głaz. Popchnął ją mocno, a ona nadal nawet nie drgnęła.

Zaśmiała się.

– Wiesz, co jeszcze mówią? Że to nie ocean przyciąga to miejsce. Że to Mami Wata kocha ten budynek. Wiesz, kim jest Mami Wata?

– Tak – powiedział.

Mami Wata była boginią wszystkich morskich wiedźm.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– To mój ulubiony budynek, *o*.

Z ojcem Oke wydarzyło się wiele rzeczy jednocześnie. Czuł, że pęka mu serce. Dlaczego tak mocno spoliczkował tę kobietę poprzedniego ranka? Dlaczego w ogóle ją spoliczkował? Dwa razy w ciągu jednej nocy spotkał kobietę, która tak naprawdę nie była kobietą. Pierwsza pochodziła z kosmosu. Druga z ziemskich wód. Po raz pierwszy w życiu ojciec Oke zrozumiał, że tak naprawdę mieszkał w szklanym pałacu, podczas gdy wszyscy wokół niego mieszkali w getcie.

Poddał się.

Ojciec Oke uległ.

Opuścili Szklany Dom i przeszli przez pustą ulicę. Kierowali się w stronę plaży.

Ojca Oke nie widziano już nigdy więcej.

Rozdział czterdziesty siódmy

Femi

Adaora, Anthony i Agu szli przodem przez plażę, za nimi podążał prezydent, jego druga żona, a po bokach strażnicy, Bamidele i Chucks. Poranne słońce zaczynało właśnie wznosić się na niebo. Prezydent z przyjemnością oddychał świeżym morskim powietrzem, ale ich długi marsz do wojskowych łodzi miał też inny cel.

– Co to? – spytała Adaora, marszcząc nos.

Widok był gorszy niż smród. Wielki szkielet oczyszczony z mięsa, rozkładający się w coraz cieplejszym powietrzu.

– To kiedyś był wieloryb – odparł Agu.

Wokół wciąż stała grupka ludzi, odkrawająca różowe kawałki świeżego lub częściowo popsutego mięsa. Wszyscy byli młodymi mężczyznami, a na ich twarzach malowała się desperacja. Co gorsza, filmowała ich ekipa telewizyjna, a kilku dobrze ubranych dziennikarzy przeprowadzało z nimi wywiady. Dookoła kręciły się też dzieciaki, które nagrywały tę żałosną scenę na komórki i pewnie od razu wysyłały ją na YouTube. Adaora poczuła mdłości na myśl o małym chłopcu na potwornej drodze. Czy ci ludzie nie mieli już dość? Ktoś pokazał na nich i strażnicy prezydenta unieśli broń.

– *Na* prezydent! – zawołał mężczyzna niosący trzy kawały śmierdzącego mięsa.

– O mój Boże! *Na* sen, ja to śnie.

– To nie bendzie prezydent, nie może być. Oni wywieźli prezydenta.

– On umarł zanim tamci wywieźli *am!*

Część z zebranych zaśmiała się głośno.

– *Na* to on, *sha*. Widze jego płaskom żone, *na*.

– *Na* on!

Wkrótce prezydenta i jego żonę otoczyli dziennikarze, kamerzyści i rozgadani cywile.

– Mam się doskonale – powiedział krótko prezydent. Zmarszczył czoło, chciał, żeby zrozumieli. Przeszedł na pidżyn, czego nie cierpiał. To było narzecze ignorantów. – Czuje siem w porzondku – powiedział głośno. – Paczcie, czuje siem dobrze, dobrze!

Pięcioro dziennikarzy przepychało się, żeby uzyskać jakieś oświadczenie.

– Czy ma pan coś do powiedzenia o wczorajszej nocy?

– Gdzie pan był?

– Jak to możliwe, że pan nie…

– Wczorajszej nocy – powiedział prezydent, przechodząc na poprawną angielszczyznę – nasze największe miasto pożarło się od środka. Teraz jest najedzone i gotowe znów się narodzić. Tylko tyle mam do powiedzenia.

– Gdzie pan był? – spytał dziennikarz.

– Byłem chory. Ale teraz czuję się dobrze.

– Gdzie się pan udaje?

– Sprawdzić, czy nie uda mi się poprawić sytuacji. Możecie za nami iść, jeśli chcecie. Ale nie próbujcie podążać za nami, kiedy wypłyniemy na morze.

– O mój Boże – powiedziała jedna z dziennikarek, wskazując na Ayodele. – Czy to nie ta kosmitka, która wczoraj pokazała się na całym naszym sprzęcie?

Tłum jak jeden mąż zapomniał o prezydencie i skupił się na Ayodele. Jeden z operatorów skierował kamerę na jej twarz, a później przesunął w dół po ciele. Adaora odepchnęła kamerę.

– Dosyć – powiedziała. – Ona nie jest kawałem mięsa wieloryba.

– Nie wiem, czym ona jest – mruknął operator.

Cofnął się kilka kroków, gdy Ayodele zwróciła się w jego stronę.

– Zabieram ich do Starszych – powiedziała. – Wasz przywódca spotka się z moim.

– Dlaczego nie możemy pójść z wami? – spytał jeden z dziennikarzy.

Adaora rozpoznała go od razu. Femi Adewumi. Pisał artykuły i felietony do „Guardiana". Zawsze podobał się jej na zdjęciach – jej mąż irytował się za każdym razem, kiedy widział, że czyta teksty Femiego – a na żywo okazał się równie przystojny. Adaorę zaniepokoiły te myśli. Czym się staję? – zastanawiała się.

– Ty możesz – powiedziała Ayodele, gdy już go obejrzała uważnie. – Ale tylko ty.

Femi uśmiechnął się szeroko i podszedł do Agu.

– Uważaj, czego sobie życzysz – ostrzegł go żołnierz.

– Taki materiał trafia się raz w życiu – powiedział z ekscytacją Femi. – Czasem trzeba zapomnieć o rozsądku!

– Proszę pani – odezwała się dziennikarka. – Proszę. Czy ja też mogę pójść?

Ayodele popatrzyła na nią.

– Nie umiesz pływać. Zostajesz tutaj.

Kobieta posmutniała, ale się nie kłóciła.

Później spytało jeszcze kilkoro innych, w tym dwóch mężczyzn z gnijącym mięsem. Ayodele odmówiła im wszystkim.

– Ruszajmy – powiedziała Ayodele.

Agu pokiwał głową.

– Tędy.

* * *

Było ich dziewięcioro – Ayodele, Adaora, Agu, Anthony, Femi, prezydent, Hawra oraz Bamidele i Chucks. Smukła motorówka w założeniu mieściła dziesięć osób, ale to nie uspokajało Agu. Łódka, podobnie jak większość rządowego sprzętu, była do niczego, przeciekała i miała wadliwy silnik, który przy większych prędkościach od czasu do czasu się krztusił.

– Umiesz tym kierować? – Prezydent zwrócił się do Agu.

– Tak jest, sir – odpowiedział. – Zazwyczaj potrzeba do tego dwóch ludzi, ale umiem tym kierować. Moim zadaniem jest patrolowanie wody. 51 Dywizja Wodno-Lądowa, pięć lat służby.

Patrząc, jak wszyscy wchodzą na pokład, Agu zadrżał. Po doświadczeniach w wodzie wcale nie śpieszył się, by powrócić na ocean. Na ile Ayodele będzie mogła ich ochronić?

– Załóżcie kamizelki ratunkowe – powiedział. Odwiązał cumę i wszedł na pokład. – Adaoro – wyszeptał.

Popatrzyła na niego i nic nie powiedziała, ale wzięła go za rękę.

– Ayodele – powiedział. – Dokąd płyniemy?

– Zabierz nas jak najdalej stąd – odparła.

Agu uruchomił silnik.

Adaora patrzyła na wodę, gdy oddalali się od brzegu. Promienie porannego słońca sięgały głęboko. Tak głęboko, że mogłaby przysiąc, że widzi dno, ponad dwanaście metrów niżej. Ale to niemożliwe. Woda na takiej głębokości nigdy nie była tak przejrzysta. Adaora usiadła i zapatrzyła się na horyzont. Nienaturalna przezroczystość wody była jej najmniejszym zmartwieniem.

* * *

Problemy zaczęły się kilka minut po uruchomieniu silnika. Łódka podskakiwała, jakby przejeżdżała po szerokich progach spowalniających. Piąty podskok był wielki, Hawra wrzasnęła i ścisnęła prezydenta. Ale on już myślał o czymś innym.

– Co to jest?! – krzyknął, pokazując palcem.

– Boże Abrahama – wykrzyknął Femi, uniósł aparat i zaczął robić zdjęcia. – Nie, nie, wideo jest lepsze – mruknął, patrząc na aparat. Ręce mu drżały.

Bamidele i Chucks z bronią w ręku patrzyli w wodę bezpośrednio pod łódką. Ale prezydent wskazywał przed siebie. Adaora podążyła wzrokiem za jego ręką, dzięki czemu ujrzała, jak to coś przebija się na powierzchnię.

Było czarne, wielkości domu. Kiedy wpadło z powrotem do wody,

wszystkie trzy wielkie macki uderzyły w powierzchnię, tworząc fale, które zakołysały łódką. Adaora zadrżała. Znała większość głowonogów, łącznie z nazwami miejscowymi i naukowymi. Ale to, co właśnie zobaczyła, nie miało nazwy.

Strażnicy prezydenta cofnęli się na środek łódki.

– O mój Boże, o mój Boże! O mój Boże! – bełkotał Bamidele.

– Nie rób tego – powiedział Chucks, gdy Femi uniósł aparat nad burtą.

– To wyglądało jak wielki włócznik – stwierdził Chucks. – Wielkości autobusu!

– Ayodele – powiedział Anthony. – Co to…

Ayodele skrzywiła się, gdy Femi zrobił jej zdjęcie z fleszem. Dziennikarz opuścił aparat i uśmiechnął się z zawstydzeniem.

– Przepraszam. W takim słońcu lampa błyskowa zwykle się nie włącza.

– To mieszkańcy wód – powiedziała Ayodele. – Mają dość łodzi i ludzkich istot.

– W takim razie dlaczego sprowadziłaś nas tutaj? – krzyknęła Hawra.

– Wasz przywódca musi się spotkać z naszymi Starszymi – stwierdziła rzeczowo Ayodele. – Świat jeszcze nie jest bezpieczny.

– Nie mam nic przeciwko spotkaniu ze Starszymi, ale powiedz rybom, żeby zostawiły nas w spokoju! – krzyknęła Adaora.

– One robią, co chcą. Nie słuchają mnie. Niektórzy z mojego ludu do nich dołączyli. Kiedy dotrzemy do statku, będziemy bezpieczni.

Aparat zapikał, gdy Femi zrobił kolejne zdjęcie Ayodele.

Rozdział czterdziesty ósmy

Tu są potwory

Piętnaście minut później obdarzony trzema mackami morski potwór przeskoczył nad nimi, wirując szaleńczo w powietrzu. Dla lepszego efektu rozłożył te fioletowe, długie na piętnaście metrów macki i z głośnym pluskiem wylądował w wodzie.

– Płyńcie dalej – powiedziała Ayodele. – Ta istota jest zbyt silna. Dogonię was.

Po czym bez słowa wskoczyła do wody i zniknęła. Przez chwilę wszyscy w milczeniu patrzyli po sobie. Później Agu przyśpieszył.

Nikt się nie odzywał, nikt się nie poruszał. Wszyscy obserwowali wodę. Przez kilka minut powierzchnia była spokojna.

– To coś to… statek? – spytała Hawra, wskazując na falującą czarnobrązową masę unoszącą się na wodzie w odległości kilku kilometrów.

– Tak – potwierdził Anthony. – Kiedy poprzednio nas tam wciągnęli, był pod wodą.

– Szkoda, że tam nie został – mruknął jeden z żołnierzy. – To coś na *wor wor*. Wyglonda jak coś zgniłego.

BANG! Cała łódka zawibrowała od uderzenia. Agu i Adaora polecieli na ster, prezydent i dwaj żołnierze potoczyli się na stertę zwiniętych lin. Femi wrzasnął i próbował złapać Hawrę, która znajdowała się niebezpiecznie blisko burty. Coś ponownie uderzyło w łódkę i Hawra wyleciała na zewnątrz, ale w ostatniej chwili złapała się relingu.

– Ratunku! – krzyknęła. – Nie mogę… nie mogę!

– Idę – zawołał jeden z żołnierzy i spróbował się podnieść.

Adaora spojrzała w głąb wody.

– Widzę to! To włócznik, to… o mój Boże! Trzymaj się!

Potworny włócznik znów uderzył w łódkę i Hawra wpadła do wody. Jej krzyk urwał się gwałtownie, gdy zniknęła pod powierzchnią.

Prezydent podbiegł do burty i spojrzał w wodę. Był pewien, że jest zakażona. Popatrzcie tylko, co zrobiła z morskimi stworami!

– Hawra! – krzyknął, trzymając się relingu. – Hawra! – Puścił reling, jakby chciał wskoczyć do wody. Anthony go powstrzymał. – Nie! – krzyknął prezydent, próbując wyswobodzić się z uścisku drugiego mężczyzny. W wodzie kłębiły się teraz setki błyszczących ryb podobnych do węgorzy. – Puść mnie! Puść mnie, żebym mógł uratować żonę! Pozwól mi uratować żonę!

Agu zbliżył się niepewnym krokiem i chwycił prezydenta za drugą rękę.

– Nie! Niech pan tam nie wskakuje! – krzyknął. – Nie może pan…

– Pozwólcie mi też umrzeć! Pozwólcie mi umrzeć! – krzyknął histerycznie. – A jeśli woda zrobi jej coś gorszego od śmierci?

Agu chciał poprosić prezydenta, by zachował spokój, że dla dobra kraju powinien pozostać na łodzi, spotkać się ze Starszymi, ale prośba o zachowanie rozsądku była głupia. Gdyby Adaora wypadła z łódki, zrobiłby to samo, co chciał zrobić prezydent i nic, co mógłby ktokolwiek powiedzieć, nie skłoniłoby go do zmiany zdania. I dlatego Agu ze wszystkich sił przytrzymywał prezydenta Nigerii. Anthony objął ich obu i robił to samo.

Łup, łup, łup.

Odgłos dochodził z tyłu łódki, gdzie kuliła się Adaora. Zaczęła nasłuchiwać. *Łup, łup, łup.*

– Ratunku! – Słowo było niewiele ponad szeptem. Ale wypowiedział je człowiek.

Łup, łup, łup.

– Agu – powiedziała Adaora. – Słyszałeś to?

– Słyszałem co? – spytał z drugiej strony łódki.

– Proszę – wychrypiał głos.

Adaora wzięła kilka głębokich oddechów, starannie ignorując Femiego, który znajdował się tuż przy niej. Byli atakowani, kobieta wpadła do wody, a jednak on wszystko nagrywał.

– Przestań, proszę – powiedziała do niego spokojnym tonem.

– Nie – szepnął.

W porządku. Miała ważniejsze rzeczy do roboty. Wstała i spojrzała w błękitną wodę. Widziała Hawrę, trzymającą się kurczowo burty łodzi. Kobieta była przemoczona, ale poza tym wydawała się cała.

– Jak…

I wtedy Adaora zobaczyła, jak coś podpływa od dołu do Hawry, bardzo szybko. Coś ogromnego, czarnego, obdarzonego zbyt wieloma płetwami. Adaora rzuciła się szybko naprzód.

– Agu, pomóż mi, *o*. Szybko!

Teraz widziała stwora wyraźniej. Pysk. Otwierający się. Pełen zębów. Adaora sięgnęła w głąb siebie. W głąb wszystkiego, czym była. Umiłowanie logiki i nauki. Umiłowanie wody. Umiłowanie morza. Doszła do opowieści o swoich narodzinach, którą tak wiele razy słyszała od rodziców.

To.

Trzymała się tego.

Chodziło o wiedzę. A ona wiedziała. Przestąpiła przez burtę, wkroczyła na wodę.

– Nie! – krzyknęła Hawra. – Co ty…?

Stopy Adaory dotknęły powierzchni, a woda ją podtrzymała.

– Cholera! – krzyknął Femi i skierował kamerę w jej stronę.

Hawra mocno trzymała się burty, miała wybałuszone oczy i szeroko otwarte usta.

– Agu! – wrzasnęła Adaora. – Potrzebuję cię!

Później uklękła i położyła dłonie, spodem do dołu, na powierzchni wody, która wydawała się stabilna i ciepła. Popchnęła i poczuła, jak coś z niej emanuje. Coś materialnego. Potężny stwór z paszczą pełną zębów uderzył o niewidzialną moc Adaory. Kobieta czuła, jak napiera na to, co stworzyła. Zupełnie jak wtedy, gdy biła się z Chrisem, ale tym razem robiła to, by uratować drugą osobę. Wyjęła jedną rękę z wody i wyciągnęła ją do Hawry. Kobieta chwyciła ją mocno.

– Czy jesteś…?

Agu gapił się na Adaorę, która klęczała na wodzie, podtrzymywała Hawrę i odpychała szarpiącego się potwora.

Spojrzała Agu prosto w oczy – musiał zrozumieć, musiał jej zaufać.

– Pamiętasz, jak przedostałeś się przez zamieszki? – Głową wskazała na wodę poniżej. – Zrób to znowu, ale tym razem powstrzymaj wszystkie potwory, a ja pomogę Hawrze wrócić na pokład.

Agu wciąż się na nią gapił.

– Idź! – krzyknęła. – Nie myśl! Nie ma czasu! Agu, idź!

Ku jej uldze zamrugał, drgnął i rzucił się do wody. Coś wielkiego zbliżało się do nich od jej lewej i Agu popłynął prosto w tę stronę. Zniknął pod powierzchnią. Adaora widziała, jak wielki stwór podobny do rekina zderza się z Agu. Chwilę później ten sam stwór wyleciał z wody, wyrzucony na wysokość trzydziestu metrów. Adaora widziała jego zębatą paszczę. Po chwili rozległ się plusk.

Głowa Agu przebiła powierzchnię. Rozglądał się, aż je zobaczył. Zamachał, Adaora odpowiedziała podobnie. Wtedy znów się zanurzył.

– Chodź, chodź, chodź – powiedziała szybko Adaora, i tak długo wyciągała Hawrę, aż ta również stanęła na powierzchni wody.

– To bluźnierstwo – wyszeptała Hawra. Ale śmiała się.

– Nie wiem, co to jest – odparła Adaora.

– Weź mnie za rękę – powiedział prezydent. Obok niego stał Chucks, gotów pomóc.

Inny duży stwór, ten podobny do różowofioletowej kałamarnicy, wyskoczył nagle z wody. A na przedzie łodzi Bamidele strzelał do czegoś.

– Ten, *chale!* Strzelaj do tego! – krzyczał Anthony.

W chwili, gdy Hawra postawiła jedną nogę na pokładzie, z wody wystrzeliła macka, przeleciała obok Adaory i zacisnęła się na drugiej nodze Hawry.

– Au! Ściągnijcie to! – wrzasnęła. – To boli! To…

Prezydent chwycił mackę. Od razu poleciał do tyłu, a z jego dłoni unosił się dym. Potwór musiał porazić go prądem. Adaora czuła, jak elektryczność próbuje unieruchomić jej mięśnie, ale pole siłowe zmniejszało jej wpływ. Zatoczyła się do tyłu, wciąż na powierzchni wody, a macka pociągnęła Hawrę w dół.

* * *

Agu widział Hawrę ciągniętą na głębiny. Macka należała do ogromnej ośmiornicy. Stwór emanował fioletowym blaskiem i był wielkości dwóch koni. Agu nawet przez wodę czuł mrowienie elektryczności.

I miał wrażenie, że cały ocean próbuje ich zaatakować. Duże ryby, uzbrojone ryby, najeżone kolcami ryby, potworne rekiny, ogromny włócznik – wydawało mu się, że widział nawet coś, co przypominało wieloryba. Wszystkie kierowały się w stronę łodzi. W jego stronę.

Dlaczego? Co zrobili? Znał odpowiedź. On, Adaora, Anthony – wszyscy pozostali – byli ludźmi. Nie pasowali do głębin. Dlatego zginą tutaj i to będzie właściwe. Lepiej pozostawić te wody morskim istotom i obcym.

Duży rekin płynął w jego stronę od prawej, a ogromny włócznik i stado mniejszych rybek od lewej. Nie mógł walczyć ze wszystkimi naraz. Zaczynało mu brakować powietrza. Musiał popłynąć w stronę powierzchni. Ale nie chciał, żeby tamci zobaczyli, jak jest rozszarpywany na kawałki. Lepiej zostać tutaj. Zapewni im bezpieczeństwo tak długo, jak się da.

Nagle do wody wskoczył Anthony. Patrzył prosto na Agu. Płynąc, gorączkowo wskazywał na łódź. Agu zrozumiał dopiero po chwili. Skierował się w górę, w stronę łodzi. Nim przebił powierzchnię, obejrzał się za siebie. Anthony był doskonale widoczny, tuż pod powierzchnią wody, w blasku porannego słońca. Unosił się przez chwilę, po czym szeroko rozłożył ręce.

Agu poczuł, że ktoś go chwyta, po czym został wyciągnięty przez prezydenta i żołnierzy. Wszyscy padli na pokład i przycisnęli ręce do uszu, gdy potężna fala zepchnęła ich głębiej na morze.

MUUUUUM!

Łódka zakołysała się, ale na szczęście nie przewróciła. Wszyscy poczuli mrowienie w głowach i ciśnienie w uszach. Adaora miała wrażenie, jakby oblazły ją mrówki. Później pozostał jedynie dźwięk fal uderzających o burty łodzi. Po dłuższej chwili wszyscy wstali. Na powierzchni wody unosiły się setki martwych rybek. Większe ryby kłębiły się w pewnej odległości, wszystkie oddalały się od Anthony'ego. Od łodzi.

– Czy on wybuchł? – spytał jeden ze strażników, nie opuszczając

broni.

Nikt nie odpowiedział.

W pobliżu stóp Adaory powierzchnię wody przebiła głowa. Hawra szarpała się i kaszlała. Adaora padła na kolana, przyciskając je do powierzchni. Woda, ciepła i miękka, utrzymała ją, gdy chwyciła Hawrę za ramię.

– Uspokój się! – krzyknęła Adaora. – Przestań!

– Chwała Allahowi! Chwała Najwyższemu! – wydyszała Hawra, gdy Adaora pomogła jej stanąć na wodzie.

– Żono! – wykrzyknął prezydent, wychylił się przez burtę i wciągnął Hawrę do środka. – Och, moja żono, moja żono, moja żono.

Usiedli na pokładzie, tuląc się do siebie.

Powietrze pachniało słodkawo, z nutą krwi. Coś uderzyło o burtę.

– Niech ktoś… mnie podniesie.

– Anthony! – powiedziała Adaora.

Bez chwili zastanowienia podbiegła do niego, a woda podtrzymywała jej stopy, jakby była jednym z nartników. Razem z Agu pomogła Anthony'emu dostać się na pokład. Agu podał mu jedyny ręcznik, którym raper się owinął. Gdy Adaora wróciła do łodzi, podbiegła do niego, przytuliła go mocno i ucałowała w policzek.

– Jesteś niesamowity – powiedziała.

Anthony zaśmiał się słabo.

– Czym jest wasza trójka? – spytał prezydent.

Tulił mocno Hawrę, a ona opierała mokrą głowę na jego ramieniu. Jej peruka gdzieś się zgubiła, odsłaniając krótkie afro.

– Jesteśmy Nigeryjczykami – powiedział Agu. – Po prostu Nigeryjczykami. – Spojrzał na Anthony'ego i dodał: – I jednym Ghańczykiem.

Rozległ się odgłos metalowych kulek w szklanej misie i obok Adaory stanęła Ayodele.

– To właśnie im mówiłam – powiedziała Ayodele, wskazując na wodę.

– Dlaczego nas zostawiłaś? – warknęła Adaora. – Dlaczego…

– Gdybym nie zajęła się większymi istotami, żadnego z was by tu nie było – wyjaśniła Ayodele. – Tam się udałam. Myślicie, że mieliście do czynienia z największymi? – Wzruszyła ramionami. – Uratowaliście się nawzajem, ale ja uratowałam was wszystkich. Od tej pory powinno być łatwiej.

Agu zatoczył się do silnika i odetchnął z ulgą, gdy udało mu się go uruchomić. Skóra go piekła. Napił się trochę słonej wody i miał wrażenie, że jeśli zaraz mu się nie odbije, zacznie wymiotować. Anthony też pewnie napił się sporo wody. I Adaora oraz Hawra.

Pik pik! Femi opuścił kamerę. Miał szeroko otwarte usta.

– Rany.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął BlackBerry. W ciągu dziesięciu minut nagranie znalazło się na YouTube.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Szanuj starszych

Wszyscy, którzy wcześniej znajdowali się w wodzie, po powrocie na łódkę zaczęli obficie wymiotować. Gdy w ich żołądkach nic już nie pozostało, nadal mieli torsje. Anthony był w najgorszym stanie, dostał pokrzywki i męczył go ból głowy. Femi biegał między nim a burtą, zanurzał kubek w wodzie i polewał nią ręce i nogi Anthony'ego, by nieco złagodzić swędzenie.

– Przepraszam – powiedziała Ayodele.

Adaora nie sądziła, by te słowa były szczere, ale czuła się zbyt słabo, by powiedzieć to na głos.

– Czy to przez wodę? – spytał Femi. – Chodzi mi o to, że ja czuję się dobrze, podobnie jak pan prezydent, Bamidele i Chucks. Żaden z nas się tam nie znalazł.

– Tak sądzę.

Adaora znów poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

– Co z nią zrobiliście?

– Nic, co by było niechciane.

Ale kto tego chciał? – pomyślała Adaora. Znała odpowiedź. Morskie istoty. Chciały, żeby woda była „czysta". „Czysta" dla morskich stworów… co oznaczało toksyczną dla nowoczesnych, cywilizowanych, mięsożernych, pijących czystą wodę istot ludzkich. Cholera, pomyślała. Umrę tutaj.

Adaora nie widziała, ile czasu minęło. Wiedziała tylko, że kiedy znów otworzyła oczy, słońce było gdzie indziej na niebie, a łódka się zatrzymała. Czuła się trochę lepiej, ale dostała takiej samej wysypki jak Anthony, i koszmarnie bolała ją głowa. Anthony leżał na pokładzie, obok niego siedzieli Agu i Femi.

– Co z nim? – wyszeptała.

– Nadal oddycha, ale nie otwiera oczu – powiedział Femi.

Wstał i przeszedł obok Adaory.

– Agu?

– Tak, Adaoro – powiedział.

– Czy ty…

Plusk!

Adaora patrzyła w twarz Agu. On spoglądał za nią, na pozostałych zgromadzonych na drugim końcu łodzi. W chwili, gdy rozległ się plusk, otworzył szeroko usta. Adaora poczuła strach. Prezydent, Hawra, Ayodele, strażnicy. Nie chciała się odwrócić i zobaczyć, co się z nimi stało. Miała dosyć.

– Zaczekajcie – powiedział Agu i podniósł się. Potknął się, złapał za jedno z siedzeń. Zaczął iść na drugi koniec łodzi. – Zaczekajcie!

Adaora odwróciła się. Z początku nie wiedziała, co widzi. Woda? Ale była stała. Na tyle stała, że prezydent na nią wkroczył, jak wcześniej ona to zrobiła. Podniosła się powoli.

– Zaczekajcie chwilę! – powiedziała.

Prawie padła na pokład, gdy świat wokół się zakołysał. Poczuła ściskanie w żołądku i osunęła się na jedno kolano. Agu leżał około metra od niej.

– Czy… co… gdzie idziecie? – wyszeptała Adaora.

Próbowała się skupić. Ayodele stała z prezydentem na wodzie. Femi wciąż był w łodzi, robił zdjęcia.

– Nic mi nie będzie! – krzyknął prezydent, opuszczając się poniżej burty.

W jaki sposób? I do wody? Adaora nie widziała. Hawra trzymała się jednego ze strażników i płakała. Femi robił coś z komórką. Agu kaszlał. Anthony wciąż milczał.

Adaora nie mogła dłużej tego znieść. Usiadła ciężko na pokładzie i spojrzała na ocean, którego wody były przezroczyste jak kryształ. W pewnej odległości widziała, jak coś wielkiego wyskakuje na powierzchnię, a później wpada z pluskiem do wody, a kilka metrów od ich łodzi przeleciało stado latających ryb. Wyobrażała sobie, że pod przezroczystą jak szkło wodą znajduje się wielka metropolia oceanicznego życia – ogromne, wznoszące się, ciemnobrązowe budowle wyrastały z płaskiej powierzchni, której końca nie widziała. Te budowle na jej oczach powoli kurczyły się i rozrastały, a morskie istoty pływały, kłębiły się, wirowały wszędzie dookoła.

Zamknęła oczy i wszystko znikło.

* * *

Woda to życie.

Aman iman.

Woda.

Adaora była w wodzie. Włosy unosiły się wokół jej twarzy. A jednak… Coś mimowolnie poruszyło się w jej szyi. Nie czuła bólu płuc. Znów to wrażenie ruchu wody. Uniosła dłonie do piersi. Czuła bicie serca. Kilkanaście metrów niżej znajdowała się brązowa, chropawa powierzchnia przypominająca koral, porośnięta zielonymi, falującymi wodorostami. Widziała grupkę czerwonych krabów, dużych jak dzieci, które zrywały wodorosty i zjadały je.

Zamknęła oczy, próbując się skupić. Dotknęła szyi, spodziewając się gładkiej skóry, ale jej palce wsunęły się w długie, wąskie otwory. Fałdy ciała były grube i poruszały się swobodnie. Zadrżała,

uświadamiając sobie, czym były, zadrżała i wrzasnęła. Ale nie rozległ się żaden dźwięk. Gdyż nie miała już płuc... tylko skrzela. Próbowała popłynąć w górę. Ale w którą stronę była góra? Otworzyła oczy i spojrzała na przepływające obok bąbelki. W górę. Podążyła wzrokiem za bąbelkami. W górę. Świetlista czerwona plamka. Słońce. Powierzchnia była ponad trzydzieści metrów nad jej głową.

Adaora uświadomiła sobie jednocześnie kilka rzeczy. Oddychała w wodzie. Nie była sama. Widziała, co się dzieje. I mogła też słyszeć.

Skupiła się na tym, co działo się przed nią. Prezydent. Unosił się w czymś, co wyglądało jak ogromny bąbel powietrza. Wisiał przed pięcioma humanoidalnymi postaciami, które przypominały jej istoty z *Gwiezdnych Wojen*. Zmarszczyła czoło. Gdzieś chyba czytała, że prezydent uwielbiał *Gwiezdne Wojny*. Adaora również, choć bardziej podobały jej się pierwsze filmy. Te nowe oglądała jednak na tyle uważnie, że rozpoznała obcych, których widziała. Wszystkie istoty miały bladoniebieską skórę, wielkie czarne oczy i bardzo długie ręce, nogi i szyje. Nawet poruszały się równie płynnie jak w filmach.

Prezydent z nimi rozmawiał. Ruszyła w stronę bąbla powietrza, ale zatrzymała się. Co by się stało, gdyby spróbowała się do niego dostać? Dotknęła skrzeli na szyi. Przypominały pozbawione czucia, owłosione fałdy skóry. Poruszały się do góry i do dołu, ale im bardziej się nad tym zastanawiała, tym bardziej była przekonana, że mogłaby to robić świadomie.

W porządku, pomyślała. Wtedy jednak spojrzała w dół i zakręciło jej się w głowie. Już nie miała nóg. Ta część jej ciała zmieniła się w ciało wielkiej, metalicznie niebieskiej ryby. Górne i dolne płaty mają taki sam kształt i są spiczaste, pomyślała, obracając się, by lepiej się sobie przyjrzeć. Półksiężycowata płetwa ogonowa, jak u żaglicy, marlina albo włócznika. Zostałam stworzona do szybkości. Coś poklepało ją po ramieniu. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Ayodele. Zaskoczona Adaora popłynęła do tyłu. Ruch ten sprawił, że do jej skrzeli dostała się woda, co oczyściło jej umysł.

– Rozluźnij się – powiedziała Ayodele.

Adaora słyszała jej głos w głowie.

Otworzyła usta i spróbowała się odezwać. Znów żadnego dźwięku.

– Myśl swoje słowa – powiedziała Ayodele. – Poruszaj ustami, jeśli ci to pomaga, ale myśl swoje słowa.

Adaora poruszała ustami, jednocześnie myśląc:

– Co się dzieje? Co ze mną zrobiłaś? Czy to na stałe? Gdzie są pozostali? Agu i Anthony? Gdzie oni są? Czy z nimi wszystko w porządku?

Usłyszała śmiech Ayodele.

– Uspokój się – powiedziała.

Ayodele przeobraziła swoje ciało. Była teraz delfinem. Nie, na

delfina była zbyt długa. I delfiny nie miały takich wielkich oczu. Opłynęła Adaorę.

– Popłyń ze mną – powiedziała. – Wszystko wyjaśnię. – Kiedy Adaora się nie ruszyła, znów się roześmiała. – Twój Agu czuje się dobrze. Anthony czuje się dobrze. Wszyscy czują się dobrze. Jak sama widzisz, twój prezydent rozmawia ze Starszymi. Nie możesz do nich dołączyć. A teraz chodź.

Adaora zawahała się. Za prezydentem i Starszymi widziała ogromnego, potwornego włócznika, kryjącego się w cieniu. Czy to był ten sam wściekły włócznik, który prawie zabił ich wszystkich? Zadrżała.

– Chodź – powtórzyła Ayodele.

Adaora popłynęła za nią tylko dlatego, że Ayodele oddalała się od włócznika. Obca poruszała się szybko i Adaorę zaskoczyło, że bez trudu za nią nadąża. Płynąc, zorientowała się, że otaczają ją białe jak kość gmachy, wysokie na co najmniej dziesięć metrów. Kiedy Adaora i Ayodele je mijały, niektóre się rozpadały, a inne wyrastały. Istoty morskie, od ryb, przez kraby po strzykwy czepiały się, pływały, pełzały i przeciskały się obok. Adaora nie umiała ocenić, które z nich są obce, a które ziemskie.

– Wszystko, co tu widzisz, to statek – powiedziała Adaora, gdy płynęły przez ogromną jaskinię. Jakieś ryby z przyssawkami przyczepiły się do krawędzi otworu za ich plecami. – Im dłużej tu jesteśmy, tym bardziej się przeobrażamy i stajemy się jak istoty z wody.

A co z z lądem? – pomyślała Adaora. Tym razem nie poruszyła ustami.

– Tak, tam też.

– Dlaczego już nie jestem chora?

– A dlaczego masz w części ciało ryby?

Adaora zawahała się.

– Bo… tego… właśnie chciałam?

– A chciałaś tego?

Adaora zawsze kochała wodę. I nie chciała umrzeć z powodu zanieczyszczeń w wodzie. Tak, tego chciała.

– Czy to miejsce jest waszym statkiem? – zapytała.

– Tak – odpowiedziała Ayodele. – Jednym z nich.

– Jak daleko sięga?

– Wiele kilometrów, jak przypuszczam – odpowiedziała Ayodele. – To może ulec zmianie.

– Jeśli popłynę dalej, czy moje ciało zmieni się z powrotem?

– Nie wiem. Sądzę, że zmienisz się z powrotem, kiedy dotrzesz na ląd. Czy nie tak wyobrażacie sobie wodniczki?

– Syreny.

Ayodele roześmiała się i zmieniła się w syrenę. Jej twarz niemal idealnie przypominała twarz Ayodele Olayiwoli, przyjaciółki, której imię dostała. Adaora uśmiechnęła się.

– Zabierzesz mnie do Agu?

– Tam właśnie płyniemy.

* * *

Agu i Anthony byli uwięzieni w bańce. Obudzili się w jej wnętrzu, jak im się wydawało, na dnie morza. Stali na twardym białym kamieniu, a nad nimi przepływały potwory i morskie istoty. Większość ich ignorowała, ale kilka obdarzyło ich zaciekawionymi spojrzeniami, zanim ruszyły dalej.

Anthony spacerował po wnętrzu bańki, mamrocząc w języku twi. Już nie czuł mdłości, za to był bardzo głodny. Przeczesał palcami mokre włosy. Jego umysł wypełniały obrazy przebywania w wodzie, gdy atakowały go te wszystkie potworne istoty. Kiedy stłumił te obrazy, rozejrzał się dookoła i zobaczył kolejne stwory pływające dookoła, obserwujące go, może nawet planujące zemstę. Co było szaleństwem. Anthony zorientował się, że jeśli wkrótce się stąd nie wydostanie, oszaleje.

– Co my tu w ogóle robimy? – mruknął.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Agu i usiadł pośrodku białego kamienia. Oparł głowę na dłoniach. – Nie wiem nawet, jak się tu dostaliśmy.

Spojrzał na swoje dłonie. Kiedy miał dwanaście lat, tak mocno uderzył tamtego dzieciaka, że pozbawił go przytomności. Niecałe dwa dni wcześniej moc znów go wypełniła i niemal zabił Bensona. A poprzedniej nocy, kiedy biegł przez Lagos, próbując wrócić do Adaory, z pewnością zabił kilku ludzi.

– Jesteście bezużyteczne – powiedział Agu do swoich dłoni. – Ja jestem bezużyteczny.

Teraz on i Anthony byli uwięzieni na dnie morza, gdzie umrą z głodu albo zostaną zjedzeni przez pierwszą morską istotę dość agresywną, by wgryźć się w bańkę. Zauważył płynące w ich stronę dwie postacie. Nie były tak duże, jak niektóre stwory kręcące się wokół bańki, ale poruszały się szybko. Wstał i cofnął się o kilkadziesiąt centymetrów, najdalej jak mógł.

* * *

Agu i Anthony byli uwięzieni w bańce. Jej migotliwa powierzchnia oszukiwała wzrok, ale Adaora była pewna, że to oni. Sklepiona bańka miała rozmiar niewielkiego pokoju. Pomachała w ich stronę, a oni

pomachali w odpowiedzi.

– Jak się tam dostali? – spytała Adaora.

– Tak samo jak ty dostałaś się do miejsca, w którym się znalazłaś.

To nie było żadne wyjaśnienie i Adaora cmoknęła językiem o zęby, sfrustrowana wymijającą odpowiedzią Ayodele. Nie rozległ się żaden dźwięk, co zirytowało ją jeszcze bardziej. Kiedy dotarły do bańki, unosiła się przed Agu i Anthonym, niepewna, jak się z nimi porozumieć. Zamachała rękami, poruszyła ustami i spróbowała powiedzieć:

– Wszystko w porządku?

– Co? – krzyknął Agu, choć woda tłumiła dźwięk jego głosu.

Anthony zmarszczył czoło i pokazał na jej płetwę. Agu też na nią popatrzył i na jego twarzy pojawił się wyraz osłupienia.

Adaora myślała przez chwilę, po czym odwróciła się do Ayodele. Chciała spytać „Czy utonę? Czy umrę, jeśli tam wejdę?”, ale nie zrobiła tego. Istniał tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć, a chciała się tego dowiedzieć sama. Jeśli nie będę mogła oddychać… po prostu wczołgam się z powrotem do wody, pomyślała.

Przełożyła dłoń przez powierzchnię bańki na suche powietrze. Później przepchnęła się do pasa. Anthony i Agu szybko przeciągnęli ją do końca.

Kiedy leżała na suchym dnie oceanu, czuła się zdezorientowana. Bok stał się górą, a góra bokiem. Suche powietrze wgryzało się w jej skórę i wnętrze skrzeli. Co gorsza, nagle nie mogła oddychać! Jej ciało wygięło się w łuk, gdy walczyła o powietrze. Chciała krzyknąć „Wrzućcie mnie z powrotem do wody!”, lecz jej nowe ciało nie było zdolne do mowy. Zaczęła się szarpać, z nadzieją, że Agu ją puści i uda jej się wypełznąć z bańki.

Agu z trudem ją utrzymał.

– Czy ona…

– Wrzuć ją z powrotem do wody! – krzyknął Anthony.

Adaora znów się zwinęła, przekręciła głowę na bok i zwymiotowała wodą. Miała wrażenie, że torsje szarpią nią aż po czubek ogona. Później odrzuciła głowę do tyłu i odetchnęła, długo i głośno, a powietrze wpadło do jej płuc jak wiatr. Płuca. Miała je. Teraz.

Zamknęła oczy i pomacała szyję. Wciąż czuła skrzela.

– Kim jestem? – wyszeptała.

Jej głos brzmiał znajomo, choć nieco chrapliwie. Kiedy podniosła powieki, patrzyła w oczy Agu. Po jego policzku spływała łza. Drżał pod jej ciężarem.

– Czymś nowym – powiedział.

– Czymś starym – dodał Anthony. Zaśmiał się. – Coś pożyczonego, bardziej niż złotego, coś prawdziwego, nie sprzedawanego,

przeklętego obcego, zbyt aroganckiego. *Chale*, patrzcie, jak wypluwam *am!* – Uśmiechnął się szeroko i krzyknął: – Dey Craaaaaaze!

Adaora była tak zaskoczona, że wybuchła śmiechem, co sprawiło, że się rozkaszlała.

– O mój Boże, ten człowiek jest szalony – mruknął Agu, ale kąciki ust mu zadrżał, gdy usiłował stłumić śmiech.

– Będziesz miał mnóstwo materiału na nowy album – powiedziała Adaora Anthony'emu.

– Artysta zawsze pozostanie artystą – zgodził się.

– Agu, możesz mnie teraz położyć. Zanim zemdlejesz. Wiem, że jestem ciężka.

Anthony wsunął pod nią ręce i pomógł Agu odłożyć ją na dno. Kiedy usiadła, założyła ręce na nagiej piersi. Jej płetwa wydawała się ciężka i bezużyteczna.

Agu usiadł obok niej, a Anthony naprzeciwko. Przez dłuższy czas milczeli, Adaora czuła dojmująco swoje dziwne nagie ciało syreny i suchy chłód powietrza. Anthony myślał o wszystkim, o czym rozmawiał ze Starszymi, kiedy zostali po raz pierwszy wciągnięci w głąb oceanu, zaledwie dwie noce wcześniej. A Agu spoglądał w wodę.

– Za pierwszym razem myślałem, że mnie to zabije – powiedział Anthony. Mówił w języku twi, więc pozostali go nie rozumieli. Przeszedł na angielski. – Nazywam to rytmem.

Opowiedział historię dnia, kiedy odkrył swoją moc. Historię, której wcześniej nie opowiedział nikomu.

– Rany – wyszeptała Adaora, kiedy skończył.

Agu zaśmiał się głośno i poklepał go po ramieniu.

– Czy wierzysz teraz w Boga?

– Tak – odparł Anthony ze śmiechem.

Cała trójka wybuchła śmiechem i nie przestawała się śmiać przez kolejną minutę. Adaora miała łzy w oczach, a jej płetwa uderzała w wilgotny kamień. Agu przetaczał się po dnie. A Anthony trzymał się za bolący brzuch. W otaczającej bańkę wodzie stada ryb unosiły się w stronę powierzchni i zawirowała olbrzymia różowa kałamarnica. To wywołało kolejny atak histerii.

Uspokoili się po kilkunastu minutach.

Wtedy nadeszła kolej Agu.

– Nie mam na nią określenia. Ale użyłem jej po raz pierwszy, by chronić chłopca zwanego Patyczakiem.

Opowiedział im o tym, jak chłopak, którego uderzył, stracił przytomność, i o tym, jak postanowił zostać żołnierzem. Później opowiedział im, jak niemal zabił Bensona, a następnie o wszystkim, co się wydarzyło na ulicach Lagos. Kiedy mówił, oczy Adaory otwierały się coraz szerzej, szczególnie gdy wspomniał o możliwości, że w czasie zamieszek zabił kogoś na ulicy.

Nikt się nie śmiał, kiedy skończył.

Adaora wiedziała, że nadeszła jej kolej na wyjaśnienie źródeł swojej mocy. Ale jej historia była inna.

– W porządku – powiedziała.

Rozejrzała się dookoła. Byli na dnie oceanu, w bańce stworzonej przez obcych, otoczeni przez morskie potwory. Zamknęła oczy, ale pozostała świadoma płetwy. Wysychała i pokryta łuskami skóra zaczynała piec. Otworzyła oczy i spojrzała na nich obu.

– Nie wiem, co to jest – powiedziała. – Moja moc nie jest czymś, co objawiło się, kiedy byłam małą dziewczynką, jak u was, gdy byliście chłopcami.

Przerwała, walcząc z głosem, który mówił jej, by nigdy nie wspominała o tego rodzaju tabu. O wiedzy, która sprawiała, że czuła się, jakby była zła. Stygmacie, który płonął najjaśniej, gdy myślała o ciągłych oskarżeniach o bycie wiedźmą, którymi obrzucał ją mąż. I jeszcze o fakcie, że wbrew wszystkim zaprzeczeniom być może rzeczywiście była wiedźmą. Cóż, z pewnością czymś była.

– Urodziłam się z palcami rąk i nóg połączonymi błoną – wyrzuciła z siebie. – A moje nogi były zrośnięte.

Nawet po tym wszystkim, co przeżyli razem, spodziewała się, że cofną się z odrazą.

– To… to obrzydliwe – powiedział Anthony, ale uśmiechał się przy tym.

Agu się śmiał.

– Ojciec… powiedział, że za starych czasów porzuciliby mnie w buszu – mówiła dalej Adaora. – Często mi to wypominał, kiedy zaczynałam dostawać gorsze stopnie. Zawsze działało. – Westchnęła. – Tak czy inaczej, lekarze chirurgicznie rozdzielili moje palce i nogi. Ale, od kiedy matka pierwszy raz zabrała mnie nad morze, umiałam pływać. Nikt mnie nigdy nie uczył. Byłam… jak ryba.

Agu i Anthony wybuchnęli śmiechem. Adaora chciała się rozpłakać, ale również się śmiała.

– Zawsze kochałam morze. Fascynuje mnie, jego zapach, mieszkańcy, rozmiar i głębia. Nic dziwnego, że zostałam biologiem morskim. Ale to wszystko. Nie przypominam sobie, żebym w dzieciństwie robiła zadziwiające rzeczy. To wszystko… – wskazała na swój ogon – jest zupełnie nowe. Dwie noce temu, kiedy pobiłam się z mężem, to się wydarzyło po raz pierwszy! – Zmarszczyła czoło. – Ale… może zawsze tam było. Pod powierzchnią.

Agu pokiwał głową.

– Właśnie miałem to powiedzieć.

– Czym jesteśmy? – spytała Adaora po chwili.

– Jesteśmy ludźmi – odparł Agu. Popatrzył na Anthony'ego. – Ty umiesz stworzyć grom dźwiękowy. – Adaorze powiedział: – Ty

tworzysz swego rodzaju pole siłowe. Ja mam nadludzką siłę. I wszyscy zetknęliśmy się ze sobą tuż po tym, jak Lagos najechali obcy.

– To nie jest przypadek – powiedział Anthony. – *Na* dzieło wszechświata.

– Dzieło czegoś – zgodził się Agu.

Adaora zadrżała.

– Mój ojciec powiedziałby, że to dzieło bogów.

W chwili, gdy Adaora skończyła mówić, poczuła ogromne ciśnienie, na tyle wielkie, że rozbolały ją uszy. Podniosła wzrok i zobaczyła, że kształt bańki się zmienia, jakby coś na nią naciskało. Ciśnienie spadło. Temperatura spadła. Płetwa Adaory bardzo piekła, gdy jej gładka rybia skóra wysychała i zaczynała brązowieć.

Wszyscy zobaczyli to jednocześnie.

Adaora wrzasnęła.

Anthony zajęczał.

Agu zaczął płakać.

Stojący nad nimi pająk miał wielkość domu. Jego osiem niezmiernie długich nóg i pękate ciało porastały długie włosy. Pająk – pajęczyca, jak wiedziała instynktownie Adaora – patrzył prosto na nich. Całą ósemką przenikliwych czarnych oczu.

– PAJĄKI MIESZKAJĄ NAWET W ZAKAMARKACH PAŁACÓW – powiedziała. – PAMIĘTAJCIE O TYM, JEŚLI KIEDYŚ BĘDZIECIE WĘDROWAĆ PO SALACH WIELKICH I POTĘŻNYCH.

I zniknęła.

– Kurwa, co to było? – spytał Anthony.

Za Adaorą rozległ się plusk. To Ayodele, unosząca się przed bańką, chlapała do środka wodą.

– *Są na was gotowi. Chodźcie.*

Rozdział pięćdziesiąty

Drugi kontakt

Adaora, Agu i Anthony spotkali się ze Starszymi.

Było ich ośmioro.

I tyle Adaora, Agu i Anthony mieli zapamiętać z tych trzydziestu minut swojego życia.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Magiczna murzynka

Anthony i Agu dostali bańki powietrza, otaczające ich głowy jak hełmy, i wszyscy popłynęli do miejsca, gdzie Adaora widziała prezydenta rozmawiającego z istotami jak z *Gwiezdnych Wojen*.

Później jej wspomnienia stawały się niewyraźne i nie pamiętała nic aż do chwili, gdy jej głowa przebiła powierzchnię wody w blasku popołudniowego słońca. Miała wrażenie, że spotkała coś ogromnego, coś wykraczającego poza wszystko, co umiała sobie wyobrazić, i że obecność tego groziła uncestwieniem jej egzystencji. Cokolwiek wydarzyło się z... pająkiem, ze Starszymi – było zbyt ogromne, by się nad tym zastanawiać.

Hawra i prezydent, Femi i obaj strażnicy znajdowali się na łodzi, gdy Agu, Ayodele i Anthony wyłonili się z wody. Wszyscy oprócz Ayodele wydawali się wstrząśnięci i nikt nie odezwał się ani słowem, gdy na pokład wciągnięto Adaorę, nagą, pół rybę i pół człowieka. Hawra wachlowała płetwę Adaory, a każdy dotyk powietrza był jak tysiąc igieł wbijających się w jej pokryte łuskami ciało. Jednakże wkrótce łuski zrobiły się przezroczyste i zaczęły odpadać, ukazując brązowe ludzkie nogi.

– Czy możesz to sobie wyobrazić? – powtarzała szeptem Hawra, pomagając Adaorze usunąć łuski z ciała.

Wszyscy mężczyźni odwrócili się w drugą stronę, by zapewnić Adaorze choć trochę prywatności.

– Mogę sobie wyobrazić cokolwiek – mruknęła Adaora.

Hawra nachyliła się nad nią z uśmiechem na twarzy.

– Rozmawiałam z ogromnym włócznikiem – wyszeptała. – Słyszałam jego głos w swojej głowie.

– I co powiedział? – spytała Adaora.

Cieszyła się, że może się skupić na czymś innym niż usuwanie łusek. Oderwała spory kawałek. Na jej skórze pozostał śluz woniejący rybą.

– Mówił jak ktoś z tej organizacji Greenpeace!

Adaora roześmiała się i wygięła ciało w łuk.

– Czy był ogromny? Z kolcami wyrastającymi z grzbietu?

Hawra pokiwała głową.

– Ten włócznik nas nienawidzi – stwierdziła Adaora.

W kajucie na łodzi był zapasowy mundur. Kiedy Adaora go włożyła, Hawra pomogła jej wstać. Trzęsły jej się nogi. Powietrze nie podtrzymywało jej tak jak woda.

Prezydent rozmawiał przez komórkę Femiego.

– Bądźcie gotowi na nasze przybycie – powiedział. – I przygotujcie dla mnie ubranie na zmianę.

– Dla nas też – dodał jeden ze strażników.

Prezydent pokiwał głową.

– I jeszcze przywieźcie dwa mundury. Czyste i wyprasowane. Nie pozwolę, żeby ci dwaj mnie odstąpili, nawet kiedy będę nagrywany. Oni uratowali mi życie, *o!*

Wciąż wspierając się na Hawrze, Adaora podeszła do Agu, Anthony'ego i Ayodele. Od jakiegoś czasu rozmawiali po cichu, ale ona nie chciała wiedzieć, o czym.

– Jaki jest plan? – spytała tylko.

– Płyniemy na Tin Can Island – odparł Agu. – Uwierz mi, to najlepsze, najbezpieczniejsze miejsce, żeby wysadzić nas i prezydenta na ląd. Potrzebujemy miejsca, do którego nie dotrą potwory.

Tin Can Island, teren przemysłowy i jeden z głównych portów towarowych Lagos, wzięła swoje miano od puszek po ciasteczkach, w których pływacy transportowali pocztę między wyspą a przepływającymi obok statkami. Statki nie mogły przybić do wyspy, ponieważ nie miała żadnej naturalnej przystani ani nabrzeża – jedynie niewielki strumień, o wiele płytszy niż ocean w miejscu, gdzie spoczywał statek obcych. I z tego właśnie powodu Agu uznał, że jeśli były tam potwory, to z pewnością nie tak wielkie, jak na głębinach.

* * *

Usłyszeli wystrzały, zanim jeszcze zbliżyli się do wyspy. W kieszeni Femiego zadzwoniła komórka.

– Do pana, panie prezydencie – powiedział Femi, podając aparat prezydentowi, który natychmiast go złapał.

– Co się dzieje? – krzyknął.

Słuchał ze zmarszczonym czołem.

Odwrócił się do strażników, a później do Agu.

– Ssss, sss! – powiedział, machając ręką w stronę Agu. – Zatrzymaj łódź! Femi, daj mi kamerę.

Agu zatrzymał łódź w chwili, gdy Femi podał kamerę prezydentowi. Prezydent wciąż trzymał telefon przy uchu, jednocześnie manipulując sprzętem.

– Jest coś...

Zabrzmiały kolejne wystrzały.

– Co się dzieje? – krzyknęła Adaora.

Zmrużywszy oczy, ledwie widziała dużą grupę mężczyzn czekających w doku. *Bang bang bang!* Widziała, jak jeden z nich strzela. W stronę wody. Kilku mężczyzn obok próbowało coś z niej

wyciągnąć. Nie, uświadomiła sobie Adaora. Kogoś.

– Proszę – zwróciła się do prezydenta. – Niech mi pan odda kamerę!

– Dlaczego? – spytał prezydent. Ze zmarszczonym czołem wciąż nią manipulował. – Co chcesz…

– Niech mi ją pan po prostu da! – Wyrwała aparat z jego ręki i oddała go Femiemu. – Ustaw zbliżenie.

Kiedy dostała kamerę z powrotem, uniosła ją do góry. Skupiła się na mężczyznach. W wodzie było coś… co próbowało wciągnąć pod powierzchnię jakiegoś mężczyznę. Nagle z wody wystrzeliły dwie czerwone macki. Jedna zmiażdżyła okno czarnego samochodu stojącego z tyłu, a druga uderzyła jednego z mężczyzn. Poleciał do tyłu. Adaora mogłaby przysiąc, że widzi rozbryzg krwi. Inni mężczyźni zaczęli strzelać do wody.

– Cholera! – krzyknęła, niemal upuszczając kamerę.

Prezydent chwycił ją w chwili, gdy zadzwonił telefon Femiego.

– Co się dzieje? – krzyknął prezydent do aparatu.

– W wodzie jest coś, co ich atakuje – powiedziała Adaora.

– Jezu Chryste – jęknął jeden ze strażników. – Czy my nigdy nie wydostaniemy się z tej zapaskudzonej wody?

– Wydostaniemy się, kuzynie, spokojnie – stwierdził drugi.

– Czy wy powariowaliście? Trzymajcie się z dala od wody! – krzyknął prezydent do komórki. W oczach miał łzy.

– To chyba jakaś ośmiornica albo kałamarnica – powiedziała Adaora.

– *Chale*, te stwory są bystre – stwierdził Anthony.

Adaora myślała o tym samym. Głowonogi były najinteligentniejszymi bezkręgowcami na Ziemi. A taki, który został ulepszony przez obcych… ci ludzie nie mieli szans.

– Dziesięciu mężczyzn? Pozwoliliście… o mój Boże. – Prezydent usiadł na pokładzie, wciąż przyciskając aparat do ucha. – O mój Boże… W porządku, ratujcie ich.

Łódź zaczęła się ruszać. Prezydent odwrócił się do Agu.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz?

– Nie pozwolę zginąć kolejnym żołnierzom – odparł Agu. – Chcę się zbliżyć na tyle, żebym mógł do nich dopłynąć.

– Dlaczego ustawili się tuż nad wodą? – jęknął prezydent. Hawra usiadła obok niego i objęła go. – Dopadł dziesięciu z nich, zanim zorientowali się, co się dzieje.

– Ja też pójdę – stwierdził Anthony.

Adaora zawahała się. Agu miał nadludzką siłę, Anthony swój rytm. Ale ona umiała lewitować, chodzić po wodzie i chronić się polem siłowym. Czy gdyby weszła do wody, odzyskałaby płetwę?

– Zabije was obu – powiedziała Ayodele. – Ja pójdę.

Znów wskoczyła do wody, zanim ktokolwiek zdołał zaprotestować. Agu przyśpieszył. Miał złe przeczucia. Kiedy nikt się nie sprzeciwił, stało się jasne, że nie tylko on to czuje.

W końcu znaleźli się tak blisko, że doskonale widzieli, co się dzieje. Na wodzie unosiło się ciało. Kilku żołnierzy kryło się za czarnym samochodem i strzelało gorączkowo. Inni stali na na brzegu strumienia, wrzeszczeli i strzelali. Kiedy łódź pojawiła się w ich polu widzenia, niektórzy zaczęli krzyczeć, a inni machać rękami.

Gdy łódź znalazła się niecałe dziesięć metrów od wyspy, z wody dobiegł głęboki jęk. I nagle potwór pojawił się na powierzchni. Był kłębowiskiem ociekających śluzem czerwonych macek, z których wyrastały koszmarne kolce z czarnej kości. Kula macek przekoziołkowała po powierzchni wody, po czym rozstąpiła się, ukazując ogromny, ziejący, różowy dziób jak u papugi. Adaora z trudem powstrzymała wrzask. Dziób stwora otwierał się i zamykał. A później istota zanurzyła się i zniknęła.

Panowała całkowita cisza, a oni wpatrywali się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą był potwór. Czekali, ale nie powrócił. Woda zafalowała łagodnie i znieruchomiała. Żołnierze na lądzie powoli cofnęli się od nabrzeża. Pozostali wyłonili się zza samochodu.

Adaora wyjrzała za burtę.

– Co ona...?

– Ayodele! – zawołał Agu.

Łódź uderzyła lekko o nabrzeże i wyskoczyli z niej wszyscy poza Adaorą, Anthonym i Agu. Wychylali się przez burtę i patrzyli w wodę. Femi pobiegł w stronę żołnierzy, którzy również obserwowali wodę. Zbliżając się do nich, robił zdjęcia.

– Panowie! Witam! Przepraszam, czy mogę zadać kilka pytań? Jestem z prasy...

– Tędy, panie prezydencie – powiedział jeden z żołnierzy, prowadząc go w stronę czarnego samochodu. – Przepraszam za okno.

– Nie przejmujcie się tym – odparł prezydent, ściskając dłoń Hawry. – Wszystko widzieliśmy.

– Co z pozostałymi? – spytała Hawra, oglądając się za siebie.

– Idą – odparł prezydent.

– Wcale nie. – Hawra cofnęła dłoń.

Adaora wiedziała, że stwór zniknął. Czyżby zjadł Ayodele i to go usatysfakcjonowało? Obróciła się, czując pulsowanie w głowie. Zbyt wiele. Zbyt szybko. Tam była. Ayodele wysuwała się na powierzchnię na drugim końcu nabrzeża, w odległości około trzydziestu metrów. Tuż przed żołnierzami. Adaora poczuła falę ulgi. I wtedy zobaczyła, jak jeden z żołnierzy chwyta Ayodele za ramię, wyciąga ją na beton, cofa stopę w wielkim buciorze i z całej siły kopie ją w bok.

Adaora nawet ze swojego miejsca słyszała mięsisty odgłos buta

wbijającego się w ciało. Mężczyzna znów kopnął Ayodele, dołączył do niego drugi. Uderzył ją w twarz kolbą kałasznikowa i głowa kobiety poleciała do tyłu, uderzając w beton. Z jej nosa popłynęła krew. Adaora zeskoczyła z łodzi. Szum w głowie zagłuszył wszelkie odgłosy. Co właściwie widziała? Dlaczego Ayodele na to pozwalała?

Anthony już zszedł z łodzi i biegł w stronę mężczyzn. Adaora pobiegła za nim, a za nimi Agu.

– Przestańcie! – krzyknął, machając rękami. – Przestańcie!

Ale oni nie przestawali. Ayodele się nie podnosiła, ani też nie próbowała się bronić. Wszystko to wydarzyło się w ciągu kilku sekund. Teraz było już pięciu żołnierzy, wszyscy w zielono-brązowo-czarnych mundurach polowych, z błyszczącymi czarnymi butami i matowymi czarnymi karabinami. Zasypywali ciosami całe ciało Ayodele, uderzali butami, kolbami karabinów i pięściami.

– Wiećmo, zabije ciem! – warknął mężczyzna, uderzając Ayodele pięścią w twarz.

– Zabić *am!* – krzyknął inny, kopiąc.

Jej białą sukienkę pokrywały coraz większe plamy krwi, gdy uderzali ją w piersi, brzuch, nogi i ręce. Miażdżyli kości, mięśnie i organy wewnętrzne. Jeden z mężczyzn opuścił nogę na jej szyję.

Bang! Pocisk rozorał bok Ayodele.

Inny mężczyzna wbił kolbę w jej bezwładną głowę.

Anthony zatrzymał się w odległości kilku metrów od chaosu. Kołysał się na piętach. Nawet biegnąc, Adaora czuła, jak wszystko wokół niej jest przyciągane do Anthony'ego.

– Anthony, nie! – krzyknęła, podbiegając do niego. – Nie rób tego!

– Dlaczego? – spytał spokojnie Anthony.

– Dość zabijania – powiedziała, dysząc. Odwróciła się do Agu. Na jego twarzy malowała się furia. – Dość zabijania! Nie wiedzą, co robią, nie wiedzą, kim ona jest, są zdezorientowani…

Ona też była zdezorientowana. Co takiego mówiła? Pokręciła głową w stronę obu mężczyzn. Otarła łzy z oczu.

– Pozwólcie mi – powiedziała i pobiegła w stronę żołnierzy otaczających Ayodele.

Nie zawahała się. Rzuciła się prosto w zamieszanie i zaczęła odpychać na boki mężczyzn, którzy bili Ayodele. Któryś próbował kopnąć Ayodele, ale zamiast niej trafił Adaorę. Ignorując ból, kobieta padła na kolana i objęła bezwładne ciało. I wtedy sięgnęła po to, co było jej.

Przypominało to pełne elektryczności ciepło wylewające się z jej pleców, omywające jej ciało, a później odpychające żołnierzy na boki. Kiedy próbowali się przecisnąć, siła ich odparła, znów odrzucając ich do tyłu.

Adaora mocno przytuliła Ayodele, przyciskając twarz do szyi

obcej. Czuła ciepłą krew Ayodele wsiąkającą w ubranie. Czuła jej miedzianą woń, zmieszaną z zapachem morskiej wody i moczu. Ayodele oddychała z trudem.

Dlaczego? – pomyślała Adaora. Dlaczego dlaczego dlaczego? Dlaczego Ayodele krwawiła? Dlaczego się nie przeobrażała? Dlaczego pozwoliła, żeby ją pobili? Dlaczego ją pobili? Wciąż ich powstrzymywała, jednocześnie tuląc połamane ciało Ayodele.

– Czary – mruknął jeden z mężczyzn.

Bang!

Jeden z żołnierzy musiał strzelić w jej stronę. Hałas był ogłuszający, ale Adaora nie poczuła kuli. Zanim żołnierz zdążył strzelić po raz drugi, podbiegł do niego Agu i uderzył go tak mocno, że mężczyzna przeleciał nad betonem i prawie wpadł do śmiertelnie niebezpieczniej wody.

Adaora zbliżyła twarz do twarzy Ayodele. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w obcą. Jakże różniła się od kobiety, którą przed niecałymi dwoma dniami zobaczyła po raz pierwszy. W tak krótkim czasie przeżyła tak wiele ludzkich doświadczeń.

– Ciebie zobaczyłam pierwszą. Zaczęło się od ciebie – wyszeptała Ayodele. – Mój lud wysłał mnie nie bez powodu. Od początku wiedziałam… – Z jej ust płynęła krew. Adaora zadrżała. – Twój lud. Chcieli mnie wykorzystać, porwać, zabić…

– Przepraszam – powiedziała Adaora. – Tak naprawdę jesteśmy lepsi.

– Starsi mnie posłali – szepnęła Ayodele. – Jesteśmy zbiorowiskiem. Każda część nas, każdy malutki wszechświat w naszym wnętrzu jest świadomy. Jestem nami, jestem mną… – Zakaszlała krwią.

– Ale dlaczego…

– Twój lud potrzebuje pomocy od zewnątrz, ale również od wewnątrz – powiedziała. – Wejdę wewnątrz… Adaoro… puść mnie… zasłoń uszy.

– Dlaczego?

– Zaufaj mi.

– Ayodele, proszę.

– Wszyscy będziecie odrobinę… obcy.

Adaora powoli położyła Ayodele na ziemi. Później podniosła wzrok. Wszystko dookoła miało delikatne niebieskofioletowe zabarwienie, w tym samym odcieniu, co jej płetwa. Tak pewnie działało pole siłowe. Żołnierze stali i gapili się z uniesioną bronią i zaciśniętymi pięściami. Za nimi stali Anthony i Agu.

Ayodele patrzyła na nią z ziemi i Adaora dopiero teraz zorientowała się, jak ciężkie są obrażenia obcej. Jej szyja wygięła się groteskowo, widać było biel kości. Jedna z nóg została wykręcona w

niemożliwy sposób, podobnie jak obie ręce. Została postrzelona w brzuch, jaskrawa krew przemoczyła jej białą suknię. Twarz miała opuchniętą i posiniaczoną, a z oczu pozostały wąskie szparki.

– Bakłażan etiopski. Nie ma nic lepszego. – Ayodele zaśmiała się słabo.

Adaora uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak Ayodele chrupała surowe warzywa niczym cukierki.

– Zasłoń uszy – powtórzyła, kładąc dłoń na jej kolanie.

Adaora uniosła dłonie do uszu. Spojrzała na Anthony'ego i Agu. Zrobili to samo i padli na ziemię.

Ayodele powiedziała coś samym ruchem warg, a Adaora ją zrozumiała.

– Puść – powiedziała Ayodele.

I Adaora opuściła pole siłowe, jednocześnie zaciskając powieki.

GBUM!

* * *

Kiedy Adaora poczuła, że dłoń Ayodele opuszcza jej kolano, otworzyła oczy. W miejscu, gdzie wcześniej leżała obca, kłębiła się biała mgła, jakby podniosła się znad wody. Miała lekko pomidorowy aromat… bakłażanów etiopskich. Klęcząc na betonie, cała zalana krwią Ayodele, Adaora nagle poczuła niepohamowany apetyt na bakłażany etiopskie. Pragnęła poczuć ich chrupkie, chłodne owoce, słodkie lub gorzkie.

– Och – szepnęła.

I instynktownie wiedziała, że ta mgła przetacza się jak wielka fala nad całym Lagos. Niemal czuła ją umysłem. I wszyscy nią oddychali. Wszyscy w Lagos poczuli nagły apetyt na bakłażany etiopskie. Ayodele. Co ona zrobiła?

Poczuła dłonie na ramionach.

– Proszę – powiedział mężczyzna. – Pomogę pani.

To był jeden z żołnierzy.

– Zostawcie ją! – krzyknął Agu.

– Agu, już dobrze, proszę – powiedziała.

– Wszystko w porządku? – spytał Anthony.

Przytaknęła. Otaczali ją żołnierze, którzy pobili Ayodele. Nie chciała patrzeć na poczucie winy na ich twarzach.

Ayodele odeszła. Ayodele tu była.

– Lagos już nigdy nie będzie takie samo – powiedziała Adaora.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Nieskończone możliwości

Prezydent Nigerii siedział pośrodku tylnego siedzenia opancerzonego mercedesa. W głowie już układał przemówienie. Pierwotnie zamierzał zaprezentować w jego trakcie tę, którą zwali Ayodele, ale ona umarła. Nie rozumiał, co Adaora mówiła o oddychaniu jej esencją. To nie było ważne.

Obok niego siedziała jego druga żona Hawra. Nigdy wcześniej nie była tak dumna i szczęśliwa, że jest w Lagos. Jej mąż myślał jak prezydent, ale ona wiedziała, że musiał myśleć jeszcze szerzej. Otwierały się nieskończone możliwości.

Anthony siedział po prawej prezydenta, z policzkiem przyciśniętym do okna. Zamierzał wrócić do domu, do Ghany. To, co się wydarzyło, było jedynie początkiem. Starsi mieli plany wobec niego i jego kraju.

Agu i Adaora siedzieli ściśnięci na przednim siedzeniu pasażera. Agu ściskał chłodną dłoń Adaory, rozważając wszystko, co się wydarzyło. Próbował odbić żonę innemu mężczyźnie i był obdarzony nadludzką siłą, która pochodziła od Przodków, z ziemi, nieważne. I miał nowy cel w życiu – być dumnym żołnierzem Nowej Nigerii, czymkolwiek była. Kiedy wszystko się uspokoi, zamierzał odwiedzić rodzinę w Arondizuogu. Liczył, że Adaora pojedzie z nim. Nie zostaną tam długo, bo z pewnością będą potrzebni w Lagos. Ale upewni się, że wszystko w porządku i może opowie im swoją historię. Dotknął rozcięcia na czole. W końcu przestało krwawić.

Umysł Adaory był pusty. Ilekroć próbowała myśleć, widziała Ayodele.

Samochód prowadził jeden z żołnierzy z Tin Can Island. W jego myślach ciągle powracał obraz *ahoa* wciąganych do oceanu przez gigantyczną kałamarnicę. I jak pobili kobietę, a ona zniknęła. Jego dłonie, zaciśnięte na kierownicy, drżały.

Reszta żołnierzy jechała za nimi drugim samochodem. Byli zdezorientowani, przestraszeni i bardzo chcieli zobaczyć, co się wydarzy.

A jak wy byście się czuli?

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Nadawanie

W czasie jazdy nie było żadnych problemów. Wielu ludzi opuściło Lagos, a ci, którzy zostali, siedzieli w domach i czekali, co się wydarzy. Area Boys, którzy krążyli po ulicach, czekali na zachód słońca, od którego dzieliła ich niecała godzina.

Prezydent nigdy wcześniej nie czuł się tak spokojny. Jego ciało ogarnęły wibracje, a umysł miał jasny. Od kiedy Ayodele się rozproszyła, czuł się dziwnie. Nie tylko miał apetyt na surowe bakłażany etiopskie, ale też czuł się spokojny, jakby potrafił zrozumieć wszystko, co się wydarzyło. Poprzedniego dnia przebywał w Arabii Saudyjskiej, na wpół martwy. Poprzedniego dnia czuł śmierć w kościach. Tego dnia czuł się, jakby miał żyć wiecznie.

Starsi. Powiedzieli mu, że wody u wybrzeży kryją podwodne lasy. Wszystkie platformy wiertnicze miały zostać zniszczone przez lud wody. Nawet w delcie wszystko zostało stracone. Ropa nie mogła być już podstawowym towarem Nigerii. W ogóle nie mogła już być towarem. „Ale mamy dla was coś lepszego” powiedzieli Starsi. Ich technikę.

Prezydent się uśmiechnął. Będziemy potężnym narodem, pomyślał. W czasie jazdy wykonał kilka telefonów, udało mu się dodzwonić do żołnierza w Victoria Island, który twierdził, że próbował pomóc córce Adaory, kiedy została postrzelona, a teraz odzyskał kontrolę nad okolicą. Zadzwonił też do wiceprezydenta Wishwella Williamsa, który, co nie było żadnym zaskoczeniem, przebywał bezpiecznie w nigeryjskiej stolicy Abudży, jak również do dwóch gubernatorów w północnej i południowo-wschodniej Nigerii. Wszystko, co mówili, sprawiało, że uśmiechał się jeszcze szerzej. Sytuacja się uspokajała i miało się ku lepszemu.

Kiedy dotarli do stacji telewizyjnej, czekali na nich trzej mężczyźni i jedna kobieta. Wszyscy byli ubrani dość swobodnie, ale tych trzech patrzyło na prezydenta z wyraźnym zdenerwowaniem. Czwarta osoba, niewysoka kobieta o włosach zaplecionych w warkoczyki, ubrana w białą bluzkę i długą czarną spódnicę, odezwała się pierwsza.

– Możecie państwo usiąść tutaj – powiedziała, wskazując na krzesła ustawione przed studiem telewizyjnym. Podniosła trzy sterty ubrań. – Wszystko jest przygotowane na pańskie przemówienie.

Podała mu ubranie, a później mundury jego strażnikom.

Prezydent zamrugał, patrząc w jej brązowe oczy. Kobieta wyglądała na ponad pięćdziesięcioletnią, ale zachowywała się jak ktoś

dużo młodszy. Jej opanowanie przypominało mu… Ayodele.

– Och – powiedział, gdy zrozumiał, dlaczego. – Yy… potrzebuję pokoju, gdzie mógłbym…

– Zebrać myśli? – spytała, kończąc za niego.

– Tak.

– Proszę, pokażę panu.

– Kochanie, chcesz, żebym poszła z tobą? – spytała Hawra.

– Nie – odparł prezydent. – Dziękuję.

– Zaczekamy przed drzwiami – zaproponował jeden ze strażników.

– Nie trzeba. Wy też musicie się przebrać. Nic mi nie będzie.

Prezydent spojrzał na Agu, który obserwował go uważnie. Uspokajająco skinął mu głową. Agu nie odpowiedział skinieniem.

Podążyli za kobietą do biura na końcu korytarza. Strażnicy udali się do jednego pomieszczenia, prezydent do drugiego, tuż obok. Prezydent zamknął się od środka. Wnętrze nie było wyszukane, na biurku stał stary komputer, a pod ścianami kilka szaf na dokumenty. Pachniało pudrem i perfumami, pewnie z biura zazwyczaj korzystała kobieta. Ale nie zwracał na to uwagi. Nie tego wieczoru. Usadowił się na tanim skórzanym fotelu i westchnął, ciesząc się samotnością. Dobrze było choć przez chwilę zostać samemu. Ułożył w głowie przemowę, ale musiał przez chwilę pozostać bez ruchu.

– To wszystko właśnie się dzieje – powiedział na głos. – Trzymajcie się.

Wszyscy potrzebowali, by postąpił właściwie. Wszyscy w Lagos. Wszyscy w Nigerii. Może wszyscy na świecie. Najlepiej funkcjonował wówczas, gdy ludzie go potrzebowali. Ta świadomość jak zwykle go uspokoiła. Kiedy objął władzę, odkrył, że jest bezradny w walce przeciwko korupcji miażdżącej duszę Nigerii. Kiedykolwiek próbował wprowadzać zmiany, ludzie w jego otoczeniu zawsze starali się czerpać niejasne zyski z jego wysiłków. Jeśli chciał stworzyć program poprawy jakości szkół czy szpitali, ktoś zawierał fałszywy kontrakt, który wyciągał pieniądze z programu. Kiedy próbował zająć się kwestią bezrobocia, ochrony zdrowia, inflacji, elektryfikacji, edukacji, rolnictwa, za każdym razem, gdy były jakieś pieniądze do wydania, efekt zawsze był ten sam – przybywały wampiry. To go zmęczyło. Sprawiło, że czuł się bezradny, bezużyteczny. Teraz, po raz pierwszy czuł się jak prezydent. A to przemówienie będzie jego pierwszym realnym działaniem jako prawdziwego przywódcy Nigerii. O, to było ekscytujące.

Zdjął brudne ubranie i stał w samych bokserkach, spoglądając z góry na swoje ciało. Nabrał go, od kiedy obca go uleczyła. Żebra już tak nie wystawały. Skóra była gładka, niepokryta plamami. Przez wiele miesięcy przed wyjazdem do Arabii Saudyjskiej musiał wypychać ubrania, żeby robić wrażenie bardziej masywnego. Włożył

czysty biały kaftan, a później białe spodnie. Nie wisiały na nim. Został prawdziwie uzdrowiony. Oni mu to uczynili. Pomyślał o Ayodele i zastanawiał się, co jeszcze mu uczynili.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Jest pan gotów?

To była ta spokojna kobieta, która przypominała mu Ayodele.

– Tak, już idę.

Strażnicy podążyli za nim, kiedy szedł za kobietą.

– Kiedy zaczniemy nadawanie – powiedziała – pojawi się pan na wszystkich ekranach mieszkańców Lagos. Jak wcześniej. Wszystko, co ma ekran, uruchomi się, niezależnie od tego, czy jest do czegokolwiek podłączone.

Zatrzymał się i popatrzył na nią. Kobieta również się zatrzymała i uśmiechnęła lekko.

– Komórki – powiedziała. – Komputery, stacjonarne i laptopy, telewizory, czytniki e-książek, wszystko, co ma ekran.

– Jak? – spytał. – Jak to robicie?

Roześmiała się.

– Ta wiedza jest w panu. Ayodele się o to zatroszczyła. Później to wyjaśnimy. Na razie musi mieć pan świadomość, że dociera pan do każdego w tym mieście. – Zawahała się. – Chyba że chce pan dotrzeć dalej?

Zastanowił się nad tym.

– Czy możecie sprawić, żeby dotarło do całej Nigerii?

– Nie będzie to bardzo dokładne, możemy objąć też fragmenty innych krajów, ale pewnie, że tak.

– W porządku, zróbcie to.

Zastanowił się nad swoim przemówieniem. Nie, nie będzie musiał zmieniać wiele w tym, co zamierzał powiedzieć. Nie myślał jedynie o Lagos. Myślał o całym kraju.

Tak, to było właściwe.

* * *

Za drewnianym biurkiem ustawiono skórzany fotel, ładniejszy od tego w biurze, w którym się przebierał. Za nim wisiała nigeryjska flaga rozwieszona na regale pełnym książek. Usiadł, a za nim stanęli strażnicy w świeżych, nieskazitelnych mundurach.

Technicy ustawili przed nim kamerę, jakaś kobieta nałożyła mu makijaż. Uśmiechnął się, gdyż nie zajęło jej to wiele czasu. Nie potrzebował mocnej charakteryzacji. Wcześniej wymagał grubej warstwy kosmetyków, żeby choć częściowo ukryć chorobę.

– Nie potrzebuję telepromptera – powiedział. Postukał się w czoło. – Wszystko mam tutaj.

Technik pokiwał głową.

Prezydent odetchnął głęboko, obserwując pracowników. Kobieta, która nie była kobietą, stała po drugiej stronie kamery. Położyła na niej swoją dłoń, a wtedy jej palce zatonęły w czarnej obudowie.

– Pięć, cztery, trzy, dwa… – zaczął odliczać technik.

Zrobił gest w stronę prezydenta, a wtedy zapaliło się czerwone światełko. Prezydent był na antenie.

Palce kobiety, która nie była kobietą, niknęły w kamerze. Znów uderzyła go ta myśl. O Boże. Spojrzał w obiektyw i opuściły go wszystkie błyskotliwe słowa. Tak wielka część Nigerii właśnie go oglądała! W dzisiejszych czasach nawet w najmniejszych wioskach ktoś zawsze miał komórkę albo był blisko telewizora czy komputera.

Wyprostował się. To był jego czas.

– Witaj, Nigerio – powiedział.

Był silny. Był zdrowy. Jego kraj go oglądał. Zobaczy go świat. To była najlepsza rzecz, jaka od bardzo dawna wyszła z Nigerii. Niech świat patrzy, pomyślał prezydent. Niech zobaczy, że jesteśmy potężni.

– To historyczna chwila dla naszego narodu – zaczął. – Gdyż oznacza ważny kamień milowy w naszym marszu w stronę dojrzałej demokracji.

Prezydent nigdy nie był wielkim mówcą. Tego dnia jednak, tego wieczoru, czuł słowa. Smakował je. Wibrowały w rytmie jego duszy. Uśmiechał się, kiedy mówił.

– Po raz pierwszy od czasu, gdy przed ponad półwieczem zrzuciliśmy okowy kolonializmu, a następnie toczyliśmy się przez dziesięciolecia korupcji i konfliktów wewnętrznych, doszliśmy do przełomu. A tu, w Lagos, już go przeszliśmy. Wielu z was widziało nagrania w Internecie lub słyszało wieści od najbliższych. Poprzedniej nocy Lagos płonęło. Lecz jak feniks podniesie się z popiołów, wspanialsze niż kiedykolwiek wcześniej. Wydarzenie, która sprawiło, że znalazłem się dziś przed wami, jest doniosłe. Oznacza przemianę innego rodzaju. A teraz posłuchajcie mnie uważnie. Ta przemiana jest powodem do świętowania, nie paniki. Powtórzę to raz jeszcze, świętowania, nie paniki. Pośród nas tu, w Lagos, są inni. Zamierzają tu pozostać. A ja cieszę się z tego powodu. Mają nową technikę, mają świeże pomysły, które można połączyć z naszymi. Trzymajcie się mocno. Znów będziemy potężni, *o!* Szczególnie mieszkańcy Lagos, spójrzcie na swojego sąsiada. Zobaczcie jego rasę, plemię lub obcą krew. I nazwijcie go bratem. Jako rodzina mamy dużo pracy. A teraz pozwólcie, że opowiem wam o swojej przygodzie. Później przejdziemy do rzeczy…

Prezydent opowiedział o swojej porażce jako prezydenta i o korupcji, której nie umiał stawić czoła. Opowiedział o zapaleniu osierdzia i ucieczce do Arabii Saudyjskiej, by tam umrzeć, z dala od

ojczyzny. Opowiedział o wstydzie. A później opowiedział o uleczeniu przez Ayodele. Nic nie wspomniał o jej późniejszym poświęceniu. Nie był pewien, jak ludzie by to przyjęli, szczególnie fragment o rozproszeniu w mgłę, którą wszyscy oddychali.

Wspomniał o Adaorze, biologu morskim, która miała pełnić funkcję jego eksperta, ponieważ z bliska przyjrzała się ich… gościom. Mówił o ghańskim raperze Anthonym, wyjaśniając, że człowiek ów „skwapliwie zaoferował wsparcie gwiazdy z pobliskiego kraju". Prezydent wiedział, że raper nie będzie miał nic przeciw temu, ponieważ Anthony nie sądził, by świat musiał wiedzieć, co on rzeczywiście zamierza zrobić – ważne było jedynie, by to zrobił. Prezydent mówił o dwóch żołnierzach, jednym imieniem Agu, który miał bliski kontakt z przybyszami i pozostawał z nimi w dobrych stosunkach, i drugim, z którym długo rozmawiał przez telefon. Tamten miał na imię Hassam i przywrócił porządek w Victoria Island. To byli wyszkoleni funkcjonariusze, którym powierzył zapewnienie wszystkim bezpieczeństwa. Wszyscy byli częścią starego świata, jak wyjaśnił prezydent, i częścią nowego świata. Nie wspomniał jednak ani słowem, że mimo wszystko i tak uważał Agu, Adaorę i Anthony'ego za wiedźmy. Dobre wiedźmy, ale jednak. Nie jest łatwo pozbyć się starych sposobów myślenia, a czasem jest to wręcz niemożliwe.

Ostrzegał ludzi, by na razie trzymali się z dala od wody. I w końcu opowiedział o swoim spotkaniu ze Starszymi. Mówił o obcych wśród ludzi i mówił o nich jako o przyjaciołach.

– Posłuchajcie własnych serc i rozejrzyjcie się dookoła – powiedział. – Wczoraj w nocy rozszarpaliśmy własne ciało, jak to robiliśmy wiele razy w przeszłości. Teraz, gdy cierpimy z bólu i straty, pozwólmy, by nasze umysły się oczyściły. I zobaczmy.

Później mówił o obcej technice i o tym, że ziemia stanie się czysta, a orzechy palmowe, kakao i inne plony będą rosły jak nigdy wcześniej. Powrócą wymarłe gatunki i pojawią się nowe. Nigeria będzie mogła wiele dać światu – i wiele mu pokazać.

– W najbliższym czasie ustanowimy poważne programy. Zmiana będzie jednocześnie stopniowa i szybka. – Przerwał. – Korupcja w Nigerii jest martwa. – I uśmiechnął się.

Czerwone światełko zgasło. Transmisja się skończyła. Prezydent poczuł, że się rozluźnia. Był zlany potem. Pod pachami miał wielkie plamy. I czuł się cholernie dobrze.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Pajęcze nici

Kiedy prezydent wygłaszał przemówienie, Adaora stała przy oknie i wyglądała na zewnątrz. W całym studiu były głośniki, przemówienie słychać było w każdym pomieszczeniu. Reszta została, by je obejrzeć, ale Adaora musiała przez chwilę zostać sama i zebrać myśli.

Czekały ją spotkania z dziennikarzami, miejscowymi, krajowymi i zagranicznymi. Spotkania z urzędnikami państwowymi i naukowcami. Zamierzała zebrać grupę oceanografów, z którą wybierze się na niebezpieczne wyprawy nurkowe, by dokumentować i prowadzić badania w laboratoriach, zbierać próbki i stwory (przynajmniej te, które pozwolą się zabrać). Może nawet zadzwonię do Moctara Ag Halaye, pomyślała. Tuareg był jednym z najlepszych nurków i zajmował się badaniami nad żarłaczami białymi w pobliżu południowoafrykańskiej zatoki False Bay, więc potwory go zbytnio nie przerażały.

Wykorzystała telefon w biurze, by zadzwonić do Chrisa i dzieciaków, krótko porozmawiała z matką Chrisa, nim połączenie się urwało. Później już się do nich nie dodzwoniła. Zbyt wielu ludzi próbowało się połączyć.

Ale podczas krótkiej rozmowy teściowa zapewniła ją, że wszyscy miewają się dobrze. W tle Kola i Fred pytali, kiedy do nich przyjedzie. „Wkrótce”, odpowiedziała i mówiła prawdę. Nie mogła jednak z nimi zostać, bo miała do wykonania zadania, które wykraczały poza macierzyństwo. Każde zanurzenie w niebezpiecznych wodach oznaczało ryzyko, że nigdy do nich nie powróci. Westchnęła. Co ze mnie za matka? Co ze mnie za żona?

– Jestem morską wiedźmą – wyszeptała.

Poradzi sobie z tym, podobnie jak miasto poradzi sobie z kwestią obcych. Adaora oparła się o ramę okna, a wtedy jej wzrok padł na trzy kobiety stojące na rogu pod palmą. Trzymały się razem i wszystkie wpatrywały się w komórki. Kiedy prezydent skończyły przemówienie, Adaora obserwowała ich reakcję.

Kobiety podniosły wzrok znad telefonów i wpatrywały się w siebie. W końcu jedna z nich coś powiedziała, a druga przytaknęła. Trzecia pokazywała na ziemię i śmiała się.

* * *

W mieście Arondizuogu młodszy brat Agu, Kelechi, wyglądał przez

okno domu wuja i patrzył, jak ciężarówka pełna zbirów odjeżdża w stronę zachodzącego słońca. Oni też pewnie mieli komórki. Musieli widzieć przemówienie prezydenta. Może w końcu zrozumieli, że ludzie tacy jak oni nie będą już rządzić teraźniejszością i przyszłością Nigerii.

– *Kai!* – wykrzyknął jego ojciec i usadowił się wygodniej w fotelu. Pociągnął za krótką, szpakowatą bródkę. – Z jednej strony, chcę wierzyć, że to nie może być nic dobrego, ale jednak myślę, że to coś dobrego.

Wszyscy oglądali to na telewizorze wuja. Kelechi gapił się w zadziwieniu na swoją starą komórkę. Widział w Lagos, jak ludzie oglądali filmy na swoich BlackBerry, ale on nigdy nie dostąpił takiego zaszczytu. Pamiętał, jak wyraźnie widział prezydenta, nawet na malutkim ekraniku telefonu z klapką, i jak jego głos brzmiał, jakby był w tym samym pomieszczeniu i zwracał się bezpośrednio do Kelechiego.

– Jak to może być coś dobrego? Obcy? – mruknęła żona Kelechiego, stawiając na przenośnym stoliku miskę zupy z okry i gari.

Ojciec Kelechiego pochylił się i uśmiechnął na widok jedzenia. Był w dobrym humorze.

– To pewnie diabły – dodała.

– Dzieciak z ciebie – powiedział z irytacją wuj. – Co ty możesz wiedzieć o diabłach, poza tym, co wbijają ci do głowy te głupie kościoły? – Dla zobrazowania swoich słów uderzył dłonią we własną głowę. – To, co właśnie powiedział nasz zazwyczaj tępy prezydent… to najwspanialsza rzecz, jaką powiedział jakikolwiek polityk od dziesięcioleci!

Ciotka Kelechiego wyszła z kuchni z kolejną miską zupy z okry i gari dla wuja.

– Pojechali? – spytała Kelechiego jego matka.

– Tak, tak sądzę – odpowiedział.

– Bogu niech będą dzięki – powiedziała.

Kelechi się roześmiał.

– Cóż, czemuś na pewno.

– Nie, Bogu niech będą dzięki.

– Gdyby ci idioci nie pojechali, wyszedłbym, żeby się nimi zająć, i do diabła z konsekwencjami – warknął wuj.

Ojciec Kelechiego mrugnął do niego i pokiwał głową.

– Jak to robiliśmy w czasie wojny domowej.

– Nikt nie mógł nas powstrzymać.

– Ani kule, ani armie.

– Gdyby wszyscy inni buntownicy tacy byli, bylibyśmy obywatelami Republiki Biafry.

Obaj się roześmiali i popatrzyli po sobie, po czym zabrali się za

jedzenie zupy. Ojciec Kelechiego wbił zęby w piękny kawałek koźliny.

– To naprawdę dobra noc – powiedział z pełnymi ustami.

– Diabelstwo – mruknęła żona Kelechiego, poprawiając perukę.

* * *

Kobieta, która wyglądała, jakby wyszła prosto z nollywoodzkiego filmu, stanęła w drzwiach w chwili, gdy zaszło słońce. Chris nie chciał myśleć, jak przedostała się przez wysoki betonowy mur i zamkniętą bramę ogrodzonego osiedla, na którym mieszkała jego matka. Kobieta miała buty na obcasie i ciało bogini, a mówiła z pewnością siebie, która przypominała Chrisowi najlepszych prawników. Stanowczym głosem, któremu Chris nie umiał się przeciwstawić, wprosiła się na herbatę. Gdy zaprowadził ją do kuchni, a za nimi podążyły jego ciekawskie dzieci oraz niespokojna matka i dwie ciotki, powiedziała, że pożarł ją drogowy potwór, który nazywał sam siebie Kolekcjonerem Kości.

– Wasze drogi są teraz bezpieczne – stwierdziła.

Niecałe dziesięć minut później rozległo się kolejne pukanie do drzwi. Tym razem był to starszy Joruba o gładkiej onyksowej skórze, który powiedział, że wiele godzin spędził w Internecie, rozmawiając z Ijele. Niezależnie od wiary, nawet Chris wiedział, że nikt nie mógł porozmawiać twarzą w twarz z Ijele i przeżyć. Nawet jeden z... nich. Mimo to odsunął się i wpuścił czarnoskórego do domu. Później przyszło jeszcze siedmioro obcych. Nie miał pojęcia, co przyciągało ich do domu jego matki i dlaczego. Ale coś w głębi jego duszy się otworzyło, czyniąc go przyjaznym i zainteresowanym. Chciał być częścią tego, co się działo.

Ciotki były podekscytowane, że mogą przygotować posiłek dla tak wielu gości, i z radością udały się do kuchni. Na twarzy matki jednak malowała się udręka. Musiała mieć wrażenie, że ta sytuacja wykracza poza rodzinę. Poza ich wiarę. Poza religię. Matka była zielonoświątkową wdową, która oddawała dużą część znacznych oszczędności na kościół, a podczas mszy regularnie nawiedzał ją Duch Święty. Mimo to wycofała się do kuchni i pomogła siostrom przygotować ucztę. Ugotowały zupę egusi, zupę z okry, puree z pochrzynu, smażoną rybę, potrawkę i ryż. Matka zrobiła nawet chin chin. Kiedy skończyły, obie lodówki były puste. A gdy dziwni goście się najedli, nie pozostały też żadne resztki.

Kola i Fred zajmowali się gośćmi, a gdy goście już zjedli, zadawali im pytania. Żartowali, śmiali się i opowiadali im o Ayodele i o życiu w Nigerii.

Chris zachowywał dystans, rozmawiał jedynie z nollywoodzką pięknością, która mówiła, że nazywa się Stella Igboyi. A rozmawiał z

nią jedynie dlatego, że nie chciała zostawić go w spokoju. Po chwili poczuł, że podnosi mu się ciśnienie.

– Dlaczego pozwoliliście, by wasze drogi stały się tak niebezpieczne? – spytała Stella.

– Nie „pozwoliliśmy” na to – odparł. – Nasz rząd…

– Ale ojciec twojej żony został pożarty przez drogowego potwora. Nie udałeś się na drogę i nie zażądałeś, by oddała mu życie.

– To nie ma sensu! – warknął. – Kiedy człowiek umiera, idzie do nieba albo do piekła. Nie… – Zmarszczył czoło. – Jej ojca przejechała ciężarówka. Nie został pożarty przez drogę.

Telewizor, ekran jego komórki i komputer matki uruchomiły się jednocześnie. Na wszystkich ekranach pojawił się prezydent. Wszyscy ucichli. Chris oglądał na komórce, wszyscy inni na najcenniejszym nabytku matki – telewizorze panoramicznym. Adaora kupiła go w ubiegłym roku, kiedy matka złamała nogę w kostce i przez trzy tygodnie nie mogła wyjść z domu.

Kiedy Chris usłyszał imię swojej żony, poczuł ściskanie w sercu. I nagle przepełniło go zaskakujące uczucie. Był dumny, bardzo dumny. Jego żona, wiedźma, była częścią czegoś, co miało okazać się wspaniałe.

– W imię Jezusa – wyszeptał.

* * *

W mieście Akra w Ghanie kilkunastu ludzi na targowisku zatrzymało się. Patrzyli na swoje komórki. Słońce zachodziło, barwiąc niebo na pomarańczowo, różowo i niebiesko, ale nikt tego nie zauważał. Z odtwarzacza mp3 należącego do sprzedawcy sukienek płynęła muzyka, nagle jednak ucichła i zastąpił ją głos prezydenta Nigerii.

Kobieta, która szła środkiem ruchliwej bitej drogi przecinającej rynek, miała ochotę wyrzucić komórkę. Nigdy nie lubiła telefonów komórkowych. Wiedziała, że to brzmi jak wariactwo, ale zawsze była pewna, że potrafią o wiele więcej niż ktokolwiek przyznawał. Miała uczucie, że obserwują ludzi. Że w nocy, gdy człowiek spał, szeptały i prały mu mózg.

– Może dlatego Ghana nadal jest taka, jaka jest – twierdziła. – Ponieważ wszyscy używamy komórek, a one nas kontrolują.

Mimo to jej chłopak upierał się, by nosiła komórkę. Zgodziła się, bo był uroczym mężczyzną i lubiła, gdy mówił w ewe, języku jej matki, za którą bardzo tęskniła. Robiła dokładnie to, o co ją prosił, to znaczy nosiła komórkę. Kiedy dzwonił, odbierała, ale nic poza tym. Nie korzystała z niej w żaden inny sposób. Owijała ją w folię aluminiową i trzymała głęboko w torebce, skąd nie mogła jej

skrzywdzić.

Nigdy nie ustawiała telefonu na wibracje, ale on wibrował i wibrował, kiedy szła przez targowisko. W końcu wyjęła go i odwinęła. Mówił. I pokazywał prezydenta Nigerii. Nie został zaprojektowany, by robić coś takiego! Chłopak ją o tym zapewniał. A to, co mówił prezydent Nigerii, sprawiło, że zatrzymała się i długo pozostawała bez ruchu. Kiedy skończył mówić, zniknął z malutkiego ekranu komórki, na który powróciła data i godzina. Jak zawsze.

Zmarszczyła czoło, rozdęła nozdrza. Ścisnęła telefon. Później owinęła go folią aluminiową i znów schowała do torebki. Zaczęła iść bardzo szybko, bo chciała sprawdzić wiadomości na komputerze chłopaka. Po raz pierwszy od czasu, gdy do Ghany zawitał Internet i telefonia komórkowa, nie bała się.

* * *

Młody chłopak imieniem Waydeep Kwesi przerzucił przez ramię plastikową torbę i zszedł z drogi szybko idącej kobiecie. Odprowadził ją wzrokiem i rozejrzał się dookoła. Nie miał komórki i w ciągu ostatnich minut nie był w pobliżu żadnego ekranu. I tak bardziej interesowali go ludzie dookoła. Zaburczało mu w brzuchu. Sięgnął do torby i wyciągnął jeden z mniejszych bakłażanów etiopskich, które kupił. Od wielu godzin miał na nie ochotę.

Nikt nie zauważył, kiedy wgryzł się w niego, jakby to było najsłodsze mango, i ruszył dalej w swoją drogę.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Dobre dziennikarstwo nie zginęło

Femi nie spodziewał się, że jeszcze zobaczy swoją hondę civic. Usiadł na szarym, wytartym siedzeniu kierowcy i odetchnął głęboko. Wnętrze samochodu słabo pachniało perfumami jego dziewczyny. Śmiejąc się, spryskał nimi siedzenie kierowcy tuż przed tym, jak dwa dni wcześniej opuścił ich mieszkanie.

– Boże, wydaje się, że to było tak dawno – szepnął.

Zaśmiał się. Znów siedział w swoim samochodzie. Puścili go. Ale planował powrócić do prezydenta, kiedy tylko go wezwą. Znów odetchnął i rozejrzał się dookoła. Parkował na tyle blisko Bar Beach, że widział wodę… i część zmiennokształtnego statku obcych, który unosił się nad oceanem, daleko od brzegu. Ulicą przejechało kilka samochodów, a na plaży były może dwie osoby, ale nikt w pobliżu. Dobrze, pomyślał.

Sięgnął do siedzenia pasażera i otworzył ukrytą pod nim zasuwkę. Następnie uniósł siedzenie. Spomiędzy różnorodnych kabli, ładowarek, baterii, kart SIM i telefonów komórkowych wyciągnął ładowarkę samochodową i laptopa. Miał ten samochód od sześciu lat. Kupił hondę nie tylko ze względu na jej prosty, nierzucający się w oczy wygląd. Hondy wiele wytrzymywały. Nawet na nigeryjskich drogach. I z tego właśnie powodu wydał tysiące naira na stworzenie tej kryjówki we wnętrzu samochodu. Poza tym nie trzymał w środku zupełnie nic. Dzięki temu był mobilny. A dziennikarz musiał być mobilny.

Podłączył telefon do ładowarki, umieścił go na oparciu i otworzył laptopa. Tło było czarne, a na ekranie znajdowała się tylko jedna ikona. Wszystkie linki i foldery trzymał wewnątrz. Uruchomił przeglądarkę.

Kiedy sprawdził konto na YouTube, serce zabiło mu szybciej. Nagranie Agu, Adaory i Anthony'ego, którzy ratowali jego, strażników, prezydenta i jedną z pierwszych dam, miało już ponad trzy miliony odsłon. Zatytułował je „Prezydent Nigerii uratowany przez wiedźmy i czarowników!". Ten tytuł w połączeniu z jego reputacją szanowanego dziennikarza, który kiedyś pracował jako korespondent CNN, jak również znaczącą liczbą obserwujących, mógł uruchomić lawinę.

– Dobra, Femi – wyszeptał, szerzej otwierając laptopa. – To się właśnie dzieje. Spraw, żeby zaczęło się dziać.

W skrzynce odbiorczej miał ponad tysiąc wiadomości. Wiele było

od Nigeryjczyków, którzy grozili mu śmiercią za to, że parał się czarami. Niektóre od Nigeryjczyków, którzy nazywali go obelgą dla dziennikarstwa. Większość od mieszkańców Lagos, którzy prosili go o dalsze informacje. Zauważył kilka maili od gazet z całego świata, które żądały kolejnych wiadomości. I kilka, które oskarżały Nigerię, że jest zbyt zacofana i nie zasługuje na odwiedziny obcych.

Znalazł też co najmniej dziewięć maili od stacji i agencji informacyjnych, w tym CNN, Fox News, BBC, „Guardiana", Reutersa, Associated Press i Al-Dżaziry.

Przeczytał je wszystkie i zamknął, po czym kliknął na tę z „Nigerian Times". Tu nikt nie chciał kupić jego historii. To redaktor pytał, gdzie się podziewa. Wystukał szybką odpowiedź. „Nic mi nie jest. Wkrótce będę miał dla Ciebie tekst. Sprawdzaj pocztę". Zawahał się. Wciąż miał nagranie z Tin Can Island, ukazujące poświęcenie tej, która zwała się Ayodele. Wyraźnie rozumiał, że to właśnie zrobiła. Odetchnął mgłą jak wszyscy i od razu poczuł przemianę. W perspektywie i we wspomnieniach. Tylko raz w życiu, w wieku siedemnastu lat, palił trawę. W krótkim czasie poczuł, że wszystko dookoła otwiera się jak kwiat. To doświadczenie go przeraziło i nigdy więcej nawet nie zbliżył się do zioła. Tak właśnie odczuł zmianę perspektywy, choć wydawała się łagodniejsza, bardziej zintegrowana z jego punktem widzenia. Czuł ją szczególnie, kiedy patrzył w niebo.

Ze wszystkiego, co się wydarzyło, co widział, poświęcenie Ayodele było prawdziwą historią. Tym, czego naprawdę chciały CNN i BBC. Ale to nie była historia na sprzedaż. Przynajmniej nie za granicę. Szybko dodał dopisek do maila: „Nic mi nie jest. Wkrótce będę miał dla Ciebie tekst. Sprawdzaj pocztę. To nie tekst do druku. Najlepiej sprawdzi się na stronie. Mam plik wideo". I nacisnął „Wyślij".

Usadowił się wygodniej. Do pracy potrzebował tylko samochodu, laptopa i komórki. Usiadł i zaczął pisać.

Bracia Nigeryjczycy, bracia ludzie, pozwólcie, że opowiem wam o wszystkim, co widziałem. Byłem tam…

To był najbardziej uczciwy tekst dziennikarski, jaki kiedykolwiek stworzył. Nie napisał go rzeczowo, w stylu prasowych wiadomości, ale jak wspomnienia. Był dziennikarzem, który dzielił się swoimi doświadczeniami. Długi na piętnaście tysięcy słów artykuł zakończył opisem tego, co wydarzyło się na Tin Can Island.

…Ocaliła ich wszystkich, a oni pobili ją niemal na śmierć. Lecz czyż można mieć do nich pretensje? Po tym wszystkim, co przeszli? Zanim jeszcze dotarli do Tin Can Island? Co musieli widzieć tej nocy, kiedy Lagos płonęło, szalało, pożerało swoje dzieci? I dlatego ją pobili. Widziałem, jak kopią ją w pierś, w głowę i robią jeszcze gorsze rzeczy. Byłem zbyt daleko, by pomóc. A jedynym, co mogłem zrobić, było nagrywanie wszystkiego. Oto, co wydarzyło się później. Czy pamiętacie tę mgłę? Powinniście, jeśli

byliście w Lagos, bo gdziekolwiek byliście, w domach czy na dworze, oddychaliście tą mgłą. Oto, skąd się wzięła:

Następnie wstawił nagranie, które wcześniej wysłał na swoje konto na YouTube. Kiedy redaktor umieści tekst na stronie, nagranie stanie się dostępne.

Przeczytał historię raz jeszcze, zredagował ją, w kilku miejscach coś dopisał. Niczego nie ocenzurował. Przeczytał ją na głos. Przeczytał ją na głos raz jeszcze i odtworzył nagranie. To połączenie sprawiło, że przeszedł go dreszcz. Świat, jaki znał, zmienił się. Został wysłany, by zrobić materiał o martwym wielorybie na Bar Beach. Nie spodziewał się tego, co wydarzyło się później.

Kliknął „wyślij”. Później usiadł i czekał, aż świat znów się zmieni. A było to dobre.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Włócznik

Trzy razy opływa obcy dom, który wcześniej był w wodzie. Trzy to dla niej magiczna liczba. Najbardziej pamiętne rzeczy w jej życiu działy się trójkami. Nigdy, przez całe życie, nie widziała tych potężnych, aż pewnego dnia, gdy wypłynęła daleko od brzegu, zobaczyła ich trójkę. Choć mogli spędzić dużo czasu pod wodą, nie mogli nią oddychać. Z przyjemnością obserwowała, jak unoszą się w stronę powierzchni i wyrzucają wodę przez otwór na czubku głowy. W najlepszym dniu swojego życia zjadła nie jedną, nie dwie, lecz aż trzy ulubione ryby, jedną po drugiej. I dopiero przy trzeciej próbie udało jej się przebić tego martwego węża w wodzie, by zmusić suche istoty do odejścia. Odeszli na dobre. Tak, jest tego pewna.

Dlatego trzy razy opływa podwodną część domu gości. Jednocześnie oddycha słodką, jakże słodką wodą. Jej skrzela są teraz ogromne. Jej ciało jest olbrzymie. Skóra ma odcień złocistego światła przenikającego przezroczystą wodę. Wtedy odpływa. Na południe. Wypływa na morze, by zobaczyć wszystko, co jest do zobaczenia.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Artystka pajęczyca

Jestem niewidzialna.

Żyję tu od stuleci. Pod tym wielkim miastem, tą metropolią. Znam wasz język. Znam wszystkie języki. Legba to mój krewniak, wiele mnie nauczył. Moja jaskinia jest obszerna i chłodna. Słońce nie może jej rozpalić. Wilgotna ziemia jest żyzna i aromatyczna. Przewracam się ostrożnie na plecy i dotykam ośmioma nogami sklepienia jaskini. Później nasłuchuję.

Jestem pajęczycą. Widzę dźwięk. Czuję smak. Słyszę dotyk.

Snuję opowieść. Oto opowieść, którą wysnułam.

* * *

Jestem Udide Okwanka.

* * *

Od stuleci snuję opowieści w tej jaskini. Wysnułam narodziny i wzrost tego wielkiego miasta. Obserwowałam przez wibracje, które wędrują po moich sieciach. Lagos. Nigeria. Wiem wszystko, gdyż wszystko stworzyłam. Widziałam, jak ludzie przybywają z drugiej strony oceanu. Widziałam, jak ludzie sprzedają ludzi. Uplotłam ich opowieści i patrzyłam, jak sami tkają swoje prymitywne sieci. Przybyli w łodziach, które skrzypiały desperacką pieśń, i przywieźli coś, czego nigdy nie stworzyłam. Lagos mnie karmi. Szybkie życie, szybka śmierć. Światowe życie, życie na marginesie. Drapacze chmur, slumsy. Muchy, moskity. Drogi dudnią jak ścieżki do przyszłości, zawsze spragnione krwi. Kolekcjoner Kości zawsze będzie jednym z moich ulubionych dzieci. Ijele to mój krewniak.

* * *

Obserwuję, słucham, smakuję, dotykam tych nowych ludzi. Zmiennokształtnych trzeciego rodzaju. Tkaczy własnych opowieści.

Szanuję ich.

Zebrali razem Agu, Adaorę i Anthony'ego. Adaorę odważną. Agu silnego. Anthony'ego energicznego. Znam ich opowieści, tak jak znam wszystkie opowieści. Chcecie wiedzieć, jak skończą się ich historie? Chcecie wiedzieć, co się stanie z Chrisem? Czy wróci do żony? A może Adaora zostanie z Agu? Co z Kolą i Fredem? Jakie jest miejsce Anthony'ego w nowym świecie? Tak, chcecie wiedzieć. Wszyscy chcemy wiedzieć różne

rzeczy.

* * *

Ale ja czuję nacisk innych opowieści.

Utkałam tę, z której czerpie Adaora, by praktykować swoje czary. Utkałam tę, która daje Agu siłę lamparta. Życie Anthony'ego stało się częścią mojej sieci w chwili, gdy po raz pierwszy postawił stopę w Lagos. Znam tego, który utkał jego rytm. Anansi to mój krewniak. Anthony zawsze był w moim zasięgu. Przeznaczenie Fisayo zostało zapisane. Bezimienny chłopiec nie miał przeznaczenia, aż sama napisałam tę część historii. Przeznaczeniem ojca Oke było spotkanie jednej z moich krewniaczek. Młody Benson i inni żołnierze – wszyscy są częścią mojego wielkiego gobelinu.

* * *

A teraz świat widzi, co dzieje się w samym Lagos i na wodach dookoła. Cóż to za słodki smak, który wyczuwam nogami? To patriotyzm, lojalność. Nie wobec kraju Nigerii, ale wobec miasta Lagos. W końcu. Może popłynie i rozleje się jak powódź czystej wody. Cóż by to była za opowieść. Wody u wybrzeża są zdradzieckie. Są czyste. To piękne. Ale istnieje pewien problem. Inni ludzie w innych częściach świata – oni widzą, co się tu dzieje. I boją się tego. Porozumieli się. Lagos to rak. Chcą go wyciąć, zanim się rozrośnie. Nie pozwolę im. Nie wiem, kto ich wyśle, ale ci ludzie pozostają w porozumieniu, więc wszyscy biorą udział w podejmowaniu decyzji.

* * *

Chcą wypalić go, zanim się rozrośnie.

Nie pozwolę im.

Po raz pierwszy od narodzin Lagos, mego wspaniałego miasta, przerwę snucie opowieści.

Opuszczę sieć.

Stanę się częścią opowieści.

Dołączę do swojego ludu.

* * *

My, pająki, nie gramy fair.

Dodatki

Niektóre nigeryjskie słowa, frazy i określenia z pidżynu

419 – niezwykle skuteczny rodzaj oszustwa internetowego, popularny w Nigerii, który najczęściej przybiera formę maila. Liczba „419” odnosi się do artykułu (podzielonego na artykuły 419, 419A, 419B) w rozdziale 38 nigeryjskiego Kodeksu Karnego, który zajmuje się oszustwami („Wyłudzenie mienia: oszustwo”)

Adofuroo – obraźliwe określenie homoseksualistów w języku joruba

Ah-ah – na litość boską

Ahoa – nigeryjscy żołnierze piechoty

Am (pidżyn) – jego, jemu, ją, jej

Anoufia – obelga, która dosłownie oznacza „dzikie zwierzę” w języku igbo. „Anu” znaczy zwierzę, a „ofia” las

Area Boys (zwani również Agberos) – luźno zorganizowane grupki dzieci lub nastolatków (zazwyczaj płci męskiej), które włóczą się po ulicach Lagos

Chale (ghański pidżyn) – partykuła wzmacniająca umieszczana na końcu zdania, podobna trochę do „man” w amerykańskim slangu. Wymawiana „czali”

Chin chin – przekąska składająca się z małych kawałków smażonego na chrupko słodkiego ciasta

Chineke – Istota Najwyższa w panteonie Igbo. Użycie tego imienia jako wykrzyknika znaczy to samo, co „O mój Boże!”

„Czysta woda” – woreczek z wodą pitną, często sprzedawany na ulicy

Danfo – minibus albo van służący do przewozu pasażerów. Zazwyczaj są pomarańczowe albo kolorowe, bardzo stare, poobijane i naprawiane milion razy

Dey (pidżyn) – oznacza „jest”, „są”... zazwyczaj. Czasami znaczy coś innego

„Drzwi w drzwi” – typ budynku, w którym jednopokojowe mieszkania mają wejścia naprzeciwko siebie, a główne wejście prowadzi na prostokątny wewnętrzny dziedziniec. Ten typ budynków jest popularny w nigeryjskich miastach, na przykład w Lagos

Gari – kremowa, ziarnista mąka produkowana ze sfermentowanych świeżych bulw manioku

Go-slow (pidżyn) – gęsty ruch uliczny

Gragra (pidżyn) – pokaz odwagi (często fałszywej)

Ibi (pidżyn) – tak jest

Igbo – 1. trzecia największa grupa etniczna w Nigerii (na marginesie: autorka tej książki jest Igbo) i nazwa języka ludu Igbo; 2. nigeryjskie slangowe określenie konopi indyjskich (nie ma związku z ludem Igbo ani z językiem i nie pisze się go wielką literą)

Kai (pidżyn) – wykrzyknik wyrażający współczucie

Kata kata (pidżyn) – takie problemy, jakich doświadczają tylko biedni

Kparoof (pidżyn) – zmaltretować

Morska wiedźma – do licha, któż to wie? Niektóre nigeryjskie kościoły protestanckie wierzą, że źródłem całego zła na świecie są wiedźmy, a najpotężniejsze z nich są „morskie wiedźmy”

Mumu (pidżyn) – idiota

Na (pidżyn) – to jest

Na wao (pidżyn) – odpowiednik wykrzyknika „o rany!”

NEPA – National Electric Power Utility, państwowa spółka zajmująca się dostarczaniem energii elektrycznej. Zazwyczaj obwiniana, kiedy brakuje prądu. Choć obecnie nazywa się PHCN (Power Holding Company of Nigeria), ludzie wciąż mówią o niej NEPA

Nko (pidżyn) – zaimek pytający używany dla podkreślenia na końcu zdania (uważa się, że pochodzi z języka joruba)

O – partykuła wzmacniająca stosowana na końcu zdania. Dźwięk ten bardziej się wyśpiewuje i przedłuża niż wymawia

Oga – zwrot grzecznościowy stosowany wobec mężczyzn, odpowiednik „pan”.

Okada – motocykl używany w celach komercyjnych lub jako taksówka

Peme (pidżyn) – umrzeć

Sabi (pidżyn) – wiedzieć, wiedza

Seke (ghański pidżyn) – szaleństwo

Sha (pidżyn) – partykuła wzmacniająca stosowana na końcu zdania, podobna do „man” w amerykańskim slangu. Może znaczyć również „tak czy inaczej” albo „w taki sposób”

Una (pidżyn) – wy, ludzie

Wahala (uważa się, że pochodzi z języka hausa) – kłopoty

Wetin (pidżyn) – co

Usunięta scena

Tymczasem w Chicago...

Sala numer 217 w budynku Douglas Hall była najcieplejszą salą w całym kampusie. W środku chicagowskiej zimy można w niej było spokojnie siedzieć w dżinsach i podkoszulku. To było idealne miejsce, by odtajać po marszu przez śnieżycę, a między dwunastą a piętnastą nie było w niej żadnych zajęć. Dlatego też Shaquille, Jordan i Nature, obecnie na drugim roku studiów przygotowujących do medycyny, w poniedziałki, środy i soboty zajmowali ją, żeby się uczyć.

Dziś była sobota, a w planach mieli naukę, naukę i jeszcze raz naukę. Cała trójka chodziła na zajęcia z podstaw chemii, które nie były łatwe – lepiej nie narobić sobie zaległości. Mimo to w ostatniej chwili ich plany się zmieniły. Plany całego świata się zmieniły. Po cichu. Nature jako pierwsza usłyszała o najnowszym nagraniu na YouTube. Kilka chwil wcześniej siostra przysłała jej link. Nie mogła się doczekać, żeby je obejrzeć i omówić z Shaquillem i Jordanem. Co kilka godzin z Nigerii docierały coraz dziwniejsze wieści, które przyprawiały wszystko nutą ekscytacji – miła odmiana po przyziemnej rutynie nauki i pracy w Harris Bank.

„Jesteśmy Nigeryjczykami. Po prostu Nigeryjczykami”, powiedział ten, którego ludzie na nagraniu nazywali Agu. Agu popatrzył na gościa z mocami dźwiękowymi i dodał: „I jednym Ghańczykiem”.

– Rany – wyszeptała Nature i odświeżyła ekran, żeby mogli obejrzeć nagranie po raz drugi. – Wygląda na to, że w Afryce dzieją się rzeczy jak z X-Menów. – Zdjęła płaszcz i sweter. – Nie wierzę, że to prawda.

Pod spodem miała pomarańczową koszulkę Baby Phat z błyszczącym różowym kotem. Cienkie złote bransoletki na jej nadgarstkach zabrzęczały, gdy usiadła przed laptopem.

– Tak, to nie może być prawda – powiedział Shaquille, usiadł za biurkiem i wpatrzył się w ekran swojego laptopa. – Nie odtwarzaj jeszcze. Muszę się zastanowić.

Uniósł swoje masywne czerwone słuchawki, a później znów je odłożył. Na jego twarzy malowała się konsternacja. Rzadko zdejmował słuchawki, nawet na zajęciach, lubił, żeby jego świat miał podkład dźwiękowy. Ale to wymagało ich zdjęcia. Wszystko, co wiązało się z wydarzeniami w Afryce, tego wymagało. Musiał jak najwyraźniej usłyszeć ścieżkę dźwiękową, nawet jeśli audio było kiepskie. Wciąż nie zdejmował ciężkiego skórzanego płaszcza, nadal czuł zimno w kościach.

– To cholerstwo na pewno jest oszukaństwem – mruknął.

– „Prezydent Nigerii uratowany przez wiedźmy i czarowników!” – przeczytał Jordan. Pochylił się, zbliżając twarz do ekranu. Zaśmiał się. – Dobra, tytuł jest trochę popieprzony, ale, mój Boże, Shaq. Jak myślisz, co to w takim razie jest?

Jordan miał na sobie czarną koszulkę z narysowanym pośrodku liściem marihuany. Był chudy i dość wysoki, więc lepiej czuł się stojąc, niż ściśnięty na twardym krzesełku za biurkiem.

Wyprostował się i tupnął timberlandem o podłogę.

– Ten dzieciak umierający na ulicy… umierający, człowieku, widzisz, jak umiera… ludzie piszący na Twitterze i twierdzący, że widzieli obcych i takie tam, ludzie donoszący o strachu i cholernych zamieszkach, to całe szaleństwo z X-Menami w oceanie… myślisz, że to jakieś orwellowskie oszustwo? – spytał Jordan. – Jak tamto nagranie *Wojny światów*, które w swoim czasie wywołało tak wielką panikę? Myślisz, ze Nigeryjczycy są aż tak łatwowierni? W dzisiejszych czasach? I popatrz na „gwiazdy” przedstawienia. Są czarni. Nawet bohaterowie są czarni. Myślisz, że wydaliby tyle kasy, żeby stworzyć coś, co wygląda tak prawdziwie i pozwolili czarnym, żeby grali w tym główne role? Prawdziwym Afrykanom? A później umieścili całą akcję w Afryce? – Zarechotał głośno i pokręcił głową. – Nie ma mowy. To cholerstwo jest prawdziwe. To o wiele bardziej prawdopodobny scenariusz.

Nature cmoknęła językiem o zęby i podciągnęła dżinsowe biodrówki.

– Człowieku, a co mnie obchodzą zadzierający nosa Afrykanie. Co zrobiła dla mnie Afryka? – Znów cmoknęła. – Myślę, że Shaq ma rację. Albo… – Wzruszyła ramionami. – Nie wiem.

– Ej, słyszałem cię, Nature – powiedział Jordan. – Afryka nic dla nas nie zrobiła poza zniewoleniem naszych przodków. Tu się z tobą zgadzam. – Wyszczerzył się. – Ale posłuchaj, jeśli ktokolwiek będzie latał, strzelał z oczu promieniami lasera albo wskakiwał do wody i wywoływał tsunami tylko dlatego, że może to zrobić, to właśnie banda Afrykanów.

Na te słowa troje studentów się roześmiało, a później znów obejrzało nagranie. Niezależnie od tego, jak uważnie się wpatrywali, nawet ich oczy przyzwyczajone do hollywoodzkich efektów specjalnych nie zauważyły żadnych skaz ani anomalii w nagraniu. Nawet wielka, podobna do rekina bestia, którą ten Agu rzekomo wyrzucił z wody, wyglądała prawdziwie. To, w połączeniu z doniesieniami agencji prasowych o działalności terrorystycznej i zamieszkach w Nigerii, i zupełnie innymi, bardziej osobistymi historiami pojawiającymi się w różnych mediach społecznościowych na temat inwazji „obcych” zwróciło uwagę wielu Amerykanów. Tych

troje studentów z pewnością nie było jedynymi, których dezorientowały i niepokoiły doniesienia i nagrania z Afryki.

Nature otworzyła podręcznik, ale zaraz go zamknęła. Po chwili znów go otworzyła i wyciągnęła z plecaka plan zajęć. Podniosła wzrok.

– Cieszę się tylko, że to się dzieje tam. To mnie przeraża.

Dwaj pozostali pokiwali głowami.

– A myślisz, że to tam pozostanie? – spytał Jordan.

Nature wzruszyła ramionami.

– Cokolwiek się dzieje, jutro pewnie będzie miało więcej sensu – powiedział Shaquille i znów nałożył wielkie czerwone słuchawki.

Włączył iPoda i wybrał „Successful" Drake'a. Nie był fanem Drake'a, ale uwielbiał tę piosenkę. To było rzadkie zjawisko – prawdziwy, porządny hip-hop w wykonaniu żałosnego, skomlącego białego rapera. Zdjął płaszcz.

Wyciągnęli długopisy i markery, po czym otworzyli podręczniki *Chemistry: The Central Science* na pierwszym rozdziale. Semestr letni zapowiadał się ciężko, a oni nie mogli narobić sobie zaległości. Świat poradzi sobie sam.

Podziękowania

Dziękuję nigeryjskiemu Lagos za to, że jest nigeryjskim Lagos. Dwadzieścia lat temu wiedziałam, że kiedyś o tobie napiszę. I kiedyś będziesz największym miastem na świecie.

Chciałam podziękować partnerowi, Taofikowi Yusufowi, za pomoc z niektórymi fragmentami tekstu w pidżynie oraz naleganie, by zmienić tytuł powieści z *Lagos* na *Laguna*. Dziękuję również nollywoodzkiemu reżyserowi i przyjacielowi Tchidiemu Chikere za drobiazgowe sprawdzenie fragmentów w pidżynie. Dziękuję ambitnej redaktorce, Anne Perry, za przekonanie mnie, że powinnam zachować te fragmenty w takiej wersji, w jakiej pierwotnie zamierzałam, i nie łagodzić ich. Dziękuję Beegeagle za informacje z pierwszej ręki na temat nigeryjskiej armii. Dziękuję amerykańskiemu raperowi etiopskiego pochodzenia, Gabrielowi Teodrosowi, i nowoorleańskiej artystce Sorai Jean-Louis McElroy za to, że byli pierwszymi czytelnikami *Laguny*. Obojgu bardzo podobał się pierwszy rozdział z punktu widzenia włócznika, co dużo dla mnie znaczyło.

Dziękuję południowoafrykańskiemu filmowi science-fiction *Dystrykt 9* za to, że mnie zaintrygował, a jednocześnie zdenerwował tak bardzo, że zaczęłam się zastanawiać, co zrobiliby obcy w Nigerii. Ta powieść zrodziła się z mojej złości na *Dystrykt 9*, ale szybko stała się czymś zupełnie innym.

I na koniec chciałabym oczywiście podziękować córce, Anyaugo, która jako pierwsza usłyszała streszczenie *Laguny* (w czasach, gdy tytuł brzmiał jeszcze *Lagos*). Kocha Nigerię tak samo jak ja i stwierdziła, że historia jest prześmieszna (szczególnie fragmenty z potworem drogowym).

O autorce

Nnedi Okorafor jest autorką licznych powieści i opowiadań, w tym *Zahrah the Windseeker*, która zdobyła Wole Soyinka Prize for Literature, i *Who Fears Death*, nagrodzoną World Fantasy Award za rok 2011.

Nnedi mieszka w Chicago i uczy pisarstwa na miejscowym uniwersytecie.

Więcej informacji można znaleźć na stronie autorki www.nnedi.com, profilu na Facebooku www.facebook.com/nnedi lub na Twitterze @Nnedi.

PRZYPISY

1 Cytat z hymnu Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich (mormonów) *Kiedy Burze Życia*, przekład na podstawie oficjalnego śpiewnika (przyp. tłum.).

2 Niepochlebny przydomek nigeryjskiego prezydenta (przyp. tłum.).

3 Kłopoty (przyp. tłum.).